

DEAN  
KOONTZ

NOWOŚĆ

MISTERIUM

ALBATROS

# DEAN KOONTZ MISTERIUM



Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁ

CEZARY FRĄC

ALBATROS

WYDANIE ELEKTRONICZNE



Tytuł oryginału:

DEVOTED

Copyright © The Koontz Living Trust 2020

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Cezary Frąc 2023

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Zdjęcia na okładce: © Mina Mimbu (*chmura*); AMJonik.pl/Shutterstock

(*chłopiec*); Africa Studio/Shutterstock (*pies*)

ISBN 978-83-6775-911-3

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotował Marcin Kośka

# SPIS TREŚCI

Okładka

Misterium

Karta redakcyjna

Ciemniej niż w ciemności: wtorek 16:00 - środa 17:00

Nieproszony gość: środa 17:00 - czwartek 1:00

Pies i jego chłopiec: czwartek 1:00 - 4:00

Misterium: czwartek 4:00 - na zawsze

DEAN KOONTZ

EKSPERYMENTY MAJĄCE NA CELU ZAPEWNIENIE CZŁOWIEKOWI DŁUGOWIECZNOŚCI, KTÓRE MOGĄ DOPROWADZIĆ DO ZAGŁADY HOMO SAPIENS.

OGARNIĘTY MANIĄ WIELKOŚCI NAUKOWIEC NIECOFAJĄCY SIĘ PRZED NICZYM, BY ZDOBYĆ NIEOGRANICZONĄ WŁADZĘ.

AUTYSTYCZNY JEDENASTOLATEK I NIEZWYKŁY GOLDEN RETRIEVER STAWIAJĄCY CZOŁA PIERWOTNYM SIŁOM ZŁA.

Woody Bookman przez jedenaście lat życia nie wypowiedział ani słowa. Nawet wtedy, gdy zginął jego ojciec. Chłopiec jest przekonany, że śmierć taty nie była przypadkowym wypadkiem, i wykorzystuje swoje hakerskie umiejętności, by odkryć, co się naprawdę stało. Nie wie, że w ten sposób naraża na niebezpieczeństwo siebie i matkę. Nie jest to dla nich jedyne zagrożenie. Do kalifornijskiego miasteczka, w którym mieszkają, zmierza jedyne człowiek ocalały z katastrofy w tajnym ośrodku badawczym. I ma przerażający plan.

Na szczęście Woody ma sojusznika, choć na razie nie zdaje sobie z tego sprawy. Kipp, golden retriever o wyjątkowym darze i sercu równie złotym jak nazwa jego rasy, wie, że chłopiec potrzebuje pomocy, i stara się go odnaleźć, zanim będzie za późno.

*Joemu McNeely'emu.*

*Do wielu jego cnót należy dar śmiania się z samego siebie –  
razem z nami wszystkimi. Z nim świat jest lepszy.*

*W psach zawarta jest cała wiedza, suma wszystkich pytań  
i wszystkich odpowiedzi.*

**Franz Kafka**

*Na tej przypadkowej planecie jesteśmy samotni. Między  
wszystkimi otaczającymi nas formami życia żadna, poza psem, nie  
zawarła z nami przymierza.*

**Maurice Maeterlinck**

*Jeśli zlitujesz się nad zagłodzonym psem i nakarmisz go, nie  
ugryzie cię. To jest podstawowa różnica między psem  
a człowiekiem.*

**Mark Twain**

*Pies jest jedynym stworzeniem na świecie, które kocha cię  
bardziej niż siebie.*



# CIEMNIEJ NIŻ W CIEMNOŚCI

WTOREK 16.00 - ŚRODA 17.00



# 1

OD WYPADKU MINEŁY TRZY lata i Megan Bookman czuła się stosunkowo dobrze; w jej sercu i umyśle panował spokój, chociaż niekiedy ogarniał ją lęk, uczucie, że czas się kończy, że w każdej chwili może rozstać się pod nią ziemia. Nie było to przecucie, lecz raczej wynik tego, że owdowiała w wieku trzydziestu lat. Miłość, która miała być wieczna, męczyzna, z którym miała się zestarzeć – wszystko zostało jej odebrane w jednej chwili, bez ostrzeżenia. Wiedziała jednak, że wizja zegara, odmierzającego jej ostatnie godziny, przeminie. Zawsze tak się działo.

Stała w drzwiach sypialni swojego jedynaka. Siedział przed komputerem, do którego podłączone były najróżniejsze urządzenia peryferyjne, i wpatrywał się w monitor, szukając czegoś, co akurat go frapowało.

Woodrow Bookman, Woody, przez całe swoje jedenastoletnie życie nie wymówił ani jednego słowa. W chwili narodzin i przez pierwsze lata krzyczał, ale jako czterolatek ucichł. Śmiał się, choć rzadko, w reakcji na to, co się do niego mówiło, albo w związku z jakąś zabawną sytuacją. Przyczyna rozbawienia pochodziła z wnętrza chłopca i pozostawała tajemnicą dla jego matki. Lekarze zdiagnozowali rzadką odmianę autyzmu, ale nie mieli zielonego pojęcia, jaką stosować terapię.

Na szczęście nie występowały u niego najcięższe symptomy autyzmu: skrajna nieporadność czy ataki furii. W znanym otoczeniu nie wzbraniał się przed kontaktem fizycznym ani nie czuł z tego powodu psychicznego dyskomfortu, chociaż w stosunku do nieznanym był podejrzliwy i często okazywał lęk. Uważnie słuchał wszystkiego, co się do niego mówiło, i był przynajmniej tak grzeczny, jak Megan w dzieciństwie.

Nie chodził do szkoły ani nie korzystał z nauczania w domu. Woody był nadzwyczajnym samoukiem. Samodzielnie nauczył się czytać już kilka miesięcy po czwartych urodzinach i w ciągu trzech lat osiągnął poziom liceum.

Megan kochała syna. Jak mogłoby być inaczej? Był owocem miłości. Dla niej od jego narodzin ich serca biły w jednakowym rytmie.

Poza tym był słodki jak dzieciaki z reklam ciasteczek i na swój sposób czuły. Chociaż nigdy nie odwzajemniał przytulania i pocałunków, to w najbardziej nieoczekiwanych momentach potrafił położyć rękę na dłoni matki albo dotknąć jej czarnych włosów, a potem swoich, jakby chciał powiedzieć, że wie, po kim je ma.

Rzadko nawiązywał kontakt wzrokowy, ale gdy to się zdarzało, czasami jego oczy szklily się od wzbierających łez. Żeby nie myślała wtedy, że jest smutny, posyłał jej uśmiech, szeroki, niemal radosny. Kiedy pytała, czy to są łyzy szczęścia, potwierdzał ruchem głowy. Nie mógł jednak albo nie chciał wyjaśnić, co go uszczęśliwiło.

Problemy z komunikacją oznaczały, że nie mogli dzielić się swoim życiem, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak tego pragnęła. A to oznaczało nieustanny smutek. Ten chłopiec sprawiał, że pękało jej serce, pękło tysiące razy, ale zawsze je ulecział swoją słodyczą.

Nigdy nie pragnęła, żeby był normalny i zdrowy, bo wtedy byłby innym chłopcem. Kochała go pomimo – a częściowo z powodu – wyzwania, z jakim musieli się razem mierzyć.

– Wszystko dobrze, Woody? – zapytała, patrząc na niego z progu. – Nic ci nie jest?

Siedząc plecami do niej, skupiony na ekranie monitora, unióśł rękę i wycelował palcem wskazującym w sufit. Dawno poznała znaczenie tego gestu: był pozytywny i mniej więcej oznaczał: „Jestem na Księżycu, mamó”.

– W takim razie wszystko w porządku. Jest ósma. O dziesiątej masz być w łóżku.

Nakreślił palcem kółka, po czym opuścił rękę z powrotem na klawiaturę.

## 2

PO ZAPISANIU DOKUMENTU ZATYTUŁOWANEGO *Zemsta syna. Rzetelnie zebrane dowody potwornego zła*, nad którym pracował od dłuższego czasu,

jedenastoletni Woody Bookman wyłączył komputer i poszedł do łazienki. Zaczął czyścić zęby szczoteczką sonicare. Nie wolno mu było używać zwykłej, ponieważ miał natręctwo czyszczenia zębów. Potrafił mocno szorować zęby przez dwadzieścia minut, co z czasem doprowadziło do uszkodzenia dziąseł i to w stopniu wymagającym przeszczepu. W wieku dziesięciu lat musiał przejść operację, która uratowała mu trzy rozchwiane dolne trzonowce po lewej stronie.

Chirurdzy szczętkowi do tego typu zabiegów używali wysterylizowanej i napromieniowanej tkanki pobranej od martwych dawców. Woody miał ją wokół trzech zębów i nie chciał mieć więcej. Nie dlatego, że z powodu kawałka ciała zmarłego działo się z nim coś upiornego. Nie doświadczał przebłysków z życia dawcy ani nie nabierał ochoty na ludzkie mięso jak w serialu *Żywe trupy*. Przeszczep nie mógł zmienić go w zombie. Sam pomysł był niedorzeczny.

Woody wstydził się za ludzi, którzy wierzyli w takie niestworzone rzeczy, a było ich wielu. Wstydził się też za tych, którzy wściekali się z powodu błahostek, wyzywali innych albo byli niemili dla zwierząt. Z wielu powodów liczne osoby wprawiały go w zakłopotanie.

Wstydził się także za siebie, bo stanowił zagrożenie dla własnych zębów. Szczoteczka sonicare była nastawiona na dwie minuty – nie szoruj zębów włosiem, tylko pozwól, by fale dźwiękowe usuwały z zębów osad. Bez czasowego ograniczenia miałyby zmasakrowane dziąsła.

Czuł się również skrępowany, ponieważ czasami myślał o pocałunku z dziewczyną. Do niedawna całowanie wydawało mu się obrzydliwą – fuj – wymianą śliny. Coś jednak musiało być z nim nie tak, skoro o tym fantazjował. Był również zakłopotany, bo obawiał się, że jeśli poprosi dziewczynę o pocałunek i powie jej o swoich martwych dziąsłach, to ta zwymiotuje i ucieknie. A jeśli jej nie powie, to skłamię przez przemilczenie prawdy, a na samą myśl o tym skręcało go z zażenowania, ponieważ kłamstwo jest głównym źródłem ludzkiego cierpienia. Słowo zażenowanie można zdefiniować jako bolesne upokorzenie, coś znacznie gorszego niż zakłopotanie.

Odkąd pamiętała, wstydził się za siebie i za innych. Między innymi z tego powodu nie mówił. Gdyby ośmielił się odezwać, powiedziałyby ludziom, dlaczego się za nich wstydzi i dlaczego wstyd mu za siebie; a miałyby długą listę powodów do wstydu. Był ofiarą losu. Naprawdę. Ludzie nie chcieliby słuchać ani o jego

wadach, ani o swoich. Milczenie jest jednak formą kłamstwa, a na samą myśl o kłamstwie robiło mu się niedobrze. Mimo to lepiej milczeć, nic nie mówić i może ludzie cię polubią. Jeśli im nie powiesz, jakim jesteś żalonym niedojdą, może sami tego nie zauważą.

Jedną z najbardziej zawstydzających ludzkich cech jest brak spostrzegawczości.

Po umyciu zębów poszedł do łóżka i zgasił lampkę nocną. Nie bał się ciemności. Wiedział, że nie ma duchów, wampirów, wilkołaków ani niczego w tym stylu, a szansa na to, że martwy facet wkradnie się do sypialni, by odzyskać swoje dziąsła, była zerowa.

Jedynymi potworami są ludzie. Nie wszyscy. Tylko niektórzy. Jak ci, którzy zabili jego ojca. Tata nie żył już od trzech lat, a nikt nie trafił do więzienia za morderstwo. Wszyscy uznali, że zginął w wypadku. Ale Woody wiedział swoje. Teraz, gdy wreszcie skończył *Zemstę syna*, winnych śmierci taty dosięgnie karząca ręka sprawiedliwości.

Woody był bardzo zdolny. Odkąd skończył siedem lat, czytał ze zrozumieniem, jakiego mogliby mu pozazdrościć studenci, chociaż to akurat o niczym nie świadczyło, skoro wielu z nich brakowało podstawowej wiedzy. Był genialnym hakerem. W ciągu ostatnich dwóch lat spenetrował doskonale chronione systemy komputerowe i umieścił w nich rootkity, które pozwalały mu niepostrzeżenie eksplorować darknet i dotarł w ten sposób do bardzo dziwnych miejsc.

Teraz, czekając na sen, zmusił się do myślenia o czymś przyjemnym. Był zakłopotany, gdy wyobraził sobie, że całuje dziewczynę, którą widział na zdjęciu w czasopiśmie. Bezskutecznie próbował skierować myśli na inny temat. Zastanawiał się, czy pewnego dnia, może za kilka lat, spotka dziewczynę z przeszczepionymi dziąsłami – coś by ich łączyło. Mama całowała go w policzki i czoło, ale sam nigdy nikogo nie pocałował. Gdyby poznał taką dziewczynę, może byłby to dobry początek.

## DOROTHY PACHNIAŁA ŚMIERCIĄ.

Miała siedemdziesiąt sześć lat. Odejdzie krótko po wschodzie słońca.

To była bolesna prawda. Świat jest pięknym miejscem, ale pełnym bolesnych prawd.

Pielęgniarka hospicyjna, Rosa Leon, która się nią opiekowała, towarzyszyła jej w sypialni, gdzie Dorothy przespała większość nocy w swoim długim życiu.

Rosa pachniała życiem, truskawkowym szamponem i miętówkami.

W tym pokoju Dorothy i jej mąż Arthur kochali się i poczęli dziecko, Jacka.

Arthur był księgowym. Zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat.

Jack zginął na wojnie, mając lat dwadzieścia osiem. Rodzice przeżyli go o dziesięciolecie.

Strata dziecka była największą tragedią w jej życiu.

Ale Dorothy była dumna z Jacka, była wytrzymała i wiodła życie, które miało znaczenie.

Kipp nigdy nie spotkał Jacka ani Arthura. Znał ich tylko dlatego, że Dorothy często o nich wspominała.

Rosa siedziała w fotelu i czytała książkę, nieświadoma zbliżającej się śmierci.

Dorothy zasnęła po podaniu środków uspokajających. Nie odczuwała bólu.

Kipp cierpiał, gdy Dorothy odczuwała ból. Mieszkał z nią zaledwie trzy lata, ale kochał ją bezgranicznie.

Miłość ponad wszystko leżała w jego naturze.

Zanim Dorothy odejdzie, musi zebrać siły, przygotować się na poradzenie sobie ze stratą.

Zszedł na dół i wy dostał się przez swoją klapę na szeroki taras na tyłach domu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Dom stał około sześciu metrów powyżej jeziora Tahoe. Drobne fale cicho plu skały o piasek na plaży, a na wodzie migotały ostre refleksy sierpa księżycy.

Łagodny podmuch przyniósł bogatą mieszankę zapachu sosen, cedrów, dymu z kominków, żółędzi, grzybów, wiewiórek, szopów i wielu innych rzeczy.

Kipp słyszał dziwny bezustanny szmer. Słyszał go od niedawna.

Najpierw pomyślał, że to w uszach mu szumi, na co, jak wiedział, cierpią niektórzy ludzie, ale to nie było to.

Niemal rozróżniał słowa w tym dziwnym nieustannym strumieniu, który napływał skądś z zachodu i zmierzał lekko na północ.

Po śmierci Dorothy będzie musiał zbadać sprawę, znaleźć źródło dźwięku. Był wdzięczny za ten natychmiastowy cel w swoim życiu.

Zszedł z tarasu na podwórko i przez chwilę wpatrywał się w gwiazdy, zastanawiając się.

Chociaż był niezwykle bystry – tylko Dorothy wiedziała, jak bardzo – nie miał pojęcia, co to wszystko oznacza.

Witaj w klubie. Wszystkim filozofom w dziejach, o wiele mądrzejszym od niego, nie udało się wymyślić teorii, która zadowoliłaby każdego.

Wkrótce po tym, jak wrócił do sypialni, Dorothy się obudziła.

Widząc Rosę czytającą powieść, odezwała się słabym głosem:

– Rosie, kochanie, powinnaś czytać Kippowi na głos.

– Nie sądzisz, że Dickens trochę go przerasta? – spytała pielęgniarka, która traktowała pacjentkę z dużą wyrozumiałością.

– Ależ skąd! Z przyjemnością słuchał *Wielkich nadziei* i uwielbia *Opowieść wigilijną*.

Kipp stanął przy łóżku i patrzył na Dorothy, merdając ogonem.

Ta zapraszająco poklepała materac.

Wskoczył na łóżko. Położył się obok niej i oparł pysk na jej biodrze.

Położyła rękę na jego dużym łbie i delikatnie pogładziła zwisające uszy i złocistą sierść.

Choć nienawistna Śmierć stała u drzwi, w pękającym z żalu sercu Kippa zagościła słodka błogość.

## 4

DWUPASMOWA ASFALTÓWKA JEST CIEMNYM węzłem pełznącym przez blade w księżycowej poświacie pustkowiec Utah. Migoczące tu i ówdzie w dali małe skupiska świateł przywodzą na myśl pozaziemskie kapsuły, które opadły ze statku macierzystego z jakąś niecną misją.

Zmierzając z przedmieść Provo na południe w głąb coraz większej pustki, Lee Shacklet nie ma odwagi korzystać z międzystanowej piętnastki. Jedzie mniej ruchliwymi drogami stanowymi i tylko w razie potrzeby międzystanowymi, by jak najszybciej zwiększyć odległość między sobą a Springville i tym, co wydarzyło się w tamtejszych laboratoriach.

Jeśli nawet wyrządził tyle zła co nikt inny w historii, zrobił to w dobrej wierze. Jest przekonany, że dobre intencje liczą się bardziej niż konsekwencje jego działań. Jak ludzkość mogłaby przejść od jaskiń do orbitujących stacji kosmicznych, gdyby wszyscy unikali ryzyka? Niektórzy szukają wiedzy i podejmują wyzwania bez względu na koszty, i właśnie dzięki nim dokonuje się postęp.

Tak czy inaczej, wszystko może skończyć się dobrze. Ostateczny wynik projektu jeszcze nie jest znany, wiadomo tylko, że w połowie coś poszło nie tak. Z każdym przedsięwzięciem naukowym wiąże się ryzyko niepowodzenia. W ostatecznym rozrachunku porażka może być ojcem sukcesu, jeśli człowiek uczy się na popełnionych błędach.

Początkowo jednak uważa tę porażkę za absolutną.

Nie wziął swojej tesli ani mercedesa SL 550, bo wie, że w końcu władze zaczną go szukać. Jedzie krwistoczerwonym dodge'em demonem, którego kupił za sto czterdzieści sześć tysięcy dolarów przez firmę zarejestrowaną na Kajmanach – nawet najbardziej zdeterminowany śledczy nie zdoła powiązać z nią jego nazwiska. Pojazd ma tablice rejestracyjne z Montany. Na wszelki wypadek, gdyby jednak policja dokonała tego cudu, usunął GPS, by uniemożliwić zlokalizowanie go przez satelitę.

Jedna z dwóch walizek w bagażniku zawiera sto tysięcy dolarów. Kolejne trzysta tysięcy w studolarówkach jest ukryte w tajnym schowku w oparciu fotela pasażera. Pod podszewką miękkiej czarnej skórzanej kurtki, skrojonej jak sportowa marynarka, ma wszyte trzydzieści sześć brylantów, dla każdego hurtownika klejnotów wartych pół miliona.

Ten majątek nie wystarczy na całe życie. Użyje tych środków, żeby zapaść się pod ziemię na kilka miesięcy, a gdy ucichnie wrzawa wokół katastrofy w Springville, opuści Stany Zjednoczone i uda się do Kostaryki, okrężną drogą



przez pięć krajów, trzykrotnie zmieniając tożsamość. W Kostaryce ma dom, który kupił jako Ian Stonebridge, i paszport szwajcarski na to nazwisko.

Jest dyrektorem generalnym Refine, wartej wiele miliardów dolarów firmy należącej do gigantycznego konglomeratu. Niewielu dyrektorów równie wielkich przedsiębiorstw potrafi wyobrazić sobie kryzys na tyle poważny, by wymagał przygotowania nowej tożsamości i ukrycia za granicą kapitału, który zapewni dziesiątki lat życia na wysokim poziomie. Shacket jest z siebie dumny: okazał się wystarczająco mądry i dyskretny, choć jest o wiele młodszy od większości dyrektorów.

Ma trzydzieści cztery lata, czyli niemało jak na faceta z jego stanowiskiem w sektorze, w którym czarodzieje technologii zakładają firmy i już po dwudziestce są miliarderni. Jego szefem jest Dorian Purcell, prezes zarządu firmy macierzystej; Purcell został miliardernym w wieku dwudziestu siedmiu lat, a teraz ma trzydzieści osiem. Shacket jest wart jedynie sto milionów.

Dorian chciał, aby badania w Springville prowadzono w zawrotnym tempie. Shacket zgodził się, bo uwierzył, że jeśli główny projekt zakończy się sukcesem, to dzięki prawu wykupu akcji też zostanie miliardernym, chociaż raczej nie multimiliardernym, a warta pięćdziesiąt miliardów dolarów fortuna Doriana zapewne się podwoi.

Niesprawiedliwość tej nierówności sprawia, że Shacket zgrzyta zębami we śnie i często budzi się z obolałymi szczękami. Zwykły miliarderny jest nikim wśród książąt zaawansowanych technologii. Pomimo nawoływania do równości społecznej, wielu z nich przykłada ogromną wagę do różnic klasowych i świat nie zna większych elitarystycznych bigotów. Lee Shacket gardzi nimi prawie równie mocno, jak chce być jednym z nich.

Jeśli będzie musiał ukrywać się do końca życia, mając do dyspozycji tylko nędzne sto milionów, będzie miał dużo wolnego czasu na zaplanowanie, jak zniszczyć Purcella, i niewiele chęci, by robić cokolwiek innego.

Lee Shacket od samego początku zdawał sobie sprawę, że jeśli coś pójdzie nie tak, wina spadnie na niego. Dorian Purcell, ikona rewolucji high-techu, na zawsze pozostanie nietykalny. Ale teraz, gdy przyszło zapłacić cenę, Shacket czuje się oszukany, wyrolowany, zrobiony w konia.

W trakcie jazdy dręczą go złość, żal nad sobą i niepokój, a także coś, co uważa za smutek, uczucie dla niego nowe. Dziewięćdziesięciu dwóch pracowników spędza ostatnie godziny życia w zamkniętym ośrodku o wysokim poziomie bezpieczeństwa w pobliżu Springville, pozbawionych możliwości komunikowania się ze światem zewnętrznym. Jest na nich równie wkurzony jak na Doriana. Jeden z tych geniuszy – albo kilku – zrobił niedbale coś, co przypieczerowało ich los i postawiło go w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Niektórzy z tych ludzi są jednak jego przyjaciółmi – w takim stopniu, w jakim dyrektor generalny może sobie pozwolić na przyjaźń z tymi, których musi nadzorować – i myśl o ich cierpieniu sprawia mu ból.

Podczas budowy kompleksu dopilnował, żeby moduł zawierający jego gabinet i biura pięciu bezpośrednich podwładnych w sytuacji kryzysowej uszczelniał się w dziewięćdziesiąt sekund po hermetycznym zamknięciu wszystkich laboratoriów. Gdy rozległ się alarm, zapewnił ludzi, że są bezpieczni, że powinni pozostać na swoich stanowiskach – i po cichu wyszedł.

Nie miał wyboru, musiał ich okłamać. Alarm ogłaszał nie nadciągającą katastrofę, ale tę już trwającą. Wszyscy zostali skażeni, łącznie z nim, ale w tych dramatycznych okolicznościach nie jest w stanie okłamywać samego siebie z równą łatwością, z jaką okłamał ich.

Tak czy inaczej, zawsze był dobry w unikaniu konsekwencji swoich błędów. Może szczęście nie opuści go w trakcie tej ostatniej ucieczki.

Wkrótce zaczną go ścigać władze i – co gorsza – bezwzględna ekipa sprzątająca, będąca na usługach Doriana. Ma nadzieję, że wszyscy pracownicy Springville zginą i nikt nie będzie mógł świadczyć przeciwko niemu.

## 5

GDY ROSA LEON ZESZŁA NA DÓŁ, żeby zrobić sobie kanapkę, Kipp został sam z Dorothy.

Światło lampy było przyćmione, cienie wydawały się gładkie jak spokojna woda, blask księżyca srebrzył dostojną sosnę za oknem.

– Umówiłam się z Rosą, że zostaniesz z nią, kiedy odejdę – powiedziała Dorothy. – Ona dobrze się tobą zaopiekuje.

Kipp na znak podziękowania trzy razy zabębnił ogonem w materac. Trzy uderzenia oznaczały „Tak, w porządku”. Jedno „Nie” albo „To wydaje się niewłaściwe”.

Przeznaczenie zabierze go jednak gdzie indziej, nie do Rosy.

Ale nie ma potrzeby niepokoić Dorothy.

– Krótko mówiąc, byłeś dla mnie darem nie mniej wartościowym niż mój syn Jack czy kochany Arthur.

Kipp uniósł łeb z biodra swojej pani, żeby polizać jej bladą rękę, którą tak często gładziła go i karmiła smakołykami.

– Szkoda, że nie udało nam się rozwikłać zagadki twojego pochodzenia.

Kipp westchnął przeciągle na znak, że się z nią zgadza.

– Ale w końcu nasze korzenie są takie same, zrodzone w sercu, które ukształtowało wszystko, co jest.

Pragnął powiedzieć jej tak wiele w tym krótkim czasie, jaki jej został.

Chociaż jego inteligencja w jakiś sposób osiągnęła ludzki poziom, brakowało mu aparatu głosowego umożliwiającego mowę. Mógł wydawać wiele dźwięków, ale nie słowa.

Dorothy obmyśliła sprytną metodę, dzięki której mogli się porozumiewać, tylko że niezbędne urządzenie znajdowało się w pokoju na parterze, a jej brakowało sił, żeby tam zejść.

Nie miało to znaczenia. Wszystko, co chciał jej powiedzieć, zostało już powiedziane. Kocham cię. Będę za tobą strasznie tęsknić. Nigdy cię nie zapomnę.

– Drogie dziecko, pozwól, że spojrzę ci w oczy.

Zmienił pozycję, położył łeb na piersi Dorothy i napotkał jej pełne miłości spojrzenie.

– Twoje oczy i serce są równie złote jak sierść twojej rasy – powiedziała.

Jej oczy były niebieskie, czyste i głębokie.

LEE SHACKET PARKUJE DODGE’A demona w odległym kącie parkingu przy motelu Best Western w miasteczku Delta w stanie Utah. Siedząc w samochodzie, goli nieskazitelnie przystryżoną brodę, którą nosi od dwudziestego czwartego roku życia. Myje ręce środkiem dezynfekującym i zakłada dostępne bez recepty soczewki kontaktowe, by zmienić kolor oczu z wolframowej szarości na brązowy.

Nakłada czapkę baseballową, żeby ukryć większość blond włosów, po czym jedzie na południe drogą stanową numer 257, skręca na lokalną dwudziestkęjedenkę, a później na stotrzydziestkę. Po przejechaniu dwustu kilometrów przybywa do Cedar City i rejestruje się w hotelu Holiday Inn, używając prawa jazdy i karty kredytowej na nazwisko Nathan Palmer.

W pokoju przed przefarbowaniem włosów musi sprawdzić, czy wydarzenia w ośrodku w Springville trafiły do wiadomości. Staje przed telewizorem i pierwszym, co widzi, jest nagranie zrobione pod koniec dnia pracy, przed zapadnięciem zmroku. Gdy uciekał, kompleks laboratoryjny jeszcze nie płonął. Pożar wybuchł kilka minut później. Mordercze płomienie wznosiły się na wysokość dwudziestu metrów, od krańca do krańca obiektu.

Pożar został wywołany celowo, żeby zatrzeć prawdę o tym, co się tam wydarzyło. Bez jego wiedzy w kompleksie umieszczono pojemniki z jakimś paliwem i zainstalowano układ zapłonowy, by mieć pewność, że dowody świadczące o charakterze prowadzonych tam badań nigdy nie wyjdą na jaw.

Nie ma wątpliwości, że naukowców rozmyślnie spalono żywcem – spopielono, zostały tylko kości, jeśli w ogóle coś pozostało – by zniszczyć wszelkie ślady. Lee Shacket wie, że ci ludzie i tak umarliby w ciągu kilku dni albo tygodni, lecz jest zszokowany tym okrucieństwem. Siada na łóżku, bo nagle uginają się pod nim nogi.

Tak, zostawił tych ludzi na pastwę losu, ale to Dorian przesądził o ich losie. Istnieją stopnie zła i Shacket pociesza się, że to, co sam zrobił, błędnie w porównaniu z decyzją szefa.

Jest dla niego oczywiste, że Dorian Purcell potajemnie zatwierdził takie ekstremalne rozwiązanie, to ostateczne zabezpieczenie. Dorian uważa się za wizjonera i tę opinię podzielają prawie wszyscy, którzy piszą o nim w prasie, a prawdziwy wizjoner wie, że postęp wymaga poświęceń, że liczy się nie krótkoterminowy koszt życia i pieniądze, ale osiągnięcia po dłuższym czasie

wielka korzyść dla ludzkości. Aby usprawiedliwić wymordowanie milionów, Stalin podobno powiedział: „Śmierć jednego człowieka jest tragedią, a miliona to tylko statystyka”. Śmierć dziewięćdziesięciu dwóch osób może być dla Doriana bez znaczenia w porównaniu z wielkim projektem, który realizowano w laboratoriach Refine w Springville i który za rok zostanie wznowiony gdzie indziej.

Prezenter wiadomości z powagą informuje, że w placówce prowadzono badania nad rewolucyjnym lekiem na raka. To niedorzeczne kłamstwo, ale ten facet bez wątpienia w nie wierzy. Badania nad rakiem nie są aż tak niebezpieczne, że trzeba je prowadzić w otoczonym murem odizolowanym kompleksie, oddalonym o dwa kilometry od ostatnich domów na przedmieściach Provo w stanie Utah. Jednak w czasach, gdy działy informacyjne stacji telewizyjnych mają napięty budżet, wielu przedstawicieli mediów jest skłonnych wierzyć we wszystko, co usłyszą od zaufanego źródła, a prawdziwe dziennikarstwo śledcze jest zarezerwowane wyłącznie dla tych, których uznaje się za niecnych albo podejrzanych. Dorian Purcell publicznie zajmuje właściwe stanowisko w kwestiach ważnych dla opiniotwórców i jest powszechnie postrzegany jako jeden z tych dobrych.

Według oficjalnego raportu wstępnego przyczyną pożaru był wyciek gazu pod fundamentami. Obiekt został wyposażony we własną elektrownię gazową, by zminimalizować ryzyko przerw w dostawie prądu, które mogłyby niekorzystnie wpłynąć na przebieg realizowanych projektów badawczych. Długotrwały niewykryty wyciek w końcu doprowadził do wybuchu.

– Tak, akurat – mruczy Shacket, wyłączając telewizor.

Później, już jako nowy – brązowowłosy, brązowooki, gładko ogolony – mężczyzna wychodzi na kolację. Nigdy nie był wybredny, jeśli chodzi o jedzenie, i przez lata z przyjemnością jadał w Holiday Inn i podobnej klasy restauracjach, ale tym razem nic mu nie smakuje. Sałata jest gorzka. Warzywa mają lekko metaliczny posmak. Ziemniaki wcale nie mają smaku. Zjada kurczaka, ale też nie smakuje tak, jak powinien.

Ma ochotę na coś innego, nie wie jednak, czym mógłby zaspokoić to pragnienie. Nic w karcie dań do niego nie przemawia.

Wraca do pokoju, pije rum z colą i w końcu zasypia.

O trzeciej trzydziści nad ranem budzi się z krzykiem, zlany zimnym potem, z koszmaru, którego nie pamięta.

Jest zdezorientowany, jakby nadal śnił. Nieziemskie kobaltowoniebieskie światło sączy się wokół brzegów zasłon, jakby w świetle na zewnątrz trwała cicha katastrofa emitująca śmiertcionośne promieniowanie. Jest trzeźwy, ale mały pokój wydaje się ogromny, a łóżko dryfuje po morzu falujących cieni. Gdy odrzuca kołdrę i siada na brzegu materaca, podłoga pełza pod jego bosymi stopami, jakby pokrywał ją dywan owadów. Po omacku znajduje lampkę nocną. Nikłe światło unieruchamia pływające łóżko i nie ujawnia żadnych owadów. Pokój jest jednak prawie tak samo mroczny i nie mniej przerażający niż w ciemności.

Shacket podnosi się i stoi niezdecydowanie, pewien, że koszmar był zapowiedzią nadciągającego zła, nie fantazją, ale prawdą, z którą musi się zmierzyć, żeby się uratować. Ale nie pamięta snu.

Siada w fotelu. Zaciska ręce na podłokietnikach i zaczyna się kołysać. Nie może wytrwać w bezruchu. Musi się ruszać, jakby chciał udowodnić sobie, że żyje.

W koszmarze... Coś sobie przypomina. Był uwięziony, sparaliżowany, ciasno owinięty, niczym w kokonie, z białą półprzezroczystą tkaniną na oczach; bezkształtne cienie pęczniały i oddalały się, dźwięki wznosiły się i cichły wokół niego.

Z drzeniem zastanawia się, czy materiał genetyczny, którym skażone są jego komórki, może obejmować geny jakiegoś robaka, umierającego, żeby na nowo narodzić się z kokonu.

We śnie był bezradny i samotny. Kołysze się bez chwili przerwy w nieruchomym fotelu. Ma pieniądze na ucieczkę, elegancką rezydencję w Kostaryce i sto milionów dolarów, do których żadne władze nie zdołają się dokopać, ale głęboka samotność czyni go bezbronnym, pozbawionym celu.

Czuje się bezsilny jak wtedy, gdy był dzieckiem zależnym od brutalnego ojca alkoholika i chorej psychicznie matki.

Nie może znieść bezsilności. Nie może jej tolerować.

W Springville oprócz naukowców podlegało mu dwa tysiące dwustu pracowników Refine. Teraz nie ma władzy nad nikim. Miał władzę, pozycję,

szacunek, dwadzieścia garniturów od Toma Forda, do których nosił kolorowe sportowe buty. Wszystko to przepadło. Jest sam.

Dopiero teraz rozumie, że najgorszym z nieszczęść trapiących ludzkie serca jest samotność.

Nigdy nie układało mu się w związkach. Miał dziewczyny. Seksowne. Nie jest odrażający. Podoba się kobietom. Podziwiają jego ambicję. Ma poczucie humoru. Dobrze tańczy. Ma styl. Jest dobry w łóżku. Umie słuchać. Ale nigdy nie był w stanie wytrwać w związku. Wcześniej czy później każda kobieta stawała się nieodpowiednia, w taki czy inny sposób nieautentyczna. Związek spłycał się; pozbawiony wartościowego pożywienia emocjonalnego, stawał się zaledwie łyżeczką romantycznej esencji, a on i tak zawsze w końcu miał wrażenie, że tonie w tej łyżeczce; dusił się i musiał uciec.

Znieruchomiał w fotelu. Ten bezruch go niepokoi, jakby to, czy przeżyje, zależało od ruchu. Wstaje i chodzi po pokoju, coraz bardziej zaniepokojony.

Dzieje się z nim coś dziwnego.

W słabym świetle lampy jego odbicie w lustrze wygląda jak widmo, jak duch człowieka, który zmarł w tym pokoju, błakający się tutaj, bo nikt go nie chce ani na górze, ani na dole.

Krążąc po pokoju, próbuje przypomnieć sobie, kiedy i gdzie jego życie zboczyło z właściwego toru, nie w odniesieniu do ostatnich wydarzeń w laboratorium, ale wcześniej. Kiedy ostatnio był naprawdę szczęśliwy? Powinien to pamiętać, to ważne. Kiedy jego przyszłość była najbardziej obiecująca?

Chociaż pracując z Dorianem Purcellem, osiągnął wielki sukces, to każdy awans wiązał się z coraz większym stresem. Owszem, dorobił się fortuny, lecz nie może uczciwie powiedzieć, że przez te ostatnie lata był szczęśliwszy niż wcześniej.

Nawet przed nawiązaniem współpracy z Purcellem nie zawsze był w dobrym nastroju, ale miał większe nadzieje na szczęście. W tamtych czasach nie brakowało mu nadziei. Możliwości wydawały się niezliczone; teraz ma ich niewiele, może tylko jedną.

I jest sam. Nie ma nikogo, kogo mógłby słuchać. Nikogo, kto by go rozumiał. Nikogo, kto by się o niego troszczył i o kogo on mógłby się troszczyć. Nikogo,

kto byłby od niego zależny.

Punktem zwrotnym, siłą napędową, która zmieniła jego życie, jest Jason Bookman, przyjaciel od czasów studiów. To Jason pierwszy zrobił karierę i to on wprowadził go do bliskiego otoczenia Doriana Purcella.

Gdy tak krąży, niepokoi go jego odbicie w lustrze na drzwiach szafy. Jego twarz. Coś dziwnego dzieje się z twarzą; coś jest z nią nie w porządku.

Wchodzi do łazienki, gdzie jest lepsze światło. Ma brązowe oczy i włosy, broda zniknęła. Może inni go nie rozpoznają, ale on zna siebie. Jego brązowe jak błoto oczy wyglądają przeciętnie w porównaniu z przenikliwym, szarym jak wolfram spojrzeniem, którym gromił tak wielu młodszych kierowników. Poza tym wygląda w porządku.

Ale nie czuje się dobrze. Jego twarz jest sztywna jak maska. Ćwiczy mięśnie twarzy – ziewa, zaciska usta, stroi miny. Opuszkami palców masuje podbródek, policzki i czoło, szczypie nos, skubie wargi, szukając... czegoś niewłaściwego. W końcu dochodzi do wniosku, że sztywność twarzy jest po prostu skutkiem niepokoju. Całe ciało ma spięte ze strachu.

Jason Bookman zmienił jego życie, co doprowadziło do obecnej katastrofalnej sytuacji. Wprowadził go na orbitę Purcella, ale nie to było najgorszą rzeczą, jaką zrobił. Jason poślubił Megan.

Patrząc na siebie w lustrze, Shacket doznaje objawienia. Jason był tak dalekowzroczny, tak świadomy długoterminowego ryzyka związanego z pracą dla żadnego władcy narcystycznego Doriana Purcella, że wprowadził go do firmy, by posłużył jako kozioł ofiarny, by przejął rolę, która w innym przypadku mogłaby przypaść jemu.

Dlaczego zrozumiał to dopiero teraz? A może jest niesprawiedliwy, popadł w paranoję? Nie, nie. To, co kiedyś wydawało się aktem przyjaźni, nagle i poniewczasie okazuje się makiawelicznym manewrem. Nie dość, że Jason ukradł mu Megan, to jeszcze zaplanował, by wina spadła na niego, gdyby w Refine wydarzyło się coś złego.

Shacket pamięta ciepło pocałunku Megan. Megan Grassley. Teraz Megan Bookman. Prawie czternaście lat temu spotykali się przez parę miesięcy. Nigdy nie dostał od niej niczego więcej poza pocałunkiem. Był przyzwyczajony do łatwych dziewczyn, a ona oczekiwała jasnej deklaracji przed seksem. Postanowił



dać jej nauczkę: zrobił sobie od niej przerwę i zaczął randkować z seksowną Clarissą, by Megan zrozumiała, że zaspokajanie męskich potrzeb jest najlepszym sposobem na uzyskanie pełnego zaangażowania. Ale miesiąc później Jason zaczął się z nią spotykać i w końcu wzięli ślub. Wtedy Shacket nie winił Jasona za odbicie mu dziewczyny. Był wielkoduszny. Życzył parze wszystkiego najlepszego i pocieszył się myślą, że przyjaciel pożałuje, że związał się z oziębłą suką.

Najwyraźniej jednak Megan dla Jasona nie była oziębła. Ich związek kwitł, a ona z roku na rok wyglądała seksowniej, znacznie seksowniej niż Clarissa. W porządku. Nie ma sprawy. Shacket jej nie chciał; nie była dla niego dość szybka. Była hondą, a on potrzebował ferrari. Powiedział sobie, że są lepsze od niej. Że świat jest pełen pięknych kobiet, zwłaszcza gdy roczne dochody zapisujesz siedmioma cyframi i gromadzisz akcje.

Ale teraz jest bez pracy, sam, i wkrótce będzie człowiekiem wyjętym spod prawa.

Gdyby był bardziej cierpliwy, Megan mogłaby mu się oddać. Mogłoby się pobrać, a potem życie z pewnością potoczyłoby się zupełnie inaczej i nie znalazłby się w tej sytuacji.

Nagle uświadamia sobie, kiedy był najszczęśliwszy, kiedy jego przyszłość była najbardziej obiecująca: gdy spotykał się z Megan.

Patrząc sobie w oczy, pojmuję, że nic złego nie dzieje się z jego twarzą. Problem – jeśli jakiś istnieje – jest głębiej. Coś się dzieje z jego umysłem. Mózg ogarnęła gorączka. Gdyby kupił termometr i zmierzył temperaturę, okazałaby się normalna; nie ma wątpliwości, że wynosiłaby dokładnie 36,6 stopni. Lecz jego mózg trawi gorączka podniecenia; Shacket czuje poruszenie, fermentację, bulgotanie. To niekoniecznie jest złe. Jest podekscytowany, zelektryzowany.

Wie, co musi zrobić. Nie cofnie się w czasie o czternaście lat, by poślubić Megan, ale może pojechać do niej do Kalifornii. Jest wdową. Trzy lata wdowieństwa. Teraz będzie łatwiejsza niż wtedy, gdy byli młodszy; będzie gotowa na nowe życie, na właściwe życie, takie, jakie by wiedli, gdyby nie pojawił się Jason Bookman. Zabierze ją ze sobą do Kostaryki. Jej syna też, jeśli ona naprawdę chce zawracać sobie głowę upośledzoną umysłowo niemową.

Seksowna Megan i parna Kostaryka: ta perspektywa pobudza go, rozpala. Może znów być szczęśliwy i mieć przed sobą wspaniałą, obiecującą przyszłość.

Odbicie w lustrze przemawia do niego, choć nie jest już jego wizerunkiem. Widzi przed sobą Jasona Bookmana, makiawelicznego zdrajcę przyjaciół.

„Jesteś zarażony – oznajmia Jason. – Roją się w tobie. Źle się dzieje z twoją głową”.

– Łzesz – mówi Shacket. – Po prostu nie chcesz, żebym się do niej dobrał.

Bierze butelkę rumu i rzuca nią w lustro.

Butelka rozbija lustro, odcina głowę Jasona Bookmana i rozczłonkowuje jego ciało, a sztylety szkła wysypują się z ramy na umywalkę i otaczający ją sztuczny marmur, dzwoniąc jak srebrzyste dzwony demonicznego kościoła. Zapach rumu – skórki pomarańczowej, cynamonu, kokosa, laski wanilii – owiewa Lee Shacketa.

Dwie godziny przed świtem Shacket wraca do sypialni w stanie wielkiego podniecenia i szybko ubiera się na długą jazdę.

## 7

PRZEZ KILKA GODZIN DOROTHY zasypiała i budziła się, cały czas trzymając rękę na łbie Kippa, albo nieruchomo, albo go gładząc.

Kipp czuł, skoncentrowany na jej stanie, prosząc tylko o kolejną minutę jej towarzystwa, o kolejną i kolejną.

Ale odeszła.

Czuł, jak jego pani opuszcza najpierw ciało, a potem pokój.

Płakał w jedyny sposób, w jaki jemu podobni mogą płakać, nie roniąc ani jednej łzy, skowycząc cicho i żałośnie.

Zalewając się łzami, bo kochała Dorothy, Rosa powiedziała:

– Kipp, przestań, proszę, przestań rozpaczać, bo drugi raz pęknie mi serce.

Ale przez długą chwilę nie mógł przestać, bo Dorothy poszła tam, gdzie nie mógł za nią podążyć.

Nie został po prostu sam. Został zredukowany do połowy tego, kim był.

WOODY NIGDY NIE POTRZEBOWAŁ więcej niż pięciu godzin snu. Może spał więcej, kiedy był pulchnym bobaskiem, ale chociaż miał nadzwyczajną pamięć, nie pamiętał z dzieciństwa niczego poza karuzelą wiszącą nad łóżeczkiem: kolorowe ptaszki z plastiku – koraloworóżowy, żółty, szafirowoniebieski – krążyły w kółko, rzucając na ściany wesole pryzmatyczne wzory. Może z tego powodu, choć minęło wiele lat, czasami śnił, że potrafi latać.

Lekarze jednogłośnie twierdzą, że każdy potrzebuje ośmiu godzin snu na dobę. Krótszy sen podobno prowadzi do trudności ze skupieniem uwagi i zaburzenia procesów myślowych. Możliwe, że większość ludzi, którzy skończyli jako włóczędzy, malwersanci lub seryjni zabójcy, została ukształtowana przez brak snu. W każdym razie istnieje taka teoria. Jednak on, gdy spał zbyt długo, po wstaniu z łóżka miał mętlik w głowie i problemy z koncentracją. Za dziesięć czwarta jego powieki rozchyliły się z niemal słyszalnym odgłosem i obudził się, bez najmniejszej szansy na ponowne zaśnięcie.

Był tym zawstydzony. Różnił się od innych ludzi na miliard sposobów. Gdyby tylko potrzebował ośmiu godzin snu, czułby się trochę mniej obcy.

W ten środowy wczesny poranek Woody zrobił to, co zawsze robił po wstaniu. Miał swoje rytuały. Były dla niego ratunkiem. Świat jest ogromny i złożony, stanowi część większego i jeszcze bardziej złożonego Układu Słonecznego, ogromnej galaktyki, nieskończonego wszechświata – biliony gwiazd! – i nie chciał myśleć o tym zbyt wiele. Są niezliczone wybory, których musisz dokonać, niezliczone rzeczy, które mogą ci się przydarzyć. Ogrom możliwości może cię porazić, odebrać umiejętność podjęcia decyzji, a strach przed zagrożeniami może cię sparaliżować. Dzięki rytuałom nieskończoność stała się skończona i łatwa do ogarnięcia. Wszedł na cztery minuty pod prysznic, ubrał się i cicho wszedł na dół.

Mama pozwalała, by sam przyrządzał sobie płatki śniadaniowe i tosty, był jednak za wcześnie na jedzenie.

Poza tym lubił śniadania z mamą. Oczywiście nie odzywał się, ale lubił jej słuchać. Czasami niewiele mówiła i to mu wcale nie przeszkadzało – jeśli nie milczała ze smutku.

Zawsze wiedział, kiedy jest smutna. Jej smutek mroził go jak niesiony wiatrem deszcz ze śniegiem i wtedy sam robił się smutny, choć zwykle był radosnym chłopcem.

Z kuchennej szuflady wyjął latarkę marki Bell and Howell i swojego wiernego attwooda na sprężone powietrze – małą puszkę z czerwoną plastikową trąbką, która wydawała ogłuszający dźwięk i niezawodnie odstraszała potencjalnie niebezpieczne zwierzęta. Na szczęście rzadko je widywał i do tej pory musiał zatrzeć tylko dwa razy.

Tak wyposażony podszedł do klawiatury alarmu obok tylnych drzwi. Wprowadził cztery cyfry i usłyszał nagrany głos: „System jest wyłączony”. Głośność była ściszona, żeby mamy nie obudziło nic oprócz samego alarmu.

Na tylnej werandzie stał stół z dwoma tekowymi krzesłami, na których leżały grube niebieskie poduszki, a ze stropu na stalowych łańcuchach zwisała huśtawka. Wokół panowała ciemność.

Woody nie bał się nocy.

Noc może być magiczna. W ciemnych godzinach przed świtem, gdy mama jeszcze spała, przydarzały mu się fajne rzeczy. Kiedyś widział człapiącą po trawniku grubą oposicę, za którą dreptały jej dzieci, i ich małeńkie oczka rozbliły z ciekawości na jego widok. Widział lisy, niezliczone króliki i rodziny jeleni. Jedynymi zwierzętami, które musiał odstraszać długim dźwiękiem klaksonu, były szopy, które zbliżały się do niego, sycząc i szczerząc zęby.

Posłuszeństwem zasłużył sobie na prawo do siedzenia w nocy na werandzie, pod warunkiem że zostawi otwarte drzwi, by móc szybko wrócić do domu. Miał zakaz wychodzenia na podwórko, wielkie, prawie hektarowe, i graniczące z lasem.

W lesie żyły zwierzęta groźniejsze od wrednych szopów. Matka natura nie jest tak naprawdę matką. Mama mu mówiła, że natura jest bardziej ciotką, która cierpi na chorobę dwubiegunową, i w większości przypadków jest życzliwa, ale od czasu do czasu potrafi być prawdziwą wiedźmą, wyczarowującą mordercze burze i okrutne zwierzęta, jak wielkie zębate pумы – które, gdyby dostały kartę dań – zawsze zamawiałyby delikatne dzieci.

Usiadł na stopniu werandy. Mama spodziewała się, że będzie siedział na krześle albo na huśtawce lub stał przy balustradzie. Ale stopnie przybliżyły go do

akcji, jeśli w ogóle będzie jakaś akcja, i nadal przestrzegał zasad, z których podstawową było to, że nie powinien wychodzić na podwórze. Położył latarkę obok siebie i w prawej dłoni trzymał trąbkę.

Księżyc płynął po zachodnim niebie nad górami, promienny jak egzotyczna meduza w morzu kosmosu, a na niebie migotało więcej gwiazd, niż mógłby zliczyć przez całe życie. Po śmierci ojca – morderstwie! – wyprowadzili się z ruchliwego miasta w Dolinie Krzemowej, która według mamy jest bardziej koncepcją niż prawdziwym miejscem, i osiedli tutaj, na obrzeżach Pinehaven, w hrabstwie Pinehaven, gdzie światła miasta nie przyćmiewały gwiazd.

Woody siedział na schodach nie dłużej niż dziesięć minut, gdy z ciemności wyłoniły się trzy jelenie: byk ze wspaniałym porożem, łania i jelonek, który miał może z pięć miesięcy i wciąż nakrapianą sierść. Zimą straci cętki, gdy przemieni się w dorosłe zwierzę.

Jelenie nie zawsze wędrowały rodzinami, często robiły to w małych stadach i równie często samotnie, ale w ubiegłym roku taka rodzina odwiedzała podwórko prawie co noc przez trzy miesiące, zwabiona słodką trawą. Woody zaznajomił się z nimi, kroił dla nich jabłka na ćwiartki, kładł owoce na stopniach i siadał na krześle, żeby nie spłoszyć zwierząt. Z czasem nabrały pewności siebie i zjadały jabłka z dolnego stopnia, podczas gdy on siedział na najwyższym, a w końcu brały jabłka prosto z jego rąk.

To nie była ta sama rodzina. Woody pamiętał, jak wyglądały tamte dorosłe. Te wyczuły go i były ostrożne; pasły się w dali, osrebrzone blaskiem księżyca.

Czasami zastanawiał się, co stało się z tamtymi, czy zabili je myśliwi, czy puma porwała łanię albo jelonka. Utrzymanie wszystkich członków rodziny razem i zapewnienie im bezpieczeństwa jest naprawdę bardzo trudne.

Nie odważył się wejść do kuchni, żeby nakroić jabłek i spróbować zwabić jelenie do schodów. Jego ruch by je spłoszył. Jeśli wrócą i przywykną do jego obecności, spróbuje się z nimi zaprzyjaźnić.

Na razie oglądanie ich było wystarczającą przyjemnością. Patrzył jak urzeczone. Były piękne i pełne wdzięku, chociaż nie to najbardziej go poruszyło. Fascynowało, zauroczyło, oczarowało go to, że są we trójkę, razem, bezpieczne i szczypią trawę pod gwiazdami, nieustraszone w tym świecie strachu, wyglądające tak, jakby miały być razem na zawsze.

Noc była tak cicha, że zdawało mu się, że słyszy gwiazdy płonące w odległości wielu lat świetlnych, choć oczywiście słyszał szum własnej krwi w uszach.

– Cześć – szepnął.

Chociaż głos był cichy, byk uniósł rogi, by na niego spojrzeć.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Woody wyszeptał: „Kocham cię”, ponieważ jelenie nie mógł zepsuć tej chwili niewłaściwymi słowami, a przepaść między ich gatunkami sprawiała, że żaden nie mógł zawstydzić ani siebie, ani tego drugiego.

## 9

MEGAN BOOKMAN ZBUDZIŁA SIĘ, słysząc głos systemu bezpieczeństwa, gdy Woody wyłączył alarm. Głos był cichy w większości pomieszczeń w domu, żeby Woody nie musiał się martwić, że ją obudzi, ale w jej sypialni głośniejszy, by zawsze wiedziała, kiedy syn wychodzi na werandę.

Wstała z łóżka i podeszła w mroku do wbudowanego w ścianę panelu Crestron. Ekran rozjaśnił się, gdy go dotknęła, i wybrała z menu słowo KAMERY. Na zewnątrz domu zostało zainstalowanych czternaście modułów składających się z dwóch kamer; jedna działała w dzień i w świetle lamp zewnętrznych, a druga zbierała obrazy w podczerwieni, gdy, tak jak teraz, nie było ani słońca, ani zapalonych lamp.

System przekładał czerwone obrazy na długości fal bliskie 555 nanometrów, zielonej części widma, na którą ludzkie oko jest najbardziej czułe, ale podawał niewiele szczegółów. Megan widziała, że Woody siedzi na najwyższym stopniu i spogląda na podwórko i las, ale postrzegała go jako bladzieloną sylwetkę wśród cieni o różnym nasyceniu zieleni, jakby był leśnym duchem, którego ciekawość przyciągnęła do ludzkiej siedziby.

Ma trąbkę i latarkę. Nigdy o nich nie zapomina.

Przy pierwszej sugestii zagrożenia zatrąbi i wpadnie do domu. Megan nie martwiła się, że Woody może nie rozpoznać zagrożenia. Bał się obcych i wszystkiego, z czym nie zaznajomiła go rutyna.

Pinehaven nie było gniazdem przestępczości. Nawet ogólnokrajowa epidemia narkotyków nie wywołała jak dotąd poważnej choroby w tym spokojnym miejscu na uboczu. Mieszkali tuż za granicami miasta, w którym się urodziła i wychowała, i tu czuła się bezpieczna.

Pozwalanie, by Woody sam przebywał na werandzie, nie było idealne. Ale miał jedenaście lat i cenił sobie niezależność, na jaką pozwalał mu jego stan. Nie mogła być z nim przez całą dobę i ani jej, ani jemu nie wyszłoby na dobre, gdyby trzymała go przy sobie na uwięzi strachu.

Wróciła do łóżka z myślą, że pewnie będzie potrzebować pół godziny, by ponownie zasnąć.

Do poręczy łóżka przymocowany był mały sejf na broń. Otwierała go codziennie wieczorem, żeby mieć łatwy dostęp do broni, i rano zamykała. Trzymała w nim pistolet, dziewięciomilimetrowy Heckler & Koch USP z magazynkiem na dziesięć nabojów.

Kupiła broń tydzień po śmierci Jasona. Wzięła lekcje u byłego policjanta, który prowadził szkołę samoobrony. Trzy lata później regularnie ćwiczyła strzelanie.

Leżąc w ciemności, zastanawiała się, czy naprawdę czuje się tak bezpiecznie, jak twierdziła.

## 10

LEE SHACKET UWAŻA, ŻE południowo-zachodnia część Utah jest beznadziejna, sto kilometrów zalanej blaskiem księżycy surowej scenerii od Cedar City do granicy stanu, tak daleko od Starbucksa czy dobrej restauracji sushi jak nigdzie na świecie. Nadal trzyma się trzeciorzędnych tras, mniej patrolowanych przez policję niż autostrady międzystanowe, i dlatego jedzie stanową pięćdziesiątkąszóstką.

Jednak w porównaniu z południowo-wschodnią Nevadą Utah jest bujnym rajem. Oglądane z dwupasmowych bocznych dróg hrabstwa Lincoln i Nye są piekielnym pustkowiem, nad którym właśnie wschodzi ostre słońce, niczym znak zbliżającego się termojądrowego holokaustu. Od sennej miejscowości Caliente po

nijakie miasteczko Rachel Shacket pędzi przez sto czterdzieści kilometrów pustkowia Nevady. Następne miasto znajduje się po dziewięćdziesięciu kilometrach odludzia i asfaltu, po którym pełzają znudzone żalosne grzechotniki, czekając na koła losu, które uwolnią je od monotonii pustynnego życia.

Wiele kilometrów dalej, po obu stronach drogi, leżą osady o nazwach takich jak Hiko i Ash Springs, do których prowadzą drogi stanowe i lokalne, a także inne miejscowości, jak Tempiute i Adaven, do których można dotrzeć tylko nieutwardzonymi drogami. Za dziesięć siódma Shacket zatrzymuje się przy stacji benzynowej i sklepie spożywczym, które wraz z domem mieszkalnym stoją samotnie przy skrzyżowaniu, kilka kilometrów od Warm Springs. Benzyna w dwóch dystrybutorach jest jakiejś drogiej marki, o której nigdy nie słyszał, a ze ścian sklepu z dachem z niebieskiej ceramicznej dachówki odłazi spękany tynk.

Ponieważ jego stare życie legło w gruzach, a nowe, z Megan, wciąż czeka w dalekiej Kalifornii, od wyjazdu z Cedar City Shacket jest w paskudnym humorze. Sucha Mojave kilometr po kilometrze wysysa z niego tę odrobinę ludzkiej życzliwości, której nie pozbawiły go niezliczone niesprawiedliwości, których doświadczył.

Wprawdzie dystrybutory nie są równie stare jak dostarczane przez nie paliwo kopalne, ale nie należą do pokolenia, które czyta karty kredytowe. Shacket idzie do sklepu, aby dać kasjerowi kartę z nazwiskiem Palmera.

Mężczyzna jest najwyraźniej właścicielem. Shacket od razu czuje pogardę do tego grubego starego człowieka, ubranego w spodnie khaki z szelkami, białą koszulkę i słomkowy kapelusz z wąskim rondem. Wygląda jak w kostiumie; jakby grał lokalnego kmiotka.

Shacket wychodzi, żeby zatankować, po czym wraca do sklepu, by podpisać paragon i odebrać kartę.

- Piękny poranek, prawda? – zagaduje go stary.
- Gorąco jak w piecu – mówi Shacket.
- Cóż, nie jest pan stąd. Dla nas to łagodny poranek.
- Skąd pan wiesz, że nie jestem stąd?
- Widziałem pańskie tablice. Nie są z Nevady. Może z Montany.



Shacket bez słowa pochyla się nad kwitem. Skupia się na podpisie, bo wypadło mu z pamięci nazwisko widniejące na karcie kredytowej. Już niemal zaczął pisać Lee Shacket. Coś jest nie w porządku z jego głową.

– Tylko dwadzieścia osiem stopni – mówi sprzedawca. – Chłodno jak na tę część o tej porze roku.

Shacket podpisuje się jako Nathan Palmer. Patrzy w kaprawe oczy faceta.

– O jakich częściach mówisz? O swoich intymnych?

– Przepraszam?

– Przepraszasz za co?

Kasjer marszczy brwi i przesuwa kartę po blacie.

– Cóż, miłego dnia.

Shacket nie rozumie złości i pogardy, jaką czuje do tego nieznanego. Trochę go to przeraża. I nie panuje nad tymi emocjami.

– Za co przepraszasz? – pyta znowu. Ten stary dziad wkurza go swoim fałszywym stylem faceta z sąsiedztwa. – Spierdziałeś się? Za co przepraszasz?

Kasjer spuszcza wzrok.

– Nie chciałem nikogo urazić.

– Uraziłeś mnie?

– Proszę pana, jestem przekonany, że nie.

Shacket słyszy brzęczenie w głowie, jakby w jego mózgu zagnieździł się róż os.

– Jesteś przekonany, prawda?

Sprzedawca patrzy w okno, w stronę dystrybutorów, może z nadzieją, że podjedzie następny klient. Za oknem nic się nie porusza poza sunącym po autostradzie cieniem chmury.

Shacketa podnieca zdenerwowanie starego, jego niewyraźny strach.

– Masz w ogóle jakieś przekonania? – pyta, biorąc baton z lady.

Sam miał kiedyś przekonania, poczucie granic. Jest tego pewien. Po prostu nie pamięta, jakie to były granice.

– Co ma pan na myśli? – pyta stary.

– Na przykład, czy wierzysz w Boga?

– Tak. Wierzę.

– Wierzysz?

– Tak.

– Gdzie jest Bóg? – pyta Shacket. Zdejmuje opakowanie z batonu i rzuca je na podłogę.

Stary znów patrzy mu w oczy.

– Gdzie jest Bóg?

– Jestem ciekaw, gdzie według ciebie jest.

– Bóg jest wszędzie.

– Czy jest tam, przy lodówce z piwem i napojami gazowanymi?

Mężczyzna milczy.

Shacket odgryza kawałek batonu, przeżuwa go i wypluwa lepką grudę na blat.

– To coś smakuje jak gówno. Przeterminowane od dziesięciu lat. Co twój Bóg myśli o tym, że sprzedajesz takie gówno? Czy tego nie zauważa? Gdzie on jest? Może tam z tyłu przy chipsach i doritosach?

Sprzedawca spogląda na terminal.

– Obsługuję pańską kartę przez telefon. Numer i nazwisko już są w Visie.

W ten sposób informuje Shacketa, że jeśli coś mu się stanie, jest dowód na to, że Nathan Palmer zatrzymał się tu i zatankował paliwo o tej porze.

Ale oczywiście Shacket nie jest Nathanem Palmerem.

Wściekłe brzęczenie w jego głowie jeszcze się nasila. Musi coś zrobić, żeby je uciszyć. Wie, co musi zrobić.

Znowu odgryza kawałek batonu, przeżuwa i wypluwa na ladę.

– Czy Bóg jest obok czasopism? Masz tam jakieś świerszczyki, prawda? Jakież pornosy?

Grubasowi drży kącik ust, co dodatkowo podnieca Shacketa.

Jednak to drżenie przypomina mu o dziadku, który był dobrym człowiekiem. Ogarnia go coś, co może być litością dla sprzedawcy. Ale to uczucie szybko mija.

– Nie jesteś zbyt dobrym rozmówcą, prawda? Mówisz, że jest piękny poranek, i na tym koniec. – Shacket rzuca w starego resztką batonu i lepka masa przykleja się do białej koszulki.

Shacket nie jest Nathanem Palmerem, ale jeszcze przez jakiś czas musi używać prawa jazdy i karty kredytowej Palmera. Gdyby zapłacił gotówką,

mógłby zrobić to, co trzeba, by powstrzymać brzęczenie.

– Masz szczęście, sukinsynu, prawda?

Stary nie odpowiada.

– Powiedziałem, że masz szczęście, sukinsynu.

– Jakoś tego nie zauważyłem.

– Nie zauważyłeś? Cóż, w takim razie twoja głupota dorównuje szczęściu. Jesteś szczęśliwym sukinsynem. To twój szczęśliwy dzień, dziadku. Wyjdę stąd i pozwolę ci oddychać. Zadzwoń w tej sprawie do szeryfa, a wiesz, co się stanie?

– Nie zadzwonię do nikogo.

– Jeśli zatrzyma mnie jakiś gliniarz, to lepiej, żeby mnie szybko zabił. Bo jeśli nie, to ja zabiję jego, a potem wrócę tu i wsadzę ci pistolet w tłustą dupę.

– Do nikogo nie zadzwonię – powtarza stary.

Shacket idzie do dodge'a. Pod fotelem kierowcy ma w kaburze pistolet Heckler & Koch Compact kalibru trzydzieści osiem. Ma ochotę go wyjąć, wrócić do sklepu i opróżnić magazynek, strzelając do starego. Potrzebuje całej siły woli, żeby tego nie zrobić.

Znów jest w drodze, za grajdołem o nazwie Warm Springs, jedzie w stronę Tonopah międzystanową szóstką; przyspiesza prawie do dwustu na godzinę, potem do dwustu dziesięciu – dodge ryczy, pożerając asfalt. Shacket jest wzburzony, podekscytowany, naelektryzowany i potrzebuje szybkości, żeby ochłonać, odzyskać panowanie nad sobą.

Od Springville w stanie Utah coś się dzieje z jego głową. Przez całe życie miał nad sobą takiego czy innego Doriana Purcella, który srał na niego z góry, a on na to pozwalał. Koniec z tym. Wreszcie jest wolny. Ma kontrolę nad swoim życiem. Już nikt nie jest jego szefem. Coś dzieje się z jego umysłem i jest tym zachwycony.

Pięćdziesiąt sześć kilometrów za Warm Springs, około piętnastu przed Tonopah, brzęczenie cichnie. Teraz Shacket może zwolnić.

Do granicy stanu zostało może sto pięćdziesiąt kilometrów. Wkrótce będzie w Kalifornii. W drodze do uroczej Megan.

Jest głodny. Wczorajsza kolacja była niesmaczna, nie jadł śniadania, a baton naprawdę smakował jak gówno. Jest koszmarnie głodny. Skręca go z głodu.

Zatrzyma się, by coś zjeść, gdy tylko wjedzie do Kalifornii. Nie wie, na co ma ochotę; nic, co przychodzi mu na myśl, nie sprawia, by ciekła mu ślinka, więc wymyśli coś na miejscu.

Autostrada wznosi się, prowadząc przez Góry Białe i Las Narodowy Inyo. Pustkowia zostają za nim, a wraz z nimi odchodzi przeszłość, przeszłość i wszelkie ograniczenia.

## 11

KIPP ZESKOCZYŁ Z ŁÓŻKA DOROTHY dopiero wtedy, gdy przedsiębiorca pogrzebowy przyszedł po ciało.

Wszyscy byli zbyt zajęci, żeby zwracać na niego uwagę. Podreptał na dół i przez swoją klapę wyszedł na podwórko.

Nastał wrześnieowy poranek. Dzień był ciepły i jasny, jakby nie wydarzyło się nic strasznego.

Zawył cicho, zawył w myślach do innych w Misterium, by podzielić się z nimi smutkiem, gdziekolwiek byli i czymkolwiek się zajmowali.

Było ich tylko osiemdziesięciu sześciu, same golden retrievery i labradory.

Od czasu do czasu dołączał do nich nowy młody członek. Mogli rozmawiać ze sobą przez Telegraf, znany tylko im mentalny środek łączności.

Ich pochodzenie i historia pozostawały tajemnicą, chociaż starali się ją zgłębić.

Byli psami niepodobnymi do wszystkich innych psów, zmienionymi. Tylko ludzie mają moc przekształcania innych gatunków.

Ale kto to zrobił? Gdzie? Dlaczego?

I jak to się stało, że wędrowali po kilku hrabstwach w północnej i środkowej Kalifornii, żeby odkryć swoje znaczenie?

Osobliwy szmer Telegrafu, niebędący szumem w uszach, stał się nieco głośniejszy.

Kipp zaczął podejrzewać, że źródłem upartego dźwięku nie jest ani nowy członek Misterium, ani inny pies.

Człowiek. Pomyślał, że może chłopiec.

To coś nowego. Kipp nigdy wcześniej nie słyszał wezwania od człowieka.

Chociaż właściwie nie było to wezwanie. Chłopiec, jeśli to chłopiec, najpewniej nie wie, że nadaje.

Kipp stał przez chwilę, patrząc na dom, do którego trafił jako szczeniak.

Spodziewał się żalu, że go opuszcza. Ale po odejściu Dorothy był to tylko dom, żadne wyjątkowe miejsce.

Miała siedemdziesiąt trzy lata i zdrowie jej dopisywało, kiedy przywiozła go do domu. Spodziewała się, że go przeżyje. A potem rak.

Skreślił, żeby nie mijać stojącego na podjeździe karawanu. Nie chciał widzieć, jak ją zabierają.

Szemrzący chłopiec, jeśli to chłopiec, mieszka gdzieś na północnym zachodzie od jeziora Tahoe.

Kipp mógł wyłączyć Telegraf jak radio. Ale co wtedy miałby robić? Potrzebował jakiegoś zajęcia.

Podróż może okazać się niebezpieczna dla bezpańskiego psa, ale czuł, że musi w nią wyruszyć.

Nie bał się hycli. Był szybszy i mądrzejszy od nich.

Ale świat jest pełen gorszych rzeczy niż hycle.

Kłusował, w miarę możliwości trzymając się bocznych uliczek, leśnych dróg i łąk.

Od czasu do czasu słyszał swój skowyt żalu. Miłość jest czymś najlepszym, gdy ją masz, i najstraszliwszym, gdy ją tracisz.

## 12

W ŚRODĘ PO POŁUDNIU MEGAN Bookman siedziała w swojej pracowni na parterze, słuchając *Sonaty Patetycznej* Beethovena podczas pracy nad obrazem. Duże okna zapewniały dobre północne światło. Pokój pachniał terpentyną, olejem lnianym i farbami – dla niej równie cudownie jak róże.

Malowała przez większość swojego życia i sprzedawała obrazy od ukończenia studiów. Cudowne lata życia z Jasonem i specjalne potrzeby

Woody'ego spowolniły jej pracę, ale nie przestała doskonalić umiejętności i technik.

Kiedy straciła Jasona i stanęła przed perspektywą samotnego wychowywania syna, malowanie stało się powoli działającym, ale pewnym lekarstwem na smutek, a także środkiem, dzięki któremu nabrała pewności siebie, żeby bez strachu stawiać czoło życiu. Po roku wdowieństwa i długich ekscytujących godzinach w pracowni nawiązała współpracę z dużą galerią, która wystawiała jej płótna w Nowym Jorku, Bostonie, Seattle i Los Angeles.

Odrzuciła sztukę nowoczesną, od Picassa przez Kandinsky'ego po Warhola, i skupiła się na malarstwie realistycznym. Tematy czerpała z otaczającego ją świata i oddawała je z drobiazgową wiernością, z dziwnym wyczuciem kompozycji i szacunkiem dla złożoności światła, które najbardziej prozaicznym scenom przydawało czegoś magicznego, a nawet nadprzyrodzonego.

Takie podejście nie zdobyło uznania w świecie krytyków, którzy mieli kłapki na oczach, zapatrzeni w postmodernizm i to, co z niego wyrosło. Od półtora roku jednak we właściwych miejscach rozbrzmiewał pozytywny – i narastający – szum wokół jej prac.

Nie obchodziło jej, czy uznanie krytyków rośnie, czy maleje. Malowała dla siebie. Jej pierwsze życie zakończyło się wraz ze śmiercią Jasona i przepełniła ją głęboka wdzięczność, gdy odkryła życie po życiu. Jej sztuka i jej syn były dla niej wystarczającym błogosławieństwem. Cokolwiek jeszcze przyniesie przyszłość, będzie dodatkową nagrodą.

Ponieważ pilnie strzegła numeru swojej komórki, miała w domu telefon stacjonarny. Jeden z aparatów stał na stole obok sztalug. Nie rozpoznała numeru dzwoniącego, ale odłożyła pędzel, obróciła się na stołku i odebrała.

– Słucham?

– Megan? Megan Bookman?

– Przy telefonie.

– Tu Lee Shackett.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Straciła dobry nastrój.

– Lee, jak się masz?

– Nadzwyczajnie. Mam się nadzwyczajnie. Nie mam na co narzekać. – Brzmiał trochę maniakalnie. – A co u ciebie?

Spotykała się z nim przez krótki czas, zanim poznała Jasona, ale nie było między nimi chemii, zażyłości. Był uroczy, poważny. Czasami zabawny, trochę w stylu nieżyjącego już Robina Williama. Był pracowity, miał wielkie marzenia, raczej uroczo naiwne niż pretensjonalne. Ale zasadniczo był młodym mężczyzną na rozrywkowym etapie życia, zbyt skupionym na sobie, by przejmować się kimkolwiek innym. Jason dostrzegł w nim dość inteligencji i samodyscypliny, by polecić go Dorianowi Purcellowi, i Lee wspiał się po drabinie korporacyjnej znacznie szybciej i wyżej niż on.

– W porządku – odparła. – Wiesz, maluję, jestem mamą.

– Jak tam dzieciak? Chłopiec. Jak ma się chłopiec?

– Woody? Dobrze. Jest zajęty byciem Woodym.

Megan nie rozmawiała z Lee Shacketem od imprezy firmowej osiem czy dziewięć lat temu. Nie zadzwonił z kondolencjami po śmierci Jasona.

– Przeprowadziłaś się z powrotem do Pinehaven. Tam się urodziłaś, prawda? Urodziłaś się w Pinehaven?

– Tak. Mamy tu ciszę i spokój. To dobre miejsce dla Woody’ego.

– W Pinehaven niewiele się dzieje. Niewiele atrakcji.

– Tak lubię – powiedziała, zastanawiając się, dlaczego zadzwonił, czego może chcieć.

– Jesteś ustawiona finansowo, Megan?

Uznała pytanie za dziwne.

– Słucham?

– Wiem, że Dorian nie potraktował cię należycie po śmierci Jasona.

Jasonowi właściwie należały się akcje, dzięki którym ona i Woody byłiby majątni, jeśli nie bogaci. Jednak jego umowa o pracę zawierała klauzulę umożliwiającą więcej niż jedną interpretację, a Dorian nie miał zamiaru być hojny dla wdowy.

– Radzimy sobie – zapewniła Shacketeta.

– To nie było w porządku. Dorian potrafi być wyrachowanym sukkinsynem. Powinnaś go poznać.

– Stać go na prawników bardziej niż mnie. Procesowałam się latami, bez gwarancji na wygraną.

– To jest po prostu nie w porządku. Jason chciałby, żebyś go pozwała. Zasłużył na to, co zabrał ci Dorian.

– Byłam w żałobie i martwiłam się o Woody’ego. Mieliśmy dość. Nie chciałam zaczynać wojny w sądach.

– Dorian mnie też wyruchał. Wrobił mnie i postawił na gzymsie, żebym za niego skoczył. Nieźle mnie wyruchał, ale wyszedłem z tego bogaty. Wyszędłem ze stu milionami.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Głos Shacketa z początku ociekał palącym gniewem, a teraz brzmiała w nim duma.

Ciągnął, jakby nie zauważył jej milczenia:

– Gdybyś czegoś potrzebowała, czegokolwiek, możesz na mnie liczyć. Mam środki. Co tylko chcesz. Cokolwiek.

Spotkała się z Lee Shacketem może z sześć razy. Był chłopcem lepszym od mężczyzny, na jakiego wyrósł. Uzbroidł się w arogancję, by zdusić dawną pokorę i brak wiary w siebie z czasów młodości. Może lubiłaby go bardziej, gdyby pozwolił tamtemu chłopcu stać się innym mężczyzną. Trzyznaście lat temu wyłączyła go ze swojego życia osobistego, a jako kolegę Jasona rzadko go widywała. Nie łączyło ich nic istotnego, nigdy. Nie mogła pojąć celu tej dziwnej rozmowy.

– To miłe, Lee, że o mnie pomyślałeś – powiedziała, chociaż uważała jego propozycję nie tylko za niewytłumaczalną, ale także nieco przerażającą. – Dzięki Jasonowi jesteśmy dobrze sytuowani, miał polisę na życie. No i sprzedaję obrazy. Mamy się dobrze, naprawdę.

– Kiedy zarobisz sto milionów, zacznasz myśleć o oddawaniu. Ja cały czas myślę o oddawaniu. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że ty i dzieciak, chłopiec, chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem tu dla was. Troszczę się. Jestem.

Znów odjęło jej mowę.

Nieświadomy efektu, jaki wywarł, gadał dalej, nie zwracając uwagi na jej milczenie.



– Byłaś kiedyś w Kostaryce? To całkiem niezłe miejsce, bajeczne miejsce. Błękitne Karaiby. Zupełnie inne niż ocean wzdłuż Kalifornii. Spokojne jak klejnot. San José, stolica, to bogate miasto. Przyjaźni ludzie, cudowne życie nocne. Sto milionów w Kostaryce to jak miliard tutaj, jak dwa lub trzy miliardy. Jadę do Kostaryki, Megan. Wycofuję się z tego wyścigu szczurów. Będę się wylegiwać, cieszyć życiem, naprawdę żyć, póki jeszcze jestem młody. Ale nic nie jest tak dobre, jak powinno być, gdy jest się samotnym. Potrzebuję kogoś, z kim mógłbym się tym podzielić. Kiedyś łączyło nas coś wyjątkowego. Naprawdę wyjątkowego. Byłem zbyt niedojrzały, za bardzo zależało mi na sukcesie, byłem zbyt wielkim palantem, by zrozumieć, co mamy. I zawsze żałowałem, że się rozstaliśmy. Jeśli dasz mi drugą szansę, nigdy nie pożalujesz. Będę się tobą opiekować, Megan, tobą i chłopcem, nikt nigdy nie zadba o ciebie lepiej.

Zastanawiała się, czy nie jest pijany. Albo naćpany. Mówił szybko, ale nie bełkotał. Bez względu na to, czy był czymś odurzony, czy nie, ta niespodziewana propozycja była irracjonalna i Megan czuła się niezręcznie.

Kiedyś w takiej sytuacji byłaby mniej niż uprzejma, ale Woody nauczył ją cierpliwości. Starannie przemyślała odpowiedź.

– Pochlebiam ci, że miałaś o mnie dobre zdanie przez te wszystkie lata, Lee. Chociaż jestem pewna, że na to nie zasługuję. Nie tylko młodzi mężczyźni mogą być niedojrzali. Młode kobiety też. Ale mam Woody’ego. Liczy na mnie. Woody jest wszystkim, czego chcę, czego potrzebuję. Nie mogłabym go zabrać do Kostaryki. Jest emocjonalnie wyczerpany nawet po wizycie u fryzjera i potrzebuje dni, żeby dojść do siebie po wizycie u dentysty. Obawiam się, że nie masz pojęcia, jak dziecko specjalnej troski zmienia życie.

Zapadła cisza. Shacket odezwał się po dłuższej chwili.

– Ale to musi być Kostaryka. Wszystko zaplanowałem. Opracowałem trasę. Nie mogę już nic zmienić. Mogę włączyć cię do planu, ciebie i chłopca, ale nie mogę wymyślić nowego planu, nie teraz, nie później... Daj mi szansę. Powiedz, że to przemyślisz, Megan. Pomyśl o tym w nocy i zadzwoń do mnie jutro. Proszę, zadzwoń jutro.

Podał jej numer, a ona go zapisała, nie mając zamiaru telefonować.

– Zgoda, ale obawiam się, że nasz czas minął, Lee. To, co jest najlepsze dla mnie, jest najlepsze dla Woody’ego, i nie jest to Kostaryka. Stworzyłeś sobie

życie godne pozazdroszczenia i nie wątpię, że znajdziesz kogoś, z kim będziesz je dzielić. Zasługujesz na szczęście, jakiego ja ci nie zapewnię.

Znowu zaczął się naprzykrzać, a ona skłamała, żeby zakończyć tę koszmarną rozmowę. Powiedziała, że Woody ją woła, że ma ten swój napad złości – Woody nigdy nie miał napadów złości – i musi natychmiast się nim zająć.

Megan odłożyła słuchawkę i skupiła uwagę na płótnie. Jako tło posłużyło jej podwórko. Godzina: może czwarta nad ranem. Tylko księżyc oświetla tę chwilę. Ta niesamowita jasność jest metaforą światła w sercu świata – niewidzialnego światła – które drzemie we wszystkim; dlatego, choć oddała tę scenę realistycznie, jest subtelnie przesadzona. Najdelikatniejsze refleksy księżycowej poświaty emanują z niektórych bladych elementów kompozycji: z plasterków jabłka w dłoni Woody’ego, z jego twarzy, z miękkiej sierści trzech jeleni, z białych kwiatów jabłoni. Nad wszystkim góruje ciemny las.

O ile jej wiadomo, jej syn ani razu nie zapuścił się sam na podwórko po zmroku. Zwabił jelenie do stopni werandy, by pożywiły się z jego ręki. Czasami artysta musi inscenizować wydarzenia, by jak najlepiej oddać ich prawdę.

A jaka była prawda stojąca za telefonem Lee Shacketa?

To jej się wymykało.

Nie mogąc wrócić do nastroju, jakiego wymagało malowanie obrazu, włożyła pędzel do słoika z terpentyną.

Podeszła do wysokich przeszklonych drzwi i bocznych okien, przez które wpadało dużo północnego światła. To nie był trawnik z obrazu, ale z tej strony też było widać las, nieco bliższy niż na tyłach domu.

Narcyz pokroju Shacketa, mający sto milionów dolarów, nie wpada w melancholię, nie staje się sentymentalny, nie duma nad minionymi dniami i nie roztrząsa tego, co mogłoby być. Idzie i kupuje to, czego chce: ferrari albo długonogą ślicznotkę z dekoltem głębokim jak kanion.

Na pewno był pijany, to jedyne wyjaśnienie. Skądkolwiek dzwonił, może tam było znacznie później niż wpół do trzeciej, a może wcześniej zaczął rozpijać butelkę.

Nie należał do tych, którzy mówią z serca. Wygłaszał opinie, dla niego będące dogmatami, i mówił o swoich wielkich ambicjach pewien, że zostaną zrealizowane. Nigdy jej nie kochał, tylko pożywał. Gdy alkohol przestanie

działać, będzie żałował tego, co zrobił. Więcej do niej nie zadzwoni. A jeśli nawet, ona nie odbierze telefonu.

Światło zmieniło się, nie tylko dlatego, że popołudnie dobiegało końca, ale też dlatego, że na niebie pojawiały się bladoszare łuski. Delikatny błękit nieba przemieniał się w skórę węża.

Jak zawsze dzień miał swoją magię, choć nie taką, jaka wprawiłaby ją w zachwyt potrzebny do tego, by przedstawić Woody'ego i jelenie w tak dobry sposób, na jaki zasługiwali.

W każdy poniedziałek, środę i piątek Verna Brickit przychodziła posprzątać dom, a potem przygotować posiłek, który Megan mogła odgrzać na kolację. O tej porze Verna pracowała w kuchni; chętnie przyjmie pomocną dłoń, a Megan była dobrą towarzyszką.

Wyczyściła pędzle, schowała farby i umyła ręce w łazience przy pracowni.

Gdy spojrzała na siebie w lustrze nad umywalką, była zaskoczona, widząc tak wyraźny niepokój na twarzy, w oczach. Powrót Lee Shacketa do jej życia zaniepokoił ją bardziej, niż chciała przyznać.

Zawsze przepełniała go jakaś mroczna energia. Powoli wracały do niej wspomnienia. Chciał od niej jednego i jak mistrz marionetek pociągał sznurki z taką finezją, że w swej młodzieńczej naiwności nie od razu się połapała, co robi. Gdy go przejrzała, próbował użyć innej taktyki. Poderwał dziewczynę, by wzbudzić w niej zazdrość. Jak miała na imię? Clarissa? Tak. Posłużył się Clarissą, żeby nią manipulować, i wtedy zniknęła z jego życia.

I chciała, by to się nie zmieniło.

Poszła do kuchni, do Verny Brickit.

## 13

GDY KIPPOWI DOSKWIERAŁO PRAGNIENIE, znalezienie wody nie wymagało dużego wysiłku.

Jezioro Tahoe jest jednym z najgłębszych i najczystszych jezior na świecie, a picie z zasilających je strumieni nie wiąże się z poważnym ryzykiem.

Woda jest chłodna i czysta.

Przerwał picie, by popatrzeć na trzepoczące płetwami ryby, które pływały w nasłonecznionych rozlewiskach.

Więszym problemem okazało się zaspokojenie głodu.

Jako pies był z natury myśliwym. Ale tak naprawdę nigdy nie polował.

Chyba że na piłeczkę, gdy Dorothy ją chowała, a on miał za zadanie ją znaleźć. Znalazł tysiące razy, ale nigdy jej nie zjadł.

Łąki były pełne królików skubiących trawę. Kiedy go zauważały, w większości albo zamierały i udawały, że są niewidzialne, albo uciekały w popłochu.

Niektóre spoglądały na niego czujnie, po czym spokojnie wracały do jedzenia, jakby wyczuły jego słabość.

Kipp był silny fizycznie – trzydzieści pięć kilogramów mięśni i kości. Był też silny psychicznie.

Ale emocjonalnie... Współczucie stało w sprzeczności z instynktem.

Natura tak to urządziła, że ostre zęby żywią się tymi, których zęby są tępe, i silni rządzą słabymi.

Ale Kipp był psem o wysokiej inteligencji – ani psiej, ani ludzkiej.

Inteligencja zapoczątkowała kulturę, a kultura etykę.

Chociaż miał ciało psa, w duchu był zarówno psem, jak i człowiekiem. Tak mu to zrobiono, zanim się urodził.

Dla Dorothy był jak dziecko. Jego kultura i etyka były jej kulturą i etyką; były ludzkie.

Niektórzy ludzie potrafią zabijać bliźnich w gniewie, dla zysku, a nawet dla dreszczyku emocji.

Ani Dorothy, ani Kipp nie byli zdegenerowani.

Więszość ludzi potrafi zabić w samoobronie – i taki był Kipp, dziecko Dorothy.

Ale króliki nie były dla niego zagrożeniem. Ani wiewiórki, ani myszy polne.

Biegł przez łąki i lasy pełne obiadów i kolacji i jego głód narastał.

Wydawało się, że mógłby zabić wszystko, co ma tępe zęby, żeby uratować się przed śmiercią głodową. W końcu króliki i wiewiórki nie są ani psami, ani ludźmi.

Nie należały do jego rodzaju. Natura chciała, żeby się nimi posilał. Były zdobyczą.

W jego obecnej sytuacji błogosławieństwo ludzkiej inteligencji stało się niemal przekleństwem. Znał współczucie.

Litość. Współczucie.

To uciążliwe cechy.

Współczucie. Miłosierdzie. Litość.

W takich chwilach zapach stawał się kwestią filozoficzną.

Zmysł węchu jest kluczowy dla życia psa, dwadzieścia tysięcy razy silniejszy niż u człowieka. Nos psa ma czterdzieści cztery mięśnie, a nos człowieka cztery.

Sam węch dostarczał mu więcej informacji niż wszystkie pięć ludzkich zmysłów razem wziętych. W tym przypadku za dużo informacji.

Każde stworzenie czerpie radość z życia. Kipp czuł zapach ich nieprzemijającej radości równie wyraźnie jak woń ich odchodów, piżma, oddechu i ciepłej krwi.

Współczucie, miłosierdzie i litość ścierały się z instynktem przetrwania.

Ludzie rozwiązali ten problem – w pewnym sensie – stawiając rzeźnię i rzeźników pomiędzy sobą a źródłem niezbędnej dla życia żywności.

Kipp nie miał karty kredytowej, żeby zapłacić rzeźnikowi.

Znalazł się w momencie zwanym kryzysem sumienia.

Jego głód rósł.

Będąc fizycznie psem, a mentalnie na wpół psem, ani nie pędził niepowstrzymanie w kierunku chłopca, którego postanowił odnaleźć, ani nie szukał najłatwiejszych sposobów na zaspokojenie głodu.

Rozpraszała go psia potrzeba zabawy.

Jego wyobraźnię pobudziło stadko motyli. Nie próbował ich gryźć, ale skakał za tymi jasnymi cudami, podziwiając ich taniec w powietrzu.

Kilkaset metrów dalej nad łąką unosił się pomarszczony balonik z resztką helu.

Widniało na nim czerwone słowo STO.

Ruszył w pościg.

Druga linijka liter, ledwie widoczna w fałdach tworzywa, układała się chyba w słowo LAT.

Widział już takie balony, ale temu nie mógł się oprzeć, bo płynął w powietrzu.

Oczarował go ten jasny lustrzany balonik dryfujący nad odludną łąką. Wydawało się, że coś oznacza.

Próbował go więc ściągnąć, skacząc, by złapać zębami zwisającą długą czerwoną wstążkę. Jego zęby zatrzaskiwały się jednak na pustym powietrzu. Sfrustrowany skakał coraz wyżej.

W chwili, gdy beształ się za to szczenięce zachowanie, okazało się, że balon naprawdę miał znaczenie.

Kipp zobaczył na ziemi trzepoczącego ptaka ze złamanym skrzydłem.

Przeżażony ptak przewracał oczami i kłapał dziobkiem, nie wydając żadnego dźwięku. Strach i ból odebrały mu głos.

Nic nie można było dla niego zrobić. Padnie łupem jastrzębia, lisa albo innego drapieżnika i zostanie pożarty żywcem.

Kipp zastanawiał się przez chwilę.

Pomyślał: przykro mi, maleńki.

Nadepnął na niego przednią łapą, nacisnął całym ciężarem i złamał mu kark.

Gdy ludzie idą do teatru na tragedię, z reguły sztuka mówi o upadku jakiegoś wielkiego człowieka, zniszczonego przez los lub wadę charakteru.

Kipp oglądał z Dorothy w telewizji komedie i tragedie.

Ptaki nie mogą mieć wad charakteru. A jednak ptaki, jak wszystkie małe zwierzęta, każdego dnia grają role w tragediach.

W tym pięknym, ale twardym świecie los nie oszczędza żadnego gatunku.

Ten ptak był pulchny. Miał sporo ciała pod piórami.

Kipp odwrócił się, zostawiając go. Nie miał zamiłowania do tragedii.

Kilometr dalej poczuł znajomy, rozkoszny aromat. Hamburgery z grilla.

I nie tylko hamburgery. Również frankfurterki.

Wabiony zapachami, pognał przez las na kemping pełen namiotów i małych kamperów.

Ludzie. Dorośli i dzieci.

Znał tysiące sztuczek i forteli, którymi może ich oczarować. Zostanie nakarmiony.

Za sprawą głodu na chwilę zapomniał, że nie wszyscy ludzie są dobrzy. Nawet gdy setka jest miła, zawsze znajdzie się jeden niegodziwiec.

## 14

SHACKET DZWONI Z PARKINGU PRZY MOTELU na obrzeżach Truckee w Kalifornii, na północ od jeziora Tahoe. Otwiera przed nią serce, wyznaje, że popełnił błąd, nie zabiegając o nią lepiej w tamtych czasach, oferuje jej świat, świat w Kostaryce, i z początku wydaje się zadowolona, że zadzwonił. Słyszając jej ton, myśli, że Megan żałuje, że nie dała mu się zerznąć, bo gdyby zrobił to on, nie Jason, nie byłoby Woody'ego, upośledzonego umysłowo niemowcy, który dzień w dzień ciągnie ją w dół jak kamień. Mieliby pięknego syna, urodziwego i bystrego dzieciaka, z którego byliby dumni. Więc tak, początkowo myśli, że Megan go chce, potrzebuje, że już ją ma.

Ale nagle w jej głosie pojawia się ton wyższości, zarozumiałstwa, którego Shacket nie cierpi i nie może tolerować. „Obawiam się, że nie masz pojęcia, jak dziecko specjalnej troski zmienia życie”. Czy ona ma go za głupca? Jak mógłby nie wiedzieć, jak niemy idiota spierdolił jej życie? „Obawiam się, że nasz czas minął, Lee”. Jakby nie mogła się opędzić od facetów wartych sto milionów dolców. Jakby kiedykolwiek dała mu czas; ich czas nie minął, bo nigdy mu go nie dała, nie dała mu szansy, żeby ją przeleciał i pokazał jej, co traci. „To, co jest najlepsze dla mnie, jest najlepsze dla Woody'ego, i nie jest to Kostaryka”. Czy ona naprawdę myśli, że on nie zdaje sobie sprawy, że go olewa? Cholera, czuje to przez telefon. Tak naprawdę mówi mu, że jakiś gówniarz, który nawet nie umie mówić, jest bardziej interesujący niż on, Lee Shacket, że pozbawione perspektyw życie na zadupiu jest lepsze niż białe plaże, błękitne Karaiby i dobre życie, jakie mógłby jej zapewnić.

Im bardziej złości się na Megan, tym bardziej robi się głodny. Jest potwornie, nieludzko głodny. Pięć godzin wcześniej zatrzymał się, żeby coś zjeść w Bishop, w tej spelunie, którą jakiś posrany krytyk ocenił na trzy gwiazdki, a nie umieli

nawet usmażyć hamburgera. Odsyłał danie dwa razy, starając się wytłumaczyć, co oznacza „krwisty”. Za trzecim razem znowu to samo, a kierownik podszedł do stolika i powiedział:

– Pan, zdaje się, prosi o tatar, ale, niestety, nie jesteśmy w stanie zrealizować tego zamówienia. Nie podajemy surowej mielonej wołowiny ze względów zdrowotnych.

Shacket miał ochotę wziąć nóż i widelec, rozplatać sukinsyna i pokazać mu, co to znaczy „krwisty”, ale zamówił jeszcze dwa hamburgery, średnio krwiste jak ten, który już mu podali. Zjadł wszystkie trzy, ale tylko jedną bułkę i żadnych frytek. Nie zostawił napiwku.

Gdy wychodził, kelnerka uśmiechnęła się do niego i życzyła mu miłego dnia. Patrząc na nią, przypomniał sobie swoją nieźrównoważoną matkę, która nie chciała brać leków, która biła go tak mocno, że wielokrotnie rozcięła mu wargę, targała za włosy, a później z oczywistą szczerością twierdziła, że kocha go nad życie. W tym momencie kelnerka była jego matką, a on miał z nią rachunki do wyrównania.

– Mówił już pani ktoś, że wygląda pani jak ta aktorka, Riley Keough? – zapytał.

Kobieta miała dwadzieścia parę lat i była wystarczająco nieśmiała, by się zarumienić.

– Och, jest cudowna. Nie pobiegnę do lustra, żeby się nie rozczarować.

– I dobrze. Bo to kłamstwo. Wyglądasz jak szczur ze sracza i każdy facet, który cię zerżnie, zaraz potem będzie chciał popełnić samobójstwo.

Jej zadowolenie przerodziło się w zranienie, konsternację i gniew.

– Miłego dnia – rzucił i wyszedł.

Od dawna wiedział, że okrucieństwo daje swego rodzaju władzę, ale do niedawna nie miał tej broni w swoim arsenale.

Teraz, kilka godzin później, znowu musi coś zjeść. Przy motelu jest restauracja, ale nie chce tam iść, bo znów dadzą mu nie to, co trzeba. Poza tym jest zbyt wściekły na Megan. Wredna suka uważa, że jest dla niego za dobra. Jeśli wejdzie do restauracji, wyładuje wściekłość na kelnerce albo kimś innym, dostanie śmierdzące jedzenie i urządzi scenę. Musi pamiętać, że wbrew temu, co



jest napisane w prawie jazdy, nie jest Nathanem Palmerem; jest Lee Shacketem, byłym dyrektorem generalnym Refine, uciekającym od tego, co wydarzyło się w ośrodku w Springville w stanie Utah. Zmienił swój wygląd, owszem, ale zwracanie na siebie uwagi byłoby dużym błędem.

Zje coś, gdy już u niej będzie. Megan przyrządzi jedzenie zgodnie z jego życzeniem. Spełni każde jego życzenie. Teraz rozumie, jaki błąd popełnił przed laty. Był dla niej zbyt miły, za bardzo liczył się z jej uczuciami. Z lodowatą suką miary Megan Grassley-Bookman uprzejmość i rozważa prowadzą donikąd. Da jej to, na co zasłużyła – coś, czego pragnie, nie zdając sobie z tego sprawy – a gdy będzie błagać o więcej, wyniesie się w cholere, zostawi ją w zaszranym Pinehaven i pojedzie do Kostaryki.

Jeszcze może sto pięćdziesiąt kilometrów. Dotrze na miejsce przed zmrokiem. Spotkają się, pogawędzą o dawnych czasach, a on zrobi jej to, czego nie miał odwagi zrobić wtedy. „Obawiam się, że nasz czas minął, Lee”. Pokaże jej, że jest inaczej. Cofnie wskazówki zegara. To znowu będzie ich czas. „Obawiam się, że nie masz pojęcia, jak dziecko specjalnej troski zmienia życie”. Pokaże suce, czego tak naprawdę powinna się bać. Pokaże jej, że zmienione życie można ponownie zmienić, na lepsze, po prostu podrzynając gardło temu niememu bękartowi.

Uruchamia silnik i wyjeżdża z parkingu na drogę I-80, kierując się na zachód. Za czterdzieści kilometrów zjedzie z autostrady międzystanowej na stanową dwudziestkę. Przez całe życie padał ofiarą niesprawiedliwości, był wykorzystywany, gnojony, wrabiany, atakowany przez wszystkich, od Doriana Purcella, przez Jasona Bookmana, po seksowną Megan Grassley, ale dość tego. Czuje rosnącą w sobie siłę, czuje nowego Lee Shacketa. Staje się kimś, komu nie można odmówić, kimś, kto nie musi grać według żadnych zasad, kimś, kto zawsze dostaje to, czego chce, kimś, kogo świat jeszcze nie widział, kimś wyjątkowym – czymś.

W CIĄGU OSIEMNASTU MIESIĘCY WALKI Dorothy z rakiem Rosa Leon stała się kimś więcej niż tylko płatną opiekunką – kochała Dorothy jak córkę. Teraz czuła się w obowiązku czekać do końca kremacji. Po godzinach spędzonych w domu pogrzebowym przekazano jej urnę, jeszcze ciepłą, z prochami.

Zabrała ją do wielkiego starego domu i postawiła na kominku w salonie. Zgodnie z życzeniem Dorothy przez miesiąc będzie mieszkać w apartamencie gościnnym i zorganizuje stypę z cateringiem z jej ulubionej restauracji.

„To nie może być poważna impreza, Roso. Chcę świętowania. Niech starzy przyjaciele przyjdą podzielić się dobrymi wspomnieniami. Śmiech, nie łzy. Wesoła muzyka. Otwarty bar, żeby mogli wznieść za mnie toast w moim nowym życiu”.

Bez Dorothy piękny wiktoriański dom, kiedyś zawsze ciepły i przytulny, stał się zimny i ponury. Przez cały ten smutny dzień Rosa wykazywała się zawodowym opanowaniem, ale teraz, wpatrując się w urnę na kominku, nie mogła dłużej powstrzymać łez.

Miała nielekkie życie. Dorothy Hummel była pierwszą osobą, która otoczyła ją czułością. Hector Leon, jej ojciec, malarz pokojowy, porzucił ją i żonę, Helene, gdy córka miała zaledwie trzy lata. Matka tysiącami zniewag i obelg dawała Rosie do zrozumienia, że jest niechciana, że jest owocem gwałtu i małżeństwa z przymusu. Rosa wiedziała, że te słowa o gwałcie są nieprawdziwe, że rodzice kiedyś się kochali, choć krótko. Kiedy miała szesnaście lat, odszukała ojca, bo pragnęła odrobiny uczucia, jakie każdy ojciec jest winien swojemu dziecku. Hector ją odrzucił. Powiedział, że Helene była największą pomyłką w jego życiu, że Rosa jest pomyłką pomyłki i nie chce jej więcej widzieć. Mieszkał w starym zapuszczonym bungalowie i o dziewiątej rano siedział przy stole z whiskey i piwem; najwyraźniej mało pracował i za dużo pił. Może jego nieobecność w życiu Rosy była błogosławieństwem, ale wtedy Rosę bolało to, że ją odrzucił.

Przez całe liceum pracowała w weekendy w restauracji; obierała i kroїła warzywa, robiła wszystko, co jej kazano. Otrzymała stypendium do szkoły pielęgniarstwa, a to, czego nie pokrywało, opłacała z oszczędności. Odkryła, że sprawia jej przyjemność opiekowanie się chorymi; wkrótce wyspecjalizowała się w opiece nad pacjentami domowymi. Miała znajomych, choć nie bliskich, bo

ciągle pracowała. Nie знаła mężczyzn, którzy by ją szanowali, a jeden tak ją sponiewierał, że później z nieufnością umawiała się na randki.

W wieku trzydziestu czterech lat zaczęła pracę u Dorothy i wreszcie zaznała dobroci. Stała się opiekunką, którą się opiekowano. Jej pacjentka była zarazem jej pielęgniarką. Dorothy postrzegała ją jako rannego ptaszka, który wypadł z gniazda, zanim nauczył się fruwać. Jeśli kiedykolwiek narodził się ktoś, kto wiedział, jak nauczyć latać złamanego ducha, była nim Dorothy Hummel. Rosa nigdy nie czytała dla przyjemności, a Dorothy, która czytała wszystko, poprosiła ją, by czytała jej na głos. Rosa zaczęła więc stopniowo znajdować w książkach życiowe prawdy, nadzieje i pomysły na nowy sposób życia. Po półtorarocznym pobycie w tym domu jej serce stało się silniejsze i wzrosło jej poczucie własnej wartości.

Gdyby tak Dorothy przeżyła jeszcze kolejne półtora roku...

Ale nie. Odeszła.

Uzdrowienie, jakiego Rosa wciąż potrzebowała, zależało teraz wyłącznie od niej.

Ocierając chusteczką łzy, odwracając się od urny na kominku, pomyślała: będę opiekować się Kippem, a on będzie opiekował się mną, jak dotąd Dorothy. Uleczymy się nawzajem, ja i Kipp.

Pies był dla Dorothy jak dziecko. Nawiązali więź głębszą, niż zwykle to bywa między zwierzęciem i właścicielem. Dorothy zresztą nie lubiła tego określenia. „Nie jestem jego właścicielką. Jestem opiekunką Kippa, a on jest moim opiekunem”. W ich relacji było coś tajemniczego; Dorothy często to sugerowała. Powiedziała, że gdy jej już nie będzie i Kipp trafi pod opiekę Rosy, ta dozna swego rodzaju objawienia. „Chciałabym nawiedzać to miejsce, żeby zobaczyć, jak to się stanie”, dodała.

Ale gdzie jest Kipp? Mógł wchodzić i wychodzić przez swoją kłapę, ale nigdy nie opuszczał terenu posiadłości. Pewnie zaszył się gdzieś w domu. Normalnie przybiegłby ją powitać, z szerokim uśmiechem na pysku, z oczami skrzącymi się z radości. Z pewnością znalazł sobie miejsce, gdzie zwinął się w kłębek i rozpacza.

Nawoływała go, przechodząc z salonu przez hol do jadalni, nie zjawiał się jednak. Pamiętała, jak żałośnie skowyczał po śmierci Dorothy. Jest bardzo

wrażliwy. Wie, że ona jest tutaj, i przyjdzie do niej, gdy będzie gotowy na towarzystwo w żałobie.

Stała w holu przed drzwiami gabinetu, naprzeciwko tych do biblioteki. W ciągu osiemnastu miesięcy, kiedy mieszkała i pracowała w tym cudownym domu, drzwi gabinetu zawsze były zamknięte. Pani Champlain, która przychodziła sprzątać trzy razy w tygodniu, nigdy nie postawiła tam stopy. Dorothy sama odkurzała i zmiatała ten pokój, ale przez ostatnich sześć tygodni życia nie miała już na to siły.

„Bezgranicznie ufam pani Champlain i tobie, moja droga Roso, lecz ten pokój jest moim najbardziej prywatnym miejscem i trzymam tam wszystkie moje najgłębsze, najmroczniejsze tajemnice. Może masz mnie za głupią starszą panią, która wiodła beztroskie życie i nie miała mroczniejszych sekretów niż kradzież szminki w sklepie, co zrobiłam w wieku szesnastu lat, ale zapewniam cię, że kiedyś byłam bardziej szalona. A jeśli w to nie wierzysz, wyświadcź mi przynajmniej uprzejmość i uwierz, że istnieje jeden procent szans, że nie zawsze byłam taka nudna jak teraz. Traktuj gabinet tak, jakbyśmy żyły w powieści Daphne du Maurier, jakby ten dom był wersją Manderley z alternatywnego wszechświata, jakbym trzymała zmumifikowane zwłoki zamordowanej Rebeki albo pani Danvers – albo ich obu! – za zamkniętymi drzwiami, by oszczędzić sobie długiego wyroku więzienia”.

Rosa wyjęła z kieszeni spodni klucz do gabinetu. Dorothy dała jej go wczoraj po południu, dziesięć godzin przed nadejściem kryzysu, z przykazaniem, że ma go użyć dzień po jej śmierci. Nie powiedziała, co znajdzie w pokoju – poza komputerem z plikami wideo, które kazała jej obejrzeć.

Rosa wiedziała, że nie zobaczy tam trupów, zmumifikowanych czy nie, ale się zawahała. Jeśli w tym pokoju naprawdę kryją się sekrety i jeśli mogą zmienić jej opinię o Dorothy, to nie chciała ich poznać. W samotnej walce, jaką do tej pory było jej życie, spotkała niewielu ludzi, których podziwiała, i nikogo, kto zasłużyłby na to bardziej niż Dorothy. Gdyby okazało się, że wdowa po Arthurze Hummelu miała ciemną stronę, jakąś szpetotę ducha, to odkrycie przeszłyoby serce Rosy jak zatruta strzała. Było to jednak mało prawdopodobne.

Lecz obiecała, że przejrzy filmy i zrobi to, co podpowie jej serce. Należy dotrzymać złożonych obietnic.

Rosa otworzyła drzwi i weszła do gabinetu.

Duży pokój miał może osiem metrów na dziewięć, a z wysokich okien roztaczał się widok na baśniowe jezioro za zboczem porośniętym rzędami sosen.

Po prawej stronie stało antyczne biedermeierowskie biurko, duże jak na mebel z tamtego okresu. Za nim wzdłuż całej ściany ciągnął się pasujący do niego blat długości ściany. Stały tam komputer, drukarka, skaner i inny sprzęt.

Na środku pokoju wokół dużego stołu, który został przerobiony z sypialnego pieca kang, stała biedermeierowska sofa z dwoma fotelami w stylu art déco. Na stole pyszniły się antyczne japońskie wazony z brązu. Dorothy i Arthur mieli eklektyczny gust i talent do łączenia różnych okresów i stylów.

Najbardziej niezwykłym elementem był alfabet namalowany na ścianie po lewej stronie, dwadzieścia sześć czarnych liter o wysokości trzydziestu centymetrów wraz z szeregiem znaków interpunkcyjnych na białym tle. Wśród nich były też symbole: &, %, + i =. Na podłodze przed tą ścianą stało niskie urządzenie niewiadomego przeznaczenia.

Rosa obeszła biurko, usiadła na krześle i obróciła się twarzą do ekranu komputera. Włączyła go.

W ciągu tygodni, kiedy Dorothy brakowało sił, by sprzątać gabinet, na wszystkim osiadło nieco kurzu, ale komputer działał.

Hasło Dorothy brzmiało LOVEARTHUR.

Rosa znalazła folder z filmami. Były ponumerowane.

Kliknęła na pierwszy i zdumiała się, widząc Dorothy w lepszym stanie zdrowia. Tak wyglądała dziesięć miesięcy, może nawet rok temu.

Siedząc za biurkiem, patrząc prosto w kamerę, powiedziała:

„Roso Rachel Leon, mój skarbie, jestem szczęśliwa, że znalazłam cię w godzinie potrzeby, i to nie tylko dlatego, że zapewniasz mi doskonałą opiekę. Mam szczęście również dlatego, że jesteś uczciwa i obdarzona szczerym współczuciem i pokorą w świecie pychy i egoizmu. Co więcej, jesteś o wiele bardziej inteligentna, niż ci się wydaje”.

Twarz Rosy zalał rumieniec, jakby słuchała pochwały z ust żyjącej osoby, i oczy zaszyły jej łzami. Wyjęła chusteczkę z pudełka, by je otrzeć.

„W ciągu czterdziestu ośmiu godzin od mojej śmierci przyjdzie do ciebie Roger Austin. Jak wiesz, jest moim prawnikiem. Powiadomi cię, że jesteś moją jedyną spadkobierczynią”.

Rosie zaparło dech w piersi. Pokręciła głową, jakby to był sen, jakby musiała zaprzeczyć słowom Dorothy, żeby uniknąć gorzkiego rozczarowania po przebudzeniu.

„Prawo zabrania opiekunowi dziedziczenia po pacjencie hospicyjnym. Dlatego po pięciu miesiącach pracy, gdy już poznałam twoje serce, przemianowaliśmy cię na osobistą asystentkę i obwarowaliśmy zmianę tak szczerze, że testament jest nie do podważenia. Zresztą nie mam krewnego, który mógłby kwestionować tę decyzję”.

Rosa ledwie mogła usiedzieć na miejscu. Chciała wstać, wyładować nagłą szaleńczą energię. Ale gdy tylko podniosła się z krzesła, kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Od razu znowu usiadła.

„Po opodatkowaniu – mówiła Dorothy – otrzymasz ten dom wraz z całą jego zawartością, a także płynne aktywa w wysokości dwunastu milionów dolarów”.

– Nie zasługuję na to! – zawołała Rosa, jakby kobieta na ekranie mogła ją usłyszeć i dać się przekonać. – Spędziłam z tobą tylko osiemnaście miesięcy.

Dorothy milczała, jakby przewidywała, że Rosa w tym momencie odezwie się do niej. Uśmiechała się figlarnie.

„Jakże chciałabym być tam teraz, żeby widzieć twoją minę, dziewczyno. Wiem, że czujesz się przytłoczona, może nawet się boisz. Nie bój się. Roger Austin i moja księgowa Shiela Goldman są dobrymi ludźmi. Udzielą ci rzetelnych porad inwestycyjnych. A z czasem, jeśli cię znam – a znam – staniesz się na tyle mądra, by zająć się tym wszystkim samodzielnie”.

– Nigdy – szepnęła Rosa drżącym głosem.

„Tak, przekonasz się – powiedziała Dorothy z uśmiechem. – A teraz jeszcze większa niespodzianka. Znacznie większa. Przepraszam za kolokwializm, dziecko, ale ta niespodzianka powali cię na kolana. Jesteś gotowa?”

– Nie.

Z przedramionami na biurku, pochylona w stronę kamery, Dorothy mówiła ściszym głosem z głęboką powagą, niemal hipnotyzując Rosę.

„Wiesz, Kipp to mądry pies. Ale jest o wiele mądrzejszy, niż ci się wydaje. Jest tajemnicą, cudem – i na świecie są inne psy takie jak on. Nazywają siebie Misterium. Mogę tylko przypuszczać, że Kipp jest tworem inżynierii genetycznej. Gdzieś wśród jego przodków musiały być psy laboratoryjne, które poddano radykalnym eksperymentom i być może uciekły. Droga Roso, Kipp jest równie inteligentny jak my i jest skarbem, który należy chronić. Teraz ty musisz być jego opiekunką. A po obejrzeniu następnych filmów, gdy zobaczysz, jak Kipp porozumiewa się ze mną za pomocą alfabetu, nie tylko mi uwierzysz, ale też z pewnością uznasz, że znalazłaś swoje życiowe powołanie”.

Rosa obróciła się z krzesłem, by spojrzeć na czarne litery na przeciwległej ścianie.

Dorothy za jej plecami ciągnęła:

„Odkąd byłam mała, czyli od bardzo dawna, w najgłębszym i najskrytym zakamarku serca nosiłam to dziwne uczucie. Wierzę, że też to czułaś. Po prostu uważałaś, tak jak ja, że wyszłabyś na idiotkę, gdybyś o tym komuś powiedziała”.

Po karku Rosy przebiegł przyjemny chłód. Spojrzała przez duże okna na las i jezioro: mistyczną scenę w gasnącym świetle, tajemnicze jezioro z innej krainy, gdzie żyło coś, co zrodziło legendę.

„Przez całe życie, Roso, czułam, że na świecie jest ukryta magia, że życie obejmuje coś więcej niż tylko to, co pozwalają nam odkrywać zmysły. Wierzyłam, że cuda naprawdę się zdarzają i że pewnego dnia cud spotka mnie”.

Nawet dziewczyna wychowana w biedzie i bez miłości mogła znać takie uczucie. Może ta prawda odnosiła się szczególnie do dziewczyny wychowanej w biedzie i bez miłości, bez innych nadziei niż te utkane w wyobraźni.

„Życie miażdży w nas to tajemne uczucie, jeśli na to pozwalamy – kontynuowała Dorothy. – Ale ja nie dopuściłam, żeby to się stało, Roso, i pewnego dnia cud przyszedł do mnie na czterech łapach”.

Dzieci biegały po całym kempingu. I te małe, i te starsze lubią podkraść jedzenie dla psów.

O szczęściu świadczyło również to, że był tu jedynym psem do podkarmiania. Dzieci rzucały piłkami i frisbee, ale w zabawie nie brało udziału nic, co miało cztery nogi.

Jeszcze nie wszyscy zaczęli przyrządzać jedzenie. Trochę za wcześnie na kolację.

Ale przy przenośnych grillach stało co najmniej dwóch mężczyzn. W powietrzu unosił się zapach gorącego węgla drzewnego.

Jeden marynował steki w głębokiej patelni. Właśnie zaczął rozpalać węgiel.

Był szczupły, mocno opalony, z przylizanymi włosami.

Na jego koszulce płonął napis WAL SIĘ pod widelcem z trzema zębami. Dwa zęby były wygięte. Tylko środkowy był prosty.

Facet nie wyglądał przyjaźnie. Pachniał zazdrością i gniewem.

Drugi mężczyzna smażył na patelni postawionej na turystycznej kuchence gazowej grube hamburgery, a na grillu obok pęczniały, pociły się i przypalały frankfurterki.

Kipp ulokował się blisko miejsca akcji – obok grilla.

Siedział, zamiatając ziemię ogonem, ze zwisającymi uszami postawionymi na tyle, na ile pozwalała im na to ich natura, i z przechylonym łbem. Istny słodziak.

Niewielu mu w tym dorównywało, nawet jeśli było to tylko jego zdanie.

Psy nie są zdolne do przechwalania się, ale nie są też zdolne do fałszywej skromności. Są, jakie są, i tyle.

Mężczyzna przy grillu należał do tych osób, które mówią do zwierząt. Nie był doktorem Dolittle. Nie prowadził dialogu. Ale wydawał się miły.

Pachniał życzliwością i nie miał brzydkiej koszulki.

Nazywał Kippa „kolegą”.

– Miałem takiego jak ty, kiedy byłem mały – powiedział.

Zamiast pomachać ogonem, Kipp zadudnił nim o ziemię.

– Zgubiłeś się, kolego?

Kipp uspokoił ogon.



Zgubienie się wzbudzi większe współczucie, zwiększy szansę na nakarmienie.

Chociaż wcale się nie zgubił. Wiedział, dokąd zmierza. Wabił go szemrzący chłopiec z Telegrafu.

Gdyby skamlał i robił sztuczki jak filmowy pies, by dać do zrozumienia, że się zgubił, byłoby to kłamstwem.

Ci w Misterium nie okłamywali ludzi, którzy pachną dobrocią. Było to niezupełnie przykazanie, ale traktowany z powagą element procedury.

Oszukiwanie tych, którzy pachną gniewem lub zazdrością – albo jeszcze gorzej – było usprawiedliwione, ponieważ ci ludzie byli niebezpieczni. Oszukiwanie ich mogło być kwestią przetrwania.

– Jesteś głodny, kolego?

Kipp uderzył ogonem o ziemię, mocniej niż wcześniej.

Bez oszukańczego skomlenia pachnący dobrocią człowiek najwyraźniej uznał, że ma przed sobą zbląkanego i głodnego psa.

– Mam coś dla ciebie.

Szczypcami położył prawie upieczonego dużego hamburgera na papierowym talerzu i dodał tłustą frankfurterkę.

– Zjesz, gdy tylko trochę ostygną.

Kipp teraz mógł zaskomleć, ponieważ było to skomlenie wdzięczności.

Mężczyzna pochylił się i obejrzał jego obrożę.

– Brak imienia. Brak numeru telefonu. Może wstrzyknięto ci chip.

Kipp nie miał chipa, ale w zapięciu obroży był GPS z małą litową baterią.

Dorothy nie bała się, że ucieknie. Martwiła się, że może zostać porwany dla okupu.

Mężczyzna przewrócił kilka hamburgerów, po czym pokroił na kawałki mięso odłożone dla Kippa, żeby szybciej ostygło.

Jakaś kobieta zapędziła czwórkę dzieci do pobliskiego stołu piknikowego. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki przypominały ją i tego miłego mężczyznę. Ich szczenięta.

Na stole czekała sałatka ziemniaczana, chipsy, sałatka z makaronem i inne cudownie pachnące rzeczy.

Kobieta postawiła na stole półmisek z upieczonymi burgerami i kiełbaskami. Dzieci krzyknęły radośnie i zaczęły robić kanapki.

To było szczęśliwe miejsce.

Uprzejmy człowiek położył papierowy talerz na ziemi. Mięso już ostygło i Kipp zjadł je z apetytem.

Nie błagał o więcej. To byłoby niewdzięczne zachowanie.

Poza tym dzieci przy stole miały całą ucztę. Wystarczy się trochę pokręcić. Zaraz będzie więcej jedzenia.

Oczywiście musi uważać, żeby się nie przejeść, bo mógłby się rozchorować. Wszystko smakowało wspaniale.

Chwila była cudowna, z jedzeniem i w ogóle, i wszyscy w tej rodzinie mieli dobry zapach, zapach bezpieczeństwa, bez śladu gniewu, zazdrości czy innych bardziej gorzkich woni.

Nagle pojawił się za nim Nienawistnik. Kipp wyczuł go zbyt późno.

Nienawistnik przypiął smycz do jego obroży i mocno ją napiął.

– Czy to twój pies? – zapytał miłego mężczyznę.

– Przypuszczam, że się zgubił. Pomyśleliśmy, że zabierzemy go ze sobą do domu.

– Na tym kempingu nie wolno trzymać psów – oświadczył stanowczo Nienawistnik. – Nie wolno mu tu być. Zabieram go ze sobą.

Miał na sobie spodnie i koszulę khaki, jak mundur.

– Pojutrze wyjeżdżamy i z radością zabierzemy go ze sobą – powiedział miły mężczyzna.

– Wtedy go tu nie będzie.

Nienawistnik mocno szarpnął smycz, żeby Kipp zrozumiał, kto tu rządzi, i ruszył przez kemping w stronę biura przy wjeździe.

Kipp poszedł z nim bez walki. Ten człowiek nie był miły. Może zbić go za stawianie oporu, gdy znajdują się poza zasięgiem wzroku.

Odór nienawiści był intensywniejszy i bardziej przerażający niż jakikolwiek inny, z wyjątkiem woni obłąkanych.

Zdarzało się, że człowiek śmierdział nienawiścią i szaleństwem. Ten cuchnął tylko tym pierwszym.

W zależności od tego, czego i jak bardzo nienawidził, ucieczka może okazać się trudna.

Nienawistnicy żyją, by nienawidzić, by gnębić tych, których nienawidzą. Mają na tym punkcie obsesję. Skoncentrowaną. Nieustępliwą.

Biuro kempingu mieściło się w małej chatce z bali na końcu drogi dojazdowej z autostrady.

Kipp nie chciał tam wchodzić.

Obroża była zbyt ciasna, by mógł wysunąć z niej łeb.

Nie ugryzie, chyba że w najbardziej ekstremalnych okolicznościach. Takie były zasady Misterium. I słusznie.

Może w biurze kempingu będzie ktoś inny, ktoś mniej niegodziwy.

Weszli po schodach do środka.

Nie było tam nikogo innego. Tylko Kipp i Nienawistnik.

## 17

DZIEŃ WSPÓŁGRA Z JEGO NASTROJEM. Słońce niknie za szarymi całunami chmur, gładkimi jak atlas w trumnie, i chmury powoli opadają niczym ciężkie wieko. Późne popołudnie przechodzi w długi posępny zmierzch.

Lee Shacket zjeżdża z międzystanowej osiemdziesiątki na dwupasmową drogę stanową, która wznosi się i opada, przecinając lasy i kwitnące łąki, i od czasu do czasu mija odizolowane siedliska ludzkie. Wśród drzew gromadzą się groźne cienie, a polne kwiaty późnego lata, niedawno jasne, teraz tlą się jak fragmenty meteoru, który rozpadł się z gorąca w drodze przez atmosferę.

Shacket łąknie nie tylko jedzenia, ale także sprawiedliwości, przemiany z ofiary, którą zawsze był; pragnie nieokreślonej, ale zdumiewającej transcendencji, którą, jak czuje, osiągnie. Ciśnienie rośnie w nim jak w kotle przegrzanej pary, ciśnienie psychiczne, ale jednocześnie zwiększają się jego możliwości fizyczne. Z godziny na godzinę czuje się silniejszy, wyostrzają mu się wzrok i słuch.

Na pewno ma to jakiś związek z tym, co wydarzyło się w ośrodku Refine w Springville. Hojnie finansowane przez Doriana Purcella badania nad

długowiecznością, nad znacznym wydłużeniem ludzkiego życia, na jego żądanie koncentrowały się na archeonach, trzeciej domenie życia zwierzęcego. Pierwszą domeną są eukarionty, do których zalicza się ludzi i wszystkie inne organizmy wyższe. Druga domena to bakterie. Mikroskopijne archeony, które nie mają jądra komórkowego, przez długi czas uważane za rodzaj bakterii, mają unikalne właściwości, między innymi zdolność do poziomego transferu genów. Rodzice przekazują geny potomstwu pionowo. Archeony przekazują materiał genetyczny poziomo, z jednego gatunku do drugiego. Człowiek dopiero zaczyna poznawać ich tajemniczą rolę w rozwoju życia na Ziemi, więc próba wykorzystania ich do ulepszenia ludzkiego genomu mogła być szaleństwem.

Lee Shacket początkowo uważał wydarzenia w ośrodku w Springville za katastrofę, ale teraz zaczyna się zastanawiać. Prawdopodobnie wraz z powietrzem wciągnął do płuc setki miliardów, nawet biliony zaprogramowanych archeonów z pochodzącymi od wielu gatunków genami, które sprzyjają długowieczności. I co? Żyje i jest coraz silniejszy. Któryś z wysoko postawionych naukowców – może sam Dorian – najwyraźniej błędnie uznał, że rozszczelnienie laboratoriów jest zagrożeniem dla całego gatunku ludzkiego. Dlatego uruchomił program zagłady, by zamknąć kompleks ze wszystkimi znajdującymi się tam osobami i spalić go do gołej ziemi.

Shacket uciekł z tego tonącego okrętu, naruszając procedury bezpieczeństwa. Do diabła z procedurami. Postąpił właściwie. Właściwie dla siebie. Uciekając w panice z Utah, miał czas ochłonąć i przemyśleć konsekwencje katastrofy w Springville.

Po raz pierwszy w życiu czuje się wolny. Wolny. Rośnie w nim fantastyczna siła i ekscytująca nowa pewność siebie. Opuszczając Utah, przecinając Nevadę, a teraz jadąc przez góry Kalifornii, czuje się tak, jakby zostawiał za sobą zwykłą ludzkość. A jeśli poziomy transfer genów za pośrednictwem archeonów właśnie usuwa śmiertelność z jego genomu? A jeśli katastrofa w Springville była nie katastrofą, tylko wielkim, choć przypadkowym sukcesem, z którego tylko on odniósł korzyść? Czuje satysfakcjonującą pogardę dla wszystkich, którym kiedyś chciał się przypodobać. Staje się, ulega przemianie w kogoś lepszego. Podnieca go myśl, że może to udowodnić, zrobić, cokolwiek zechce, komu zechce,

poczynając od Megan Bookman, tej ozięblej suki, która prosi się o upokorzenie. Będzie nią rządzić.

A może nie musi czekać na Megan. Może w swoim stawaniu się już osiągnął moc robienia tego, co chce, brania tego, co chce. Przed nim na tym odludziu, na szerokim prawym poboczu, stoi samochód. Mężczyzna zmienia prawe koło. Młoda kobieta się przygląda. Ma na sobie szorty i top bez ramiączek. Jest seksowna. W życiu Shacketa zawsze były kobiety, których pragnął, a których nie mógł mieć, kobiety odpowiadające na jego zaloty brakiem zainteresowania, a nawet pogardą. Ta wygląda jak jedna z nich. Wygląda jak one wszystkie.

Zwalnia, zjeżdża na bok i zatrzymuje się za samochodem. To czarny shelby super snake, kwintesencja auta o wysokich osiągnięciach, wart sto dwadzieścia pięć tysięcy, prosto z salonu.

Shacket wysiada z uśmiechem, miłosierny samarytanin.

– Potrzebujecie pomocy?

– Złapałem gumę, to wszystko – mówi mężczyzna kucający z kluczem przy tylnym kole. – Już kończę.

– Ta ślicznotka to shelby?

– Super Snake, zeszłoroczny model – potwierdza z dumą palant.

Nie widać ruchu w żadnym kierunku.

– Imponujący pojazd. Potężna moc. Ale nie da się jej wykorzystać na tej bocznej drodze.

– Nie, jeśli nie chce się skończyć na drzewie – zgadza się facet. – Ale pokonywanie zakrętów sprawia frajdę.

– Lubi pan pokonywać zakręty, prawda?

Dupek słyszy drwinę w jego głosie i natychmiast podnosi się z kluczem w dłoni.

– Ta twoja dziwka na bank nie jest zeszłorocznym modelem – dodaje Shacket, wskazując kobietę.

– Coś z tobą nie tak? – pyta facet.

Jest wysoki, mocno zbudowany jak szarżujący futbolista, ma ramiona ciężarowca. Nigdy przed nikim się nie cofnął. Jest typem człowieka przyzwyczajonego do zastraszania innych samym zmarszczeniem brwi.

– Nie, nic mi nie jest – mówi Shacket.

Dzień pod niskim niebem jest spokojny. Nie zakłóca go dźwięk nadjeżdżających pojazdów. Shacket usłyszałby pomruk silnika co najmniej pół minuty przed pojawieniem się samochodu w zasięgu wzroku.

Śmieje się.

– Nie dzieje się ze mną nic złego, czego nie dałaby rady uleczyć taka fajna dupa.

– Wsiadaj do samochodu, Justine – mówi facet do swojej suki. Rusza w stronę Shacketa, z twarzą twardą jak młot kowalski, trzymając klucz w taki sposób, jakby chciał roztrzaskać nim czaszkę, wierzy w swoje siły.

Kobieta nie rusza się, jakby sparaliżował ją strach. A może jest podekscytowana i myśli, że nie stanie się nic złego, że będzie patrzeć, jak jej mężczyzna spuszcza manto nieznanomemu.

Niczym złowróbna zapowiedź, trzy kruki przelatują wysoko w górze, bezgłośnie, tnąc ciszę skrzydłami. Teraz wszystko oznacza coś ważnego.

Shacket wyciąga spod kurtki pistolet Heckler & Koch Compact kalibru .38, załadowany amunicją z pociskami półpłaszczowymi z wgłębieniem wierzchołkowym. Idąc w stronę futbolisty, pakuje w niego cztery kule.

Justine wyrывa się z paraliżu i krzyczy. Jest Jamie Lee Curtis swoich czasów, królową krzyku gór Sierra Nevada. Odwraca się i biegnie na długich, gładkich nogach.

Jej siłacz pada, trup na miejscu, i stacza się po nasypie w wysoką trawę, bezwładnie niczym kłęb szmat, nagle jakby bez mięśni.

O to właśnie chodzi – o władzę nad innymi i sobą, o nieustraszonosc i nietykalność. Shacket jest zmieniającym się człowiekiem, szybko stającym się kimś nowym, czymś innym.

Kobieta biegnie środkiem autostrady, najwyraźniej z nadzieją, że nadjedzie jakiś samochód.

Zamiast tenisówek czy jakiegoś innego praktycznego obuwia suka ma na nogach sandały na niewysokich obcasach. Potyka się raz i drugi. Gubi sandał i niezdarnie kuśtyka dalej.

Śmiejąc się z jej szaleńczej, nieudolnej próby ucieczki, Shacket rusza za nią.

Czarne pióro zgubione przez kruka unosi się przed jego twarzą. Chwyta je i wsuwa do kieszeni – symbol śmierci nadany mu jako atrybut nowej władzy, jako zapewnienie, że może decydować, kto będzie żył, a kto umrze i w jakich mękach. Wszystko wydaje się teraz omenem, oznacza coś ważnego.

Chowa pistolet do kabury, biegnie za kobietą i łapie ją za długie włosy. Szarpnięciem zbija ją z nóg. Justine upada na jezdnię. Shacket ogłusza ją jednym ciosem.

Shacket czuje się tak silny, jak wyglądał jej chłopak przed śmiercią. Podnosi ją z asfaltu, jakby nic nie ważyła, przenosi ją na pobocze, rzuca i skopuje ze skarpy.

Trawiony gorączką pożądania i triumfu, schodzi do kobiety, która usiłuje podnieść się z ziemi. Rzuca się na nią i przygniata. Kobieta szamocze się, walczy. Ale wynik tej walki jest już przesądzony, bo ona jest gazelą, a on lwem; ona mucha, on pajakiem.

Słyszy warkot silnika nadjeżdżającej ciężarówki. Nikt ich nie zobaczy tutaj, w trawie, co najmniej sześć metrów poniżej drogi. Chociaż jest mało prawdopodobne, żeby ktoś w ciężarówce usłyszał krzyk Justine, Shacket uderza ją dłonią w podbródek i pcha, zaciskając jej usta, odchylając głowę dziewczyny do tyłu. Jej smukła szyja wygina się w łuk i krzyk więźnie jej w gardle.

Może kierowcę ciężarówki zainteresują dwa samochody stojące jeden za drugim na poboczu tej samotnej drogi. Ale skoro są puste, skoro nikt nie wzywa pomocy, nie ma powodu się zatrzymać i sprawdzać, co się dzieje. Co więcej, w tych często niebezpiecznych czasach mądry człowiek pojedzie dalej bez oglądania się za siebie.

Sądząc po odgłosie silnika, ciężarówka zwalnia. Justine najwyraźniej odzyskuje nadzieję. Szarpie się i wykręca pod Shacketem, próbuje wycisnąć krzyk przez zaciśnięte zęby, gdy on mocniej przyciska jej rękę do podbródka. Napięte i giętkie ciało dziewczyny wijące się pod nim, jej całkowita bezradność, jego władza absolutna – chociaż żadne z nich nie jest nagie, to najbardziej erotyczny moment w jego życiu. Szaleje.

Nadzieja Justine jest złudna. Ciężarówka przyspiesza, dźwięk cichnie. Dziewczyna przestaje walczyć, przestaje próbować krzyczeć. Cisza pustkowiec jest głębsza niż dotychczas, bez brzęczenia owadów i śpiewu ptaków, jakby każde

żyjące tu stworzenie było świadome, że wśród nich pojawił się ktoś wyjątkowy na świecie, ktoś, kto się zmienił i nadal zmienia, kto nie podlega żadnym prawom, ani ludzkim, ani tym natury, kto się niczego nie boi i kogo należy się bać.

Shacket zabiera rękę z podbródka Justine, mając nadzieję, że będzie krzyczeć dla niego, tylko dla niego, teraz, gdy nie ma nikogo innego, by jej słuchał. Patrzy mu w twarz, ma szeroko otwarte niebieskie oczy i rozdęte nozdrza, oddycha ciężko i mówi tylko:

– Proszę.

Shacketowi podoba się to brzmienie: żałosna błagalna nuta, przyznanie, że jest jej władcą absolutnym.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Proszę. Proszę, nie rób mi krzywdy.

Zamierza ją zgwałcić. Tymczasem, ku zaskoczeniu ich obojga, gryzie. Justine krzyczy. Shacket znowu gryzie i to jest cudowna, radosna, najbardziej satysfakcjonująca rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

Przerażenie dziewczyny jest jego ekstazą.

## 18

WOODY JEST W SWOIM POKOJU. Przy komputerze. Szuka sprawiedliwości.

Powiedzieli, że jego IQ wynosi 186. Czyta ze zrozumieniem z szybkością 160 słów na minutę. Odejmij 160 od 186, a otrzymasz liczbę liter w alfabecie.

Urodził się o czwartej nad ranem, dwudziestego szóstego lipca. Lipiec jest siódmym miesiącem. 26 pomnożone przez 7 daje 182. Dodaj 4, godzinę narodzin, a otrzymasz jego iloraz inteligencji.

Była środa. Jego tata zmarł w środę. Od śmierci taty minęły dokładnie 164 tygodnie. Woody rozpoczął pracę nad *Zemstą syna* w drugą rocznicę jego śmierci, 60 tygodni temu, gdy osiągnął taki poziom umiejętności hakerskich, że mógł pokonać każdy system zabezpieczeń. Odejmij 60 od 164, a otrzymasz liczbę stron dokumentu, który obciąża zabójców jego ojca.



Żadna z tych liczb – od jego IQ i wskaźnika umiejętności czytania ze zrozumieniem po liczbę stron w raporcie – nie oznacza niczego użytecznego. Są matematycznymi zbiegami okoliczności, a może wzorami wskazującymi na szereg algorytmów leżących u podstaw działania wszechświata; ale nawet w tym drugim przypadku były tak głęboko wplecione w matrycę rzeczywistości, że wykraczały poza ludzkie zrozumienie.

Umysł Woody'ego dostrzegał jednak takie zbiegi okoliczności albo tajemnicze wzorce.

To mentalne dziwactwo, rozpoznawanie niejasnych wzorów, pomogło mu nawigować po wszystkich poziomach internetu, od sieci WWW, z której korzystają wszyscy, przez archiwa w głębokiej sieci po złowrogie boczne drogi darknetu.

Dla niego internet był planetą samą w sobie; każda strona była wioską lub miastem z dzielnicami i ulicami. Podróżował po tej planecie jakby za sprawą czarów, wpisując krótkie zaklęcie i jednym kliknięciem teleportując się z jednego kontynentu na drugi.

Otworzył tylne furtki w wielu systemach komputerowych i zainstalował rootkity, dzięki czemu mógł wracać i przeszukiwać archiwa w sposób tak subtelny, że nawet najlepsi specjaliści od bezpieczeństwa IT nie wykrywali jego obecności.

Na wypadek gdyby ktoś go nakrył podczas przeglądania danych, nigdy nie wchodził do systemów z Pinehaven. Stworzył sobie drogę przez liczne krajowe centrale telekomunikacyjne i stosował inne sztuczki, żeby wyprowadzić w pole każdego, kto mógłby go tropić.

W ciągu ponad roku intensywnych zabiegów dokopał się do jednego niepodważalnego faktu i zdobył ponad sto stron dowodów, których specjalny doradca, mianowany przez prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych i mający do dyspozycji pluton śledczych, nie odkryłby nawet w dziesięć lat. Gdy jesteś wysokofunkcjonującym autystycznym geniuszem, twoje zaburzenie rozwojowe w połączeniu z wyjątkową umiejętnością intensywnego skupiania się przez długi czas na czymś, co może wydawać się prozaicznymi faktami, staje się wielką zaletą.

Punktem wyjścia jego śledztwa stało się rozczarowanie taty postawą jego szefa, megamiliardera Dorian Purcella. Woody kiedyś podsłuchał, jak rodzice rozmawiali o jego „kompleksie mesjasza” i o pragnieniu taty, by złożyć wypowiedzenie, gdy tylko nabędzie prawo do otrzymania akcji, żeby nie musiał dłużej „wspierać obłąkańczych ambicji Doriana”.

Po wejściu do systemu komputerowego Parable – firmy macierzystej rozległego imperium Purcella – Woody znalazł drogę do katalogów z adresami mailowymi i numerami telefonów Doriana. W ten sposób zyskał sieć kontaktów i mógł je posprawdzać. Wiele z tych adresów powtarzało się w katalogach setek ludzi, ale zauważył, że szesnaste osób miało kontakt do człowieka o dziwnym nazwisku, które go zaintrygowało – Gordius.

Gdy jesteś samoukiem, który nauczył się czytać w wieku czterech lat, i trzy lata później czytasz na poziomie uniwersyteckim, gdy jesteś autystyczny i nie spędzasz kilku godzin dziennie na interakcjach społecznych ani na tym, czym zajmuje się większość ludzi, masz mnóstwo wolnego czasu. Najprzyjemniejszym sposobem na jego zapelnienie jest zdobywanie wiedzy. Woody interesował się między innymi mitologią klasyczną.

W mitologii greckiej Gordius był wieśniakiem, który został królem Frygii. Zawiązał niezwykle skomplikowany węzeł – słynny węzeł gordyjski – którego nikt nie potrafił rozwiązać. Kiedy Aleksander dowiedział się, że ten, kto rozwiąże węzeł, będzie rządzić całą Azją, po prostu przeciął go mieczem.

Ten człowiek w listach kontaktów szesnastu osób figurował jako Alexander Gordius. Dla każdego, kto nie ma wyjątkowego umysłu Woody’ego, nazwisko wyglądałoby po prostu jak kolejne z długiej listy. On jednak uznał, że to mało prawdopodobne, by ktoś nosił nazwisko po twórcy węzła gordyjskiego, a imię po człowieku, który przeciął węzeł mieczem.

Dla niego wyglądało to na potencjalnie fałszywą tożsamość.

Zaciekawiony, chciał dowiedzieć się więcej o panu Gordiusie. Wszedł tylnymi drzwiami do firmy telekomunikacyjnej, która obsługiwała jego konto, i stwierdził, że faktury wystawiane są na adres spółki jawnej z siedzibą w Kalifornii, należącej do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w Delaware... i tak dalej.

Potrzebował kilku dni, by odkryć, że zdumiewająca liczba firm, w których ukrywał się Gordius, jest w ten czy inny sposób powiązana z Refine, a jej spółką macierzystą była Parable. W końcu wślizgnął się, znów przez tylne drzwi, tym razem do systemu komputerowego Refine. Tam znalazł maile Alexandra Gordiusa i odkrył, że ten to Dorian Purcell.

Do tych szesnastu elitarnych wybrańców ze swojej listy kontaktów Dorian wysłał opracowania, w których wskazał poważne problemy ludzkości, a następnie zaproponował rozwiązania. Często kontrowersyjne. Omówił wszystko – od przeludnienia po spadek liczby ludności, od globalnego ocieplenia po globalne ochłodzenie, od energii jądrowej po praktyczność farm słonecznych o powierzchni setek tysięcy hektarów, od prawdopodobnych sposobów leczenia chorych na raka po możliwość radykalnego wydłużenia ludzkiego życia.

Niektóre propozycje były inteligentne, przemyślane, a może nawet wykonalne, ale wiele innych Woody uznał za równie kiepskie, co pompacyjne. Purcell znał się na komputerach, technologii półprzewodnikowej i powiązanych z nimi dziedzinach, ale miał się za eksperta od wszystkiego. Choć Woody chłonał wiedzę i wiele się uczył, doskonale zdawał sobie sprawę, że istnieją rozległe obszary nauki, których nie zna i zapewne nigdy nie pozna. Po prostu nie będzie miał na to czasu. Wiedział, czego nie wie. W przeciwieństwie do Dorian Purcella.

Lista kontaktów poczty elektronicznej Alexandra Gordiusa zawierała szesnaście znanych mu już nazwisk, a także trzy bardzo długie adresy mailowe złożone z szeregu pozornie przypadkowych liter, cyfr i symboli. Domyślił się, że na pewno odnoszą się one do stron w darknetcie. Niełatwo jest zdobyć tak skonstruowane adresy, chyba że dostanie się je od właściciela. Główny sposób na zdobycie któregoś z tych ściśle strzeżonych adresów polegał na otrzymaniu go od osoby o podobnych poglądach. Może te tutaj prowadziły do osób zajmujących się handlem narkotykami albo pornografią dziecięcą, może do internetowych handlarzy bronią, sprzedających nielegalnie karabiny maszynowe, materiały wybuchowe C-4 i rakiety ziemia–powietrze.

Woody wahał się, czy sprawdzić te strony. Myślał o tym od wielu dni.

W końcu wybrał adres z czterdziestoma sześcioma znakami i wszedł na niego, korzystając z adresu mailowego Alexandra Gordiusa.

Powitał go czarny ekran z jednym słowem wypisanym białymi dużymi literami: TRAGEDIA.

Obejrzał trwający trzy–cztery minuty zlepek krótkich urywków z różnych telewizyjnych programów informacyjnych, lokalnych i krajowych. Były tam zdjęcia zmarłych, rozrzuconych po polach rozbitych samolotów, wraków samochodów, płonących budynków i pojazdów ratunkowych pędzących z migającymi światłami na dachach, szpitali i posepnych policjantów przed mikrofonami, i zasmuconych lekarzy w białych fartuchach przed innymi mikrofonami. Obrazom towarzyszyły głosy prezenterów wiadomości i ponurych urzędników: „Zginęli w kuli ognia, będącej następstwem wycieku gazu... popełnił samobójstwo, wieszając się na belce w stodole... poniósł śmierć w dziwnym wypadku... został śmiertelnie potrącony, sprawca zbiegł z miejsca zdarzenia... strzały oddane z jadącego samochodu, prawdopodobnie przez członka jednego z gangów nękających miasto... morderstwo czy samobójstwo, które wstrząsnęło tą ekskluzywną społecznością... nagłego, rozległego zawału w wieku trzydziestu ośmiu lat... jedna z trzech ofiar śmiertelnych zdarzenia, które według policji jest aktem terrorystycznym, choć nikt się jeszcze do niego nie przyznał...”.

Gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie Jasona Bookmana, Woody był tak zaskoczony, że usłyszał tylko kilka ostatnich słów z nagrania: „...w katastrofie helikoptera należącego do firmy”.

Potem twarz taty zniknęła i mówiono o kolejnej tragedii, dopóki nie zamknęła się strona powitalna. Na czarnym ekranie pojawiły się białe wielkie litery układające się w: WPROWADŹ HASŁO.

Oczywiście Woody nie był użytkownikiem. Nie miał hasła.

Wyszedł z witryny.

Przez dłuższy czas wpatrywał się w pusty ekran komputera. Może godzinę. Może dwie. Rozmyślając.

W końcu, z długopisem w dłoni i tabletem pod ręką, korzystając z konta Alexandra Gordiusa, ponownie wprowadził złożony z czterdziestu sześciu znaków adres mailowy.

TRAGEDIA.

Rozpoczął się ten sam zestaw obrazów i dźwięków. Gdy dziennikarze i inni mówili o śmierci, Woody notował nazwiska ofiar.

Był przygotowany na zobaczenie taty. Jak poprzednio, po nieruchomym zdjęciu pojawiło się nagranie tłącego się śmigłowca. „Jason Bookman, prawa ręka założyciela Parable Doriana Purcella, i jego pilot zginęli dzisiaj w katastrofie helikoptera należącego do firmy”.

Po zakończeniu prezentacji urywków na ekranie ponownie pojawił się komunikat WPROWADŹ HASŁO.

Woody wyszedł z darknetu i systemu komputerowego z adresami mailowymi Alexandra Gordiusa, wrócił przez swój poplątany łańcuch fałszywych adresów – by chronić Pinehaven, ten dom, ten pokój – i wyłączył komputer.

Było to kilka miesięcy temu. Od tamtej pory skrupulatnie badał okoliczności czterdziestu jeden zgonów ze strony powitalnej.

Nawet jeśli któryś z wypadków władze uznały za podejrzany, to żaden nie został nazwany inaczej, jak wypadkiem.

Samobójstwa zostały potwierdzone przez lekarzy sądowych w różnych miastach.

Porachunki gangów i akty terrorystyczne nie zakończyły się zatrzymaniem sprawców.

Pewne subtelne prawidłowości w tych wydarzeniach były widoczne być może tylko dla obsesyjnego, wysokofunkcjonującego autystycznego chłopca z ilorazem inteligencji 186, mającego tysiące godzin na prowadzenie takich analiz. Spośród czterdziestu jeden zgłoszonych zgonów tylko dwa mogły mieć związek z Dorianem Purcellem.

Co oznaczało nic więcej ponad to, że Purcell nie był wyłącznym użytkownikiem tej witryny.

Witryna nie była poświęcona rozważaniom nad kruchością życia. Nie była pomnikiem, internetową ścianą płaczu, przy której można lamentować nad rolą tragedii w ludzkim życiu.

Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc Woody gromadził przekonujące poszlaki wskazujące, że Tragedia jest witryną oferującą zabójstwa na zlecenie.

Pilnował się, by tam nie wracać, bo przecież mogli mieć jakiś sposób na wykrycie powtarzających się odwiedzin bez wprowadzania hasła. Przeszukał pocztę elektroniczną Doriana Purcella pod obydwoma nazwiskami, ale nie znalazł hasła związanego z darknetem.

A teraz była ta brzemienna w skutki środa, dokładnie 164 tygodnie po śmierci Jasona Bookmana, dokładnie 60 tygodni od rozpoczęcia śledztwa przez Woodrowa Bookmana. 164 minus 60 równało się liczbie stron w *Zemście syna*, chociaż tego nie zaplanował. Czysty przypadek. Albo konsekwencja tajemniczych algorytmów, według których funkcjonuje wszechświat.

Woody miał zamiar rano pokazać dokument mamie, ale najpierw wróci do darknetu, żeby sprawdzić, czy potworna strona nadal działa i czy film jest taki sam jak kilka miesięcy wcześniej.

Znów przewędrował przez kilka central telekomunikacyjnych i dopiero wtedy wszedł do systemu Refine, korzystając ze swojej starej tylnej furtki. Użył konta mailowego Alexandra Gordiusa, by wprowadzić czterdzieści sześć znaków adresu.

Czarny ekran, białe litery: TRAGEDIA.

Łzy zamgliły mu oczy, gdy zobaczył twarz ojca.

Przed mamą najczęściej ukrywał smutek. Gdy zaskakiwała go w chwili cierpienia, uśmiechał się, a nawet śmiał. Pytała, czy to łzy szczęścia, a on kiwał głową.

Kiedy widział, że mama płacze, był zakłopotany, bo wiedział, że nie są to łzy szczęścia, a także dlatego, że czuł, że powinien ją jakoś pocieszyć. Ale był tym, kim był – Woodym Ofiarą Losu – i nie mógł nic zrobić, więc zakłopotanie przeradzało się w upokorzenie. Nie chciał, by jego płacz krępował mamę.

Film się skończył i na ekranie pojawił się komunikat: WPROWADŹ HASŁO.

Wpatrywał się w te dwa słowa, zastanawiając się, ile trzeba zapłacić, żeby zabić kogoś w taki sposób, by wyglądało to na wypadek, samobójstwo albo atak terrorystyczny. Nie miał pieniędzy. Mama kupowała mu wszystko, czego potrzebował. Nie mógł jej poprosić, żeby zapłaciła za rozjechanie Doriana Purcella ciężarówką albo zepchnięcie go z wysokich schodów. Mogłaby pójść do więzienia. Nie byłaby tym zachwycona.

Nie miałyby nic przeciwko, gdyby sam trafił za kratki; nie przeszkadzałyby mu samotność w małym pokoju, gdzie nie ma nic do roboty poza czytaniem i myśleniem. Ale oczywiście jedenastolatków nie posyła się do ciupy. Co więcej, mordercy z Tragedii prawdopodobnie nie zabiliby Purcella nawet za pierdyliard dolarów. Z tego, co Woody wiedział, ta witryna była przeznaczona wyłącznie dla złych ludzi, którzy naprawdę, ale to naprawdę chcą śmierci tych dobrych. Gdyby było na odwrót, gdyby model biznesowy zabójców polegał na czekaniu, aż dobrzy ludzie zapłacą za zabicie tych złych, prawdopodobnie nie mieliby zbyt wielu klientów. Dobrzy ludzie nie rozwiązują problemów w ten sposób. Między innymi dlatego złym ludziom przez długi czas uchodzi na sucho bycie złymi.

Mógł nadal wpatrywać się we WPROWADŹ HASŁO i rozmyślać o naturze dobra i zła, ale wydarzyło się coś dziwnego i niepokojącego. Słowa zniknęły z ekranu, a po kilku sekundach na czarnym tle pojawiły się dwa nowe, wypisane białymi literami: ZNOWU TY.

## 19

W GABINECIE DOMU NAD JEZIOREM Dorothy Hummel za pomocą filmów opisała swój pełen cudów czas spędzony z Kippem. Zafascynowana Rosa Leon oglądała nagrania jedno po drugim, wciąż w szoku wywołanym wiadomością, że odziedziczyła majątek po zmarłej pracodawczyni.

Dorothy powiedziała do kamery, że kupiła Kippa od hodowcy, gdy miała szesnaście tygodni, i przywiozła do domu szybko rosnącą kulę sierści, pełną energii i ciekawości. Miała wcześniej psy, zawsze golden retrievery, i wiedziała, jak zwykle zachowują się szczenięta. Dzięki temu już po kilku dniach zrozumiała, że Kipp różni się od innych członków swojej rasy.

Karmiła go dwa razy dziennie, o siódmej rano i o wpół do czwartej po południu. Trzeciego dnia Kipp zaczął przychodzić do niej pięć minut przed porami karmienia. Za każdym razem siadał przed nią i delikatnie, grzecznie trącał przednią łapą jej stopę. Dorothy powiedziała, że miała psy z intuicyjnym wyczuciem czasu, ale Kipp co tydzień robił mały krok dalej. Gdy raz się zaczytała, siedząc z podkulonymi nogami w fotelu, nie mógł trącić łapą jej stopy,

a że nie należał do szczekaczy, to gdy nie zwróciła uwagi na jego niecierpliwe dreptanie, poszedł do kuchni, wskoczył na krzesło, wziął ze stołu zostawiony tam przez nią zegarek, przyniósł go w pyszczku i upuścił na jej kolana.

Gdy Dorothy uświadomiła sobie, że przegapiła porę karmienia, była oszołomiona zachowaniem szczeniaka. Podniosła się z fotela i popatrzyła na niego, a on odwzajemnił jej spojrzenie, jakby chciał zapytać: „Co o tym sądzisz?”.

Zawsze mówiła do psów, tak jakby ją rozumiały, i nie było jej ani trochę głupio, gdy spytała Kippa, czy wie, do czego służy zegarek. W odpowiedzi podreptał do łukowatego przejścia między salonem a holem, a gdy do niego dołączyła, zaprowadził ją do szafkowego zegara. Zegarek i zegar. Odwrócił się i pomaszerował do kuchni; Dorothy znalazła go przy drzwiach spiżarni, z nosem wycelowanym w zegar ścienny.

Podniosła iPhone'a ze stołu i nagrała film, który teraz Rosa oglądała na komputerze. Dorothy poprosiła Kippa, by wskazał lodówkę, i pies to zrobił. Poprosiła go, żeby podszedł do zlewu, i znów to samo. Poprosiła, by podszedł do płyty kuchennej, do tylnych drzwi, do zgniatarki śmieci, do drzwi na korytarz, do drzwi do pralni, a on to robił, przez cały czas merdając ogonem.

Nazajutrz Dorothy kupiła kamerę wideo.

Kipp, jakby ogarnęły go wątpliwości co do ujawnienia swojej niezwyklej natury, odmówił powtórzenia występu. Reagował na jej prośby ziewnięciami i zdziwionymi minami, a w końcu odszedł, ułożył się na najbliższym legowisku i zapadł w drzemkę.

W ciągu następnych kilku tygodni ujawnił jednak, że jest psem, który uwielbia opowieści. Nie mógł dłużej udawać głupiego psa.

## 20

ZNOWU TY.

Gdy Woody rozważał te złowieszcze słowa, ślina zalała mu usta, jakby zaraz miał zwymiotować, a serce łomotało w piersi, kiedy wpatrywał się w O w słowie ZNOWU z wrażeniem, że litera jest okiem, które patrzy na niego bez mrugania.



Nie mogą go obserwować. Po pierwsze, zakleił kamerę w swoim komputerze kawałkiem taśmy malarskiej. Poza tym zakradł się do systemu przez wiele central telekomunikacyjnych i nie było możliwości, by wytropili go w tym krótkim czasie, który upłynął od otworzenia witryny.

Dwa słowa zniknęły z ekranu, a od lewej do prawej pojawiły się litery, jakby ktoś wysyłał mu esemesa: N-I-E-J-E-S-T-E-Ś...

Woody z rosnącym przerażeniem patrzył na pełną wiadomość: NIE JESTEŚ ALEXANDREM GORDIUSEM.

Nie mogli dotrzeć do niego przez tyle centrali, nie mogli go namierzyć, nie tak szybko, ale wiedzieli, czyje konto przejął, żeby wejść na stronę.

Słowa zniknęły z ekranu, a ich miejsce zajęły kolejne, ukazujące się litera po literze: ZNAJDZIEMY CIĘ.

Zamknął witrynę, wyszedł z internetu i wyłączył komputer. Obrócił się z fotelem, opadł na kolana, wczołgał się pod biurko i wyciągnął wtyczki komputera, chociaż ten środek ostrożności wydawał się niepotrzebny i bezsensowny.

Najwyraźniej program bezpieczeństwa Tragedii sprawdzał każdego odwiedzającego witrynę. I gdy otwierał ją ktoś, kto nie miał hasła, wysyłał właścicielom ostrzeżenie, że stroną zainteresowała się osoba, która nie figuruje na liście klientów. Wcześniej otworzył stronę dwa razy. Chociaż między tamtymi odwiedzinami a trzecią, dzisiejszą, wizytą minęły miesiące, system bezpieczeństwa już na niego czekał.

Dobra.

W porządku.

Zachowaj spokój. Nie ma powodu, żeby się tym przejmować. Nic się nie stało. *No problem*. Nic, zero, *nada*. W tak krótkim czasie nie mogli go wytropić przez dziewięć central. Poza tym użył kilku innych sztuczek, by zatrzeć ślad. I nigdy, przenigdy tam nie wróci.

Pot wystąpił mu na czoło i Woody'emu zrobiło mu się niedobrze. Potrzebował czegoś na uspokojenie żołądka. Coca-coli. Napije się coli, a potem będzie dobrze.

## KIPP W KRÓLESTWIE NIENAWISTNIKA.

Na kieszeni koszuli mundurowej w kolorze khaki widniało wyszyte imię Frank.

Mężczyzna miał czarne wąsy i brwi tak gęste, jakby były dodatkową parą wąsów. Jego oczy przypominały twarde zielone kuleczki.

Frank pachniał nie tylko nienawiścią. Kipp czuł między innymi woń czosnku, wodę po goleniu z werbeną, kokosowy środek do dezynfekcji rąk, antyperspirant i pomadkę ochronną do ust.

Od butów mężczyzny płynęła świeża woń ludzkiego moczu, co sugerowało, że gdy ostatnio sikał, niezbyt dobrze celował.

W pierwszym pomieszczeniu chaty poza metalowym biurkiem, dwoma krzesłami dla gości, fotelem biurowym i szafkami na akta stał niedźwiedź grizzly.

Wyrzeźbiony z pnia dwumetrowy niedźwiedź stał na tylnych łapach, wyciągając przednie i szczerząc zęby.

Wyglądał tak groźnie, że Kipp zaskomlął, chociaż wiedział, że nie jest prawdziwy.

Najwyraźniej z obawy, że grizzly przewróci się podczas trzęsienia ziemi i kogoś zmiażdży, przymocowano go do ściany dwoma stalowymi prętami, które sterczały z grzbietu.

Frank Nienawistnik przywiązał smycz Kippa do jednego z tych prętów.

Markując uległość, Kipp usiadł u stóp niedźwiedzia i westchnął jakby z rezygnacją.

Cierpliwie czekał na okazję do ucieczki.

Psy są najbardziej cierpliwymi stworzeniami na tej planecie. Spędzają życie na czekaniu: na spacer, na zabawę, na przytulanie przez swoich ludzi.

Niezależnie od tego, jak troskliwi są ich ludzie, psy spędzają więcej czasu na czekaniu niż na działaniu.

I dobrze. Ludzie są zajęci, mają więcej obowiązków niż psy. Niż większość psów.

Frank Nienawistnik obszedł biurko, usiadł na krześle i podniósł słuchawkę telefonu. Wstukał numer.

Gdy ktoś odebrał, powiedział:

– Mam coś dobrego, Fred. Goldena, może rodowodowego. Wygląda jak pies wystawowy.

Przez chwilę słuchał.

– Nie musiałem go kraść. Jest bezpieczny.

Nie jestem bezpieczny, pomyślał Kipp. Jestem sierotą na misji.

– Jeśli będziemy kryć nim każdą goldenkę, jaką uda nam się znaleźć – kontynuował Frank – to będzie jak drukowanie pieniędzy.

Fred coś mu odpowiedział.

– Jest potulny. Wejdzie do klatki i zrobi, co mu każą. Widzimy się za godzinę?

Nienawistnik odłożył słuchawkę i spojrzął nad biurkiem na Kippa. Teraz cuchnął chciwością.

– Pod opieką mojego brata będziesz kryć suki do upadłego, młody. Są gorsze sposoby na życie.

Kipp zrozumiał, że ci dwaj prowadzą fabrykę szceniąt.

Psy w takich pseudohodowlach całe życie spędzają w małych klatkach, źle odżywiane, rzadko wypuszczane, jeśli w ogóle. Brak im opieki weterynaryjnej. Nigdy nie są kąpane, mają zmierzwioną sierść, a w niej pełno kleszczy.

Takie psy żyją w rozpacz. Nie znają czułości ani zabawy. Znają tylko okrucieństwo.

Kipp nie okazał zaniepokojenia. Ziewnął, westchnął i zamknął oczy, jakby chciał się zdrzemnąć.

Może nadchodził czas, kiedy zasady Misterium pozwolą mu ugryźć Franka Nienawistnika.

zostanie milionerką i opiekunką superinteligentnego psa. To wymagało czegoś mocniejszego niż piwo.

Dorothy lubiła wypić przed snem jeden czy dwa koktajle. Miała w gabinecie wbudowaną pod blat lodówkę z kostkarką do lodu. W lodówce wśród innych rzeczy stała cytrynówka.

Rosa znalazła szklankę, wrzuciła do niej trochę lodu i naląła podwójnego shota. Wróciła do fotela i komputera – i do zdumiewających filmów.

Od dnia zegarów Kipp prawie przez dwa tygodnie zgrywał głupiego szczeniaka. Martwił się, że zbyt szybko ujawnił swoją prawdziwą naturę, że może wcale nie powinien był tego robić.

Ci w Misterium mieli różne poglądy na temat tego, komu i kiedy należy ujawnić prawdę. Zasady zabraniały wyjawiania tych rewelacji ludziom, którzy cuchnęli nienawiścią. Mieli dopuszczać do zaufania tylko tych pachnących dobrocią i miłością, bez śladu woni zazdrości czy chciwości.

Młody Kipp nie wątpił, że Dorothy jest prawą osobą, ale postąpił impulsywnie, robiąc sztuczki z zegarami, a później inne. Według Misterium ludzi należy starannie przygotować na to objawienie. Radzili sobie z tym lepiej, jeśli powoli zaczęli podejrzewać, że mają do czynienia z psem, który jest więcej niż psem.

Utrzymanie tej wielkiej tajemnicy przez lata czy choćby miesiące okazało się dla Kippa niemożliwe – z powodu opowieści. Dorothy przez całe życie z zapalem czytała książki, podobnie jak jej mąż, Arthur. Książki były głównym elementem wystroju ich domu, który w efekcie sprawiał takie wrażenie, jakby zbudowano go wokół regałów z książkami. Gdy Dorothy gotowała albo układała duże puzzle, nie słuchała muzyki, tylko audiobooków. Kipp nie był w stanie ukryć, że fascynuje go głos lektora. Niezależnie od tego, czy siedział, czy leżał wyciągnięty w takiej lub innej pozycji, wpatrywał się w odtwarzacz MP3. Nigdy nie drzemał, gdy leciała książka. Dorothy obserwowała go ukradkiem i widziała, jak bardzo zaskakują go nieoczekiwane zwroty akcji, jak naładowane emocjami sceny sprawiają, że ziejże, skowyczy albo posapuje, zawsze w sposób odpowiedni do sytuacji bohaterów.

Spędzając grudniowy dzień w kuchni, zajęta szykowaniem potraw na zbliżające się święta, Dorothy słuchała *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa.

W trakcie rozdziału zatytułowanego *Ostatni duch*, kiedy Duch nadchodzących świąt Bożego Narodzenia sprowadza Scrooge'a do domu Cratchitów w dniu śmierci Tiny Tima, Kipp przeniósł się na drugi koniec kuchni i usiadł w kącie pyskiem do ściany z nisko zwieszonym łbem. Dorothy obserwowała go przez chwilę, po czym zatrzymała odtwarzanie, by zapytać, czy jest smutny. Kipp odwrócił łeb, spojrzął na nią i żałośnie zaskomlał.

Słuchając nagrania Dorothy, Rosa pomyślała, że ta historia zauroczyła ją tak, jak *Opowieść wigilijna* zauroczyła Kippa. Zastanawiała się, dlaczego nie ma wątpliwości, że jej pracodawczyni opowiada o prawdziwych wydarzeniach. Przede wszystkim Dorothy nie miała urojeń ani nie kłamała. Rosa przypominała sobie chwile, kiedy sama była oczarowana Kippem, zachowującym się zupełnie inaczej niż przeciętny pies. Niekiedy wykazywał się taką bystrością, że budziło to w niej przelotny niepokój. Intuicyjnie wiedziała, że Kipp ma w sobie coś cudownie dziwnego, ale ciężkie życie skłaniało ją do odrzucenia wiary w magię na tym świecie i zawsze odwoływała się do chłodnego rozsądku.

Na ekranie komputera uśmiechnięta Dorothy mówiła:

„Wy tłumaczyłam mu, że Duch przyszłych świąt Bożego Narodzenia pokazuje Scrooge'owi nie to, co będzie, ale to, co może się stać. Położyłam odtwarzacz na podłodze i powiedziałam, że Tiny Tim nie umrze i że odtworzę mu resztę książki pod warunkiem, że przestanie udawać zwyczajnego psa”.

Tu Dorothy pokręciła głową.

„Podbiegł do odtwarzacza i stanął, wpatrując się w niego i szaleńczo machając ogonem. Włączyłam urządzenie, a on siedział i słuchał bez ruchu. Tamtego wieczoru zaprojektowałam dość prymitywną wersję obsługiwanego pedałem wskaźnika laserowego. Z czasem udoskonaliłam ten wskaźnik i Kipp używał go do podświetlania liter alfabetu, by ze mną rozmawiać. Muszę ci powiedzieć, Roso, że czułam się jak zaczarowane dziecko z bajki albo mała dziewczynka z filmu Spielberga i zastanawiałam się, czy nie zwariowałam, czy nie jestem zdziecinniałą starowinką, która już nie może ufać swoim zmysłom. Ale jeśli miałam w sobie coś dziecinnego, to tylko pragnienie cudu i poznania fantastycznej prawdy o Kippie”.

UMIESZCZANIE WYRZEŻBIONEGO GRIZZLY NA kempingu w Kalifornii było głupim pomysłem. Może po tutejszych górach wędrowały niedźwiedzie brunatne i czarne, ale nie grizzly.

W jakim celu go tu ustawiono?

Żeby straszyl przyjezdnych i psuł interesy właścicielom kempingu?

Chociaż psy żyły z ludźmi od tysięcy lat, Kippa zdumiewało wiele rzeczy, które robili ludzie – ogromne drewniane niedźwiedzie grizzly nie bardziej ani mniej niż sztuka abstrakcyjna czy kolczyki w nosie.

Gorsze od niedźwiedzia grizzly było to, że niebawem do Franka Nienawistnika dołączy jego brat Fred, który pewnie również był Nienawistnikiem.

Nawet pies o znacznie zwiększonej inteligencji może mieć kłopot z ucieczką z klatki w fabryce szceniąt.

Smycz, którą Frank przywiązał go do drewnianego niedźwiedzia, miała dwa i pół, może trzy metry długości. Kipp zdołał się odwrócić i chwycić ją w pysk.

Materiał okazał się twardy, ale jego zęby sprostają zadaniu. Żuł i szarpał energicznie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – odezwał się Frank Nienawistnik z fotela.

Nawet gdyby Kipp mógł mówić, nie przerwałby żucia, by wyjawić zamiar uciezki.

Jeśli pytanie nie było retoryczne, Frank był jeszcze głupszy, niż na to wyglądał.

– Znam się na takich jak ty, psie. Wiem, jak się z wami obchodzić.

Zielone oczka błyskały pod brwiami wielkości wąsów, gdy Nienawistnik wychodził zza biurka.

Kipp warknął, wciąż przeżuując smycz.

Gdy Nienawistnik spróbował chwycić za obrozę, Kipp obrócił się pyskiem w jego stronę; warczał i coraz bardziej zaciekle żuł.

– Zamknę cię w łazience i będziesz tam siedział, dopóki nie zjawi się Fred. – Frank wyciągnął rękę, by odwiązać smycz od stalowego pręta za niedźwiedziem.

Kipp puścił smycz i ryknął na porywacza. Nie miał zamiaru ugryźć, chciał go tylko wystraszyć.

Mężczyzna, który nagle zaczął cuchnąć gniewem i nienawiścią, cofnął się o kilka kroków.

Zdjął pasek i zacisnął go w prawej garści. Sprzączka zwisała na wolnym końcu.

– Zaraz dam ci nauczkę – wycedził przez zęby.

Gdy zamachnął się pasem, sprzączka ominęła Kippa i uderzyła w drewnianego niedźwiedzia.

– Leżeć! – rozkazał.

Kipp nie położył się, tylko warczał i szczyrzył zęby.

– Leżeć! Leżeć, do cholery! – wrzasnął Nienawistnik. Uniósł wysoko prawą rękę, zamierzając uderzyć mocniej, celniej, może nie jeden raz.

Akurat wtedy otworzyły się drzwi i wszedł nieznajomy.

– Hola, co ty robisz?! – zawołał.

– Trzymaj się z tyłu – rzucił Frank Nienawistnik. – Mam tu cholernie złośliwego psa. To na wpół dziki przybłąda.

Machając ogonem, Kipp zaskomlał tak żałośnie, jak tylko potrafił, i skulił się pod uniesioną pięścią Nienawistnika.

– Nigdy nie bij psa – powiedział przybysz.

Smród gniewu stawał się coraz intensywniejszy. Frank był teraz wściekły na nich obu, na Kippa i nieznajomego.

– Zabieraj stąd dupę, zanim cię w nią użre – warknął. – I zostaw to mnie.

– Odejdę, ale z psem – oświadczył stanowczo mężczyzna, stając między Kippem a Frankiem.

– Twój pies? Jest bezpański. Nie ma tabliczki na obroży.

Odwijając smycz od stalowego pręta, przybysz powiedział:

– To mój pies.

– Akurat, do cholery.

– Jeśli jeszcze raz go uderzysz, klnę się na Boga, że zacisnę ten pasek na twojej szyi tak mocno, że gały wyskoczą ci z orbit.

Oprócz woni czosnku, płynu po goleniu z werbeną, kokosowego płynu do dezynfekcji rąk, antyperspirantu, pomadki ochronnej do ust, obsikanych butów, gniewu i nienawiści, od Franka bił też ten szczególny zapach strachu, który miał cierpki posmak i był nazywany tchórzostwem.

– Na tym kempingu nie wolno mieć psów! – wrzasnął Nienawistnik. – Tak było zawsze i mam zamiar dopilnować, żeby nic się nie zmieniło. Nie będziesz miał tu psa na mojej zmianie.

Nieznajomy przeczytał imię na jego koszulce.

– Nie zamelduję się, Frank. Anuluj rezerwację na nazwisko Hawkins.

– Skoro jeszcze się nie zameldowałeś, to nie może być twój pies.

Ignorując mężczyznę, przybysz uśmiechnął się do Kippa.

– Chodź, piesku, spadajmy stąd.

Gdy otworzył drzwi, Frank podjął ostatnią próbę pokazania, kto tu rządzi.

– To nie jest twój pies.

– Załóż pasek, zanim spadną ci spodnie, Frank. Jeszcze nie jadłem kolacji, więc nie psuj mi apetytu.

## 24

ROSA SIEDZIAŁA PRZEZ KILKA MINUT rozpalona najdziwniejszymi emocjami. Oglądanie nagrań pogłębiło jej smutek, chociaż filmy, na których Dorothy porozumiewała się z Kippem za pomocą liter na ścianie i wskaźnika laserowego, były urzekające i wesołe. Smutek konkurował z radosnym uniesieniem w sposób, jakiego Rosa nigdy wcześniej nie doznała. Zadziwienie pochodzące z głowy i zdumienie płynące z serca przekształciły się w podziw, który ciążył jej tak bardzo, że nie mogła wstać z krzesła. Ale wreszcie się podniosła.

Podeszła do ściany z alfabetem i wpatrywała się w nią przez parę minut, po czym uklękła przed wskaźnikiem. Dorothy zaprojektowała urządzenie, a skonstruował je miejscowy mechanik, John Cobb. Pan Cobb zachodził w głowę, po co jej coś takiego. Powiedziała mu, że wykorzysta je w sali lekcyjnej, i nic więcej nie dodała, poza tym, że po okresie prób zamierza złożyć



wniosek patentowy. Kłamstwo usatysfakcjonowało Cobba, co może by się nie udało, gdyby Dorothy wyjawiała prawdę: że potrzebuje wskaźnika do rozmawiania z psem.

Przycisk na środkowej kolumnie włączał wskaźnik i silnik. Zamontowany na przegubie wskaźnik obrócił się i na literze A zapłonęła czerwona kropka. Urządzeniem sterowały cztery nachylone pedały. Od lewej do prawej: pierwszy przesunął czerwoną kropkę w górę, drugi w dół, trzeci w lewo, czwarty w prawo. Zostały zaprojektowane do naciskania łapą, ale ręka Rosy sprawdziła się równie dobrze.

Przypominając sobie to, co widziała na jednym z filmów, chciała się przekonać, jak pracochłonna była ta metoda komunikacji. Rosa układała odpowiedź na pytanie, które Dorothy zadała Kippowi: „Mówisz, że możesz porozumiewać się z innymi przedstawicielami swojego rodzaju na dowolną odległość. Ale jak?”.

Rosa zaczęła wybierać pedałami kolejne litery, jak zrobił to Kipp. Dorothy zapisała jego odpowiedź, a Rosa ją teraz kopiowała.

TELEPATIA. KORZYSTAJĄ Z NIEJ PTAKI, DZIĘKI CZEMU CAŁE STADO MOŻE W JEDNEJ CHWILI ZMIENIĆ KIERUNEK LOTU. SŁONIE KONTAKTUJĄ SIĘ W PODOBNY SPOSÓB I DLATEGO ŚCIAGAJĄ Z DALEKA DO UMIERAJĄCEGO OSOBNIKA. ALE TELEPATIA MISTERIUM JEST ZNACZNIE SILNIEJSZA. NAZYWAMY JĄ „TELEGRAFEM”.

Pierwsi z ich rodzaju nauczyli się angielskiego w jakimś laboratorium genetycznym, w którym zostali stworzeni, albo po ucieczce, słuchając opiekujących się nimi ludzi. Prawda zaginęła we mgle ich stworzenia. Obecnie młode psy uczyły się języka i otrzymywały pakiety wiedzy od starszych przez Telegraf; przyswajały tę wiedzę w ciągu zaledwie kilku minut, co trochę przypominało instalację nowego oprogramowania.

Wielu znawców zaawansowanych technologii, jak ekstrawagancki Elon Musk i mniej znany Ray Kurzweil, marzą o Osobliwości, o momencie, kiedy inteligencja ludzi i maszyn połączy się, zapoczątkowując epokę postczłowieka. Twierdzą, że wzmocnione ludzkie mózgi ze wstrzykniętą „koronką nerwową” (*neural lace*) będą łączyć się ze sobą za pomocą telepatii i błyskawicznie dzielić

się rozległą wiedzą i teoriami, których jedna osoba musiałaby uczyć drugą przez całe lata.

Misterium osiągnęło przynajmniej ten jeden cel Osobliwości, i to bez stawania się częściowo maszynami. Jego członkowie nie wiedzieli, jak do tego doszło, czy ich twórcy tego chcieli, czy może telepatia była nieoczekiwanym skutkiem inżynierii genetycznej, która zwiększyła ich inteligencję. Jakkolwiek było, nie czuli potrzeby, żeby łamać sobie nad tym głowy.

Rosa wyłączyła wskaźnik i stała przez chwilę, podekscytowana myślą o odszukaniu rozpaczającego Kippa i o próbie rozpoczęcia wspólnego życia. Kipp kochał Dorothy całym swoim psim sercem. Jej, Rosy, nikt nigdy nie darzył taką miłością. Wątpiła, czy to w ogóle jest możliwe. Nie była wyjątkowa jak Dorothy i liczyła się z tym, że sprawi Kippowi zawód.

Podeszła do okien, z których roztaczał się widok na las. Pochmurny dzień przechodził we wczesny zmierzch. Mgła unosiła się nad jeziorem, skradała pod górę między drzewami i miliony maleńkich kropelek migotały w resztkach światła dziennego, fosforyzując, jakby były widmowym blaskiem armii grasujących duchów.

Może dlatego, że ojciec ją porzucił i nazwał „pomyłką pomyłki”, a matka jej nie kochała, że nie zaznała rodzicielskiej miłości, która mogłaby ją nauczyć zdobywania przyjaciół, Rosa Leon nie tylko zachwycała się cudem Kippa i Misterium, ale także czuła samotność, która na pewno im doskwierała, mimo że łączyła ich silna więź telepatyczna.

Było ich tylko osiemdziesięciu sześciu, tworzyli maleńką społeczność, więc z pewnością na jakimś poziomie nękał ich lęk przed wymarciem. Nowi członkowie pojawiali się na Telegrafie tak rzadko, że należało założyć, że sekwencja genów, która uczyniła ich wyjątkowymi wśród innych psów, niełatwo przechodzi z pokolenia na pokolenie. Dorothy i Kipp zdołali ustalić, że z całego miotu tylko on był Misterianinem.

Chociaż ktoś taki mógł pojawić się w miocie splodzonym przez dwa zwyczajne psy, byłoby to rzadkością, dojściem do głosu misteriańskich genów recesywnych u samca lub samicy. W rezultacie w Misterium przez pewien czas obowiązywały procedury, które nakazywały dobieranie się w pary w obrębie własnej społeczności. Ale ponieważ liczba samców nie zawsze równała się

liczbie samic, niektórzy nie mogli liczyć na partnera. W tej chwili było więcej psów niż suk.

Rozwój ich społeczności hamowały dwa inne ograniczenia. Po pierwsze, monogamia. Natura zna wiele gatunków, które łączą się w pary na całe życie. Zwykle nie odnosi się to do psów, ale Misterianie zdecydowali, że będą wierni swoim partnerom, może w przeciwieństwie do większej części ludzi. Po drugie, z jakiegoś powodu niektóre osobniki były bezpłodne, a suki rzadko się szczeniły, przy czym miot liczył nie więcej niż trzy szczenięta; często w ogóle nie można było mówić o miocie, bo rodziło się tylko jedno szczenię.

Bez perspektyw na partnerkę i po stracie ukochanej ludzkiej towarzyszki, Kipp miał tylko społeczność Telegrafu. Telepatyczne kontakty były bezcenne, ale nie wystarczały stworzeniu tak bardzo towarzyskiemu jak on.

Zdaniem Rosy zasługiwał na kogoś lepszego niż ona.

Westchnęła.

– Ale nie masz nikogo innego, drogi Kippie.

Gdy wznosząca się mgła wypełzła spomiędzy sosen i dotarła do podwórka przed kamiennym tarasem, Rosa odwróciła się od okna i ruszyła na poszukiwanie pogrążonego w żałobie psa, który był nie tylko psem. Miała go pielęgnować i chronić jak dziecko.

Zaczęła od kuchni, ponieważ kuchnia i biblioteka były jego ulubionymi pomieszczeniami. Wcześniej, zanim udała się do domu pogrzebowego, by załatwić formalności i być przy kremacji, postawiła miskę z jedzeniem dla Kippa i drugą ze świeżą wodą. Obie były nietknięte.

Może smutek odebrał mu apetyt, chociaż goldeny są łakomczuchami. Ale przecież potrzebują wody.

Zaniepokojona, choć jeszcze nie zmartwiona, przechodziła z pokoju do pokoju na parterze, wołając go. Echo jej głosu odbijało się od ścian, niesamowicie głucho, jakby wszystkie meble zostały usunięte, okna zabite deskami, a dom pozostawiono bezlitosnemu biegowi czasu i rozkładowi.

Wchodząc na piętro, nawoływała psa raz za razem.

– Kipp! Gdzie jesteś, Kipp?

Niepokój przerodził się w strach, w okropne przerażenie, że nie zdołała wypełnić powierzonego jej obowiązku. Przeszukiwała pokój po pokoju, szafy, korytarze, zaglądając pod i za meble, przeszła dom od góry do dołu, od krańca do krańca, od frontu do tyłu, ale nie znalazła Kippa. Przepadł bez śladu.

## 25

KIPP Z ZAPIĘTYMI PASAMI BEZPIECZEŃSTWA siedział na fotelu pasażera w range roverze. Podobał mu się zapach jego wybawcy.

Czuł między innymi życzliwość, pewność siebie, odrobinę mydła, świeży miętowy zapach gumy do żucia, aromatyczny sok zdeptanej dzikiej trawy na podszwach jego butów i bardzo mało woskowiny w uszach.

Ani śladu płynu po goleniu, moczu czy kokosowego środka dezynfekującego do rąk.

Gdy jechali z kempingu w kierunku drogi stanowej, mężczyzna powiedział:

– Dzięki mamie i tacie mam na imię Brenaden. Ale ci, którzy wołają nie ryzykować, mówią mi Ben.

W biurze na kempingu powiedział Frankowi Nienawistnikowi, żeby anulował rezerwację na nazwisko Hawkins. A więc Ben Hawkins.

– A na ciebie jak wołają? – zapytał Ben.

Kipp uśmiechnął się do niego.

– Jesteś silnym, cichym typem, co?

Skręcili na północny zachód. To dobrze. Szemrzące przez Telegraf myśli chłopca dobiegały z tamtego kierunku.

– Wymyślę dla ciebie imię. Jestem dobry w nazywaniu.

Kipp pochylił się w pasach, żeby obwąchać schowek. Było w nim coś w rodzaju krakersów serowych.

– Ale bez pośpiechu. Imiona są ważne. W mojej pracy muszę wymyślać mnóstwo wpadających w ucho nazwisk.

Kipp czuł też zapach masła orzechowego w schowku.

– Piszę powieści – kontynuował Ben. – A ty czym się zajmujesz?

Żeby przekazywać Dorothy pewne emocje, Kipp opracował kilka specjalnych odgłosów. Na znak rozbawienia wydawał cichy, szybki, dyszący dźwięk: Heh-heh-heh-heh-heh.

– Należałem do Navy SEALs. Kiedy się zaciągnąłem, nie miałem pojęcia, ilu ludzi będzie do mnie strzelać. Więc jakieś osiem lat później, gdy mimo wszystko żyłem, postanowiłem zmienić zawód.

Kipp oderwał wzrok od schowka, przechylił łeb i z zaciekawieniem przyjrzał się wybawcy.

– Teraz biorą mnie na cel niektórzy krytycy literaccy, ale nikogo nie zabijają. Chociaż podejrzewam, że jeden ma zwłoki zakopane w piwnicy.

Natura jest pełna wzorów, a życie pełne zbiegów okoliczności. Kipp zawsze wierzył w przeznaczenie.

Dorothy kochała książki.

Kipp przejął od niej zamiłowanie do opowieści.

A teraz spotkał pisarza.

Będącego również wojownikiem. Jeśli przeznaczenie maczało w tym palce, bojowy aspekt Bena Hawkinsa był prawdopodobnie równie ważny jak ten literacki.

Co oznaczało, że być może nadciągają poważne kłopoty.

– Robi się późno na rozbijanie obozu.

Lasy po obu stronach autostrady coraz bardziej pograżały się w mroku.

– Znajdziemy motel. Jeśli psy nie mają tam wstępu, będziesz musiał użyć swojej peleryny niewidki.

Kipp z heh-heh-heh-heh-heh wywinął się z ukośnego pasa i położył na fotelu poniżej poziomu szyby.

Ben przez prawie minutę jechał w milczeniu, co rusz zerkając na pasażera.

– Jest w tobie coś dziwnego, Rin Tin Tin.

Kipp raczej burknął, niż warknął.

– Nie podoba ci się to imię?

Burknął.

– W porządku. Znajdziemy lepsze, Scooby-Doo.

Heh-heh-heh-heh-heh.

W JEDNYM PIEKARNIKU DOCHODZIŁA PIECZEŃ, w drugim zapiekanka z ziemniakami i serem wyglądała na prawie gotową do wyjęcia, a na stole stał półmisek muffinów z lukrem cytrynowym. W lodówce czekała miska sałatki jajecznej, filety z kurczaka w marynacie, oczyszczony kalafior oraz obrana i pokrojona w plasterki marchewka.

Verna Brickit, gospodyni przychodząca trzy razy w tygodniu – idealna do roli w starym filmie *Ma and Pa Kettle*, gdyby Hollywood zdecydowało się na remake – myśla naczynia, podczas gdy Megan wycierała je i odkładała.

Obie zmywarki zostały wyprodukowane po tym, jak rząd zatwierdził przepisy o ograniczeniu zużycia wody i prądu, więc niezupełnie spełniały swoją funkcję. Ich główne zadanie polegało na zapełnieniu dwóch pustych miejsc w zestawie mebli kuchennych.

– Dlaczego ludzie, którzy nigdy w życiu nie zaprojektowali użytecznej maszyny, są przekonani, że wiedzą, jak powinna działać zmywarka? – zapytała Verna.

– To się bierze z dumy i pychy – powiedziała Megan.

– Bodaj ich zaraza! I tylko mi nie mów o toaletach. Czy będą jeszcze takie, w których wystarczy jedno spłukanie, czy raczej jestem skazana na zespół cieśni prawego nadgarstka?

– Nawet mi o tym nie mów.

Verna nie zagłosowała na żadną z partii politycznych. Czekwała na utworzenie nowej, którą nazwała Partią Cholernie Zdrowego Rozsądku.

– Poleciałabyś na Marsa z grupą idiotów, którzy myślą, że mogą go jutro skolonizować? – spytała.

– Nie poleciałabym na Marsa nawet z ekipą największych geniuszy wszech czasów – odparła Megan, wycierając durszlak. – Lubię mieć powietrze do oddychania.

– Widziałam w telewizji, że ten chiński miliarder chce założyć kolonię na Marsie za siedem do dziesięciu lat, żeby ludzkość nie uległa zagładzie, jeśli asteroida uderzy w Ziemię albo wojna nuklearna spustoszy planetę. Do licha, na

Marsie jest mniej więcej tyle wody, ile wystarczy do dwukrotnego splukania sedesu, a on myśli, że to wspaniałe miejsce do życia.

– Niektórym kolejne zdobyte miliardy przydają coraz większej pewności siebie.

– Będę się pilnować, gdy zarobię swój pierwszy miliard. – Verna położyła na suszarce ostatnie naczynie, dużą miskę. – Pieczeń z ziemniakami powinna być gotowa za kilka minut. Wystawię je, żeby ostygły, i znikam.

– Pozdrów ode mnie Sama.

– Odgrzązał się, że dziś po południu sam naprawi kosiarkę. Chcę wrócić do domu, póki jeszcze ma obie ręce.

Verna podniosła dużą foliową torbę ze śmieciami, żeby wynieść ją na zewnątrz do kosza, a Megan powiesiła wilgotną ścierkę do naczyń na wieszaku.

– Do zobaczenia w piątek – rzuciła.

– Powiedz Woody’emu, że upiekłam specjalnie dla niego muffiny. Zjedz też parę, chudzielcu.

– Założę się, że na Marsie nie mają muffinów.

Verna otworzyła tylne drzwi.

– Na Marsie gówno mają. – Przystanęła, odwróciła się do Megan i dodała: – Nic nie mówiłam o obrazie, nad którym pracujesz, tym z Woodym i jeleniami, ale jest już prawie gotowy... – Zawahała się. – Nie jestem nadętym krytykiem sztuki, więc może nie wiem, o czym mówię.

– Większość nadętych krytyków sztuki nie ma pojęcia, o czym mówi. Masz oczy. Więc mów. Nie obrażę się.

– Ano powiem ci, że to cholernie dobrze, że wróciłaś do Pinehaven. Tu uzdrowiłaś serce i osiągnęłaś pełnię swojej duszy. Nigdzie indziej na namalowałabyś czegoś równie dobrego.

– Dziękuję, Verno. To bardzo miłe.

– Żałuję, że twoja matka nie dożyła, żeby poznać Woody’ego i zobaczyć ten obraz. Przyprawia człowieka o dreszcze, porządne dreszcze.

Sarah Grassley zmarła na białaczkę, gdy Megan miała piętnaście lat. Ojciec ożenił się ponownie pięć lat później i mieszkał teraz na Florydzie z nową rodziną.

Nie odcięła się od niego i żałowała, że nie są sobie bliźsi, ale ojciec był oschłym człowiekiem. Miała wrażenie, że odnosi się do niej bardziej jak wuj.

Verna wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

Megan od dłuższego czasu nie widziała Woody'ego, więc poszła na górę sprawdzić, czy wszystko w porządku.

## 27

PO SZALEŃSTWIE Z JUSTINE W DZIKIEJ trawie Lee Shacket, kierując się zapachem wilgoci i szumem, idzie nad strumień płynący przez łąkę. Klęka na brzegu.

Nasycił się. Jego kończyny są ociężałe, a myśli powolne. Nigdy nie czuł się bardziej spełniony.

Płynąca woda w gasnącym świetle nie jest dobrym lustrem, więc jego odbicie jest niewyraźne i zniekształcone, a oczodoły wydają się puste.

Przeciąga ręką po wodzie, jakby mógł wygładzić jej pomarszczoną powierzchnię i zobaczyć siebie wyraźniej.

Zmywa krew z włosów, z twarzy. Składa dłonie, czerpie wodę ze strumienia i pije. Początkowo ma smak krwi, ale szybko go traci.

Zdejmuje czarną skórzaną kurtkę. Odpina szelki z kaburą i odkłada je razem z pistoletem. Zrzuca poplamioną koszulę.

Podkoszulek i dżinsy są zakrwawione, choć nieznacznie. Poza tym jedno i drugie jest czarne, więc plamy nie rzucają się w oczy.

Co więcej, pociąga go ten zapach. Na wpół metaliczny. Różniący się od wszystkich innych woni. Ekscytujący aromat siły, dominacji, triumfu.

Chce opuścić łąkę zwycięski, pójść do lasu, znaleźć bezpieczne miejsce, zwinąć się w kłębek i spać.

Stoi nad brzegiem strumienia, wpatrując się w rosnące dalej drzewa, w cienie pnące się wokół pni w korony, w serpentarium cieni.

W nim i wokół niego gromadzi się ciemność. Shacket wyczuwa, że różni się ona od wszystkich innych wcześniejszych ciemności. Ta będzie szczodra



i gościnna, w niej wreszcie poczuje się jak w domu i nigdy więcej nie będzie ofiarą.

Z czasem dotrze do Kostaryki i będzie miał pieniądze na wszystko, czego zapagnie – na cokolwiek, na kogokolwiek – ale teraz musi paść w objęcia ciemności i snu.

Nagle spogląda na leżący u jego stóp pistolet w kaburze i przypomina mu się Megan Bookman, jak potraktowała go kiedyś i dzisiaj po południu w rozmowie telefonicznej.

Nie może tolerować takiego braku szacunku. Jeśli pozwalasz, żeby cię nie szanowano, jesteś słaby. Słabi nieuchronnie stają się ofiarami. Ofiary umierają. Ofiary giną od zębów i pazurów.

Zostawia kaburę, zabiera pistolet, podnosi czarną kurtkę i rusza przez łąkę.

Myśli, że wraca do samochodu, ale nagle zdaje sobie sprawę, że stoi nad martwą kobietą – Justine.

Na widok zmasakrowanego ciała ogarnia go obłąkańcza radość, poczucie niezmiernej wyższości. Z jego gardła wyrывa się chrapliwe rżenie.

No bo kim ona była?

Po prostu kolejną seksowną dziewczyną.

Łatwą do wzięcia, łatwą do ujeżdżenia.

Przez całe życie pozwalał, żeby takie dziewczyny mu odmawiały. Nigdy nie powinien do tego dopuścić. Już nie będą miały takiej możliwości.

Nagle podniecenie wyrывa go z letargu. Shacket unosi ciężkie powieki i szeroko otwiera oczy, zdumiony tym, czym się staje.

Pluje na jej szczątki raz i drugi.

Niezupełnie pewny, co chce zrobić, sika na zwłoki. Strumień jest silny i pachnący.

Ta zwierzyna należy do niego. Nic innego jej nie zechce. Nic się o nią nie upomni.

Shacket idzie przez wysoką trawę do ciała mężczyzny, któremu mięśnie w niczym nie pomogły. Znowu sika.

Jest odnowiony. Zapina rozporok. Mknie po wysokiej skarpie na jezdnię, gdzie czekają dwa pojazdy, jak coś, co może żyć pod mostami w oczekiwaniu na

przechodzące dzieci.

Zjeżdża dodge'em z jednej drogi stanowej na drugą i zmierza na północ ku temu, co nieodparcie go wabi, w stronę kobiety, która zawsze powinna należeć do niego.

Już niedaleko. Zna jej adres. Widział jej dom w Google Earth i Google Street View.

Od śmierci Jasona śledzi Megan, królową lodu. Lepiej niż ona wie, czego jej potrzeba, i zbudzi w niej pragnienie sprawiania mu przyjemności.

W pół godziny dociera do Pinehaven, przejeżdża przez miasto i jedzie drogą stanową, aż po lewej stronie dostrzega jej dom. Już chce skręcić na podjazd, gdy uświadamia sobie, że zbytnia śmiałość byłaby błędem.

Mija dom. Niespełna czterysta metrów dalej dostrzega wąską leśną drogę. Zjeżdża ze stanówki i parkuje w głębokim cieniu wiekowych sosen.

Wysiada z auta i stoi, wdychając przyjemnie chłodne powietrze, aromat sosen i ściółki. Czuje też zapach zwierząt skulonych w zaroślach; nie potrafi ich odróżnić i nazwać, chociaż może pewnego dnia posiadać tę umiejętność.

Tu, między drogą stanową a dziczą, jest stworzeniem z dwóch światów. Może niektórzy podlegający tak głębokiej przemianie byliby zmartwieni, że wkrótce nie będą należeć do żadnego ze światów. Shacket nie wątpi, że będzie pasował do obu, zdominuje oba.

Miliardy zaprogramowanych archeonów, które wciągnął do płuc z powietrzem w ośrodku w Utah, roiły się w jego krwi, ciele, kościach i mózgu, bezustannie pracując, wprowadzając nowy materiał genetyczny do każdej komórki. Nie ma pojęcia, co to za materiał. Ale naukowcy z laboratoriów w Springville u wszystkich gatunków – od grzybów przez owady po kręgowce niższe – zidentyfikowali te pożyteczne geny, które, jak wierzyli, wzmocnią ludzki układ odpornościowy i przyczynią się do znacznego wydłużenia życia.

Mieli jak najlepsze intencje, a intencje są ważne.

A teraz tamci nie żyją, spopieleni, bo jakiś cholerny głupiec spanikował i nacisnął przycisk zagłady, przekonany, że uwolnienie zaprogramowanych archeonów do środowiska wywoła genetyczną plagę. Ale Shacket wie, że archeony nie są bakteriami; nie mogą replikować tego szczególnego materiału genetycznego, który wniosły ze sobą do jego organizmu. Cokolwiek to było,

ładunek był jednorazowy. Jeśli on jest zarażony, nie spowoduje katastrofy biologicznej, nikogo nie zarazi, podobnie jak nie mogą tego zrobić archeony zaprogramowane w taki sposób, by nie były zdolne do rozmnażania i szybko ginęły.

Tak czy inaczej, nie ma żadnej katastrofy biologicznej, a on jest silniejszy niż kiedykolwiek. Jego słuch i węch z godziny na godzinę coraz bardziej się wyostają.

Zwłaszcza wzrok. Gdy Shacket odwraca się, by spojrzeć w las, z gęstniejących cieni wyłaniają się elementy leśnego pejzażu. Być może tak widzi kot. Koty dzięki wielowarstwowym lusterkom za siatkówką doskonale widzą w nocy.

A jakie tajemnice nocy mogą dostrzec złożone z wielu faset metalicznie połyskujące oczy niektórych żyjących w mroku ciem?

Shacket nie jest bombą biologiczną. Jest triumfem nauki, człowiekiem, który staje się kimś więcej, jedynym takim na świecie, zmierzającym ku dominacji.

Zostawia kurtkę w samochodzie i z pistoletem u boku przecina dwa asfaltowe pasy, by wejść do lasu po drugiej stronie drogi.

Kierując się nieomylnymi zmysłami, których wcześniej nie posiadał, kluczy między drzewami i wychodzi na boczny trawnik posiadłości Megan Bookman. Dom znajduje się jakieś trzydzieści metrów stąd.

Shacket przygląda się oknom – jedno są zasłonięte, inne nie. Nie dostrzega ani twarzy, ani ruchu. W domu panuje cisza.

Przechodzi przez podwórko i przesuwa się wzdłuż boku domu. Zbliży się do tylnej werandy w chwili, gdy kobieta – nie Megan, najwyraźniej gospodyni – wychodzi z czymś, co wygląda jak worek ze śmieciami.

Kobieta nie patrzy w jego stronę; schodzi po stopniach, skręca i oddala się od niego. Jest starsza i mało go interesuje, chyba że będzie musiał ją zabić, jeśli go zobaczy.

Nie chce jej zabijać, bo pewnie nie dałby rady zrobić tego po cichu. Chce, by Megan dowiedziała się o jego obecności dopiero wtedy, gdy w nocy wślizgnie się nagi do jej łóżka i ją zbudzi.

W chwili, gdy gospodyni znika mu z oczu, przeskakuje przez balustradę na werandę. Zbliży się do drzwi, które zostawiła otwarte, i wchodzi do kuchni.

Kuchnia jest jasna, czysta i ciepła. W powietrzu unoszą się aromatyczne zapachy.

Słyszy trzask pokrywy kosza na śmieci. Starsza kobieta tu wróci.

Shacket wychodzi przez wahadłowe drzwi do holu. Zamyka je za sobą, stoi i nasłuchuje. Nic nie mąci ciszy. Po chwili gospodyni wraca do kuchni i zajmuje się ostatnimi obowiązkami.

Dom jest duży, chociaż nie na tyle, żeby mieszkańcy potrzebowali stałej pomocy. Gdy gospodyni wyjdzie, w domu zostaną tylko Megan, niemy chłopiec i on.

Wtedy ta suka zapłaci za okazany mu brak szacunku.

Idąc ku schodom, widzi po lewej stronie boczny korytarz. Na ścianach wiszą obrazy Megan.

Oglądał jej prace online, ale nie przemawiały do niego.

Teraz wydają się jeszcze bardziej absurdalne i dziecinne. Nie może zrozumieć, dlaczego ktoś chce je kupować, chyba że do palenia w piecu.

Najwyraźniej Megan nie przebudziła się do nowego świata, który nadciąga z nieubłaganą furią.

Technologia pędzi naprzód, a wraz z nią rozwija się oświecone myślenie, skostniałe społeczeństwo ulega przemianie i przestarzałe zwyczaje trafiają na śmietnik historii, ekscytujące nowe normy społeczne zastępują stare; dawne cnoty zaczynają być postrzegane jako słabości, a surowa władza jest słusznie rozumiana jako jedyna pozostała cnota – niedługo wiele trzeba będzie spalić. Podrzec i spalić, zburzyć i rozbić w pył. Świetlanej przyszłości nie można budować na przeszłości pełnej ignorancji i błędów. Żeby zbudować jaśniejsze jutro, trzeba zejść do miejsca ciemniejszego od ciemności, by krwią i destrukcją oczyścić zepsuty świat.

Gdy dociera do końca korytarza, jest przekonany, że obrazy Megan dowodzą, że nie przebudziła się do lepszego świata, który może nastać – i nastanie.

On ją przebudzi.

## Bella na Telegrafie

BELLA MIAŁA SZEŚĆ LAT. BYŁA BISZKOPTOWĄ labradorką.

Zawsze była szczęśliwa.

Nawet gdy trochę się smuciła, na jej smutek nakładało się szczęście. Smutek stawał się drugorzędny.

Jak tylko sięgała pamięcią, w jej życiu był tylko jeden okres czystego nieszczęścia, a wiązał się ze spotkaniem ze skunksem.

Dzikię stworzenia są inteligentniejsze, niż ludziom się zdaje. Bywają mądre, sprytnie, przebiegłe, podstępne, kreatywne – ale nie skunksy.

Skunksy są głupim i niebezpiecznym gatunkiem, ponieważ nie muszą być mądre, żeby przetrwać.

Ilekoć Bella patrzyła na siebie, zawsze była zaskoczona swoją wielkością. Trzydzieści pięć kilogramów bez grama tłuszczu.

Zawsze uważała, że jest mała. W świecie ludzi, wysokich na dwóch nogach, trudno jej było zachować właściwe poczucie proporcji.

Mieszkała w Santa Rosa, małym mieście leżącym około dziewięćdziesięciu kilometrów na północ od San Francisco.

Chociaż nigdy nie leciała samolotem i nie podróżowała w żaden inny sposób, wiedziała, co to są kilometry. Wiedziała dużo więcej.

Mieszkała z Andrea i Billem Montellami. Bill był prawnikiem. Andrea prowadziła księgarnię. Bella zawsze była tam mile widziana.

Nigdy nie przeszkadzała klientom ani nie dawała po sobie poznać, że niektórzy wykazują się godnym pożałowania gustem literackim.

Andrea i Bill mieli czworo dzieci w wieku od siedmiu do czternastu lat. Milly, Dennisa, Sama i Larinę. Wszyscy uczyli się w domu.

Tworzyli zgraną, kochającą się rodzinę. Wszyscy uwielbiali Bellę, a ona uwielbiała ich, więc była to typowa psio-ludzka sytuacja rodzinna.

Dzieci, księgarnia, kancelaria adwokacka – dni Belli były wypełnione zabawą i czułością, spacerami z Andrea, bieganiem z Billem, figlami z dziećmi, pracą PR w księgarni. Bella nigdy się nie nudziła.

Poza tym wiodła tajemne życie.

Montellowie wiedzieli, że ich pies jest bystry, ale nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo.

Nie mieli pojęcia o Misterium.

Nie wiedzieli, że Bella podbiera z ich biblioteki książki i czyta je w nocy.

Dawno temu uznała, że gdyby ujawniła swoją prawdziwą naturę, byłoby to niesprawiedliwe wobec dzieci.

Aby rozwinąć zdrową psychikę i odpowiednie poczucie własnej wartości, dziecko musi od czasu do czasu znajdować się w centrum zainteresowania.

Gdyby Bella ujawniła prawdę o sobie, uwaga skupiłaby się na niej, bez względu na to, jak bardzo by prosiła, żeby poświęcić ją dzieciom.

Zresztą co by zyskała, ujawniając swoją inteligencję w świecie, który nie wiedział, jaki mógłby mieć z niej pożytek?

Kochała dzieci Montellów. Chciała, żeby miały normalne życie, z możliwością bycia w centrum uwagi.

Niektórzy inni członkowie Misterium żyli w podobny sposób jak ona.

Czasami źródłem smutku jest świadomość, że nie możesz być tym, kim powinienes, kim naprawdę jesteś. Ale szczęście przeważało nad smutkiem.

Zachowywanie tajemnicy miało pewne zalety, przede wszystkim taką, że wiedziała o każdym dziecku więcej niż Andrea i Bill, więcej, niż wiedziałyby wtedy, gdyby dzieci miały pojęcie, jaka naprawdę jest mądra.

Kiedy zbaczały na złą drogę, miała w zapasie psie sztuczki, które pozwalały subtelnie sprowadzić je z powrotem na tę właściwą.

Jeśli się nie udawało, zwracała uwagę Andrei i Billa na problem w tak przemyślny sposób, że nigdy się nie połapali, kto otworzył im oczy.

Bella była jedną z pięciorga rodzeństwa Montellów i ich tajną nianią, a poza tym redaktorką Telegrafu.

Telegraf można było włączać i wyłączać jak radio. Nie wszyscy członkowie Misterium słuchali przez cały czas.

Jednocześnie Telegraf umożliwiał nadanie pilnej wiadomości, która otwierała nawet zamknięte ścieżki neuronowe i docierała do wszystkich.

Zadanie Belli polegało na zbieraniu ważnych wiadomości i przekazywaniu ich użytkownikom Telegrafu.

Zgłosiła się na ochotnika, żeby słuchać dziennych transmisji.

Nie musiała się martwić, że przyjdzie jej rozsiewać plotki i nieprawdy. Żaden członek Misterium nigdy nawet nie widział psa, który kłamie.

W ten środy wieczór, kiedy rodzina Montellów zasiadła w jadalni do kolacji, Bella zwinęła się w kłębek na legowisku w kącie i udawała, że śpi, podczas gdy przekazywała ważne wieści swoim pobratymcom.

Bellagram. Jak informowaliśmy dwa tygodnie temu, Rusty i Mandy, członkowie rodziny Donalda i Georginy Curtisów z Corte Madera, z radością ogłosili narodziny pięciorga szceniąt. Jest to zdecydowanie największy znany dotąd miot Misterium. Wszyscy są zdrowi. Cała piątka nadaje telepatycznie na ograniczoną odległość i wszystko wskazuje na to, że szybko nauczy się języka przez Telegraf.

Wkrótce powinny zacząć nadawać na odległość. Donald i Georgina Curtisowie, w pełni znający naturę Rusty'ego i Mandy, są gotowi zatrzymać wszystkie pięcioro szceniąt. W Corte Madera panuje wielka radość.

Dzieje się coś ekscytującego. Dzisiaj Caesar i Cleo, członkowie rodziny Roberta i Mei-Mei Ishigawa z San Jose, zostali rodzicami sześciorga zdrowych szceniąt. Robert i Mei-Mei też wiedzą o Misterium i potomstwo zostanie w rodzinie.

Długo zastanawialiśmy się, skąd pochodzimy, dlaczego tu jesteśmy i dlaczego jest nas tak niewiele. Jeśli nagle nasza liczba wzrośnie, być może wkrótce znajdziemy odpowiedzi na dwa pierwsze pytania i poznamy powód naszego istnienia. Radujcie się. Bądźcie wierni. Bądźcie dostrojeni.

# NIEPROSZONY GOŚĆ

ŚRODA 17.00 - CZWARTEK 1.00





BEN HAWKINS ZATRZYMAŁ SIĘ przy targowisku w Tahoe City, żeby kupić skrzynkę karmy w puszkach, podobnej do tej, którą Kipp dostawał u Dorothy, a także kanapki dla siebie na kolację.

Kipp czekał w range roverze. Nie miał nic przeciwko temu. Nie czuł się samotny. Z zaciekawieniem przyglądał się ludziom krążącym po targu. Ludzie zawsze byli interesujący, zwłaszcza gdy nie wiedzieli, że są obserwowani.

Ben wrócił.

– Wiedziałem, że nie ukradniesz rovera i nie zostawisz mnie na lodzie. Może zrobiliby to pudel, ale nie ty.

Przejechali kilkanaście kilometrów i znaleźli się w Olympic Valley, około czterdziestu kilometrów od domu Dorothy nad jeziorem.

Wciąż zmierzali w stronę chłopca, który prawie cały czas szemał w Telegrafie. Kipp miał nadzieję, że do jutra ustali, czy Ben ma zamiar kontynuować podróż w tamtym kierunku.

Olympic Valley miała do zaoferowania czterogwiazdkowe kwatery w Squaw Valley Lodge i w ośrodku w Squaw Creek.

Z powodu antypsiej bigoterii Ben musiał jednak wynająć pokój w dwugwiazdkowym motelu. Oświecenie może trwało, ale jeszcze nie zapanowało.

Właściciele rodzinnego hotelu mieli psa, welsh corgi o imieniu Llewellyn.

Pies wyszedł z recepcji, żeby przywitać się z Kippem. Miał krótkie łapy i piękną sierść, pachnącą szamponem na bazie płatków owsianych, a w jego oddechu wyczuwało się gotowaną marchewkę, fasolkę szparagową i parzone mięso kurczaka, co najwyraźniej dostał na kolację.

Może waga i wzrost działały na niekorzyść Llewellyna w starciu z większym psem, ale były idealne do obwąchania zadu Kippa.

Llewellyn wydawał się zaskoczony, gdy Kipp nie odpowiedział na to tradycyjne powitanie. Miał jednak przyjacielskie usposobienie i wcale się nie obraził. Bez chwili przerwy merdał krótkim ogonem.

Pokój w motelu okazał się skromny i czysty.

Obok małego ekspresu do kawy stały darmowe torebki z kawą, śmietanką i cukrem.

Ben włożył kanapki i dwie puszki piwa do lodówki.

Zapachy ludzi, którzy przebywali tu w przeszłości, nawiedzały nos Kippa niczym duchy.

Czymś najbrzydszym, co tam znalazł, była martwa pluskwa w kącie sypialni, ale nie przejął się tym zbytnio.

Nieoczekiwanie Ben zafundował mu nieformalny psi grooming.

Wyjął pudełko wilgotnych chusteczek dla zwierząt w foliowych opakowaniach. Miał też dwa różne grzebienie do pielęgnacji sierści.

Nie kupił tych przedmiotów na targu. Z jakiegoś powodu miał je już w range roverze.

– To musi wystarczyć, dopóki nie znajdziemy miejsca, gdzie będziemy mogli przygotować ci prawdziwą kąpiel.

Kiedy Kipp mieszkał z Dorothy, był kąpany w każdy czwartek i regularnie wyczesywany. Wszyscy mówili, że wygląda jak pies wystawowy. Ale podczas długiego dnia podróży, która doprowadziła go na kemping, trochę się ubrudził i przemoczył.

Ben nie zdjął mu obroży, lecz poza tym miejscem na szyi dokładnie go wytarł.

Oczywiście potem zaczęła się sesja z suszarką do włosów. Każde życie ma swoje plusy i minusy.

Gdy Kipp wysechł, Ben wyjął miskę na wodę i na jedzenie.

Obie z białej ceramiki były przeznaczone dla psów. Zielone litery na każdej układały się w imię Clover.

Miski nie pochodziły z targu w Tahoe City.

Ben do jednej nalał wody, a do drugiej opróżnił całą puszkę wyśmienitej karmy.

Kipp, chociaż wcześniej zjadł burgera i frankfurterkę, z przyjemnością skorzystał z poczęstunku, chociaż nie pochłoniął go z typową psią zachłannością.

Kiedy był szczeniakiem, delektowanie się jedzeniem było jedną z pierwszych rzeczy, które przyciągnęły uwagę Dorothy.

Ben wziął kanapki, piwo i książkę, po czym usadowił się w fotelu przy stoliku przy oknie.

Kipp wylizał miskę do czysta. Intrygowało go to, skąd się wzięła. Był zmęczony po długim dniu bez drzemek, ale ciekawość nie pozwoliłaby mu zasnąć.

Łapą przewrócił na bok pustą miskę i nosem poturlał ją po dywanie do Bena Hawkinsa.

Pisarz uniósł wzrok znad książki i bez słowa przyglądał się temu przedstawieniu.

Kipp zatrzymał miskę obok fotela, z imieniem Clover zwróconym w stronę Bena. Usiadł, przechylił głowę i spojrzał na mężczyznę.

– Chcesz więcej jedzenia?

Kipp machnął raz ogonem na znak, że nie. Ale był to szyfr opracowany z Dorothy. Ten człowiek nie znał znaczenia tego gestu.

Kipp energicznie pokręcił łbem.

Ben umieścił zakładkę między kartkami i odłożył książkę. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Jako były komandos Navy SEALs był człowiekiem rozsądnym, ostrożnym w przyjmowaniu założeń.

– Pokręciłeś głową? – zapytał po chwili.

Kipp bez wahania skinął łbem.

Wpatrywali się w siebie. Kipp nauczył się, że bezpośrednio spojrzenie może przekazać wiele informacji, w zależności od intensywności i czasu trwania.

Teraz spuścił wzrok na imię Clover na misce, po czym znów spojrzał na Bena Hawkinsa.

Pisarz podniósł puszkę piwa, zawahał się i odstawił ją.

– Przyprawiasz mnie o lekkie ciarki, wiesz?

Kipp patrzył na niego i cierpliwie czekał.

– Clover była ze mną przez osiem lat. Wziąłem ją ze schroniska kilka tygodni po odejściu ze służby, dzień przed jej planowanym uśpieniem. Była goldenem jak ty.

Kipp zaskomlał współczująco.

– Była wspaniała. Nieustraszona, ale przesłodka. Rak pożerał ją żywcem. Pięć miesięcy temu trzymałem ją w ramionach, gdy weterynarz ją usypiał. To było najtrudniejsze, co w życiu zrobiłem. Ja, duży, twardy komandos Navy SEALs. Najtrudniejsze.

Kipp pomyślał o Dorothy. Był bardzo zmęczony. Nigdy dotąd nie był tak bardzo zmęczony.

Przeszedł na drugi koniec pokoju i spojrzał nad łóżkiem na pisarza.

– Chcesz tam spać? Proszę bardzo.

Zbierając resztki energii, Kipp wskoczył na materac.

Okręcił się, położył i zamknął oczy.

Słyszał, jak pisarz wstaje z fotela. Słyszał jego kroki.

Potem cichy syk uszczelki na drzwiach lodówki.

Pyknięcie i trzask zawleczonej na puszcze. Zapach świeżego zimnego piwa.

Chwilę później fotel zaskrzypiał, gdy pisarz usiadł.

– Przyprawiasz mnie o ciarki – powtórzył Ben.

Dorothy uśmiechnęła się do Kippa w jego śnie, położyła dłoń na jego łbie, wygładziła sierść i powiedziała: „Mój wyjątkowy chłopiec”.

## 29

MEGAN ZOBACZYŁA WOODY’EGO LEŻĄCEGO na łóżku w ubraniu, w pozycji embrionalnej, z otwartymi oczami, co oznaczało, że coś bardzo go przygnębiło. Był cichy jak jego wizerunki z niektórych jej obrazów, łącznie z tym ostatnim, który ukazywał go z jeleniem w świetle księżyca.

Gdy do niego mówiła, nawet na nią nie patrzył; mogła tylko położyć się na łóżku, przytulić na łyżeczkę do jego pleców i go objąć. Nie protestował, ale też nie odwzajemniał uścisku.

Nie próbowała się dowiedzieć, co go dręczy, ponieważ ani naleganiem, ani łagodnym dopytywaniem się niczego nie mogłaby osiągnąć. Będąc w takim nastroju, zamykał się jeszcze bardziej w sobie i wracał dopiero wtedy, gdy nękający go problem – strach, smutek, zakłopotanie – sam się rozwiązał.

W takich chwilach nie wiedziała, czy obejmowanie go ma jakikolwiek wpływ na jego stan emocjonalny. Nigdy nie widziała na to żadnego dowodu. Trzymanie go w ramionach było jednak ważne dla niej, bo dzięki temu czuła, że robi coś niezbędnego.

Gdy kochasz kogoś tak, jak ona kochała syna, i nie możesz pocieszyć go w chwili największej potrzeby, czasami czujesz się żałośnie nieudolny. Megan знаła to uczucie.

Powtarzała sobie w duchu, że Woody zawsze, wcześniej czy później, wychodzi z tych dołków. Nie leżał porażony przez kilka dni ani nawet przez parę godzin. Niezależnie od tego, co wpędzało go w ten stan wycofania, był wystarczająco silny, żeby go przezwyciężyć. I gdy powróci z emocjonalnej izolacji do zwykłego oderwania, znajdzie ją, nieśmiało jej dotknie i uśmiechnie się, by wiedziała, że przyczyna jego udreki zniknęła.

Obejmując go i gładząc jego gęste czarne włosy, śpiewała mu – cicho, cichutko – jedną z tych piosenek, które czasami godzinami puszczał na iPodzie, gdy czytał albo korzystał z komputera.

*– Kiedy jesteś zmęczony, czujesz się mały...*

Usłyszała, że samochód Verny Brickit wyjeżdża z podjazdu i skręca na drogę stanową. Verna ma klucz; zamknęła tylne drzwi. Można było na niej polegać.

*– ...kiedy łzy napłyną do twych oczu, osuszę je wszystkie...*

## 30

LEE SHACKET STOI PRZY OKNIE NA końcu bocznego korytarza i patrzy, jak starsza kobieta w toyocie dojeżdża do drogi, skręca na południe w stronę Pinehaven i szybko znika z pola widzenia.

Znów nadlatują kruki, jak tuż przed śmiercią właściciela shelby super snake. Krążą po niebie jak mewy. Kruki zwykle otacza aura powagi, jednak te jakby świętują.

Wcześniej były trzy. Tym razem siedem bierze udział w powietrznym balecie. W całej historii i we wszystkich kulturach liczbom trzy i siedem przypisywano

nadprzyrodzone znaczenie. Kruki przybyły specjalnie dla niego, żeby go wesprzeć w akcie stawania się.

Shacket wsuwa pistolet za pasek i wyjmuje z kieszeni dzinsów pióro, które spadło mu na rękę, gdy ścigał Justine. Wyrastające ze stosiny miękkie promienie tworzą lśniącą czarną chorągiewkę, atramentową z nutą granatu, jakby ptak, który zgubił pióro, był wysłannikiem jakiegoś starożytnego boga ciemności i w imieniu swego pana ukraść kolor dziennego nieba, żeby nad światem zapadła wieczna noc.

Shacket chowa pióro do kieszeni i wyciąga pistolet.

Podchodzi do drzwi po prawej stronie, otwiera je po cichu i wchodzi do pokoju. Resztki światła sączą się przez wysokie okna w północnej ścianie. Może dlatego, że niebo jest zasnuwane gęstszymi chmurami, że zapada prawdziwy zmierzch i nadciąga deszcz, światło nadaje otoczeniu charakteru podwodnego świata. Shacket odnosi wrażenie, że znajduje się nie w domu, a wewnątrz zanurzonego naczyńca.

A jednak nie musi włączać lampy. Gdy wszedł z jaśniejszego korytarza do tego pokoju, jego oczy przystosowały się w nieznanym mu dotąd tempie. Wzrok staje się coraz lepszy, a oczy zwiększają natężenie wpadającego w nie światła. Od razu widzi, że jest w pracowni Megan.

Podchodzi do prawie ukończonego dużego obrazu. To kolejna z jej prac, które, choć hiperrealistyczne, są dla niego całkowicie niezrozumiałe. Co oznacza ten obraz? Jakie uczucia ma wywołać?

Na pierwszym planie są trzy jelenie i chłopiec. Chłopiec, Woody, karmi jelenia plasterkami jabłka. W przeciwieństwie do realizmu wszystkiego innego, blade światło księżyca jest dziwnie rozproszone, odbija się w nienaturalny sposób.

Obraz głęboko go irytuje, choć Shacket nie potrafi wyjaśnić, z jakiego powodu. Chce pójść do kuchni, znaleźć ostry nóż i pociąć płótno na strzępy.

Jeszcze nie. Z czasem zniszczy każdy jej obraz w tym domu. Gdy tylko przejmie nad nią kontrolę, gdy sprowadzi ją do gołej istoty tego, czym jest, Megan zrozumie swoje miejsce i sama zniszczy obrazy na jego polecenie.

Jedynym sensem, jedyną prawdą, jakie Shacket dostrzega w tym obrazie, jest to, że jeleni i upośledzony umysłowo chłopiec są słabi, są niczym innym jak

zwierzyną przeznaczoną dla drapieżnika.

## 31

MEGAN DOKOŃCZYŁA PIOSENKĘ I POCZUŁA, że Woody lekko rozluźnia się w jej ramionach.

– Pieczeń, zapiekanka ziemniaczano-serowa, jedna z twoich ulubionych kolacji – powiedziała. – A na deser najlepsze muffiny Verny z lodami. Czekam w kuchni, aż będziesz gotowy. Nie spiesz się, kochanie.

Wstała z łóżka, z uśmiechem pochyliła się nad synem i pocałowała go w policzek. Chłopiec wciąż patrzył w pustkę, jakby w stanie szoku, ale była całkiem pewna, że wraca.

Jego komputer i lampka na biurku były wyłączone. Na prawo od klawiatury leżał spięty klipsem gruby plik papierów.

Megan była ciekawa, co to takiego, ale nie przejrzała wydruków. Każde dziecko potrzebuje prywatności i zaufania, a Woody wprost nie cierpiał naruszania jego osobistej przestrzeni. Mimo swoich ograniczeń był grzecznym chłopcem i wcześniej czy później pokazywał jej to, czym się zajmował.

Zapaliła lampkę nocną i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Zeszła wąskimi tylnymi schodami do kuchni.

Naczynie z pieczenią stało na kratce obok kuchenki. Gdy mięso ostygło i stwardniało, ukroiła dwa kawałki na kolację. Przykryta folią zapiekanka czekała w części piekarnika służącej do podgrzewania. Gospościa zgodnie z przewidywaniami Megan zamknęła tylne drzwi. Verna Brickit może lubić zabawnie zrzedzić, ale była niezawodna jak wschody i zachody słońca.

Megan położyła na stole w kuchni plastikowe podkładki, papierowe serwetki i sztucce.

Z jakiegoś powodu Woody jadł wolniej i kolacja sprawiała mu większą przyjemność, gdy posilali się przy świecach. Megan postawiła na stole sześć małych czerwonych kieliszków i w każdym umieściła świeczkę z czasem palenia przewidzianym na cztery godziny. Ich blask zawsze musiał być filtrowany przez czerwone szkło. Jeśli pojemniki były przezroczyste, migoczące płomienie

niepokoiły Woody'ego, niebieskie szkło odbierało mu apetyt, a zielone wpędzało go w depresję.

Położyła talerze nie na stole, lecz na blacie, żeby tam nałożyć na nie jedzenie. Sama potrzebowała jednego talerza, natomiast Woody trzech: na porcję mięsa, zapiekanki i warzyw. Jeśli jeden pokarm stykał się z drugim, nie chciał jeść. Nie miała pojęcia dlaczego i on chyba też tego nie wiedział.

Gdy syn schodził ze swojego pokoju, stawiała marchewki i kalafior na kuchence i nalewała mu „koktajl”. Jeśli ona piła białe wino, Woody chciał wody smakowej. Jeśli wybierała czerwone, chciał napój winogronowo-malinowy, żeby kolor pasował do jej caberneta. Uwięziony w pułapce umysłu, szukał powiązań między nimi, jakkolwiek niezręcznie.

Pozwalała sobie wieczorem na jeden lub dwa kieliszki wina. Czekaając na Woody'ego, nalała caberneta Caymus.

Patrzyła przez szybę w tylnych drzwiach na podwórko, gdzie – na jej najnowszym płótnie – Woody karmił jelenia. Tylko kilka jej prac przedstawiało syna, ale gdy namalowała go na tle jakiejś scenerii, później to miejsce już nigdy nie wydawało się właściwe bez niego. Pomimo autyzmu, a może właśnie dzięki niemu, miał coś w rodzaju niepojętej dla niej potężnej siły ciężenia, która zakrzywiała otaczający go świat, przekształcała każde miejsce, barwiła je na nowo i nadawała mu nowe znaczenie. Podwórko bez niego wyglądało na niekompletne, jak pobieżny szkic, studium do poważniejszej sceny. Przypuszczała, że Woody nie przeobraża miejsc, w których go namalowała, ale raczej jej miłość do niego sprawia, że dostrzega w nich coś mistycznego.

Las za trawnikiem pociemniał w zapadającym zmierzchu, tworząc ażurową architekturę wieżyczek i murów obronnych, zupełnie jak na jej obrazie. Nie do końca wiedziała, dlaczego nadała mu złowieszczy charakter, ale teraz zdała sobie sprawę, że reprezentuje zło tego świata, ostro kontrastujące z niewinnością Woody'ego, które byłoby dla niego zagrożeniem, gdyby coś jej się stało, gdyby jej tu zabrakło, żeby go chronić.

Podeszła do stolika, na którym wcześniej zostawiła do połowy przeczytaną powieść. Usiadła, znalazła stronę i wróciła do lektury. Ten dzień okazał się kolejnym dokonaniem i uznała, że zasłużyła na odrobinę przyjemności. Książka była dobra, a wino jeszcze lepsze.



Powieść opowiadała o sile samotności. Megan powtarzała sobie, że nie czuje się samotna, i wiedziała, że to kłamstwo. Powtarzała sobie też, że życie jest dobre i że są gorsze rzeczy niż samotność; i to była prawda.

## 32

ŚWIATŁO Z HOLU WPADA PRZEZ sklepione przejście i kładzie się delikatnym złotym łukiem na podłodze i meblach, ale dalsza część salonu skrywa się w cieniu. Za drzwiami wychodzącymi na balkon gęstnieje mrok.

W niesamowitym blasku wyczarowywanym przez dziwnie udoskonalone oczy Shacket bez przeszkód podchodzi do steinwaya. Zapomniał, że Megan grała na fortepianie.

Na opuszczonej klapie wielkiego instrumentu stoi kolekcja fotografii w srebrnych ramkach, które przyciągają światło docierające do tej części pokoju. Nowy wzrok Shacketa sprawia, że srebro zdaje się poruszać, płynne jak rtęć, chociaż ramki nie tracą kształtu.

Zdjęcia pochodzą ze szczęśliwszych dni, kiedy rodzina była cała: Jason i Megan, Jason i Woody, Megan i Woody, cała trójka razem, Jason sam na trzech fotografiach. Mama i tata zawsze uśmiechnięci, dzieciak tylko czasami. Gówniarz z popieprzonym mózgiem, chory psychicznie. Shacket zgrzyta zębami. Jason ukradł mu Megan, obarczył ją ześwirowanym bachorem, a potem umarł, zdradziecki sukinsyn, i mimo wszystko nadal tu jest, nadal włada jej sercem.

Shacket kolejno kładzie ramki zdjęciami do dołu. Później, gdy zabije dzieciaka i Megan zrozumie, do kogo teraz należy, będzie patrzeć, jak wyjmuje zdjęcia z ramek i pali je w kominku.

Z głębi domu, prawdopodobnie z kuchni, dochodzą jakieś hałasy. Nie przejmuje się nimi. Dźwięki pozostają ciche, dalekie. Czuje jej zapach, jej wilgoć, a ona, napalona suka, się nie zbliża.

Ten dom jest teraz jego domem. Ona o tym nie wie, ale dom stał się jego własnością. Może puścić go z dymem, jeśli zechce. Jeśli po śmierci chłopaka, po nocnej wizycie w jej łóżku i zademonstrowaniu, czego jej brakowało przez te wszystkie lata, dziwka nie podda się jego woli, zrobi jej to, co zrobił Justine.

Później podpali tę chałupę i wyjedzie do Kostaryki, gdzie są dżungla i morze, i więcej napalonych kobiet, niż kiedykolwiek będzie potrzebować.

Zdumiewa się sobą w swoim stawaniu się, bo wcześniej w żadnej sprawie nie był równie stanowczy.

Wraca z salonu do holu i zmierza do głównych schodów. Wchodząc stopień po stopniu, przesuwając językiem po zębach, tam i z powrotem, po dolnych i górnych, nie po trzonowcach i przedtrzonowcach, ale po kłach i siekaczach, po kłach i siekaczach.

### 33

ZAWSTYDZONY – GORZEJ, UPOKORZONY I ZAŻENOWANY, że niemal ujawnił się mordercom stojącym za stroną Tragedia w darknecie, że o mało nie naraził siebie i mamy na niebezpieczeństwo – Woody Bookman wycofał się do Zamku Wiwerna, gdzie szukał ukojenia w samotności i starał się odzyskać pewność siebie w swoich najgorszych godzinach.

Zamek Wiwerna był tworem jego wyobraźni, ale w takich chwilach wydawał się solidniejszy i bardziej przekonujący pod względem detali niż tak zwany świat rzeczywisty. Mur kurtynowy zamku miał ponad cztery metry szerokości: tworzyły go równoległe warstwy piaskowca o grubości sześćdziesięciu centymetrów, z ułożonymi między nimi trzema metrami kamieni i zaprawy murarskiej. Dziesięć potężnych wież wznosiło się w wiecznie burzowe niebo, w tym po dwie przy głównej i tylnej bramie. Wewnętrzny dziedziniec był otoczony drugim masywniejszym murem z jeszcze potężniejszą bramą i sześcioma większymi wieżami. Na murach znajdowały się blanki z wąskimi strzelnicami, z których można było wylewać wrzący olej i sypać kamienie na atakujących z dołu wrogów. Do każdej bramy prowadził wysoki na siedem i pół metra nasyp zakończony mostem zwodzonym, strzeżony przez łuczniczków. Każda brama była wyposażona w ciężką broń, za którą wejścia strzegły okute żelazem drewniane drzwi; można je było zamknąć w chwili potrzeby i zaryglować dwiema belkami.

Woody starannie wybrał nazwę zamku. Wiwern był szczególnie dzikim dwunożnym smokiem z groźnym kolczastym ogonem. Chłopiec uznał za mało możliwe, żeby źli ludzie spróbowali wdrzeć się do warowni zwanej Zamkiem Wiwerna, Smoczym Zamkiem.

W chwilach najgłębszego upokorzenia i wstydu chłopiec chronił się w okragłej komnacie na szczycie południowo-zachodniej wieży wewnętrznego muru kurtynowego. Drewniany strop. Wąskie okna wychodzące na cztery strony świata. Kamienne ściany, kamienna podłoga. Miał tylko stertę słomy, na której mógł się położyć, bo przecież chłopiec, który przez swoją głupotę i bezmyślność okrył się wstydem, nie zasługiwał na żadne wygody.

Gdy już odpowiednio zapłacił za błędy, otrzymywał znak pozwalający mu opuścić zamek i wrócić do Pinehaven w tak zwanym prawdziwym świecie – tak właśnie działo się w opowieściach o zamkach, wysokich komnatach i krainach, gdzie wędrowały smoki. Okna budynków wokół wewnętrznego dziedzińca były oszklone, ale w tej wieży nie było szyb; przy złej pogodzie po komnacie hulał zimny wiatr, a deszcz wpadał przez puste otwory i bębnił na kamieniach z siłą zależną od tego, jakiej kary wymagały czyny chłopca. A gdy już odbył karę, otrzymywał znak. Błękitny ptaszek wlatywał albo biały szczur o miękkiej sierści wskakiwał przez okno bez szyb. Ten pierwszy śpiewał o ułaskawieniu, a drugi tańczył wesoło, by dać chłopcu do zrozumienia, że jest wolny.

Woody, skulony na słomianym posłaniu, usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi. Gdy drzwi otwierały się przed wizytą błękitnego ptaka albo białego szczura, gościem była mama, która przybywała do zamku sprawdzić, co u niego. Nie mógł opuścić wieży, wstać z łóżka i podejść do niej, dopóki nie odbędzie kary. Gdyby odszedł przed otrzymaniem znaku, nie opuściłby go zasłużony wstyd, a mama poznałaby prawdę o swoim synu i też by się wstydziła, że urodziła takie dziecko.

Mama była tu wcześniej, przytulała go i śpiewała. Zdziwił się, że tak szybko wróciła. Zawsze pozwalała mu na chwile prywatności. Nie wiedziała o Zamku Wiwerna, ale dla niej drzwi do komnaty w wieży i te do jego prawdziwej sypialni były magicznie połączone; widziała go na jego łóżku, podczas gdy jego duch leżał we wstydzie w zamkowej wieży. Tak to się działo w krainie fantazji, dokąd uciekał z twardego świata, w którym się urodził i w którym często coś chrząnił.

Mama długi czas stała w otwartych drzwiach, bo nie mógł to być nikt prócz niej. Pomyślał, że chce do niego przyjść, gładzić go po głowie i śpiewać mu swoim pięknym głosem. Gdy wycofywał się do wysokiej reduty, zamku, nigdy dotąd nie odwiedziła go częściej niż raz. Wiedziała, że syn wróci w swoim czasie, a naglenie go sprawi, że zostanie dłużej w samotni.

W końcu zamknęła drzwi i odeszła.

Woody skulił się jeszcze bardziej na słomianym posłaniu, podciągając kolana do klatki piersiowej.

## 34

NIEDOJDA LEŻY PLECAMI DO DRZWI, nieruchomy, bez jelenia, skąpany nie w świetle księżycy, a w blasku lampki nocnej, gdy dzień gśnie za oknami.

Dzieciak jest łatwym łupem, ale czas nie jest właściwy. Shacket drży z pragnienia, by gryźć. Ale jeszcze nie czas.

Najpierw chce się zająć Megan. Chce wślizgnąć się w nią głęboko i biorąc ją, w końcu odpłacić Jasonowi Bookmanowi, który mu ją zabrał – najpierw go okradł, a później zrobił z niego kozła ofiarnego dla Doriana Purcella. Megan będzie należeć do niego – jak zawsze powinno być – i spłodzi z nią lepsze dziecko, nie kalekę z upośledzonego nasienia Jasona.

Jeśli ta suka podda się i pochyli czoło przed jego nadzwyczajną potęgą, jeśli zrozumie, kim on się staje i że bez niego nie ma dla niej przyszłości, wtedy wspólnie zniszczą gówniarza. Ale jeżeli będzie się opierać, sparaliżuje ją i uczyni bezradnym świadkiem, gdy będzie wygryzać życie z małego odmienia, a potem podpali dom.

Jest podekscytowany swoją nowo odkrytą stanowczością. Już nie musi nikogo pytać o radę, tracić czasu na konsultacje ani prosić o zgodę. Nikt nie jest jego szefem. Nie ogranicza go ani prawo, ani żaden kodeks moralny, ponieważ wie, że są to tylko fantazje o porządku. Właściwie jedyną zasadą, dzięki której każdy może pomyślnie żyć – czy w dziczy, czy na łonie cywilizacji – jest nakaz okrutnej natury: zdobycz musi się poddać, a drapieżniki będą niepodzielnie rządzić.

W głębi korytarza znajduje sypialnię. Popielate światło w oknach. Jarzące się zielone cyfry radiobudzika przy łóżku. Niskie oświetlenie ledwie wystarcza nawet jego oczom przystosowanym do widzenia w ciemności – i adaptującym się coraz lepiej – ale udaje mu się podejść do szerokiego łóżka bez zapalania lampy.

Widzi, że narzuta leży złożona na wyściełanej ławie w nogach łóżka. Róg wierzchniego prześcieradła z lekkim kocem jest odrzucony; prawdopodobnie gosposia przed odjazdem toyotą przygotowała posłanie na noc. Shacket pada na kolana, żeby powąchać prześcieradło z gumką i to wierzchnie, między którymi leżało gibkie ciało Megan. Pościel nie została zmieniona, więc czuje tylko resztki zapachu detergentu do prania i płynu do płukania. Wdycha świeży zapach jej umytych szamponem kruczoczarnych włosów, lekko słony kremowy aromat jej gładkiej skóry i woń szczeliny między jej nogami, gdzie później stworzy ich przyszłość.

Kładzie pistolet na szafce nocnej i siada na brzegu dużego łóżka. Rozwiązuje sznurowadła i zsuwa buty, ale nie zdejmuje ubrania. Kładzie się tam, gdzie Megan spędziła ostatnią noc. Leży na plecach, z prześcieradłem i kocem podciągniętymi pod brodę. Bawełna, która okrywała jej długie nogi, opinała wzgórek łonowy i przylegała do piersi, teraz otula jego. Czuje się jak zamknięty w kokonie jej istoty.

## 35

Z DOMU NAD JEZIOREM TAHOE Rosa Leon zadzwoniła na prywatną komórkę Rogera Austina, prawnika Dorothy. Nie zrobiła tego, by usłyszeć potwierdzenie, że jest jedyną spadkobierczynią; Dorothy nie miała powodu, żeby mieć ją fałszywą obietnicą. Zadzwoniła, bo pan Austin miał przyjść do domu drugiego dnia po śmierci jej podopiecznej, a chciała przełożyć spotkanie.

Roger Austin miał głęboki, melodyjny głos utalentowanego mówcy, który potrafi oczarować publiczność, i wszyscy mówili, że jego charakter dorównuje pięknemu głosowi: był pryncypialny, godny zaufania i niezawodny w każdych okolicznościach. Gdy mówił o śmierci Dorothy Hummel, głos załamał mu się kilka razy i musiał przerwać na chwilę, by wziąć się w garść. To sprawiło, że

wzbudził w Rosie jeszcze większy szacunek. Prawnik wiedział, że obejrzała nagrania, mimo to powiedział, ile jest warta posiadłość z ruchomościami po odliczeniu podatków. Chciał podzielić jej zachwyty nad zmianą, która tak nagle zaszła w jej życiu, a ona z chęcią mu na to pozwoliła. Zapewnił ją, że razem z księgową Dorothy pomogą jej zarządzać majątkiem.

– Ale czy możemy przełożyć jutrzejsze spotkanie na piątek? – zapytała. – Mam kilka ważnych spraw do załatwienia i nie mogę z tym zwlekać.

– Oczywiście, Roso. Co powiesz na piątkowe popołudnie?

– Doskonale – odparła. – I dziękuję, panie Austin, za to, że był pan wiernym przyjacielem Dorothy.

– Proszę, mów mi Roger, jak ona. Przyjaźń z Dorothy była najłatwiejszą rzeczą na świecie. – Zaśmiał się cicho, może dlatego, że nie chciał okazać wzruszenia. – Była na tym świecie jedną z nielicznych osób, które kochałem równie mocno jak siebie.

Po zakończeniu rozmowy Rosa zamierzała wyruszyć na poszukiwania Kippa. Jeśli uciekł z żalu, podzieli jego rozpacz i w ten sposób uwolni biedne stworzenie od straszego ciężaru.

Martwiła się jednak, że wcale nie uciekł, że został porwany, jakkolwiek melodramatycznie to brzmiało. Tego najbardziej się obawiała. Wiedziała, że w tej chwili Kipp jest w pobliżu Olympic Valley, około czterdziestu pięciu kilometrów od domu nad jeziorem. Nie przypuszczała, by mógł o własnych siłach pokonać tak dużą odległość od czasu, gdy widziała go po raz ostatni.

Miał obrożę emitującą sygnał wykrywany przez najnowocześniejsze urządzenie Pied Finder. Firma miała w ofercie zegarki i inne przedmioty z wbudowanym transponderem, przeznaczone głównie dla dzieci i umożliwiające ich odnalezienie za pomocą GPS-u, gdyby zostały uprowadzone przez jakiegos Fletnika z Hameln albo zaginęły. Dostarczała również obroże dla psów.

Aplikacja Pied Finder umożliwiła Rosie śledzenie Kippa na iPhone'ie Dorothy. Najbardziej obawiała się tego, że mała litowa bateria transpondera może się rozładować, zanim znajdzie psa. Należało ją wymieniać dwa razy w miesiącu, a nie wiedziała, kiedy Dorothy ostatnio to zrobiła.

Nie wspomniała o tym Rogerowi Austinowi, ponieważ nie znał tajemnicy Kippa. Kipp nie miał nikogo oprócz niej, kto mógłby pospieszyć mu z pomocą.

Martwiła się i ciążyło jej poczucie winy. Nie powinna zostawiać Kippa na czas kremacji i później. Wtedy jeszcze nie знаła jego magicznej natury, ale doskonale zdawała sobie sprawę, jak ważny był dla Dorothy.

Rosa zawdzięczała swoje szczęście golden retrieverowi. Dorothy lubiła ją, ale nie zapisała by jej całego majątku, gdyby nie Kipp. Może Rosa dostałaby pokaźną sumkę, lecz większa część pieniędzy zostałaby przekazana organizacjom charytatywnym, które Dorothy wspierała od dawna.

Rosa Leon nastawiła alarm, zamknęła dom i wyruszyła w drogę lincolnem MKX Dorothy. Jechała powoli w posępnej mgłę. Pomyślała, że w takich oparach żeglarze widują starożytne statki widma z podartymi żaglami albo legendarne potwory, które wypłynęły z głębin, by błysnąć płonącymi ślepiami i bezpowrotnie zanurzyć się w głąb fal.

Przy widoczności chyba mniejszej niż dziesięć metrów potrzebowała prawie kwadransa, by dotrzeć do stanowej osiemdziesiątkidziewiątki, co w bezchmurny wieczór zajęłoby jej nie więcej niż cztery, pięć minut. Skręciła na północ, mając nadzieję, że mgła się podniesie albo przynajmniej przerzedzi. Jeśli się utrzyma, zwykle czterdziestominutowa podróż do Olympic Valley przedłuży się do dwóch albo więcej godzin, z ciągłym poczuciem ryzyka, że jakiś cholerny głupiec zderzy się z nią, jadąc z nadmierną w tych warunkach prędkością.

Spojrzała na ekran smartfona. Migający czerwony punkcik na mapie nawigacyjnej wskazywał, że Kipp nadal jest tam, gdzie go zlokalizowała. Gdziekolwiek i z kimkolwiek przebywa, najwyraźniej nie ruszy się stamtąd przynajmniej przez noc.

Niczym sondujące światła batysfery, która eksploruje mroczny rów oceaniczny, reflektory nadjeżdżającego z północy pojazdu wydawały się początkowo zamglone i słabe, ale stopniowo stawały się coraz jaśniejsze. Sam pojazd był niewidoczny do momentu wymijania – czterodrzwiowy pick-up, biały jak mgła, z której się wyłonił. Kierowca jechał może o połowę wolniej, niż pozwalały przepisy, ale i tak za szybko w tych warunkach.

Rosa zwolniła jeszcze bardziej. Ten doniosły dzień wytrącił ją z równowagi. Straciła najdroższą – jedyną – przyjaciółkę, odziedziczyła fortunę, była świadkiem długiej, przygnębiającej kremacji, poznała cudowny, krzepiący sekret dotyczący Kippa, ten zaginęła, a potem zlokalizowała go dzięki nadzwyczajnemu

urządzeniu... Po stracie nastąpiło błogosławieństwo, po nim strata i znów błogosławieństwo. Ciężkie życie przygotowało ją na to, że nic dobrego nie może trwać wiecznie.

## 36

KAŻDY, KTO ZOSTAŁ ZAMORDOWANY w hrabstwie Pinehaven lub zmarł wskutek wypadku, trafiał pod lupę Carsona Conroya, który przybył tutaj, by uciec przed bezsensowną przemocą miasta. Ale zacznijmy od początku.

Ciała Paintona Spadera i Justine Klineman, odkryte przez zastępcę szeryfa podczas rutynowego patrolu, zostały dokładnie obfotografowane na miejscu zbrodni, a następnie zabrane w taki sposób, by nie zatrzeć śladów. Stróże prawa na obszarach wiejskich nie zawsze podchodzili do potencjalnych dowodów z taką uwagą.

Ponieważ grube chmury przysłaniały popołudniowe słońce, a deszcz mógłby zniszczyć dowody, na miejsce zdarzenia szybko dostarczono generator z reflektorami i rozsądnie rozstawiono je półtorej godziny przed zmrokiem. Pod kierunkiem zastępcy, przeszkolonego w znajdowaniu dowodów kryminalistycznych i postępowaniu z nimi, ekipa ludzi szeryfa przeszukała żwirowe pobocze autostrady, skarpę i podmokły teren u jej podnóża, gdzie znaleziono zwłoki.

Sprawca po zabiciu kobiety nie od razu wrócił do swojego pojazdu. Poszedł przez łąkę nad strumień, deptając wysoką trawę i zostawiając krople krwi na zgniecionych zielonych źdźbłach. Znaleźli jego porzuconą zakrwawioną koszulę oraz szelki z pustą kaburą.

Ciała przewieziono do kostnicy hrabstwa.

Właściciel lawety, który miał umowę z hrabstwem, załadował na nią shelby super snake'a. W towarzystwie zastępcy, który mógł poświadczyć, że łańcuch dowodowy nie został przerwany, przetransportował pojazd do zamkniętego garażu na terenie należącym do biura szeryfa i prosektorium.

Carson Conroy dostał papierową torbę z zakrwawioną koszulą i szelkami z kaburą.



W wieku czterdziestu dwóch lat, mając za sobą wspinaczkę po szczeblach kariery w zakładzie medycyny sądowej w Chicago, stolicy zabójstw, był przygnębiony, ponieważ te sprawy często pozostawały nierozwiązane. Większość morderstw popełniali członkowie gangów, a rządzące miastem elity były albo niezdolne, albo niechętnie się z nimi rozprawić.

Przemoc stała się dla niego sprawą nadzwyczaj osobistą, gdy jego żona, Lissa, zginęła od strzałów oddanych z jadącego samochodu, co nosiło wszelkie znamiona inicjacji gangsterskiej: jakiś bandzior marzący o przyjęciu do gangu rozwała cywila, by udowodnić, że ma duże jaja i serce zbyt małe, żeby kiedykolwiek nurtowały go wątpliwości. Tego rodzaju sprawy należały do najtrudniejszych do rozwiązania, ponieważ nie istniały żadne racjonalne motywy, żadne możliwe do wykazania związku przyczynowo-skutkowe. Carson wiedział, że zabójca Lissy nigdy nie zostanie odnaleziony, i nie mógł dłużej mieszkać w mieście, gdzie człowiek, który odebrał jej życie, mógł nadal cieszyć się swoim.

Minęło pięć lat, a sprawa jej śmierci nie została wyjaśniona. W niektóre noce, w kanionach niespokojnego snu, Carson fantazjował o krwawej zemście, wymyślał scenariusze, w których przemierzał niebezpieczne ulice, jak Denzel Washington w filmie *Bez litości*, i dzięki logice snów znajdował i zabijał zabójcę. Jednak budząc się, nie miał nadziei na sprawiedliwość.

Cztery lata temu, gdy mianowanych koronerów zastąpili lekarze sądowi, hrabstwo Pinehaven wybrało go spośród wielu kandydatów. Jego zadanie polegało nie tylko na przeprowadzaniu autopsji kryminalistycznych z profesjonalizmem gwarantującym, że wyniki nie zostaną podważone w sądzie, ale także na stworzeniu odpowiedniego laboratorium kryminalistycznego, dzięki któremu biuro szeryfa nie będzie musiało przekazywać niektórych aspektów śledztwa władzom stanowym. Koronerami w hrabstwie prawie zawsze byli emerytowani lekarze albo przedsiębiorcy pogrzebowi; jedni i drudzy przykładali się do pracy, ale brakowało im odpowiedniego przeszkolenia i często zanieczyszczali dowody pochodzące z sekcji zwłok.

Podczas pierwszego roku w Pinehaven Carson pracował osiemdziesiąt godzin tygodniowo, co wychodziło mu na dobre, bo pozwalało zapomnieć o rozgoryczeniu. W kolejnych latach nie zwolnił tempa i sumiennie wypełniał swoje obowiązki. Urodzony i wychowany jako czarny chłopak z miasta,

spodziewał się, że będzie miał niemały kłopot z przystosowaniem się do wiejskiego środowiska, ale nastąpiło to z łatwością przekraczając wszelkie oczekiwania. Cieszył się tu spokojnym życiem, majestatem gór Sierra Nevada i pięknem przyrody. Jak turyści ciekawi zwyczajów mieszkańców uwielbiał, gdy czasami po Main Street przechadzały się jelenie; lubił nawet wredne, ale zmysłne szopy, wytrwale pracujące nad pokonaniem każdego nowego i bardziej skomplikowanego zatrzaśku, które montował na pokrywach koszy na śmieci. Ludzie okazali się inni, niż go ostrzegano. Mieszkańców większości hrabstw i miasteczek w kraju cechowały delikatność i bezstronność, o jakich wielu mieszczuchów i przedstawicieli mediów raczej nie miało pojęcia. Carson był tu szczęśliwy, zauroczony spokojnym biegiem wydarzeń, zadowolony, że uwolnił się od wielkomiejskiego zgiełku, który zamienia życie w maraton bez końca.

Mniej więcej od roku w hrabstwie Pinehaven powoli zachodziła jednak niepokojąca zmiana. Przestępcy z MS-13 i innych gangów z Ameryki Środkowej szukali miejsc leżących na uboczu, odpowiednich do założenia fabryki metamfetaminy. Sprawdzając siłę i determinację lokalnych stróżów prawa, doprowadzili do kilku incydentów, na szczęście niezbyt poważnych. Ale doszło też do innych zdarzeń. Ładna nastolatka, Jenna McCall, zniknęła bez śladu; była dobrą uczennicą, kochającą córką, nie należała do tych dziewczyn, które decydują się na ucieczkę z domu. Trzynastoletni Jimmy Talbert, który jechał na rowerze po leśnej drodze, został potrącony i zostawiony bez udzielenia pomocy, żeby się wykrawił. Od trzydziestu sześciu lat w hrabstwie Pinehaven nie zdarzyło się, by kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Dlatego każdy miał zdroworozsądkowe podejrzenia.

Podejrzenia i obawy nie przygotowały jednak Carsona Conroya na stan zwłok Justine Klineman.

W prosektorium stały dwa stoły do autopsji, każdy z wagą i zlewem, i na pierwszym spoczywał towarzysz kobiety, Painton Spader. Został postrzelony cztery razy, z bliska, pociskami grzybkującymi. Uszkodzenia ciała i kości były takie, jakich należało się spodziewać.

Początkowo Carson uznał, że Justine też została postrzelona, a gdy sprawca pozostawił ją na pewną śmierć, zaatakowały ją dzikie zwierzęta, być może kojoty. Lecz nie znalazł rany postrzałowej. Zaczął więc szukać ran zadanych nożem –

z podobnym skutkiem. Jej czaszka była nienaruszona; kobieta nie została powalona ciosem tępego narzędzia w głowę.

Dopiero gdy wykluczył użycie najbardziej prawdopodobnej broni, z konieczności przyjrzał się bliżej jej twarzy. Niewiele z niej zostało. Może kiedyś była piękną, ale nikt nie mógłby tego stwierdzić, patrząc na te szczątki. Większa część twarzy została wyjedzona, podobnie jak jedna pierś i fragment drugiej. Carson widział w swoim fachu wiele makabrycznych rzeczy i okaleczone ciała ofiar już dawno przestały mrozić mu krew w żyłach. Teraz jednak zimny dreszcz przebiegł mu po plecach jak horda owadów. Ślady ugryzień widoczne na obwodzie zachowanej tkanki nie należały do zwierzęcia. Miały krzywiznę i wzór zębów ludzkich.

## 37

MEGAN ZDAŹYŁA PRZECZYTAĆ TRZY ROZDZIAŁY powieści i wypić kieliszek caberneta, a Woody jeszcze nie zszedł do kuchni.

Czasami, gdy miał trudności z powrotem z jednej z tych dalszych ucieczek, udawało jej się zachęcić go muzyką. Lubił słuchać, jak gra na steinwayu, i zawsze patrzył na nią jakby zdumiony, że potrafi wyczarować muzykę z klawiszy.

Kiedy indziej zostawiała mu odręcznie pisane liściki. Treść ostatniego brzmiała: *Czy chcesz, bym nauczyła cię grać na fortepianie?*

Nie odpowiedział ani na ten list, ani na żaden inny, miała jednak nadzieję, że pewnego dnia to zrobi. Wymiana liścików nie byłaby tym samym co rozmowa, ale byłaby bardziej satysfakcjonującą formą dwustronnej komunikacji niż ta dotychczasowa.

Megan poszła przez hol do salonu i zapaliła światło. Zamarła, widząc, że wszystkie fotografie leżą na skrzydle fortepianu.

Verna Brickit raz w tygodniu polerowała srebrne ramki i szybki. Nigdy nie zostawiała zdjęć w takim stanie. Była niemal obsesyjnie skrupulatna.

Zatem to Woody. Ale dlaczego? Nasuwała się oczywista odpowiedź: widok ojca na tych zdjęciach nagle go przeszył. Megan myślała, że po trzech latach syn

pogodził się ze stratą, ale najwyraźniej tak się nie stało. Był genialnym dzieckiem, a ludzie zwykle zakładają, że geniusze są mniej emocjonalni niż inni, ona jednak wiedziała, że ta powszechna opinia nie dotyczy jej syna. Woody był wrażliwy i wszystko głęboko przeżywał. Czasami zastanawiała się, czy nie milczy z obawy, że gdy się odezwie, długo tłumione emocje wybuchną z wulkaniczną siłą, że nie będzie w stanie ich kontrolować i wstrząśnie słuchaczami samą brutalnością furii, z jaką będzie do nich mówić.

Zostawiła fotografie i nie podniosła skrzydła fortepianu. Później zapyta syna o zdjęcia.

Usiadła na stołku i uniosła klapę klawiatury. Poruszyła palcami.

Kilkanaście piosenek, które Woody lubił najbardziej – i mógł słuchać godzinami – składało się na urozmaicony repertuar. Słowa miały dla niego znaczenie, ale Megan podejrzewała, że to melodie przemawiają do jego duszy.

Po namyśle zagrała *Moon River* i ta piękna melodia, przepojona tęsknotą i delikatną melancholią, płynęła przez salon, korytarz i schody, być może po to, by wywołać chłopca ze skorupy, w której się zatrzasnął.

## 38

LEŻĄC NA TRZCINOWYM POSŁANIU w wymagowanej komnacie Zamku Wiwerna, Woody wpatrywał się w wychodzące na południe puste okno, w którym zawsze pojawiał się znak w postaci błękitnego ptaka albo białego szczura o miękkiej sierści, potwierdzający, że chłopiec już odpokutował swoje błędy. Po niebie szybko sunęły ciemne jak żelazo chmury. Pulsowały w nich bezgłośnie fale błyskawic, żywiły milczące jak chłopiec, który je wymyślił. Jeśli jego wina była gorsza, niż przypuszczał, jeśli ściągnął morderców z darknetu do Pinehaven, jeśli już byli w drodze, najsrozsza pokuta nie zapewni mu przebaczenia ani bezpieczeństwa i będzie skazany na wieczne przebywanie w tym pokoju na szczycie wieży.

Nagle rozległ się dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszał, dziwny skowyt, po którym nastąpiło westchnienie i seria rozdzierających serce jęków.

Oderwał wzrok od okna. Na podłodze spał zwinięty w kłębek golden retriever i skowyczał, bo śnił straszny, a może smutny sen.

Nigdy wcześniej nic takiego się nie wydarzyło i Woody nie wiedział, co o tym sądzić. Czy pies może być znakiem, jak błękitny ptaszek i biały szczur, znakiem, że odpokutował za bałagan i może już opuścić zamek, by dołączyć do mamy w ich przytulnym domu?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale coś usłyszał. Niewidzialne coś przemówiło do niego, oderwane słowa szeptały wzdłuż kamiennych ścian wieży: „Uśmiech dla Dorothy... drogi, słodki Kipp... mój wyjątkowy chłopiec... moja tajemnica... Misterium...”.

Woody usiadł na słomie i rozejrzał się po komnacie, w której cienie z każdą błyskawicą falowały jak zasłony w przeciągu. Osoba, która mówiła, kobieta, pozostała niewidoczna.

Twarszy, straszny męski głos brzmiał niemal jak warknięcia. „Znam się... na takich jak ty... dam ci... nauczkę”.

Zapłonęły trzy dotąd nieistniejące kaganki, bo tak chciał, i w tańczącym świetle nie dostrzegł nikogo innego oprócz psa.

Trzeci głos, inny mężczyzna: „Nigdy... nigdy nie bij psa. Clover... rak... zżerał ją żywcem... najtrudniejsze...”.

A potem odezwały się wszystkie trzy głosy: „Dam ci nauczkę... rak... Clover... Dorothy... mój Kipp... mój wyjątkowy chłopiec... wyjątkowy chłopiec”.

Kaganki zniknęły i w pokoju zadrżały cienie poruszone burzowym światłem. Woody wstał, gdy śpiący pies stał się przejrzysty jak złote szkło, a potem zniknął.

Gdzieś ktoś grał *Moon River* na fortepianie.

Woody dobrze wiedział, że błękitny ptak i biały szczur, które zapowiadały koniec izolacji, którą sam sobie narzucił, są – jak Zamek Wiwerna – tworamami jego wyobraźni. Ptak i szczur były głosami jego sumienia, gdy czuł, że odprowadził wystarczającą pokutę za przewiny. Wiedział też, że ten piękny pies na pewno nie był wymysłem, że został wprowadzony do jego fantazji przez... kogoś innego. Głosy nie należały do niego i słowa nie pochodziły od niego. Nie rozumiał, co się stało i co to mogło zwiastować, ale czuł, że to pierwszy prawdziwy znak, jaki

kiedykolwiek otrzymał. Ogarnęła go radość i w znacznej mierze uwolnił się od strachu, że ci z darknetu odnajdą jego i mamę.

Nie musiał wysuwać masywnych rygli w drzwiach komnaty, nie musiał schodzić na dół wieży, iść przez wewnętrzny dziedziniec, podnosić bron i wychodzić przez bramę. Wystarczyło, że obrócił się dokoła, a średniowieczna komnata stała się jego nowoczesnym pokojem, w którym stał obok zwyczajnego łóżka, a nie słomianego posłania.

Zapadająca w pamięć znajoma melodia płynęła z fortepianu na dole i jak zawsze mówiła mu o wszystkim, czego nigdy nie robi. Nigdy nie będzie podróżować swobodnie jak rzeka ani nie przekroczy jej w wielkim stylu. Nigdy nie wyruszy na „zwiedzanie świata”, ponieważ świat w swoim ogromie i złożoności to dla niego zbyt wiele. Piękna melodia otaczała go równie pewnie jak mur autyzmu, wcale jednak nie uważał, że jest smutna. Przeciwnie. Piosenka potwierdzała wartość marzeń o robieniu różnych rzeczy, chociaż ich rzeczywiste wykonanie nie było możliwe, a on pomimo wszystkich swoich ograniczeń był marzycielem najwyższej klasy.

Otworzył drzwi sypialni i wyszedł na korytarz. Muzyka przywołała go z powrotem do świata, który znał i z którym często dobrze sobie radził, do domu wśród sosen i do matki, której pełne wdzięku dłonie wydobywały piękno ze wszystkiego, czego dotknęła.

## 39

SHACKET NIE ZAMIERZA SPAĆ W ŁÓŻKU tej suki, ale symfonia zapachów, którymi nasączyła pościel, tłumi jego coraz bardziej wyostrzone zmysły: intensywnie pachnąca erotyczna saszetka, która wywołuje żywe wizje nagiej Megan, podniecające, a zarazem dziwnie usypiające. Choć Shacket nie śpi, unosi się w morzu lubieżnych obrazów, jak dorastający chłopiec pogrążony we śnie, który zakończy się polucją – wyobraża sobie jędrność pełnych młodych piersi, półkule pośladków, obejmujące go gładkie jak jedwab kończyny, ekscytujący nacisk ciała. Czuje zapach jej skóry; czuje aromat wilgoci, która wsiąkła z jej warg sromowych w bawełnę podczas snów o zaspokojeniu; czuje nikłą woń siary,

która, chociaż Megan nie jest w ciąży, wyciekła z jej sutków, jakby się go spodziewała i szykowała do karmienia go jak własnego dziecka. Czuje zapach z miejsca na poduszce, gdzie we śnie strużka śliny spłynęła z kącika jej pełnych ust, i sunie językiem po gładkiej tkaninie, by zlizać smak jej warg. W jego fantazjach Megan pieści smukłymi dłońmi swoje zmysłowo zaokrąglone ciało, oferując mu jego rozkosze. Ma ochotę ssać jej palce, lizać delikatne błonki między nimi i kąsać pulchne wybrzuszenie kłębka u nasady kciuka. Jego zmysły są przesiąknięte pożądaniem, które odbiera mu jasność myśli, i to przeciążenie sensoryczne, to nierozważne pograżenie się w doznaniach działa jak środek uspokajający i sprawia, że zapada w sen jak pijak upojony whiskey.

Jego sny różnią się od wcześniejszych. Przenika je dzikość, niemal szalone wrażenie, że wszystko jest możliwe, że tuż przed nim leży objawienie, które pozwoli mu zaspokoić każdą potrzebę i na zawsze uśmierzy wszystkie jego lęki. Pędzi przez mroczny las, potem przez zalaną księżycowym blaskiem łąkę, w ciele innym niż własne, czworonożny i szybszy niż człowiek; wydycha kłęby pary w nocnym chłodzie, który mu nie doskwiera, bo ma gorącą krew i płonie z wysiłku. Towarzyszy innym swojego pokroju, smukłym, długonogim, ostrożnym bestiom. Gdy dostrzegają okulałego jelenia, z ich gardeł płynie wycie, dla nich brzmiące radośnie, ale przerażająco dla łagodnego celu ich żądy. W apogeum podniecenia sen się zmienia, on się zmienia i już nie pojmuje, kim jest, nie wie, czego chce – wie tylko to, że musi się pożywić. Jest czymś, co pełza i pomyka w oślepiającej ciemności, pożerając brud; jest czymś napędzanym bezrozumnym strachem przed nagłym światłem, które zmusza go do szaleńczej ucieczki w szczelinę, dziurę, zgniliznę. Zaraz potem odkrywa, że jest czymś zupełnie innym, utopionym, a jednak żywym, pełzającym po dnie oceanu, gdzie ogromne ciśnienie zabiłoby człowieka, daleko poza zasięgiem ciepłego słońca, w miejscu, gdzie fosforyzujące rośliny tkają wici z nieziemskiego światła. Z góry, przez ogrom wody, dobiega znajoma muzyka, która powoli ciągnie go ku jawie. Gdy się wznosi, rozumie, że źródłem snów nie są zwykłe ludzkie doświadczenia – być może sny pochodzą z genetycznych wspomnień zainstalowanych przez DNA miliardów archeonów, którymi oddychał w Springville.

Budzi się.

Z dołu płynie *Moon River* i melodia irytuje go równie mocno jak obraz w pracowni Megan. Jej sztuka i ta piosenka są zbyt miękkie, zbyt mocno naładowane bezsensownymi emocjami, które przyćmiewają umysł i uniemożliwiają rozpoznanie prawdy mówiącej, że życie jest brutalne, mroczne i pozbawione znaczenia. Życie sprowadza się do żądzy i głodu oraz niezbędnej do ich zaspokojenia nienawiści i przemocy; w życiu chodzi o to, żeby dostać to, czego się chce, za wszelką cenę. Kradzież, gwałt i zabijanie są dla człowieka nie mniej naturalne niż oddychanie; są niezbędnym serum gatunku; i w nim to serum osiągnie niespotykaną dotąd czystość.

Shacket odrzuca koc i siada na brzegu łóżka, wsuwa stopy w buty, zawiązuje sznurowadła, zabiera pistolet z szafki nocnej i idzie do drzwi.

## 40

WOODY WSZEDŁ DO SALONU I JEGO widok uradował jej serce. Gdy podszedł do fortepianu, miała nadzieję, że otrząsnął się z żalu na tyle, by uporządkować przynajmniej kilka zdjęć ojca. Jednak, choć znowu zagrała *Moon River* od początku, tylko stał i słuchał z rozmarzonym wyrazem twarzy.

– Skarbie, dlaczego pokładłeś te zdjęcia? – zapytała, gdy skończyła grać.

Chłopiec spojrział na leżące fotografie i ściągnął brwi.

– Nadal tęsknisz za tatą, wiem. Ja też za nim tęsknię, bardzo. Zawsze będę tęsknić. Nie znałam lepszego człowieka.

Syn spojrział na nią, wciąż ze zmarszczonymi brwi. Nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy i oczu.

– Przewracanie jego zdjęć nie usunie bolesnych wspomnień. Zatrzymując tatę na zdjęciach i we wspomnieniach, zatrzymując go w naszych sercach, nigdy go nie stracimy. To najlepszy sposób na pogodzenie się z tym, co się stało. Rozumiesz, kochanie?

Chłopiec skinął głową, ale jego brwi się nie wygładziły. Gdy zaproponowała wspólne ustawienie fotografii, wyszedł z salonu.

Wołanie go nie miało sensu. Megan wiedziała, że nie jest bezmyślny ani nieposłuszny, jest po prostu więźniem swojego stanu, zmuszonym do działania



zgodnie z interpretacją chwili i okoliczności, dla niego logicznej, lecz wykraczającej poza jej rozumienie.

Całkiem możliwe, że gdy po kolacji sprzątnie ze stołu, Woody sam wróci do salonu i ustawi wszystkie srebrne ramki, co będzie oznaczać, że przyjął jej prośbę w taki sposób, jakby wypowiedziała słowa w obcym języku i przetłumaczenie ich wymagało mnóstwa pracy. Spełnianie próśb z opóźnieniem nie było niczym niezwykłym.

Poszła za nim przez hol do kuchni. Woody usiadł na jej krześle i wziął do ręki powieść, którą czytała. Uważając, by nie przesunąć zakładki, zaczął czytać od pierwszej strony.

W książce nie było nic, co chciałaby ocenzurować, więc powiedziała tylko:

– Kolacja będzie późna, ale smaczna.

Zanim wyjęła z lodówki pokrojone marchewki i kalafior, by wrzucić je do garnka i przyprawić, nałała sobie drugi kieliszek caberneta. Dla syna miała wodę Sparkling Ice o smaku winogronowo-malinowym. Podała mu ją w kieliszku do wina, takim samym jak jej.

## 41

SHACKET STOI U SZCZYTU SCHODÓW, oparty plecami o ścianę, i spogląda w dół na hol, gdy chłopiec i jego uroczą matkę opuszczają salon. Słyszając ich jednostronną rozmowę, zastanawia się, czy kobieta również nie cierpi na upośledzenie umysłowe, tyle że w łagodniejszej postaci. Rozmawianie z chłopcem niemową z połową mózgu, jakby rozumiał i mógł odpowiedzieć, chociaż nigdy nie wyrzekł słowa w swoim skarlałym życiu, mija się z celem.

Gdy łagodne skrzypnięcie wahadłowych drzwi sygnalizuje, że oboje weszli do kuchni, Shacket idzie na dół po schodach szybko i cicho jak kot, co przywołuje na jego twarz uśmiech Kota z Cheshire. Jest podekscytowany swoim stawianiem się. Podążający za kobietą subtelny zapach wilgotnej pochwy jest obietnicą, która zalewa jego usta śliną. Shacket zlizuje niewielką ilość płynu z kącików ust.

W salonie jego uśmiech blednie, gdy przypomina sobie, co mówiła chłopakowi: te przesłodzone bzdury o Jasonie. Rozwściecza go w szczególności jedno zdanie: „Nie znałam lepszego człowieka”.

Ta dziwka pewnie знаła mnóstwo mężczyzn, ale nie poznała Lee Shacketa, nie znała go tak naprawdę. Nigdy nie wpuściła go przez swoją bramę, nie dała mu szansy na udowodnienie, że jest w stanie ją zadowolić jak żaden inny mężczyzna.

Wkrótce to się zmieni.

Przy Steinwayu spogląda na srebrne ramki. Podnosi jedną, odwraca i patrzy na Megan i Jasona, nagrodę i złodzieja, który mu ją ukradł, napaloną sukę i zdradzieckiego drania.

W pierwszym odruchu chce rzucić fotografię na podłogę, nadepnąć na nią mocno, potłuc chroniącą ją szybkę i rozbić wszystkie drogocenne wspomnienia tej dziwki o tym, jak razem ze zdradzieckim mężem zniweczyła jego nadzieje.

Ale ona usłyszy, przyjdzie sprawdzić, co się dzieje – a to nie miejsce ani czas, by narzucić jej przyszłość, którą dla niej zaplanował. Leżąc w jej łóżku i przeżywając w fantazjach rozkosz, jaką mu sprawi, Shacket planował zakraść się do niej wtedy, gdy będzie spała, i zbudzić ją wniknięciem w nią. W ciemności sypialni, gdy ona, nic nie widząc, będzie się zastanawiać, kto ją dosiadł i wypełnił jak nigdy dotąd, on będzie patrzył swoim wzrokiem śmy, jak jej szok i strach szybko ustępują zachwytowi, jak otacza go długimi zgrabnymi nogami, by wciągnąć go głębiej. Archeony nie są bakteriami, więc zainicjowane przez nie i wciąż zachodzące zmiany nie mogą zostać przekazane jak grypa. Jeśli jednak nowa informacja genetyczna już została zakodowana w jego spermie, spłodzi z Megan dziecko, które będzie lepsze od innych dzieci w takim stopniu, w jakim on przewyższa wszystkich mężczyzn.

Zamiast rozbić szybkę, podważa wypustki na ramce, usuwa cienki karton i wyciąga fotografię. Jedno po drugim, wyjmując dziewięć zdjęć z pozostałych ramek.

Zamierza wsunąć je między ceramiczne polana w gazowym kominku, by w końcu je spalić. Po namyśle zachowuje je do lepszych celów. Składa je i wsuwa do kieszeni dżinsów. W nocy, gdy ją dosiadzie, a ona go odtrąci, będzie walczyć, wyszydzać go i poniżać, przedkładając zmarłego męża i zidiociałego dzieciaka nad nowe życie z nim, wtedy ją ogłuszy, zwinie każde zdjęcie w rulonik

i będzie je wciskać kolejno w jej gardło, aż suka udławi się swoją ukochaną rodziną.

## 42

ZIMNE, BIAŁE, SKOTŁOWANE OPARY sunęły leniwie przez noc jak ogromne kłęby i zady onirycznych bestii, które nie do końca chcą przybrać formę. Sądząc po dostępnych dowodach, świat wyparował. Rosa Leon nie widziała drzew, zabudowań, nadjeżdżających aut. Jeśli pod oponami była nawierzchnia, to dla niej niedostrzegalna. Z mroku wyłonił się rozmyty prostokątny kształt czegoś, co mogło być znakiem drogowym, ale pustym, jakby nigdzie w pobliżu nie istniała żadna społeczność, której istnienie można by ogłosić w tym świecie. Reflektory rozsmarowywały lodowaty blask po ścianie mgły, przebijając się w głąb nie dalej niż na trzy metry.

Z mroku wyłoniła się zjawa plująca na ziemię kulami czerwonego blasku. Rosa zwolniła i postać spiesząca w jej stronę stała się wyraźniejsza: funkcjonariusz patrolu drogowego układający flary. Chwilę później w mglistej nocy wybuchły tajemnicze mgławice światła, białe, czerwone i niebieskie, rozproszone snopy, migające punkciki i wirujące, pulsujące światła, jakby na autostradzie wylądował ogromny statek kosmiczny. Gdy zatrzymała się za ostatnim z czekających w kolejce pojazdów, zobaczyła, że wszystkie pasy autostrady są zablokowane przez przewróconą osiemnastokątową ciężarówkę, rozbitego sedana, SUV-a przewróconego na bok, pojazdy policyjne i co najmniej jedną karetkę, unoszące się w gęstej mgle niczym szczątki statku na zamglonym morzu.

Dzięki mapie na ekranie GPS-u wiedziała, że znajduje się na północ od Meeks Bay, na południe od miasta Tahoma. Przy dobrej pogodzie i bez przeszkód na autostradzie dotarłaby do celu w dwadzieścia minut. Teraz utknie tu na długie godziny.

Sprawdziła usługę Pied Finder na telefonie Dorothy i zobaczyła, że Kipp wciąż jest tam, gdzie był, w Olympic Valley.

Zastanawiała się, czy nie zawrócić do południowego krańca jeziora, przekroczyć granicę z Nevadą, jechać wzdłuż wschodniego i północnego brzegu do autostrady nr 89 w Tahoe City, kilkanaście kilometrów na południe od Olympic Valley. Ale nie miała gwarancji, że po stronie Nevady mgła będzie rzadsza, a z uwagi na tamtejsze kasyna ruch na pewno byłby znacznie większy.

Postanowiła czekać. Może władze oczyszczą autostradę wcześniej, niż się spodziewa. Może Kipp spędza noc bezpiecznie.

Mimo trudnego życia nigdy nie była nerwusem. Przeciwności losu najlepiej przezwyciężyć pozytywnym myśleniem i ciężką pracą. Złe przeczucia, nie mówiąc o lęku, rozpraszają serce i umysł, zmniejszając prawdopodobieństwo postępu. A jednak nękał ją niepokój. Nigdy nie powierzono jej ważniejszego obowiązku niż opieka nad Kippem; troska o niego była jej świętą powinnością. Gdyby zginął albo wpadł w tarapaty, z których nie umiałby się wykaraskać, zawiodłaby nie tylko jego, ale też Dorothy, i nie tylko ich dwoje. Jeśliby temu niezwykłemu psu stało się coś złego, sprawiałaby zawód... czemuś innemu, czemuś większemu, czego nie umiała zdefiniować. Czuła się niemal tak, jakby sprawienie zawodu Kippowi oznaczało zrobienie tego ludzkości i w jakiś sposób mogło zagrozić losowi świata. Nie przeceniała swojego znaczenia, wręcz przeciwnie, a jednak los Kippa ciążył jej coraz bardziej z minuty na minutę. Gdy czekała, osadzona na mieliźnie w tym morzu mgły, jej niepokój narastał.

## 43

PO DESERZE WOODY ZSUNĄŁ SIĘ Z krzesła, obszedł stół i stanął przy mamie ze spuszczoną głową, wyczekująco. Nie mógł zrobić nic więcej, by dać jej do zrozumienia, że chce wrócić do swojego pokoju. W ten sposób mówił, że jej dziękuje i życzy dobrej nocy.

Megan ujęła jego prawą rękę, uniosła ją do ust i pocałowała. Przyciągnęła go do siebie, pocałowała go w policzek i w czoło.

Jak zwykle nie odwzajemnił pocałunków, emocjonalnie ograniczony przez swój stan, ale lubił, gdy go całowała. Żyła nadzieją, że nadejdzie taki dzień, kiedy otworzy się jego magazyn nieodwzajemnionych całusów i niewypowiedzianych

słów, kiedy usłyszysz, jak Woody mówi, że ją kocha, i poczuje jego usta na swoim policzku.

– Jesteś najlepszym synem, skarbie – powiedziała, wciąż trzymając jego dłoń. – Wiesz o tym?

Nie zawsze dawał do zrozumienia, że ją słyszy. W niektóre dni reagował rzadko albo wcale. Teraz pokręcił głową.

– Ależ jesteś – zapewniła go. – Naprawdę. Jesteś najlepszym synem, jakim możesz być, i doceniam to, jak bardzo się starasz. Kocham cię, Woodrowie Eugenie Bookman.

Był wyraźnie zakłopotany. Stał ze spuszczonego wzrokiem, przygryzał dolną wargę.

– Myjesz i nitkujesz zęby. Tylko dwie minuty z sonicare. Bez względu na to, jak bardzo chcesz szczotkować je przez dziesięć czy dwadzieścia minut, robisz to tylko przez dwie.

Woody skinął głową.

– Wpadnę później, by cię otulić i upewnić się, że wszystko w porządku.

Gdy puściła jego rękę, wyszedł z kuchni przez wahadłowe drzwi nie z żywiołowością chłopca, ale z powagą staruszka. Nie był tylko bezbronnym dzieckiem uwięzionym przez zaburzenie rozwojowe. Był także cudownym dzieckiem o wysokim IQ, a kajdany jego stanu niweczyły wielki potencjał. Megan dla własnego dobra nie ośmielała się rozważać siły jego frustracji.

Podeszła do klawiatury przy tylnych drzwiach. Żeby Woody miał swobodę w domu, przestawiła system alarmowy, uaktywniając czujniki drzwi i większości okien, ale nie detektory ruchu. Okna na piętrze, niedostępne z ziemi i z dachu werandy, nie były podłączone do systemu.

## 44

WOODY PRZEBRAŁ SIĘ W PIŻAMĘ, poszedł do łazienki i mył zęby dokładnie przez dwie minuty. Szczególnie starannie nitkował te, które tkwiły w przeszczepionej tkance podarowanej przez zmarłego.

Nie, to wcale nie było takie straszne. Facet nie był martwy, kiedy podpisywał dokumenty jako dawca. Poczynił przygotowania za życia. A może rodzina zezwoliła na pobranie tkanki po jego śmierci. Jeśli tak, Woody miał nadzieję, że rodzina dawcy nie pojawi się pewnego dnia z prośbą, by zrobić sobie z nim zdjęcie, bo jego zęby tkwią w dziąsłach ukochanej przez nich osoby. Nie znał personaliów zmarłego, więc jego rodzina najprawdopodobniej nie znała jego nazwiska, ale zawsze mogli pójść do sądu i spróbować się dowiedzieć. Sądy są nieprzewidywalne, ponieważ sędziowie są ludźmi. W życiu nie brakuje powodów do zmartwień, jednak największym źródłem problemów są ludzie, zwłaszcza tacy, którzy mają zaburzenia rozwojowe, są zażenowani zachowaniem wielu osób i wiedzą, że dla wielu z nich oni też byliby żenujący, gdyby coś o nich wiedzieli. Nie wszyscy są po prostu zakłopotani. Niektórzy są przerażeni. Ci wydzielają subtelny zapach. Nie potrafił go opisać, ale go wykrywał. Poczytał trochę na ten temat i dowiedział się, że wiele psów rozpoznaje po zapachu skrajne przypadki schizofrenii i morderczej psychopatii, więc uznał, że może ma w sobie coś z psa. Gdy otaczało go zbyt wielu ludzi, którzy chcieli z nim wchodzić w interakcje, wtedy – bez względu na to, czy byli żenujący, czy po prostu straszni – chciał krzyknąć, aż odejdą z rękami na uszach. Ale tak jak nie był w stanie powiedzieć, żeby dali mu spokój, tak nie mógł krzyknąć. Dostawał potwornego bólu głowy i z nerwów nie mógł myśleć. Czasami miał mdłości i odnosił wrażenie, że żołądek, jelita i wszystko w jego brzuchu poluzowało się i chlupocze, więc bał się, że zacznie prykać jak z karabinu maszynowego. Nic nie jest bardziej żenujące niż puszczenie bąków, nawet wizyta rodziny dawcy dziąsła, przybywająca z prośbą o wspólne zdjęcie.

Woody zgasił światło w łazience, poszedł do swojego pokoju, stanął i zaczął wpatrywać się w swój komputer. Po chwili namysłu ukląkł, wczołgał się pod biurko i podłączył wszystkie przewody. Żli ludzie ze strony internetowej Tragedii nie mogą go wytropić. I nigdy więcej tam nie wróci.

Jego raport – *Zemsta syna. Rzetelnie zebrane dowody potwornego zła* – leżał na biurku. Zamierzał dać go mamie, ale przez to, że ci z Tragedii odkryli, że wchodził na ich stronę, musiał odejść do Zamku Wiwerna.

Z samego rana położył raport na stole w kuchni.

Pomyślał o słowach, które pojawiły się na ekranie, kiedy był głęboko w darknecie. ZNOWU TY. A potem NIE JESTEŚ ALEXANDREM GORDIUSEM. I w końcu ZNAJDZIEMY CIĘ.

Ostatnia wiadomość była blefem. Nie zdołają wytropić jego sygnału do źródła, nie po tych środkach ostrożności, jakie podjął.

Mimo to był prawie pewien, że nie zaśnie od razu. Ułożył poduszki w stos i usiadł na łóżku z marynistyczną powieścią Patricka O'Briana. Była to osadzona w osiemnastym stuleciu porywająca opowieść o odwadze, honorze i niezłomnej lojalności. Woody podziwiał te cechy i uważał je za ważne, ze względu na swój stan wątpił jednak, czy kiedykolwiek będzie mógł się nimi wykazać w znaczącym stopniu. Ale jednym ze sposobów nauki jest korzystanie z przykładu i właśnie dlatego czytał takie książki – a poza tym uwielbiał fantastyczne historie. Z tego samego powodu – żeby nie stać się tym, o czym się czyta – unikał powieści o wampirach, wilkołakach i zombie.

## 45

MEGAN UMYŁA I WYTARŁA NACZYNIA, po czym pozwoliła sobie jeszcze na trochę wina. Siedziała w kuchni przy stole, delektując się cabernetem i czytając kolejne rozdziały powieści.

W tych ostatnich godzinach wieczoru zerwał się wiatr z północnego zachodu, wypełniający noc szeptami i jękami. Od czasu do czasu z tylnej werandy dochodził cichy stukot. Megan wiedziała, że to nie intruzi, tylko bujaki, które uderzały na wietrze o ścianę. Wiszący koszyk z fuksją kołysał się, a tarcie ogniw łańcucha brzmiało jak skrzypienie piły z determinacją różnąj coś twardego jak kość.

Hałasy czasami sugerowały obecność intruza – widmowe kroki, skrzypnięcie drzwi – ale były to tylko zwykłe dźwięki osiadania domu, teraz wzmocnione przez opór, jaki konstrukcja stawiała napierającemu wiatrowi.

Po śmierci Jasona, gdy Megan przeprowadziła się z Woodym na obrzeża Pinehaven, noce nie wydawały się ani trochę tak romantyczne jak tamte, które pamiętała z czasów, kiedy tu dorastała. Zapadająca ciemność niosła wówczas ze

sobą co najwyżej aurę dziwności, wrażenie obcego królestwa, jakby natura wiedziała o jej latach spędzonych w mieście, uznała ją za zdrażczynię i już jej nie witała. W najgorszym przypadku raz na jakiś czas noce wydawały się pełne niebezpieczeństw, ponieważ od czasów dzieciństwa Megan świat stał się gorszy, nawet tutaj, w hrabstwie Pinehaven. Łatwo było wyobrazić sobie koszmarną galerię złych ludzi – gangsterów kierujących fabrykami metamfetaminy i na wpół oszalałych samotników, piewców czasów ostatecznych – którzy znaleźli kryjówki głęboko na pustkowiu i nocą mogli podchodzić bliżej, by obserwować ją z lasu. Przez pierwsze miesiące po przeprowadzce zaciągała wszystkie zasłony i o zachodzie słońca opuszczała żaluzje.

Ale miejscowi przyjęli ich serdecznie i z czasem okolica wydała jej się równie łagodna jak za czasów młodości. Nie podejrzewała już, że las jest siedliskiem siatki degeneratów, a noc, o ile nie była pochmurna, przynosiła ze sobą tylko gwiazdy i księżyc w różnych fazach. Dla niektórych odosobnienie domu, w którym mieszka się tylko z autystycznym chłopcem, pogłębiałoby samotność wdowieństwa. Megan dzięki samotności mogła pozwolić sobie na kontemplację i introspekcję, dzięki czemu w końcu pogodziła się z poniesioną stratą i osiągnęła spokój szybciej, niż mogłoby to nastąpić gdzie indziej.

Doczytała rozdział i dopiła wino, zamknęła książkę i wypłukała kieliszek nad zlewem.

Obeszła parter, gasząc światła i dwa razy sprawdzając zamki w drzwiach.

Stała w holu przy wejściu do salonu i gdy sięgnęła do ściennego włącznika, zobaczyła, że Woody był tutaj przed pójsciem do swojego pokoju. Fotografie w srebrnych ramkach już nie leżały na steinwayu. Wszystkie stały przodem do stołka fortepianu, by mogła je widzieć podczas gry. Ale powinny stać zwrócone w tę stronę, w stronę pokoju. Przetawi je rano. W tej chwili wystarczyła jej świadomość, że syn usłyszał ją, zrozumiał, co mu powiedziała o chowaniu jego ojca w ich pamięci, i zgodził się z nią.

Zgasła światła w salonie.

Rygiel w drzwiach frontowych był zatrzaśnięty.

Na klawiaturze systemu bezpieczeństwa pod napisem DOM paliło się czerwone światełko, podobnie jak na tej przy tylnych drzwiach. Trzecia klawiatura znajdowała się w sypialni.



Z książką w ręce, bo zamierzała poczytać trochę przed snem, Megan weszła po schodach.

Wiatr jakby próbował sił, grzechocząc blachą gdzieś na dachu – może kołnierzem łapacza iskier na kominie – gwizdząc w rynnach, tłukąc pięściami w szyby, wyciskając skrzywienie i stłumione jęki z krokwi, jętek i belek stropowych niczym rozkołysane morze, które sprawia, że przemawia drewniany kadłub statku.

Cicho zapukała do drzwi i weszła do pokoju syna. W świetle lampki nocnej zobaczyła, że Woody śpi, na wpół siedząc, oparty o poduszki, z książką w twardej oprawie rozłożoną na kolanach.

Wyjęła chusteczkę z pudełka na szafce nocnej, użyła jej jako zakładki i odłożyła książkę. Wyciągnęła dwie poduszki z za jego pleców, ułożyła go w wygodniejszej pozycji do spania i okryła kocem.

Woody rzadko spał dłużej niż pięć godzin, ale miał głęboki sen. Nie obudziła go.

Pocałowała jego gładkie, chłodne czoło i zmniejszyła jasność lampki.

Gdy odsunęła się od łóżka, chłopiec zamruczał przez sen. Odwróciła się, by mu się przyjrzeć, i po chwili uznała, że jego sen, o czymkolwiek śnił, nie jest koszmarem. Nie wyglądał na wystraszonego. Była już prawie przy drzwiach, gdy usłyszała słowo, nie bezsensowne pomruki i jęki marzyciela, ale prawdziwe słowo. Pierwsze w całym jego życiu.

Może przez minutę stała nieruchomo, nasłuchując. Ale jeśli naprawdę przemówił, nie odezwał się ponownie. Co więcej, mamrotanie i szemranie ustało. Leżał w milczeniu.

Musiała w jego sennym mruczeniu usłyszeć coś, czego tam nie było. W końcu ani on, ani ona nie znali nikogo o imieniu Dorothy.

## 46

POKÓJ GOŚCINNY NA KOŃCU korytarza na piętrze jest pogrążony w ciemności, drzwi są uchylone. Shacket spogląda przez szparę, gdy dziwka lekko puka do drzwi dzieciaka i wchodzi do pokoju.

Megan pojawia się jakieś dwie minuty później i idzie w jego stronę, nieświadoma, że jest obserwowana i pożądana. Wyciąga światło w korytarzu i wchodzi do sypialni.

Te drzwi nie mają zasuwy, jest tylko zatrask uruchamiany przez przycisk na gałce. Prawdopodobnie Megan go nie użyje. System alarmowy jest włączony, więc uważa, że nic jej nie grozi.

Wcześniej, gdy jadła kolację z dziećmi, wrócił do sypialni z myślą o broni. Uznał, że jako samotna kobieta prawdopodobnie ją ma.

Znalazł wcześniej przeoczony sejf na broń, przymocowany do poręczy łóżka. Aby go otworzyć, potrzebował czterocyfrowego kodu.

Wiedział o Megan kilka ważnych rzeczy i jedna z nich chyba zapewni mu to, czego potrzebuje. Programując takie urządzenia, ludzie na ogół korzystają z sekwencji liczb, co do których mają pewność, że ich nie zapomną. Znał datę urodzin jej, Jasona i Woody'ego oraz datę jej ślubu, na którym był gościem, choć oczywiście nie drużbą. Wypróbował liczby w tej kolejności. Data ślubu rozwiązała problem.

I teraz dziesięć kul czeka na splukanie w sedesie w łazience przy pokoju gościnnym.

Wychodzi na korytarz i idzie do drzwi sypialni. Przykłada do nich ucho i słyszy szum wody.

Obraca gałkę – blokada nie jest włączona. Otwiera drzwi na kilka centymetrów. Pokój oświetlają dwie lampki nocne. Drzwi do łazienki są lekko uchylone. Nie widzi Megan, ale słyszy brzęczenie elektrycznej szczoteczki do zębów.

Na łóżku leży książka. Najwyraźniej dziwka zamierza trochę poczytać.

Shackett dochodzi do wniosku, że jeśli ma spełnić swoją fantazję o ułożeniu się na niej i wejściu w nią w chwili, gdy się zbudzi, musi dać jej kilka godzin, zanim tu wróci.

Cicho zamyka drzwi i schodzi na parter. Dom, choć nie palą się światła, dla niego nie jest ciemny.

PRZEZ KILKA MIESIĘCY PO PRZEPROWADZCE Megan prześladowało wrażenie, że w nocy skrywa się coś, co może zagrozić ich życiu. Leżała w łóżku godzinami, nie mogąc zasnąć, czekając na brzęk wybitej szyby i przenikliwe wycie alarmu. Ponieważ spała w podkoszulku i majtkach, każdego wieczoru przed pójściem spać kładła dżinsy i bluzę na drugiej połowie małżeńskiego łóża, tak by mogła je szybko chwycić i włożyć. Trzy lata później, choć uważała tamtą paranoję za zabawną, nie wyzbyła się nawyku kładzenia ubrania pod ręką.

Po ułożeniu spodni i swetra w sposób, który przywodził na myśl wymagowanego współlokatora, przeszła na swoją stronę łóżka, odrzuciła górne prześcieradło z kocem – i odkryła na tym dolnym długą na jakieś osiem centymetrów smugę. Była środa, a Verna Brickit rutynowo zmieniała pościel w środku tygodnia, więc prześcieradła powinny być czyste.

Przetarła palcem substancję, przysunęła palec pod nos i poczuła zapach ziemi. Wypatrzyła w smudze kilka źdźbeł złocistej trawy albo chwastów.

Nie miała pojęcia, jak to się tu dostało ani dlaczego Verna tego nie zauważyła. Strzepnęła prawie wszystko jednym ruchem dłoni. Poszła do łazienki po świeżą myjkę, zwilżyła jej róg i usunęła ostatnie ślady brudu bez pozostawiania dużej mokrej plamy.

Po umyciu rąk, gdy usiadła w łóżku i oparła się plecami o wyściełany zagłówek, żeby poczytać przed snem, poczuła obcy w tym pokoju nikły gryzący zapach. Obróciła głowę w lewo, w prawo, pochyliła się, żeby powąchać koc, ale dziwna woń była słaba i ulotna. Już jej nie czuła.

Otworzyła książkę.

## 48

LEE SHACKET, NIESPOKOJNY JAK wiatr, przemierza ciemne pokoje na parterze domu.

Frustruje go nie tylko konieczność czekania, aż Megan zaśnie, ale także powolne tempo jego stawania się. Wie, że gdy ten poziomy transfer genów dobiegnie końca, będzie budził większą grozę niż teraz, wyniesiony nad wszystkich ludzi i wszelkie prawa, łącznie z prawami natury. Jest chętny –

i z niecierpliwością pragnie – poddać się swojemu przeznaczeniu. Intuicyjnie wyczuwa, że zaprogramowane archeony wprowadzą w nim dalsze zmiany i osiągnie potęgę, o jakiej żaden człowiek nawet nie marzył. Brakuje mu jednak wyobraźni, aby przewidzieć, jakie będą jego nowe mocne strony i możliwości. Chce mieć je już.

Wiatr wyczesuje z sosen uschnięte igły i niczym drobny grad uderzają w okna salonu, gdy Shacket krąży wokół fortepianu. Instrument działa mu na nerwy, choć nie potrafi wyjaśnić, z jakiego powodu.

Suka nie będzie grać na tym cholerstwie, gdy założy jej obrożę. Nie będzie jej wolno słuchać muzyki ani malować. Będzie mogła tylko służyć, robić dla niego wszystko, co jej każe, i będzie tym zachwycona.

Dziesięć pustych srebrnych ramek jest świadectwem przeszłości, świadectwem jej męża i syna. Wymaże ich z pamięci suki i jej życie rozpocznie się tej nocy, pod jego władzą. Maca złożone zdjęcia w kieszeni dżinsów i nagle dociera do niego, że wcale nie będzie musiał ich zwijać i właczać jej do gardła, by ukarać ją za opór.

Ponieważ nie będzie znaczącego oporu. Z godziny na godzinę przybywa mu siły. Czuje, że tkanka mięśni robi się bardziej zbita, że wzrasta jej wytrzymałość na rozciąganie. Z łatwością unieruchomi dziwkę pod sobą. Przy najmniejszej próbie buntu odgryzie jej ucho, przeżuje je i splunie nim w jej twarz. Zmusi ją do uległości bez niszczenia jej piękna, które musi zachować, by być go godną.

Megan musi również pozostać godna bycia matką nowej rasy, ponieważ urodzi wiele potomstwa, dzieci ukształtowanych na jego podobieństwo, pobłogosławionych jego lepszymi genami. Będą nie tylko dziećmi, będą półbogami posiadającymi różnorodne cechy wielu gatunków. Shacket nie ma już wątpliwości, że przekaże dalej to, co zainstalowały w nim miliardy – biliony! – archeonów. Jego jądra są nabrzmiąle nasieniem nowego świata.

Wyjmuje zdjęcia z kieszeni. Wyślizgują mu się z palców. Depcze je, wychodząc z salonu.

Jego przeobrażające się oczy wzmacniają najsłabsze światło, więc choć porusza się w ciemności po pokojach i korytarzach, o nic się nie obija, sunie cicho jak rybak cukrowy, który wyslizgnął się ze szczeliny w listwie przypodłogowej.

Pomimo – a może z powodu – cudownej natury stawania się Shacket nie może siedzieć beczynn timer i czekać. Przechodzi z miejsca na miejsce, a krążąc po domu, wykręca palce i przeczesuje nimi włosy, skubie krople skrzepniętej krwi Justine na koszulce, wciąga powietrze przez zęby, by przypomnieć sobie jej smak.

Orientuje się, że stoi przy oknie w pracowni Megan, ale nie pamięta, jak tu wszedł. Wysokie, smukłe drzewa w ogrodzie wyginają się ku południowemu wschodowi, jakby Ziemia gwałtownie zwiększyła obroty i wszystko, co zakorzeniło się w jej skorupie, miało zostać wyrwane i obalone. Dzikość wiatru podnieca go, wzywa, by łamał różne rzeczy jak wiatr kruche gałęzie, by rozdzierał je, jak wiatr strzępi liście i śle w noc niczym kolonie zdeformowanych nietoperzy.

Potem znowu jest w ruchu, idzie przez dziwną architekturę, jakby dom przekształcił się z sympatii do niego. Korytarze są teraz tunelami, choć nie wyrytymi w ziemi ani wykutymi w skale, ale uformowanymi przez jakieś istoty z wydzielonej przez nie materii organicznej przypominającej szorstki papier, a pokoje bez okien są zaokrąglone jak komory w zamkniętym gnieździe. Może to dziwne, ale czuje, że tu przynależy, i pociąga go wspólnota ze stadem jego gatunku.

Okazuje się, że to halucynacje – lub wspomnienie zrodzone nie z doświadczenia, a z instynktu – bo nagle stwierdza, że jest w kuchni, głodniejszy niż kiedykolwiek. Kładzie pistolet na stole i przeszukuje szuflady zamrażarki. Znajduje cztery steki z polędwicy w zapieczętowanych paczkach, na których widnieje nazwa dostawcy wysokiej klasy mięsa. Otwiera jedną i żuje surowy produkt, ale jest zamrożony i go nie zaspokaja.

Nie zwracając sobie głowy talerzem, wkłada stek do kuchenki mikrofalowej i naciska przycisk z napisem ROZMRAŻANIE, po czym stoi i patrzy przez okienko, gdy mięso obraca się w kąpiel promieniowania. Kiedy z polędwicy zaczyna płynąć zabarwiona krwią wodnista surowica, słyszy swój skowyt, cichy, podobny do jednego z wielu odgłosów wiatru.

Stek wyjęty z kuchenki mikrofalowej jest zimny, ale już nie lodowaty, plastyczny w jego rozdygotanych dłoniach, mokry i delikatny między zębami. Smak nie razi, konsystencja nie odpycha, ale mięso nie jest tym, czego oczekiwał,

czego potrzebuje. Wiotka wołowina nie szamocze mu się w rękach, nie krzyczy, gdy drze ją zębami, nie sprawia mu takiej przyjemności jak Justine na trawie.

Znów wędruje po domu, od okna do okna, zazdroszcząc wichrowi i ciemności, pragnąc znaleźć się w tym zgiełku, który przemawia do niego, podnieca go. Jego serce przyspiesza. Tętno łomocze mu w skroniach.

Znów jest w kuchni, wpatrzony w steki, które rozmrażają się na podłodze.

Stoi przed frontowymi drzwiami, wpatrzony w słowo pod małeńką czerwoną lampką kontrolną: DOM.

Odwraca się od klawiatury, od drzwi.

Wchodzi po schodach.

W holu na piętrze, idąc po perskim chodniku, dociera do sypialni. Widzi paseczek światła między dołem drzwi a mahoniową podłogą. Suka wciąż nie śpi, czyta. Chce ją wziąć, gdy będzie spała. We śnie.

Stoi przez chwilę, wpatrując się w światło, które lśni jak ostrze brzytwy. Jego myśli są nagłe, pożądliwe i chaotyczne. Jedną ręką pociera krocze. Drugą przeciąga po twarzy, jakby była maską, którą czuje się zmuszony zedrzeć. Zaciska dłoń na drżących ustach, by stłumić krzyk, który pragnie się z niego wyrwać. Dręczący noc wiatr zachęca go, by dołączył do niego w sianiu spustoszenia. Atakują go różne rodzaje głodu.

Odwraca się od sypialni i idzie w stronę frontowych schodów.

Zatrzymuje się przed drzwiami pokoju dzieciaka, gdzie tylko smużka bladego światła połyskuje na wypolerowanej mahoniowej podłodze. Jeśli z wnętrza dobiega jakiś dźwięk, zagłusza go szum wichury.

Zmiana planów. Najpierw gówniarz. Shacket otwiera drzwi. Wchodzi do pokoju i cicho zamyka je za sobą.

## 49

LOKAL FOUR SQUARE DINER znajdował się naprzeciwko gmachu sądu hrabstwa Pinehaven, biura szeryfa i prosektorium po drugiej stronie miejskiego skweru. W godzinach szczytu melanz aromatów mógł doprowadzić do płaczu

każdego na ścisłej diecie, ale o tak późnej porze powietrze pachniało tylko bekonem, frytkami i kawą.

Zastępca szeryfa, Bern Holland, który pełnił służbę od ósmej rano do siedemnastej i posilał się zgodnie z harmonogramem, jadł przy barze kanapki z bekonem i jajkiem oraz frytki. Dwaj mężczyźni obok niego popijali kawę.

Carson Conroy siedział w boksie przy oknie, z czarną kawą i dużym kawałkiem placka z rodzynkami i śliwkami.

Gdy skończył sekcję zwłok Paintona Spadera i Justine Klineman, godzina kolacji już dawno minęła – podobnie jak jego apetyt. Z biegiem lat stan ludzi, którzy zginęli w wypadku albo padli ofiarą zabójstwa, przestał go przyprawiać o mdłości i nijak na niego nie wpływał, może tylko czasami budził w nim litość. Kostnica jest światem umarłych, dla których nie ma pomocy ani nadziei, oddzielona od świata żywych jak sen od rzeczywistości. Gdy wychodził za próg prosektorium, było tak, jakby budził się z rojeń sennych i w swoim aktywnym życiu prywatnym zazwyczaj nie rozpamiętywał tego, co zobaczył na stole sekcyjnym, tak jak nie odtwarzał wielokrotnie w pamięci snu, z którego się przebudził. Zazwyczaj. Ten przypadek bardzo się różnił od normalnych. Carson Conroy nie miał apetytu na spóźnioną kolację, a już z pewnością nie na mięso ani coś pikantnego, dlatego wybrał kawę i słodki placek owocowy.

Wiatr bełkotał i wył za oknami, kudłate cienie drzew trzęsły się w mroźnym świetle wysokich latarni. Mogło się wydawać, że Halloween nadeszło sześć tygodni wcześniej. Gdy obok restauracji przejechała furgonetka z kostnicy, przerobiona karetka ze światłami na dachu i symbolem Biura Prokuratora Stanu Kalifornia na drzwiach, Carson odniósł wrażenie, że gorąca kawa, którą akurat przełykał, w jednej chwili zrobiła się lodowata. Pojazd nie mógłby być bardziej złowieszczy, nawet gdyby był długim czarnym cadillakiem z przyciemnianymi szybami i tablicą rejestracyjną z siedmioma zerami. Dreszcz przeszedł mu po plecach, bo intuicyjnie wiedział, że przejazd furgonetki ma coś wspólnego z dwoma ciałami w zimnych szufladach kostnicy.

Sacramento, stolica stanu, leżało dwie godziny drogi stąd, chociaż podróż z włączonymi światłami i syreną mogła trwać znacznie krócej.

Z niektórych witryn sączył się ciepły blask, ale sklepy wokół placu były zamknięte, a ulice puste.

Furgonetka zwolniła na północnym krańcu skweru, skręciła w lewo, zwolniła jeszcze bardziej i powtórzyła manewr, niewątpliwie kierując się do budynków hrabstwa po zachodniej stronie parku.

Na skwerku, szerokiej na jakieś dwadzieścia pięć metrów murawie z trzypoziomową fontanną i kilkoma ławkami, rosło siedem sosen, wszystkie tak stare, że mężczyzna przeciętnego wzrostu mógł przejść swobodnie pod najniższymi konarami. Carson miał dobry widok na samochód biura prokuratora stanu, który zatrzymał się i jakby zawahał, a potem skręcił w prawo w drogę wewnętrzną między siedzibą szeryfa a prosektorium, omiatając snopami reflektorów ceglane ściany budynków.

Patolog wstał od stołu, zostawiając niedokończone ciasto i kawę wraz z należnością i napiwkami. Wychodząc, powiedział młodej kelnerce, Angeli, że jest potrzebny w krypcie zombie, jak z uporem nazywała prosektorium.

Chociaż oficjalnie lato miało jeszcze tydzień rządów, to w górach chłodny wiatr, pachnący żywicą i przefiltrowanym dymem z kominków, zapowiadał nadejście jesieni. Carson pochylił głowę i przymrużył oczy, chroniąc je przed sosnowymi igłami i drobnym piaskiem.

Zobaczył, że karawan zmierza na parking za prosektorium. Przeszedł przez skwer i skręcił w wąską uliczkę. Gdy zbliżał się do bocznego wejścia do biura szeryfa, drzwi otworzyły się i wyszedł Hayden Eckman.

Z twarzą upiornie białą w świetle lampy wiszącej wprost nad jego głową, Eckman wydawał się nie tylko zaskoczony, ale też zaniepokojony spotkaniem z Carsonem. Był jednak wytrawnym politykiem, który zdołał przekonać mieszkańców do powierzenia mu stanowiska szeryfa hrabstwa, więc natychmiast przekształcił zaskoczenie w uśmiech, który zdawał się mówić: „Ach, co za ulga, że tu jesteś”.

– Carson! Myślałem, że już wylegujesz się w łóżku. Zadzwońbym, ale miałeś długi dzień, dlatego nie chciałem zawracać ci głowy.

Kilka godzin wcześniej lekarz spotkał się z szeryfem w prosektorium, by omówić wyniki sekcji zwłok. Zgodzili się, że należy opóźnić wydanie komunikatu prasowego do czasu odnalezienia i powiadomienia rodzin ofiar, a także dać czas rzecznikowi biura szeryfa na napisanie oświadczenia w taki



sposób, by przekazać fakty bez używania sformułowań, które mogłyby zbyt zaniepokoić społeczność.

Carson był innego zdania: uważał, że z uwagi na krańcową brutalność i kanibalizm sprawcy należy wręcz wzbudzić niepokój w społeczności. Ale jego stanowisko nie było wybieralne, a ponieważ pochodził z miasta, w którym władza polityczna miała większe znaczenie niż jakakolwiek inna siła w społeczeństwie, wiedział, że ci, którzy objęli urząd dzięki wyborom, woleli popierać wersję prawdy strawniejszą dla wyborców.

Porywisty wiatr toczył grzechoczącą puszkę po piwie.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Coś niebywałego – odparł Hayden Eckman. – Chodź ze mną, zobaczysz. – Pospieszył w stronę miejskiego parkingu, na którym zniknęła karawan kostnicy z Sacramento.

## 50

W TYM DZIWNYM ŚNIE WOODY i jakaś staruszka o imieniu Dorothy siedzieli z tyłu w samochodzie prowadzonym przez młodszą kobietę, którą Dorothy nazywała Rosą. W trakcie jazdy zobaczyli na poboczu drogi autostopowicza – wysokiego i mocno zbudowanego faceta. Woody wiedział, że zabieranie autostopowiczów, zwłaszcza gdy są wysokimi silnymi facetami, jest niemądre, ale Rosa się zatrzymała. Gdy nieznajomy wsiadł do samochodu, Rosa powiedziała: „Potrzebujemy ochrony przed Frankiem Nienawistnikiem. Zamknij nas w klatkach i nigdy nie wypuść”. Mężczyzna uśmiechnął się – miał bardzo ujmujący uśmiech – i oznajmił: „Miałem już do czynienia z Frankiem Nienawistnikiem. Nie przejmuj się nim”. Nagle zaszumiał wiatr i Woody poczuł go na twarzy, chociaż wszystkie okna były zamknięte. Wysoki, silny mężczyzna spojrzął na tylne siedzenie, mrugnął do niego i zapytał: „Jak się masz, Scooby-Doo?”. Rosa wjechała na autostradę. Wiatr wzmógł się i Woody czuł silne podmuchy na powiekach i rzęsach. Dorothy powiedziała do mężczyzny: „Mój słodki chłopiec jest szczęśliwy, skoro tu jesteś”, i objęła Woody’ego. Chociaż nie

miał nic przeciwko dotykaniu przez miłych ludzi, był zaskoczony, gdy polizał jej rękę.

Wiatr zmusił go do zaciśnięcia powiek, a gdy otworzył oczy, stwierdził, że leży w łóżku na lewym boku. Obok łóżka klęczał mężczyzna, wyraźnie widoczny w nikłym świetle lampki. Nachylał się nad nim i dmuchał mu w twarz.

Woody przez chwilę był zdezorientowany; zastanawiał się, co się stało z samochodem i tymi ludźmi, i nagle zdał sobie sprawę, że śnił. Przez kolejną chwilę myślał, że może nadal śni, gdy klęczący mężczyzna przestał dmuchać i uśmiechnął się do niego.

A potem poczuł zapach intruza, subtelną woń, której nie potrafił opisać, ale z którą zetknął się już kilka razy. Ten mężczyzna cuchnął grozą.

Gorzej niż grozą. Co jest gorsze? Zło?

Strach sparaliżował go do tego stopnia, że nie mógł nawet podnieść głowy z poduszki.

– Hej, koleś, co powiesz? – przemówił cicho nieznajomy.

Woody milczał.

– Mowę ci odjęło?

Ich twarze dzieliło może piętnaście, dwadzieścia centymetrów.

Lewe oko mężczyzny było szare, prawe brązowe, jakby nosił kolorowe soczewki kontaktowe i zgubił jedną z nich.

W lewym oku było coś dziwnego, w głębi jarzył się delikatny blask.

– Słyszysz, Woodrow? – szepnął nieznajomy. – Jesteś niemy i głuchy, mały dziwolągu?

## 51

LODOWATO BIAŁY FLUORESCENCYJNY BLASK padał na białe jak kość ściany kostnicy, na podłogę z płytek ceramicznych, na stalowe fronty dwóch rzędów szuflad na zwłoki, cztery wyżej i cztery niżej, na Carsona Conroya i szeryfa Haydena Eckmana oraz na dwóch mężczyzn z Sacramento. W ostrym świetle nikt nie wyglądał młodo, przystojnie ani sympatycznie.

Jeden z tych ze stolicy stanu, Frawley, przedstawił się jako asystent lekarza sądowego. Mimo późnej pory miał na sobie dobrze skrojony elegancki garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat. Jego buty z ozdobnie dziurkowanymi noskami wyglądały na angielskie, może z firmy Crockett & Jones, co oznaczało, że prawdopodobnie kosztowały sześćset, siedemset dolarów. Na nadgarstku miał złotego rolexa.

Drugi, Zellman, był przysadzistym facetem. Miał grubą szyję, długie ręce i ogromne dłonie. Jego twarz przywodziła na myśl rzeźbę, na jaką można trafić w głębokiej dżungli, wyciętą w kamieniu przez wyznawców i wyobrażającą oblicze gniewnego boga. Oznajmił, że jest pracownikiem prosektorium i kierowcą.

Carson nie wierzył, że któryś z nich jest tym, za kogo się podaje. Frawley wyglądał jak kombinator, spryciarz, który zna wysoko postawione osoby i wie, jak po nich posprzątać.

Przyjechali po ciała Paintona Spadera i Justine Klineman, zapakowane w worki i leżące w szufladach ze stali nierdzewnej.

– Przewieziemy ich do prosektorium w Sacramento – powiedział Frawley.

– Nie rozumiem – rzucił Carson.

– Przejmujemy zwłoki. Szeryf Eckman zgodził się przekazać śledztwo na szczebel stanowy.

Hayden Eckman zwrócił się do Carsona:

– Kilka godzin temu zadzwonił do mnie sam prokurator stanowy. Wysunął przekonujące argumenty.

– Jakież?

Frawley sięgnął po aktówkę leżącą na wózku używanym do przewożenia zwłok. Otworzył ją i wyjął plik papierów.

– Jeden z ludzi szeryfa Eckmana znalazł w pobliżu ciała Justine Klineman portfel zabójcy. Musiał wypaść mu z kieszeni, kiedy ją... masakrował. Prawo jazdy w portfelu należy do Nathana Palmera, zbiega poszukiwanego za zabójstwo.

– Mając nazwisko – powiedział Hayden Eckman do Carsona – weszliśmy do krajowej bazy danych, żeby sprawdzić, czy nie ma tam tego faceta. Jest. Ściągają

go władze stanowe i federalne.

– Kiedy to się stało?

– Dzisiaj po południu.

– W czasie, gdy przeprowadzałem sekcję zwłok?

– Rozpoczęliście z Jimem pierwszą.

Jim Harmon był jedynym asystentem Carsona.

– I nie powiedziałeś mi o tym?

Eckman nie patrzył mu w oczy. Wpatrywał się w dokumenty, które wyciągnął Frawley.

– Trwają intensywne poszukiwania tego świra. Nathan Palmer nie jest osobą, z którą można się cackać. Godzinami rozmawiałem przez telefon z prokuratorem stanowym i FBI. Mamy tu porządne laboratorium, ale nie umywa się do tego w Sacramento, wyposażonego przez stan i federalnych. – Podeszedł do wózka i zaczął podpisywać dokumenty z miejscami zaznaczonymi przez jaskrawe naklejki w kształcie strzałek.

Przez ostatnie dziewięć miesięcy Carson próbował rozgryźć Haydena Eckmana. Uważał go za kompetentnego stróża prawa i szefa biura szeryfa, ale bardziej upolitycznionego niż jego poprzednik i może mającego na oku wyższy wybieralny urząd.

– Oddał mocz na ciała, na ich ubrania – powiedział Carson.

Frawley spojrzał na niego, jakby pytał: „O co ci chodzi?”.

– Mam ubrania, inne dowody. Znaleźliśmy kilka jego włosów i inne ślady biologiczne. Wszystko jest przygotowane do porannej wysyłki do laboratorium.

Frawley skinął głową.

– Zabierzemy to ze sobą dziś wieczorem. Nasze laboratorium pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. – Pokazał nowy dokument i zwrócił się do szeryfa: – Podpis tam, parafka tutaj.

– A co ze znalezieniem tego faceta?

– Złapiemy go, panie Conroy. To nieuniknione.

– Wygląda pan na bardzo wyluzowanego. Palmer zagryzł kobietę. Zjadł jej twarz i piersi, na litość boską.

– Wywołując panikę, niczego nie zyskamy – stwierdził Frawley.

– Brak rzetelnych informacji oznacza narażenie ludzi na niebezpieczeństwo.

– Jeśli ujawnimy sensacyjne szczegóły, nasze telefony zaczną się urywać, ludzie będą widzieć Palmera wszędzie tam, gdzie go nie ma. A my będziemy musieli zbadać każdy podsunięty nam trop, zamiast skupić się na poszukiwaniach.

– Szeryfie, jeśli ten obłąkany sukinsyn grasuje po hrabstwie Pinehaven... – zaczął Carson.

– Jego schemat działania – przerwał mu Frawley z protekcyjną nutą w głosie – polega na ciągłym przemieszczaniu się. Szczególnie po takim zabójstwie. Prawdopodobieństwo, że przebywa w promieniu stu kilometrów stąd, jest praktycznie zerowe.

– Praktycznie? A od kiedy to obłąd i wzorce zachowania idą w parze?

Szeryf Eckman złożył ostatni podpis i w końcu spojrzął na Carsona.

– Na wypadek gdyby Palmer wciąż przebywał w tych stronach, prokurator stanowy pożyczyc nam ludzi do poszukiwań. Jest nas niewielu w biurze szeryfa, a zajmujemy się dużym obszarem, Carson. W tym wypadku potrzebujemy pomocy.

Podając drugi zestaw dokumentów, Frawley powiedział:

– Panie Conroy, musi pan podpisać zgodę na wydanie zwłok i dowodów, a także umowę poufności.

– Umowa poufności dla lekarza sądowego? Nigdy nie słyszałem o czymś takim. Jeśli będę musiał zeznawać w sądzie...

– Nie będzie pan zeznawać. Pański udział w sprawie kończy się w momencie złożenia podpisu. A chodzi nie tylko o sprawę zabójstw. To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

– Może Palmer jest potworem, ale w sądzie ma prawo wezwać na świadka każdego, kogo nazwisko widnieje w aktach sprawy.

– Nie on. Nie w tym wypadku. Obowiązują inne zasady – oświadczył stanowczo Frawley.

Zacytował Carsonowi ustawy federalne zezwalające na wniesienie oskarżenia przeciwko niemu za odmowę współpracy.

Carson nie wiedział, czy takie zarządzenia rzeczywiście istnieją, ale od lat miał wrażenie, że kraj będący symbolem demokracji przekształca się w coś znacznie gorszego.

Przez cały ten czas Zellman nie spuszczał z niego kamiennego wzroku, jakby był gotów złamać mu nogę w kolanie, gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

– Podpisz – rzucił szeryf chłodnym i autorytarnym głosem. – Jest późno. Podpisz, tak trzeba.

Ściśle rzecz ujmując, Hayden Eckman nie był przełożonym Carsona, ale miał znaczny wpływ na zarząd hrabstwa. Patolog nie wątpił, że może doprowadzić do jego zwolnienia – i zadbać, by nigdzie nie znalazł pracy jako lekarz sądowy.

Urażony, podpisał się w miejscach wskazywanych przez kolorowe strzałki.

– Uważam, że robię to pod przymusem – zaznaczył.

– Uważaj pan sobie, co chcesz – burknął Frawley, chowając dokumenty do aktówki.

## 52

WIATR Z PRZENIKLIWYM WYCIEM SMAGA noc. Przyćmione światło lampki. Szare oko, brązowe oko, z szarym jest coś nie w porządku.

Oddech nieznanego cuchnął megakoszmarne. Zęby były poplamione. Wargi spierzchnięte i pokaleczone, jakby je żuł.

Facet pogłaskał go palcem po prawym policzku, po nosie. Woody miał wrażenie, że dotyka go coś, co w opowieściach grozy wypęła z szafy lub spod łóżka, i walące serce podchodziło mu do gardła. Chciał krzyknąć na całe gardło, ale nie mógł wydać dźwięku ani się poruszyć. Leżał sparaliżowany strachem, wpatrzony w dzikie oczy intruza, omywany jego cuchnącym oddechem. I zastanawiał się, co dalej, co dalej?

– Wyglądasz zupełnie jak twój zdradziecki ojciec – wyszeptał nieznanomy. – Dobrze, że nie masz mózgu. Świat nie potrzebuje kolejnego intryganckiego, samolubnego zasańca pokroju Jasona.

To musi być ktoś z darknetu, ze strony Tragedia. Kto inny mógłby to być? Jakże szybko go wytropili. Nie powinien włączać komputera.

– Naprawdę jesteś manekinem? Nie wyglądasz jak manekin. Może udajesz manekina.

Mężczyzna rysował palcem kółka na jego podbródku.

– W nadchodzącym świecie nie będzie miejsca dla manekinów. Ani dla manekinów, ani dla kalek, ani dla ludzi o niewłaściwych poglądach.

Przesunął palcem po dolnej wardze chłopca, po górnej i znowu dolnej. Woody chciał go ugryźć, mocno.

– Bardzo delikatne – powiedział intruz.

Szybko zamrugał kilka razy prawym okiem. Kolorowa soczewka kontaktowa wyskoczyła i przylgnęła do rzęs dolnej powieki. Mężczyzna zdjął ją palcami i spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby nie miał pojęcia, co to takiego. Rzucił soczewkę na podłogę.

Teraz jedno i drugie oko było szare. Gdy mężczyzna ponownie skupił uwagę na Woodym, w jego oczach pojawił się blask, który nie był odbiciem światła lampy. Oczy były kałużami szarości, jak kałuże wody deszczowej na podniszczonym drewnie, głębokie i zimne, a z ich głębi emanowała fosforyzująca poświata.

Woody rozpaczliwie pragnął udać się do Zamku Wiwerna, wbiec po schodach wieży, zatrzaskać masywne rygle, zwinąć się w kłębek na słomianym posłaniu i leżeć, dopóki człowieka już tu nie będzie. Chciał patrzeć przez okna bez szyb na smoki latające po niebie gęstym od ciemnych chmur, w których pulsowały bezgłośnie błyskawice. Jeśli jednak ucieknie do zamku, zostawi mamę samą z tym człowiekiem, z tym czymś.

## 53

KILKA MINUT PO PÓŁNOCY MEGAN zamknęła książkę i położyła ją na szafce nocnej. Już miała zgasić lampkę, gdy przypomniała sobie, że nie wyjęła z sejfu pistoletu.

Wysunęła się z łóżka, uklękła i wpisała cztery cyfry daty swojego ślubu. Gdy otworzyły się drzwiczki metalowej kasetki, sięgnęła po dziewięćmilimetrowego hecklera & kocha – i znieruchomiała.

Zawsze chowała pistolet lufą skierowaną w stronę wezgłowia łóżka. Mogła umieścić broń w dowolnej pozycji, ale sejf został specjalnie zaprojektowany w taki sposób, by rękojeść była skierowana w stronę nóg łóżka. Broń została odwrócona.

Nigdy wcześniej nie zamknęła pistoletu w tej pozycji.

Verna Brickit nie знаła kombinacji.

Tylko ona mogła otworzyć sejf.

Z bronią też było coś nie w porządku. Strach wyostrzył jej zmysły tak bardzo, że wyraźnie słyszała każdy instrument symfonicznego koncertu wiatru i każdą reakcję domu, widziała swoje widmowe odbicie w najdalszym oknie, ciemne drzewa na podwórku i ciemniejszy las, którego nie powinna być w stanie zobaczyć. Czuła każdy delikatny powiew powietrza, które omywało jej gołe nogi, a także lekkość pistoletu.

Co miesiąc ćwiczyła na strzelnicy, często wystrzeliwując dwieście nabojęw podczas każdej sesji, i znała ciężar w pełni naładowanego hecklera. Wysunęła magazynek. Pusty.

Rano w pistolecie było dziesięć nabojęw. Ktoś wszedł do domu, zanim wieczorem uruchomiła alarm. Ktoś wciąż tu jest. Ale kto?

Choć w piżamie czuła się naga, zadecydowała, że przed ubraniem się musi zrobić coś innego. Podeszła do drzwi garderoby. Przekręcając gałkę, przypomniała sobie, że nie zaglądała tam przed położeniem się do łóżka. On tam jest! Myśl była irracjonalna i wiedziała, że podsuwa ją strach i nikt nie czyha w garderobie. Zapaliła światło.

Wysunęła głęboką szufladę pełną szortów do biegania i spodni dresowych. Za nimi leżał metalowy pojemnik. Wyjęła go, podniosła wieczko i wzięła z niego pudełko z amunicją Gold Dot. Otworzyła je, wysunęła plastikową foremkę zawierającą dwadzieścia nabojęw i spiesznie wróciła do sypialni.

Drżącymi rękami wyłuskała naboje, trzy upuściła przy tym na dywan. Powtarzała sobie, że ma wziąć się w garść, opanować. Myślała: Woody, błagam, Boże, niech nic mu się nie stanie. Ręce się uspokoiły, chociaż włożenie nabojęw do magazynka okazało się trudniejsze niż na strzelnicy. No dalej, Megan, załaduj to cholerstwo, wszystkie dziesięć nabojęw, możesz potrzebować każdego.



Gdy skończyła, spojrzała na telefon na szafce nocnej. Między słuchawką a klawiaturą przykleiła kiedyś kartkę z numerami lokalnej straży pożarnej, policji i pogotowia. Nie. Najpierw Woody. Zastępca szeryfa dotrze tu za pięć, może dziesięć minut. Może być za późno. Nie miała też czasu na wciąganie dżinsów. Idź prosto do Woody'ego, sprowadź go tutaj, zamknij drzwi, podeprzyj je krzesłem, wezwij policję, potem włóż dżinsy i bluzę.

Podeszła do drzwi, lewą ręką chwyciła za klamkę, w prawej trzymając pistolet. W tej sytuacji musi zapomnieć o profesjonalnym oburęcznym chwycie.

Drzwi były najgorsze. W żaden sposób nie mogła się dowiedzieć, co czeka za nimi. Jeśli po drugiej stronie przyczał się włamywacz, jeśli rzuci się na nią, gdy będzie je otwierać, może ją popchnąć, uderzyć, wyrwać broń z ręki. Ale będzie przekonany, że broń jest rozładowana i nie stanowi zagrożenia, więc nawet jeśli zbiję ją z nóg, nadal będzie miała przewagę zaskoczenia.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że włamywacz wszedł do jej pokoju, jakimś sposobem otworzył sejf i rozładował hecklera, ponieważ zaplanował włamanie bez ryzyka dla siebie. Rozbroił ją i czekał na swój czas, ukrywając się gdzieś w domu, czekając, aż ona zaśnie, by móc ją łatwo obezwładnić i zgwałcić.

Jej serce tłukło o żebra, gdy otworzyła drzwi do przedpokoju.

## 54

KIPP GWAŁTOWNIE OCKNAŁ SIĘ ZE SNU o jeździe samochodem z Dorothy i Rosą. Chłopiec krzyczał w Telegrafie.

To chłopiec, nie pies, teraz już nie miał co do tego wątpliwości. Wyjątkowy chłopiec, który potrafi używać Telegrafu, nawet jeśli o tym nie wie, chłopiec niepodobny do innych. I grozi mu niebezpieczeństwo.

Kipp zerwał się na równe łapy i szczeknął dwa razy.

Zaskoczony Ben Hawkins włączył lampkę nocną i usiadł, mruganiem przepędzając resztki snu.

– Hej, o co chodzi?

Kipp zeskoczył z łóżka i podreptał do drzwi pokoju motelowego, stanął na tylnych łapach i zaczął drapać zasuwkę.

Ale to nie było wystarczająco dobre. Ben pomyśli, że chce mu się siusiu. Nie potrzebował nocnika.

Podbiegł do szafki nocnej, gdzie Ben zostawił portfel i elektroniczny kluczyk do range rovera.

Znów stanął na tylnych łapach, chwycił w zęby breloczek i pospieszył z powrotem do drzwi z kluczykiem zwisającym z pyska.

– Co w ciebie wstąpiło? – mruknął Ben, podnosząc się z łóżka.

Brak ściany z literami i wskaźnika laserowego znacznie utrudniał życie.

Kipp upuścił klucz przy drzwiach.

Pospieszył do stolika przy oknie, stanął na tylnych łapach i wziął w pysk książkę, którą Ben czytał przed snem.

Zaniósł ją do drzwi i upuścił obok klucza.

Odwrócił się i spojrzał na swojego nowego towarzysza.

– Nie podoba ci się motel? Chcesz taki bardziej luksusowy? Słuchaj, Scooby-Doo, przespałem ledwie godzinę.

Na Telegrafie chłopiec krzyczał, śmiertelnie przerażony.

Ben przyniósł z samochodu przybory do golenia i teraz leżały w łazience.

Przyniósł też walizkę marki Samsonite, ale jeszcze jej nie otworzył. Walizka stała obok lustrzanych drzwi szafy.

Dysząc z frustracji, Kipp podszedł do niej i ją przewrócił. Spojrzał na swojego towarzysza.

Ben wyjął dzinsy z szafy. Włożył je i zapytał:

– No dobrze, co próbujesz mi powiedzieć? Że musisz się wysikać?

Był komandosem Navy SEALs. Nie mógł być głupi. Może po prostu powoli się budził.

Kipp chwycił pyskiem rączkę przewróconej walizki i cofając się, przeciągnął ją przez pokój do drzwi.

Ben usiadł na łóżku i wyciągnął z tenisówek zwinięte skarpetki.

– Jesteś bardzo dziwnym psem.

Klucz do pokoju leżał na stoliku.

Kipp wziął go, przyniósł pod drzwi i rzucił na walizkę.

– Dziwne rzeczy dzieją się w strefie działań wojennych. Są chwile, kiedy powinieneś umrzeć, a nie umierasz, i nie da się wyjaśnić, dlaczego nie umarłeś.

Ben włożył buty i bez dalszych komentarzy podszedł do drzwi. Stał, patrząc na walizkę, książkę i klucze.

– Powiedzmy, że skręcasz za róg, a trzy metry dalej stoi typ z karabinem. Naciska spust, karabin się zacina i zabijasz typa zamiast on ciebie.

Kipp machnął ogonem.

– Mniej więcej za trzecim razem, gdy zdarzy się coś takiego, zaczynasz wierzyć, że świat jest dziwniejszym miejscem, niż zawsze myślałeś.

Kipp skinął łbem.

– A może tracę rozum.

Kipp pokręcił łbem: „Nie”.

– Cóż, chyba już nie będzie powrotu do łóżka. Może ty nie chcesz siku, ale ja tak. Potem spadamy stąd.

## 55

MEGAN POCIĄGNĘŁA DRZWI I SCHOWAŁA się za nimi, gdy się otwierały. Nikt nie wpadł do sypialni. Trzymając pistolet oburącz, wyjrzała na korytarz.

W świetle z sypialni zobaczyła, że jest pusty.

Woody miał pokój po lewej stronie, od frontu domu. Po prawej znajdowały się dwa pokoje gościnne, łazienka i garderoba. Włamywacz mógł czaić się w każdym z tych pomieszczeń, obserwując ją przez szparę uchylonych drzwi. Naprzeciwko sypialni Woody’ego była szwalnia, którą przeznaczyła na składzik, a jego drzwi może były uchylone, a może nie. Nie śmiała odwrócić się plecami do skrzydła gościnnego, ale musiała pilnować składziku, więc oparła się plecami o ścianę, na lewo od drzwi sypialni.

Nasłuchiwała, starając się nie zwracać uwagi na lamenty wiatru, głośne i tak przepojone rozpaczą, że mogły być trenem poświęconym śmierci samego świata. Niestety, bezdeszczowa burza zagłuszała wszelkie inne dźwięki – jeśli w domu brzmiały kroki lub inne ostrzegawcze odgłosy, nie mogła ich usłyszeć.

Jej serce biło w szaleńczym rytmie wiatru, gdy obracała głowę w lewo i w prawo, z lufą pistoletu skierowaną tam, gdzie patrzyły oczy.

Dotarła do pokoju syna bez żadnych incydentów. Weszła do środka i pospiesznie wyszeptała jego imię.

Zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi, w łagodnym blasku zobaczyła, że Woody leży na lewym boku, plecami do niej, a za łóżkiem kłęczy mężczyzna, twarzą w twarz z jej synem.

– Idzie mamusia – powiedział włamywacz. – Wiesz, jaka seksowna jest twoja mamusia? Zbyt seksowna, żeby marnować sobie życie z takim manekinem.

## 56

WIATR WYŁ NICZYM OBŁĄKANIEC W zakładzie dla psychicznie chorych i tłukł w ceglane ściany budynków.

Facet o nazwisku Zellman, z pewnością doświadczony w obchodzeniu się ze zmarłymi – nawet jeśli nie był pomocnikiem lekarza sądowego – wsiadł za kierownicę karawanu ze zwłokami. Frawley, czyściciel, zabrał shelby super snake'a, samochód zamordowanego Paintona Spadera, wraz z ciałami i innymi dowodami przekazanymi jurysdykcji prokuratora stanowego. Oba pojazdy skrzyły w prawo na rynek i zniknęły z pola widzenia, unosząc ze sobą światła.

W targanym wiatrem mroku Carson Conroy powiedział:

– To bardzo nie w porządku.

Szeryf Eckman wzruszył ramionami.

– Jest jak jest. – Podeszedł do bocznego wejścia i zniknął w swoim zyskanym dzięki wyborcom królestwie.

Carson ostatnio coraz częściej słyszał te słowa – „Jest jak jest” – i drażniły go za każdym razem, gdy ktoś je wypowiadał. Pragnął wykrzyknąć Eckmanowi: „Jesteś tym, kim jesteś, i już wiem kim”. Trzymał jednak język za zębami, bo może wyborcy zmadrzeją do czasu następnych wyborów i oddadzą głosy na nowego szeryfa. Carson nie chciał, by Eckman zmusił go do odejścia z pracy, zanim to nastąpi.

Mimo późnej pory wrócił do swojego biura. Otworzył stronę Krajowego Centrum Informacji o Przepięstwach i przeszedł do listy osób, wobec których wystawiono nakazy aresztowania. Znalazł nazwisko Nathana Palmera i zaczął sporządzać listę dziwnych faktów.

## 57

MEGAN W PIERWSZEJ CHWILI NIE rozpoznała włamywacza, ale zidentyfikowała go po głosie, który wcześniej słyszała przez telefon. Lee Shacket.

Przefarbował włosy z jasnych na brązowe. Zgolił starannie przyszczyżoną brodę. Inne zmiany w jego wyglądzie były zbyt subtelne, by mogła je określić, ale otaczała go aura niepokojącej inności.

Woody leżał nieruchomo i nie zareagował, gdy głośniejsz powtórzyła jego imię. Jej szalejące serce niemal wyrwało się z piersi. Co mu zrobiłeś, sukinsynu? – pomyślała.

Prawa ręka Shacketa spoczywała na głowie jej syna. Na jego twarzy.

Megan trzymała pistolet oburącz, jak ją nauczono, celując w twarz Shacketa widoczną po drugiej stronie łóżka, ale bijące serce wstrząsało jej ramionami, co nigdy nie zdarzyło się na strzelnicy. Strzał w głowę jest trudny z odległości sześciu metrów, nawet gdy jesteś spokojny. Zawsze lepszy jest strzał w klatkę piersiową.

– Mamusia chce zastrzelić faceta wartego sto milionów dolarów – powiedział Shacket. – Twoja mamusia nie wie, co jest dla niej dobre, ale wkrótce się tego dowie.

– Co mu zrobiłeś? – spytała przerażonym głosem Megan.

Błysnął wilczym uśmiechem.

– Tylko go dotykałem. Wygląda na to, że dotykanie wywołuje uraz u małego manekina. Jest sztywny jak deska, skamieniały. Nie lubi być dotykany, w każdym razie nie przeze mnie.

Shacket pogładził twarz Woody'ego.

– Zostaw go, odsuń się od niego.

– Nie lubi być dotykany przeze mnie – powtórzył Shacket, nie odrywając dłoni od policzka chłopca. – Mały dziwoląg jest strasznym snobem, zupełnie jak jego mamusia. Mamusia Megan ma się za lepszą od innych. Nawet facet wart sto milionów dolarów nie jest wystarczająco dobry, by jej dotknąć.

Odważyła się zrobić krok w jego stronę, i jeszcze jeden, ale nie celowała z broni tam, gdzie powinna. Krew waliła jej w uszach tak głośno, że przestała słyszeć szalejącą wicherę. Nawet w tamtych paranoicznych czasach po przeprowadzce, gdy wyobrażała sobie setki scenariuszy, w których tylko broń ratuje ją i Woody’ego, nie przewidziała sytuacji, w której syn znajdzie się między nią a zagrożeniem. Oddanie jedyne go możliwego strzału w tych warunkach było zbyt niebezpieczne.

– Wezwałam policję – skłamała.

– Byłoby źle, gdybyś to zrobiła. To byłby duży błąd. Wszyscy popełniamy błędy, prawda, Megan? Sam to zrobiłem, zostawiając pistolet w twojej kuchni, gdy już zjadłem cycki tamtej gorącej suki. – Zaśmiał się i pokręcił głową. – Nie, nieprawda, to był stek. W twojej kuchni zjadłem stek, chociaż nie dorównywał smakiem cyckom Justine.

Może się naćpał, ale Megan uznała, że jest też bezsprzecznie szalony. Zaczął tracić kontrolę nad twarzą – rysy nie chciały się ułożyć w spójny wyraz. Drgawki, tiki, mrużenie oczu, krzywe uśmiechy i grymasy rywalizowały ze sobą bez chwili przerwy.

Jego rosnąca niestabilność i wzmianka o kanibalizmie pogłębiły jej strach. Czowała ucisk w klatce piersiowej i z trudem chwytiała powietrze.

– Żadne z nas nie miałyby przyszłości, gdybyś naprawdę zadzwoniła na policję. Ale nie umiesz kłamać, Megan. Czuję fałsz równie dobrze jak twoją cipkę. A teraz powiem ci, co się stanie. W końcu spełnię swoją fantazję. Ty i ja, tak jak zawsze być powinno. Wiesz, gdzie jest moja prawa ręka?

– Odejdź od niego.

– Wiesz, gdzie jest moja prawa ręka?! – krzyknął, a światło lampy nadało jego oczom niesamowity blask.

– Twoja ręka jest na jego twarzy – odparła.

– Ale nie widzisz, gdzie dokładnie. Oczy manekina są zamknięte, Megan. Mój kciuk spoczywa na jego prawej powiece, a palec wskazujący na lewej.

Wyobrażasz to sobie? Mogę mocno nacisnąć, wbić palce i w dwie sekundy wydłubać mu oczy. Wtedy będzie niemy, głupi i ślepy, po trzykroć bezużyteczny. – Włożył lewą rękę za głowę Woody’ego, by chłopiec nie mógł jej odsunąć. – Chcesz, żebym wydłubał mu oczy, czy wolisz przedyskutować opcje?

– Ty pierdolona mendo! Będziesz trupem, jeśli go skrzywdzisz.

– Megan, Megan, Megan. Nie masz prawa być taka niegrzeczna. Zsiądź chociaż raz z tego swojego wysokiego konia.

Nie odważyła się zrobić kolejnego kroku i nadal nie mogła bezpiecznie oddać strzału. Krew przenikliwie śpiewała jej w uszach.

– Chcesz strzelić, Megan? – rzucił. – Śmiało, strzelaj.

Shacket myślał, że pistolet nie jest naładowany. Jeśli Megan strzeli i chybi, oślepi Woody’ego.

– Uważasz się za szczęściarę?

– Nie.

– Nadal myślisz, że jesteś lepsza ode mnie?

– Nigdy nie powiedziałam, że jestem lepsza od ciebie.

– Ale pomyślałaś. Nie okłamuj mnie. Wyczuwam twoje kłamstwa. Bądź ze mną szczerą albo manekin zapłaci.

– W porządku. Tak. Myślałam, że jestem lepsza od ciebie.

– No to posłuchaj: spędziłem w twoim przytulnym domu całe popołudnie i cały wieczór, robiąc to, co mi się podobało, a ty nie miałaś o niczym pojęcia. Nadal uważasz, że jesteś lepsza, mądrzejsza ode mnie?

– Nie.

– Powiedz to.

– Nie uważam się za lepszą od ciebie. Ani za mądrzejszą.

– Mam nadzieję, że to prawda. Na litość boską, mam nadzieję, że to prawda, Megan. Mam nadzieję, że się czegoś nauczyłaś i wiesz, gdzie twoje miejsce. Czuję, jak jego oczy poruszają się pod powiekami, jak w fazie REM. Chcę, żebyś zrobiła trzy rzeczy. Mogę na ciebie liczyć?

– Tak. Możesz na mnie liczyć.

– Po pierwsze, odłóż broń. Po drugie, rozbierz się. Po trzecie, połóż się na łóżku i rozchyl te długie cudowne nogi.

– Tutaj?

– Oczywiście. Martwisz się, że zdeprawujesz nieletniego? – Znowu ten młodzieńczy chichot. – Manekin nie zrozumie, co się dzieje. Będzie tu leżeć i ssać kciuk, a my zrobimy dziecko lepsze od niego, dziecko dla nowego świata.

– Nie krzywdź go.

– Nie zmuszaj mnie, bym skrzywdził tego dziwoląga. Rozumiesz, jak bardzo chciałbym zrobić krzywdę bękartowi Jasona?

– Chyba tak.

– Tylko przez wzgląd na ciebie nie krzywdzę małego manekina. Dobijamy targu. Nie jesteś taka mądra, jak ci się wydaje. Nie wiesz tego, co myślisz, że wiesz.

Prawdopodobnie chodziło mu o to, że ona nie wie, że wyjął amunicję z jej pistoletu. Szydził z niej. Chciał, by pociągnęła za spust i przeżyła szok, gdy usłyszysz tylko suchy trzask iglicy.

– Gdzie mam położyć broń?

– Na łóżku. Bądź bardzo, bardzo ostrożna. Nie próbuj żadnych sztuczek, bo pożałujesz, i ty, i on. Spróbuj, a wydlubię mu oczy, i to będzie twoja wina. Do końca życia będziesz dźwigać brzemień winy za jego ślepotę.

Shacket osłaniał się chłopcem jak tarczą, chociaż nie przypuszczał, że będzie mu potrzebna. Cechowała go zwierzęca przebiegłość. Megan wiedziała, że za minutę nie będzie już miała szansy na oddanie strzału.

Zbliżając się do niego, nie opuściła pistoletu. Miała nadzieję, że spróbuje ją sprowokować, podnosząc się lekko, zwiększając odstęp między swoją głową a Woodym.

Strach przed tym, co może się stać, nagle przerodził się w odrazę, jaką budziła myśl o przyzwoleniu, żeby to się stało. Natychmiast musiała przestać się trząść. Celowała pewnymi rękami w środek jego twarzy i gdy podeszła do łóżka, strzeliła.

Może zwęszył jej podstęp. Szarpnął się w bok, gdy już pociągała za spust, i kula rozerwała mu lewe ucho. Wyjąc jak zwierzę, nie oślepił chłopca, ale szybki jak jaszczurka, nieludzko szybki, zgarnął go w ramiona i zasłonił się nim jak tarczą. Megan nie odważyła się strzelić ponownie. Drzwi do łazienki były ledwie



trzy kroki dalej; Shacket skoczył i zatrzasnął je za sobą – szaleńczo szybko – tak nadnaturalnie szybko, że od razu pojęła, że jego słowa „Nie wiesz tego, co myślisz, że wiesz” nie odnosiły się do pustego magazynka. Coś się z nim działo, coś wykraczającego poza to, co można zrozumieć.

Spróbowała otworzyć drzwi. Boże, oślepi Woody’ego! Wystrzeliła dwa pociski w zasuwkę, rzuciła się ramieniem na drzwi i poczuła wiatr, który grzechotał drzwiami apteczki i łopotał rącznikami na wieszaku.

Woody kuli się na podłodze w kącie przy prysznicu. Jego piękne oczy są otwarte szerzej niż kiedykolwiek, wpatrzone w coś dalekiego poza tym pomieszczeniem.

Dolna połówka okna po prawej stronie jest podniesiona, Shacket przeciska się na zewnątrz. Alarm nie wyje, bo okno nie wychodzi na dach werandy. Spogląda przez ramię, zgarbiony na parapecie jak troll. Jego oczy są dzikie i błyszczące, gdy syczy na nią przez zaciśnięte zęby, syczy jak gad, a potem opada w ciemność.

Megan podbiegła do okna i zobaczyła, że wylądował jakieś pięć metrów niżej, na czworakach jak kot, ubrany na czarno w czarną noc. Jego twarz była blada, owalna, upiorna jak oblicze ducha wędrującego między światami. Patrzył na nią przez chwilę, potem przemknął szybko przez trawnik, pognął w kierunku autostrady i zniknął jej z oczu.

Odłożyła pistolet na toaletkę, zatrzasnęła okno, zadyszana jak po długim forsownym biegu. Podeszła do Woody’ego i uklękła przed nim na zimnych płytkach łazienki. Krew. O Boże! Plamy krwi. Tak, ale nie jego. Krew z rozdartego ucha Shacketa. Dotknęła twarzy syna, przyglądała mu włosy, ujęła i pocałowała jego ręce, cały czas powtarzając, że wszystko w porządku, że są bezpieczni, zły człowiek odszedł, tak jej przykro, przykro, że to się wydarzyło, ale już po wszystkim.

Woody’ego z nią nie było. Czasami się wycofywał i nic do niego nie docierało, nic nie wskazywało, że ją widzi lub słyszy. Odchodził dokądś pod wpływem wielkiego stresu, chociaż nieczęsto wiedziała, co go stresuje; nie mogła wejść do jego umysłu, by poznać źródło zdenerwowania. Oczywiście tym razem nie musiała się zastanawiać nad przyczyną.

Usiadła na podłodze i objęła syna, wciągnęła go na kolana i kołysała w ramionach.

– Wszystko w porządku, skarbie. Już dobrze.

Szyba pękła gdzieś na dole i czujnik uruchomił alarm. Shacket wrócił.

## 58

JEDEN PAS OSIEMDZIESIĄTKIDZIEWIĄTKI ZOSTAŁ w końcu oczyszczony i policjanci kierowali ruchem wahadłowym. Pojazdy zmierzające na północ i południe naprzemiennymi falami mijały stojące na drodze wraki. Gęsta mgła powoli się podnosiła, gdy Rosa Leon wreszcie ruszyła w kierunku Tahoe City. Trzy kilometry od Olympic Valley strzępy mgły zostały w ciemności za jej plecami. Powietrze przed nią było czyste, gdy jechała pod zasnutym chmurami bezgwiezdnym niebem.

Czekając, aż przewrócony osiemnastokołowiec zostanie przesunięty na jedną stronę autostrady, dwa razy ucięła sobie drzemkę. Teraz ziewnęła przeciągle. Miała za sobą długi dzień, męczący nie z powodu długości, ale towarzyszącego mu smutku. Odpowiedzialność za Kippa zmuszała ją jednak do działania.

Trzy kilometry przed Olympic Valley ponownie sprawdziła aplikację Pied Finder. Z przerażeniem zobaczyła, że po wielu godzinach spędzonych w tym samym miejscu Kipp znowu wyruszył w drogę. Mrugający znaczek wskazywał, że jest gdzieś na międzystanowej osiemdziesiątce, na zachód od Truckee, i zmierza w kierunku Donner Summit. Szybkość przemieszczania się znaczka oznaczała, że Kipp jest w jakimś pojeździe.

Może przebywa w towarzystwie dobrego człowieka, a może kogoś niezbyt dobrego. Kimkolwiek jest jego towarzysz, nie wie, że Kipp jest więcej niż psem, jest skarbem. I to nie jego Dorothy wybrała na opiekunkę Kippa. Rosa przysięgła na Boga, że nie zawiedzie Dorothy.

Wcisnęła pedał gazu i po chwili przekroczyła dopuszczalną prędkość.

## 59

Z PISTOLETEM W DŁONI, Z SIEDMIOMA NABOJAMI w magazynku, Megan wybiegła z pokoju syna na korytarz w chwili, gdy Shacket pchnął

frontowe drzwi z taką siłą, że z hukiem uderzyły w ogranicznik. Chwilę wcześniej rozbił boczną szybę, wsunął rękę przez otwór i wcisnął na gałce przycisk zwalniający zatrzask.

Wiatr wdarł się do domu, lecz jego wycie nie zagłuszało alarmu. Gdy Megan dotarła do szczytu głównych schodów, zobaczyła, że Shacket podnosi z komody w holu duży wazon i wściekle rzuca nim o ścianę, a zaraz potem z prędkością pantery znika w głębi domu.

Był obłąkany, ale nie tylko: był dziki, dziwny, potężny i nieprzewidywalny. Jeśli ruszy po schodach, Megan strzeli do niego wielokrotnie. Ale choć śmiały, nie był nierozważny.

Przypomniała sobie coś, co powiedział: „Wszyscy popełniamy błędy, prawda? Sam to zrobiłem, zostawiając pistolet w twojej kuchni...”.

Wrócił po broń. Może wejść po schodach od frontu lub tych na tyłach domu i strzelić, gdy znajdzie się na szczycie.

Megan pobiegła z powrotem do pokoju Woody’ego i nacisnęła przycisk blokady drzwi. Mocnym kopnięciem da się wyłamać ten słaby zamek. Podeprzyj gałkę. Nie ma krzesła z prostym oparciem. Tylko krzesło na kółkach i fotel.

Shacket nadchodził, i to szybko.

Na lewo od drzwi stała komoda z siedmioma szufladami, zbyt ciężka, by przeciągnąć ją po dywanie. Megan przewróciła ją na bok, tarasując drzwi do wysokości klamki.

Dzwonek telefonu. Wycie alarmu, ogłuszający wiatr i dzwoniący telefon. Złapała słuchawkę, wiedząc, że to firma ochroniarska.

– Mężczyzna z bronią w domu, teraz, teraz, teraz! – krzyknęła.

Nie rozłączyła się, odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi łazienki.

Woody był tam, gdzie go zostawiła, ale teraz leżał na boku, w pozycji embrionalnej.

Odwróciła się plecami do niego, twarzą do drzwi na korytarz, gotowa zabić Shacketa za to, co zrobił jej synowi, za terroryzowanie chłopca, za dotykanie go. Gdyby ten łajdak nagle doznał objawienia, rzucił broń i błagał o przebaczenie, i tak by go zastrzeliła, strzelałaby raz za razem, zabiłaby go z wielką satysfakcją.

Powinien już tu być. Słyszała wycie wichury, słyszała powodowane przez nią skrzypienie, grzechotanie i dudnienie, słyszała uparte wycie alarmu i grzmiące bicie serca. Nie słyszała strzałów ani walenia w zabarykadowane drzwi.

Zastanawiała się, gdzie jest ten szalenciec. Myślała o tym, jak skoczył z okna i wylądował na czworakach, z oczami jak płonące węgle w księżycowo bladej twarzy. Wyobraźnia podsunęła jej obraz: Shacket wspina się po ścianie domu ze żwawością pająka, podnosi od zewnątrz dolną połówkę okna i za jej plecami wchodzi do łazienki.

Pomoc już nadciąga, uzbrojeni zastępcy szeryfa na pewno są w drodze, choć wciąż kilka minut od domu, a kilka minut to wieczność.

Nagle Shacket zagrzechotał gałką, a po chwili dwa razy strzelił w zamek, niszcząc go. Spróbował otworzyć drzwi, ale komoda była ciężka. Pchnął mocniej i drzwi uchyliły się o centymetr, dwa centymetry.

Megan nie widziała go, ale strzeliła w ościeżnicę, potem znowu, i zobaczyła, że nacisk na drzwi słabnie.

Zostało jej pięć nabojów.

Ile ma Shacket? Sześć, osiem?

Znowu mocno napał na drzwi, przesuwając komodę o kolejne centymetry. Jeśli dojdzie do bezpośredniej wymiany strzałów, jego celność może dorównywać zwierzęcej szybkości. Solidne drzwi były grube na pięć centymetrów. Próba ich przestrzelenia zapewne oznaczałaby stratę amunicji.

Drzwi uchylały się kawałek po kawałku. Shacket zaraz się wdrze. Sądząc po jego dotychczasowym zachowaniu, wejdzie szybko, skulony, i będzie strzelać, przekonany, że ona jest tam, gdzie rzeczywiście była, w drzwiach łazienki, w której leżał jej znikany syn.

Cofnęła się, wykorzystując futrynę drzwi łazienki jako wątpliwą osłonę. Trzymała pistolet oburącz, celując w poszerzającą się szczelinę po drugiej stronie pokoju, gdzie zaraz pojawi się ten wściekły sukinyś.

Charakterystyczne zawrodo syreny radiowozu przebiło się przez kakofonię wiatru i przenikliwe wycie alarmu szybciej, niż się spodziewała.

– Jadą! – krzyknęła do Shacketa. – Jadą, łajdaku, już po tobie, jadą!

On też ich usłyszał i przestał napierać na drzwi, może tylko na chwilę, a może już go tam nie było.

Megan stała z bronią gotową do strzału. Kwas z żołądka podchodził jej do gardła i wszystko, na co patrzyła, pulsowało w rytmie gwałtownego bicia serca.

## 60

WYBUCHA W NIM FURIA TAK POTĘŻNA, że jest przekonany, że mógłby zabić ich wszystkich, dwóch policjantów, sukę i chłopca. Śmiało rusza w stronę frontowych schodów, ale tłumi furię, aż ta cichnie do gniewu, a gniew do zwyczajnej złości. Zmienia zamiar, obraca się, pędzi korytarzem do tylnych schodów i zbiega po nich po dwa stopnie naraz.

W odpowiedzi na alarm może przybyć więcej niż dwóch gliniarzy. A nawet jeśli są tylko dwaj, mają pistolety i strzelby i mogą wezwać wsparcie. Jest lepszy od nich, ale wataha wilków może pokonać jednego tygrysa.

Tylnymi drzwiami dostaje się na werandę. Witany przez noc i burzę wypada na podwórko.

Zorganizują poszukiwania. Może nie zdąży dotrzeć do swojego dodge'a i uciec, zanim zaczną zatrzymywać samochody na autostradzie. Musi pobiec okrężną drogą.

Nie ma jeleni, nie ma chłopca manekina karmiącego je plasterkami jabłka, nie ma księżycowej poświaty. Jest tylko wiatr z pierwszym jesiennym tchnieniem i wokół las, cytadela, z której noc wyszła i do której powróci o świcie. Shacket pędzi przez najdalszą część podwórka w stronę lasu na zachodzie.

Przybędą do lasu z jasnymi latarkami, by szukać jego tropu. Ale w swoim stawianiu się, z coraz lepszymi zmysłami węchu i wzroku, kierowany nieosiągalnym dla innego człowieka intuicyjnym rozumieniem dzieki przyrody, będzie szybki, a oni będą się guzdrać; będzie pewny siebie, a oni będą niepewni. Zostawi ich daleko w tyle, zgubi i odeśle pokonanych do domu.

Wzrokiem i węchem bezbłędnie odnajduje ścieżki, które pokolenia jeleni wydeptały w lesie, oznaczone zapachem ich sierści, piżma, moczu i odchodów. Kręty szlak wśród sosen, cedrów, jodeł i kasztanowców wznosi się do skały

wygładzonej przez tysiąclecia żywiołów. Za skałą ciągnie się dalej i po jakimś czasie opada w kierunku strumienia, gdzie rześkie nocne powietrze pachnie turzycą, mchem i dziką cebulą.

To, co kiedyś byłoby uciążliwą wędrówką, ani przez chwilę nie wystawia na próbę jego sił. Mięśnie rozciągają się i prężą bez wysiłku. W dziczy jest gibki i zwinny, jak wcześniej tylko w snach o swojej młodości. Nie boi się niczego – ani niedźwiedzia, ani pumy – i czuje, że sieje strach w sercach wszystkich żyjących tu stworzeń; paraliżuje te mniejsze, które mogłyby paść jego ofiarą, gdyby tak postanowił.

Na dole wiatr jest słabszy niż w koronach, skąd strząsa zeszcłe igły, szyszki i ptasie gniazda w pierwotnym odpowiedniku konfetti dla uczczenia przejścia Shacketa.

Można by oczekiwać, że jego poczucie wyższości, suwerennej władzy nad wszystkim, co go otacza, ugasi gniew płonący w nim od wczoraj. Tak się jednak nie dzieje. Im bardziej oddala się od upokorzenia, jakie spotkało go w domu Megan Bookman, im głębiej wnika między gotyckie iglice cedrów i sosen, tym więcej nocnej ciemności przenika do jego krwi. Złość ponownie przeradza się w gniew, a gniew we wcześniejszą furję. Gnany potrzebą ucieczki – albo zapomnienia – przemierza noc w nadziei na powtórzenie doświadczenia, które było bardziej ekscytujące i satysfakcjonujące niż wszystko inne w jego życiu. Mknie, węsząc w poszukiwaniu niesionego przez powietrze bogactwa informacji, liżąc ciemność na wspomnienie tamtego wyjątkowego smaku, zgrzytając zębami i żałując, że nie są ostrzejsze.

## Bella na Telegrafie

PSY MISTERIUM POTRZEBOWAŁY MNIEJ snu niż zwykłe psy, a nawet przeciętny człowiek.

Bella wstała kilka godzin wcześniej niż ktokolwiek w rodzinie Montellów.

Uważała się za coś w rodzaju psa stróżującego.

Od czasu do czasu ćwiczyła obnażanie zębów przed lustrem. Wtedy bała się trochę sama siebie.

Wolała sypiać na parterze, żeby móc szybciej wyczuć jakiegoś śmierdzącego intruza, gdyby wdzierał się do domu.

Żaden intruz nigdy nie naruszył świętości domu Montellów.

Co nie oznacza, że to się nie zdarzy.

Bella z natury była optymistką, jak wszyscy jej pobratymcy, ale wiedziała, że zło pleni się na świecie.

Mogła pozostać optymistką, ponieważ rozumiała, że świat został stworzony wyłącznie dla niewinnych.

Pierwotny gmach nie zawierał pomieszczeń dla niegodziwców.

W końcu świat zostanie przebudowany, żeby przywrócić mu pierwotny cel.

Teraz, w czwartek rano, wstała z legowiska w kuchni, poszła do pokoju rodzinnego, stanęła na tylnych łapach i zapaliła światło włącznikiem ściennym.

Przylapano ją na tym kilka razy. Rodzina uznała, że to urocze.

Larinda, najstarsza z dzieci, powiedziała: „Boi się ciemności. Wcałe się jej nie dziwię. Wystarczy oglądać to, co pokazują w wiadomościach!”.

Sam, starszy syn, oznajmił: „Chłopcy nie boją się ciemności”, chociaż zawsze spał przy zapalanej lampce nocnej.

Dennis, młodszy od Sama, zasugerował: „Może mamy myszy i Bella potrzebuje światła, żeby je złapać”.

„Nie mamy myszy”, oświadczyła Larinda. „I Bella nie jest kotem. W każdym razie nigdy nie pochwaliła się złapaną myszą”.

„Może je zjada”, rzucił Dennis.

„Bella jest damą w każdym calu”, sprzeciwiła się Larinda, przerażona sugestią brata. „Damy nie jedzą myszy, na litość boską”.

Milly, najmłodsza z nich, skwitowała: „Wszyscy gadacie bzdury”.

Bella nie bała się ciemności. Po prostu nie mogła czytać po ciemku.

Telegraf był nie tylko systemem łączności. Był również narzędziem edukacyjnym. Dzięki niemu członkowie Misterium mogli w zaledwie kilka minut przekazać młodemu psu swoją znajomość języka.

Solomon i Brandy, dwoje z bardziej filozoficznych członków Misterium, nazwali tę umiejętność „ściągnięciem danych z mózgu do mózgu”.

W salonie było mnóstwo półek z książkami.

Bella, choć była duża, mogła korzystać tylko z tych książek, które stały na czterech dolnych półkach.

W pokoju była otomana na kółkach, którą mogła przepchnąć i stanąć na niej, by dosięgnąć piątej półki, jednak rzadko z niej korzystała z powodu problemów z równowagą.

Potrafiła łapą wysunąć książkę z półki i odłożyć ją na miejsce zębami.

Jeśli słyszała kroki i musiała szybko ukryć książkę, wsuwała ją pod fotel z falbankami albo kładła na stoliku, żeby później odłożyć na półkę. Czasami o tym zapominała i wtedy dzieci dostawały burę za nieodkładanie książek na półkę.

Wszystkie z wyjątkiem jednego szły w zaparte, i słusznie. Kilka razy, po obrzuceniu Belli długim spojrzeniem, Milly wzięła winę na siebie.

Najmłodsza z czwórki miała swoje podejrzenia. Być może pewnego dnia zacznie dociekać prawdy.

Bella jeszcze nie zdecydowała, co wówczas zrobi. Pewnie będzie improwizować.

Teraz, w czwartek rano, leżała w salonie, czytając *Magicznego słonia* Kate DiCamillo.

Historia była zabawna i smutna, magiczna i dziwna, ale prawdziwa.

Prawdziwa w tym sensie, że choć dziwna, opisywała matrycę leżącą u podstaw życia, matrycę nieoczekiwanych powiązań między ludźmi, miejscami i momentami bardzo odległymi w czasie.



Bella przewracała kartki, albo prychnając, albo muskając je łapą, ostrożnie, żeby ich nie pomarszczyć.

Opowieści były równie smakowite jak jedzenie. Równie ważne jak jedzenie.

Bella nie mogłaby żyć bez opowieści.

Były największym błogosławieństwem inteligencji. Były pokarmem dla duszy. Były lekiem.

Dzięki opowieściom można przeżyć tysiące żywotów – i nauczyć się kształtować własne życie w najpyszniejszą opowieść.

Właśnie skończyła piąty rozdział i westchnęła z zadowolenia, gdy wydarzyło się coś zdumiewającego.

Na Telegrafie zabrzmiał nieznany dotąd głos.

Nowy przedstawił się jako Vulcan.

Podał się za trzyletniego owczarka niemieckiego.

Do tej pory skład Misterium ograniczał się wyłącznie do golden retrieverów i labradorów.

Vulcan oczywiście mówił prawdę. Przecież był psem.

Ale podał też inne szczegóły, jeszcze bardziej zdumiewające.

Nadawał z bardzo dużej odległości. Szukał kontaktu od roku, sięgając coraz dalej.

Bella nie wiedziała, z jakiej odległości Misterium może odbierać przekazy.

Odłożyła *Magicznego słonia* na półkę, ułożyła ogłoszenie i nadała je w trybie pilnym.

Bellagram. Dzieje się coś ekscytującego. Jeszcze chwilę temu transmisje na Telegramie nie były odbierane poza promieniem dwustu kilometrów od Sacramento. Vulcan, owczarek niemiecki mieszkający w La Jolla, na północ od San Diego, zgłosił się do nas z wiadomością, że w hrabstwach San Diego, Orange i Riverside istnieje społeczność naszego gatunku. Są to głównie owczarki niemieckie i berneńskie psy pasterskie. Jest ich siedemdziesiąt dwoje i przebywają w różnych warunkach. To, co my nazywamy Telegramem, oni zwą Radiem. Nie mają wspólnej nazwy, ale możemy mieć nadzieję, że przyjmą naszą, Misterium. Skąd przybyliśmy? Dlaczego tu jesteśmy? Nasza historia wreszcie się

rozwija. Wydaje się, że nadszedł nasz czas. Radujmy się. Bądźmy wierni.  
Bądźmy dostrojeni.

# PIES I JEGO CHŁOPIEC

CZWARTEK 1.00 - 4.00



W CIĄGU PIERWSZEGO ROKU SŁUŻBY nie zdarzyło się, by szeryf Hayden Eckman przebywał w biurze po północy, a właściwie rzadko gościł tam po szóstej wieczorem. Teraz siedział w biurze i martwił się.

Wciąż młody i atrakcyjny, potrafił elokwentnie wypowiadać się o rządach prawa i służbie publicznej, zjednując sobie niemal wszystkich, chociaż obecne stanowisko uważał nie za pracę życia, a za kolejny szczebel kariery, która zaprowadzi go bardzo wysoko.

Przez pięć lat był zastępcą szeryfa, a wcześniej prawnikiem z niezbyt imponującymi dokonaniem. Nadal uważał się za adwokata, a nie stróża prawa. Przez następne trzy lata zamierzał niestrudzenie nawiązywać kontakty i wykorzystywać wszystkie legalne i quasi-legalne sposoby, żeby się wzbogacić, a następnie kandydować na stanowisko prokuratora okręgowego hrabstwa Pinehaven. Ponieważ jego ostatecznym celem był urząd prokuratora stanu Kalifornia, wykorzystywał możliwości i zbierał informacje szkodliwe dla tych, którzy – jak przewidywał – będą jego rywalami w przyszłych wyborach.

Dlatego niepokoiła go ta sprawa z przejściem ciał Paintona Spadera i Justine Klineman przez władze stanowe w Sacramento, tym gnieździe żmij. Z jednej strony, prokurator generalny Tio Barbizon był mu teraz winien przysługę. Z drugiej zaś, jeśli coś pójdzie źle, szeryf może ucierpieć wizerunkowo z powodu skwapliwego spełnienia prośby Barbizona.

Najbardziej niepokoiło go to, że nie mógł być pewien, czy Barbizon przekazał mu prawdziwą wersję. Prokurator stanowy powiadomił go, że współpracuje – nieoficjalnie – z NSA, której bardzo zależy na zachowaniu w tajemnicy jej powiązania ze sprawą. Ale Barbizon sporo zataił, a poza tym miał reputację sprytnego kombinatora.

Szeryf miał powody sądzić, że twierdzenie o zaangażowaniu NSA nie było bezpodstawne. Po tym, jak przy zwłokach kobiety znaleziono portfel z prawem jazdy Nathana Palmera, wszedł na stronę policyjnej bazy danych, by sprawdzić, czy facet nie ma przeszłości kryminalnej albo czy nie jest poszukiwany listem

gończym. Okazało się, że nakaz aresztowania rzeczywiście został wydany, chociaż przez sąd w Salt Lake City na wniosek prokuratora generalnego stanu Utah, a nie przez sąd w hrabstwie lub mieście Springville, w którym popełniono przestępstwo. Palmer był poszukiwany pod zarzutem kradzieży, podpalenia i zabójstwa. Gdy Hayden czytał akta, ekran jego komputera nagle zrobił się biały, a zdjęcie poszukiwanego przemieniło się w czarną sylwetkę: ramiona, szyja i głowa. Ekran odblokował się po około trzech minutach. Szeryf wiedział, co to oznacza; zrobiono mu zdjęcie i zidentyfikowano jego lokalizację, co mogły zrobić jedynie główne agencje bezpieczeństwa w kraju. Jedna z nich pilnowała akt Nathana Palmera, by wiedzieć, kto do nich zagląda.

Dwadzieścia minut później, zanim zdążył skontaktować się z prokuratorem stanu Utah, zadzwonił do niego Barbizon i zaskoczył pytaniem, dlaczego interesuje się Nathanem Palmerem. Gdy szeryf opisał mu podwójne zabójstwo i potworne obrażenia Justine Klineman, prokurator stanowy przerwał rozmowę, żeby z kimś się naradzić. Barbizon odezwał się po pięciu minutach i dał do zrozumienia, że w tej sprawie występuje jako pośrednik NSA, która chce, by sprawa hrabstwa Pinehaven przeciwko Nathanowi Palmerowi została przekazana jemu. Dał do zrozumienia, że agencja pozwoliła mu ujawnić coś więcej niż szczegóły zawarte w nakazie wydanym przez sąd w Salt Lake City: Palmer był wysoko postawionym dyrektorem zatrudnionym przez Refine i nadzorował obiekt w Springville, gdzie dziewięćdziesiąt trzy osoby zginęły w pożarze. Szeryf wiedział o tym wydarzeniu, przez dwa dni będącym głównym tematem wiadomości. Barbizon nadmienił, że Palmer posługiwał się fałszywym prawem jazdy, jednym z kilku, w które wyposażył się jakiś czas przed pożarem w przekonaniu, że nikt się o tym nie dowie. Zaznaczył, że nie wolno mu ujawnić prawdziwego nazwiska uciekiniera. Dodał, że Nathan Palmer kupił niestandardowego czerwonego dodge'a demona na zagraniczną firmę fasadową, którą sam założył, i wierzył, że jego pracodawca nie ma o tym pojęcia.

Najwyraźniej po zakupie usunął z dodge'a GPS, żeby utrudnić namierzenie pojazdu; akurat o tym jego wszechwiedzący szef nie wiedział. Prokurator zapewnił, że NSA będzie wdzięczna za każdy trop w sprawie rzeczonoego auta. Na koniec poruszył kwestię bezpieczeństwa narodowego i przytoczył prawa zakazujące powtarzania komukolwiek usłyszanych od niego informacji.

Długo po odjeździe Frawleya i Zellmana szeryf Hayden Eckman siedział w biurze, pijąc czarną kawę i zastanawiając się, dlaczego człowiek podający się za Nathana Palmera uznał za konieczne zapewnienie sobie fałszywej tożsamości i trudnego do wyśledzenia samochodu. Wyglądało na to, że albo zaplanował dokonanie sabotażu w ośrodku w Springville i teraz uciekał, albo spodziewał się katastrofy, za którą można go będzie obwinić. Jakikolwiek prace tam prowadzono, wbrew doniesieniom mediów nie były to badania nad rakiem, bo te z pewnością nie wzbudziłyby zainteresowania NSA.

I dlaczego szef Palmera, wiedząc o jego przygotowaniach do ucieczki w sytuacji kryzysowej, nadal zatrudnił go w tej placówce? Wydawało się, że to gniazdo żmij, płatanina zagrożeń, ale dla człowieka takiego jak szeryf również kłębiąca się masa możliwości.

Szeryf Eckman usiadł przy biurku, by sporządzić notatkę z wizyty Frawleya i Zellmana, którzy zabrali ciała ofiar i wszelkie dowody. Skupił się szczególnie na postawie doktora Carsona Conroya. Był wściekły, że Conroy sprzeciwił się wydaniu zwłok i dowodów i powoływał się przy tym na procedury oraz etykę. Jeśli kiedykolwiek sprawa trafi do sądu, szeryf chciał mieć gotową, opatrzoną datą wersję wydarzeń podważającą wiarygodność Conroya. Zgodnie z nią lekarz medycyny sądowej zjawiał się nie przypadkiem, a został wezwany do pomocy podczas przekazania i stawiał się nietrzeźwy, nie miał zastrzeżeń odnośnie do procedury, był zdezorientowany i agresywny wobec ludzi z Sacramento.

Haydena bawiło pisanie kwestii pijanego lekarza sądowego i wymyślanie przekonujących szczegółów jego nieobliczalnego zachowania, ale pilnował się, żeby nie przedstawić go jako niewiarygodnego błazna. Gdyby musiał przedłożyć tę notatkę w sądzie, najpierw pokaże ją Frawleyowi i Zellmanowi, żeby mogli potwierdzić jej treść w swoich zeznaniach.

Zdążył nagrać i wydrukować notatkę, gdy Carl Fredette, dyżurny, zgłosił przez interkom wtargnięcie z oddaniem strzałów w domu Megan Bookman przy Greenbriar Road.

Napady na domy w tej okolicy były równie rzadkie jak incydenty z udziałem słońi.

Szeryf zawsze stawiał własne interesy nad dobro społeczności i definiował korupcję mniej surowo, niż czyni to prawo, ale miał intuicję policjanta. Od razu

nabrał podejrzeń, że Nathan Palmer, kimkolwiek naprawdę jest, nie wyniósł się z hrabstwa Pinehaven.

## 62

JAK WSZYSCY CZŁONKOWIE MISTERIUM Kipp mógł włączać i wyłączać Telegraf jak radio, chociaż transmisje alarmowe zawsze się przebijały.

Nie wyłączył go, ponieważ wciąż słyszał krzyk chłopca, pełen emocjonalnego bólu i rozpacz.

Kipp mógł bez słów udzielać wskazówek Benowi Hawkinsowi, bo ten człowiek był dość mądry, by uwierzyć w niemożliwe, gdy zobaczył dowody.

Niestety, nie wszyscy ludzie mieli równie otwarte umysły.

Niektórzy bez cienia dowodu wierzyli w najbardziej absurdalne rzeczy, ale nie chcieli uwierzyć w prawdę, nawet gdy wtykała im palce w oczy.

W każdym razie, gdy zbliżali się do skrzyżowania, Ben wyciągał rękę i pytał:

– Tędy?

Jeśli wskazywał właściwą drogę, Kipp szczechał entuzjastycznie. Jeśli wskazywał złą – Kipp pomrukiwał z dezaprobatą.

Jak zawsze, powiedziałby wiele rzeczy, gdyby tylko miał niezbędny do tego fizyczny aparat mowy.

Powiedziałby: „Naprawdę niezły z ciebie kierowca”.

Powiedziałby: „Szybciej, szybciej”, chociaż Ben już przekraczał dozwoloną prędkość, bo wiedział, że sprawa jest niewątpliwie pilna.

Kipp zadałby Benowi Hawkinsowi tysiące pytań na temat jego życia: jakie książki napisał, czy czytał Dickensa i czy wierzy, że rację mają ci fizycy, którzy twierdzą, że wszechświatów równoległych może być nieskończenie wiele?

Dorothy była zafascynowana mechaniką kwantową, teorią strun i tak dalej.

Umiała zainteresować cię tym, co ją fascynowało.

Kipp miał swoją teorię: istnieją wszechświaty równoległe, a gdy umieramy, żyjemy dalej w innych rzeczywistościach.

Dorothy akurat tu się gubiła, ale nie we wszystkim.

Czerpał z tego pociechę.

Nie posunąłby się do stwierdzenia, że Niebo jest wszechświatem równoległym, w którym wszyscy żyją wiecznie. Nie był teologiem.

Z Olympic Valley pojechali na północ stanową osiemdziesiątką, a następnie na zachód międzystanową osiemdziesiątką.

Zjechali z niej na stanową dwudziestkę i wciąż kierowali się na zachód.

Gdyby był zwykłym psem, chciałby jeździć jak najczęściej, z łbem wystawionym przez okno w drzwiach po stronie pasażera.

Rozumiał jednak niebezpieczeństwo latających śmieci, które mogą spowodować poważne uszkodzenie oczu.

Czasami bycie supermądrym okazywało się mniej zabawne niż bycie tym zwyczajnym psem.

Może nie tylko czasami. Może przez większość czasu.

Dorothy pozwalała mu wystawiać łeb przez okno samochodu, tyle że wtedy jechała bardzo wolno. Żadna frajda.

Do tej pory zakładał, że inni na Telegrafie też słyszą chłopca, ale nagle zaczął się zastanawiać, że jeśli tak, to dlaczego nie ma żadnych komentarzy.

Nadał: „Słyszycie chłopca na Telegrafie? Krzyczy i płacze”.

Odpowiedzi nadeszły szybko ze wszystkich stron nocy. Nikt inny nie słyszał chłopca. Byli podekscytowani myślą, że człowiek może wejść na Telegraf.

Zastanawiał się, dlaczego nie słyszą chłopca. Życie jest pełne rzeczy, nad którymi można się zastanawiać.

Kipp warknął, by uprzedzić o zbliżającej się zmianie kierunku.

– W prawo? – zapytał jego towarzysz.

Kipp szczeknął: „Tak”.

Właśnie wtedy w jego umyśle rozbłysnął Bellagram o Vulcanie w La Jolla, wiadomość promieniująca radością Belli.

Bella miała rację. Coś się dzieje. Coś monumentalnego.

I w jakiś sposób chłopiec musi być tego częścią, podobnie jak Vulcan, Bella, Kipp i wszystkie mądre psy, do tej pory uważające się za obcych w świecie, który stworzył je bez określonego celu i puścił samopas, by żyły poza naturą w nieustannej tęsknocie za odpowiedziami, które nie nadchodziły.



MEGAN ZANIOSŁA WOODY'EGO Z ŁAZIENKI do łóżka. Zdążyła włożyć dzinsy i bluzę, gdy przyjechała policja.

Nie chciała zostawiać syna, który sprawiał wrażenie całkowicie oderwanego od rzeczywistości, wykończonego emocjonalnie i wycofanego do własnego świata. Oczywiście nie po raz pierwszy zapuścił się tak daleko, ale tym razem wykryła coś nowego w jego wycofaniu. Modliła się, żeby nie była to rozpacz.

Podeszła do szczytu schodów, ale odmówiła zejścia na parter i poprosiła, by zastępcy szeryfa przyszli do niej.

Opowiadając swoją historię, przysunęła krzesło do łóżka Woody'ego i siedziała, trzymając jego rękę, delikatnie otwierając zaciśnięte palce syna i głaszcząc je z nadzieją, że to go rozluźni.

Starła się zachować spokój i nie pozwolić, by uzewnętrznił się jej niepokój. Bała się, że Woody odgadnie, że Lee Shacket na zawsze zniszczył jej poczucie bezpieczeństwa. Chłopiec chciał, żeby była skałą, na której mógł stanąć, a nie morzem strachu, w którym mógłby utonąć.

Mężczyźni jej wysłuchali, a następnie obejrzeni uszkodzony przez pociski zamek w drzwiach i pokój, niczego nie dotykając. Widząc ich kamienne twarze i śmiertelnie poważne spojrzenia, odnosiła wrażenie, że traktują ją podejrzliwie, czego być może wymagały od nich doświadczenie i szkolenie. Niemniej trudno jej było ukryć irytację, że nie szukają Lee Shacketa, bo założyli, że uciekł i nie ma go w pobliżu. Czekala, aż zakończą oględziny i wyjdą.

Przypuszczała, że spokój jej relacji o tej szalonej i brutalnej konfrontacji mógł skłonić ich do zastanawiania się nad jej prawdomównością. Gdzie strach, który nadal powinna okazywać? Gdzie wściekłość z powodu wtargnięcia do jej domu?

Oczywiście miała w sobie te emocje, ukryte głęboko, ciasno zwinięte, żeby nie przekazać ich synowi. Będąc matką dziecka z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, które nie jest w stanie wyrazić emocji, ale odczuwa je głęboko, dziecka, które nie ma mechanizmów obronnych pozwalających mu uporać się ze strachem, przez cały czas musiała się zastanawiać, w jaki sposób wyrażane przez nią uczucia wpływają na Woody'ego. Był tak wstrząśnięty tym, co zrobił Shacket, że

wycofał się w bezruch, co uznała za niepokojące, jeśli nie wręcz przerażające, i dlatego nie śmiała mówić tonem, jaki mógłby nakreślić sprężynę jego lęku.

Dwoje następnych zastępców szeryfa przybyło kilka minut po pierwszych i z jakiegoś powodu, może ze względu na starszeństwo, przejęli dowodzenie. Jedną z nich była trzydziestokilkuletnia kobieta, ZASTĘPCA SZERYFA CARRICKTON, o czym informowały czarne litery na białej plakietce przypiętej do kieszonki koszuli mundurowej.

Carrickton była atrakcyjna, wysportowana, miała mocne przedramiona, skandynawskie rysy, krótkie blond włosy i oczy niebieskie jak porcelana Wedgwood. Wyjęła notes i długopis, by spisać zeznanie, czego nie zrobili dwaj pierwsi zastępcy.

Megan uznała ją za kompetentną i odetchnęła z ulgą, mając w pokoju kobietę, kogoś, kto lepiej zrozumie, przez co przeszła. Wkrótce jednak zaczęła zdawać sobie sprawę, że niezależnie od kompetencji Carrickton czuje do niej niechęć i dlatego jej nie ufa, choć nie ma ku temu powodu.

Gdy Megan przedstawiła im skróconą wersję tego, co się stało, Carrickton zapytała:

- Co jest z tym dzieckiem nie tak?
- Jest wysokofunkcjonującym autystą.
- Co to znaczy „wysokofunkcjonujący”?
- Jest urodzonym samoukiem, czyta na poziomie uniwersyteckim, nie ma ataków złości. Ale nie znosi, gdy dotyka go ktokolwiek inny niż ja i moja gosposia, Verna Brickit. I nie mówi.

Carrickton stała zbyt blisko, naruszając jej przestrzeń osobistą, gdy patrzyła na nią i Woody’ego.

– Dzieciak po prostu leży, jakby nawet nie wiedział, że tu jestem. Zawsze jest taki?

- Nie. Shacket spowodował u niego traumę, jak już mówiłam.
- Molestował chłopca?
- Groził mu, dręczył go. Kiedy go tu zastałam, miał kontrolę... dotykał twarzy Woody’ego. To dla niego najgorsze, gdy ktoś obcy dotyka jego twarzy.
- Pytam, czy przeżył traumę dlatego, że został zgwałcony.

– Nie. Shacket chciał zgwałcić mnie. I znęcał się nade mną, strasząc Woody’ego.

– W ciągu kilku godzin chłopiec musi zostać zbadany przez lekarza.

– Nie został zgwałcony – rzuciła Megan. – Nie trzeba go badać.

– Zobaczmy, co powie. Potrzebuję jego zeznania.

– Przecież powiedziałam, syn nie mówi.

– Nigdy?

– To nie jest rzadkie w autyzmie.

Partner Carrickton, Argento, na przemian przysłuchiwał się rozmowie i wychodził na korytarz, żeby naradzić się z innymi. Przyjechał trzeci samochód. Migające czerwone i niebieskie światła na dachach radiowozów omywały wietrzną noc za oknami. W domu było już sześciu ludzi z biura szeryfa. Noc trzeszczała od rozmów prowadzonych przez radia policyjne i przypięte do paska krótkofalówki. Megan zastanawiała się, do jakich pomieszczeń wchodzi, co oglądają. Cieszyła się, że tu są, że przybyli w porę, by spłoszyć Shacketa, ale znów czuła się gwałcona.

– Spotykała się pani z tym Lee Shacketem – powiedziała Carrickton.

– Kilka razy, tak, wiele lat temu.

– Byliście w związku.

– Nie seksualnym. Kilka randek, nic więcej. Jak mówiłam, dawno temu.

– Powiedziała pani, że dzisiaj zadzwonił.

– Wczoraj, jest już po północy. Chciał, żebym pojechała z nim do Kostaryki. Oblędny pomysł. Oczywiście odmówiłam.

Przerabiali to już wcześniej. Megan rozumiała, że Carrickton bombarduje ją pytaniami, wielokrotnie wracając do spraw już omówionych, żeby sprawdzić, czy nie wprowadzi zmian do pierwotnej wersji. Było to irytujące.

– Jeśli Shacket nie miał klucza, jak dostał się do domu?

– Myślę, że wemknął się, kiedy była tu Verna. Zostawia otwarte tylne drzwi, gdy wychodzi na krótko, żeby wyrzucić śmieci albo pójść po coś do samochodu.

– I Shacket gdzieś się schował, dopóki nie poszła pani do łóżka?

– Tak przypuszczam.

– Ukrywał się godzinami. Wykazał się nadzwyczajną cierpliwością jak na faceta, który według pani jest szalony. – Carrickton zanotowała coś. – Spała pani, ale on przyszedł najpierw tutaj, do pokoju chłopca.

– Jak mówiłam, nie spałam. Czytałam, zrobiłam się śpiąca i już chciałam odłożyć książkę i iść spać, ale jeszcze zajrzałam do sejfu na broń. Pistolet leżał inaczej i magazynek był opróżniony.

– Sejf był zamknięty?

– Tak. Nie wiem, skąd znał kombinację.

– Od jak dawna posiada pani tę broń?

– Od trzech lat.

– Kupiła ją pani legalnie w Kalifornii?

– Tak.

– Muszę zobaczyć pozwolenie.

– Przyniosę, gdy skończy pani zadawać pytania.

– Przeszła pani kurs bezpiecznego obchodzenia się z bronią palną?

– Ćwiczę strzelanie raz w miesiącu. I tak, zrobiłam kurs.

– Zaopatrzyła się pani w broń z powodu Lee Shacketa?

– Nie. Dlaczego miałabym to robić? Kiedy kupiłam broń, minęły lata, odkąd go widziałam. I nie był wtedy szalony.

– Powiedziała pani, że go zraniła.

– Nie poważnie. Może odstrzeliłam mu kawałek lewego ucha.

– Dzieciak był przy tym?

– Woody leżał tutaj, jak teraz.

– Strzelała pani w jego kierunku?

– Musiałam. Shacket zagroził, że wydlubie mu oczy.

– Syn jest ślepy?

– Co? Nie. Nie jest ślepy.

– A wygląda. Ma takie nieruchome spojrzenie.

– Nie jest ślepy.

– Autyzm wysokofunkcjonujący. Czy ma pani opinię potwierdzającą, że to środowisko jest dla niego najlepsze, że nie powinien przebywać w jakimś specjalnym ośrodku opieki?

Megan uznała, że to już zbyt wiele. Puściła dłoń Woody’ego, podniosła się i stanęła oko w oko z Carrickton.

– Tu nie chodzi o rozstrzygnięcie, czy Woody przebywa w najlepszym środowisku. Czy ktoś szuka Lee Shacketa? Jest obłąkany, nawet gorzej niż obłąkany. Zorganizowaliście grupę poszukiwawczą?

– To nie zależy ode mnie – odparła Carrickton. – Moje zadanie polega na uzyskaniu zeznania, które będzie potrzebne, jeśli mamy postawić zarzuty temu facetowi.

– W porządku. Ale skupmy się na tym, co wydarzyło się tutaj dzisiaj w nocy, co zrobił i co próbował zrobić Lee Shacket.

Carrickton w milczeniu odwzajemniała spojrzenie Megan przez jakieś dziesięć sekund; jej błękitne oczy wydawały się kruche jak porcelanowy talerz.

– Ma pani ładny, duży dom pełen wszystkiego, co najlepsze. Ale najlepsze rzeczy niewiele znaczą, gdy ma się trudnego dzieciaka, którym trzeba się opiekować, i niezrównoważonych chłopaków z przeszłości, którzy mogą się pojawić.

Niewytłumaczalna wrogość zupełnie obcej osoby, która zakłada, że cię zna, nie jest częstym zjawiskiem, gdy stoisz z tym kimś twarzą w twarz. Wylegarnią takiej wrogości są media społecznościowe, dlatego Megan rzadko korzystała z internetu. Jednak w tej sytuacji, podczas fizycznej obecności ewidentnego hejtera, nie mogła po prostu kliknąć i wyłączyć komputera.

– Nie zamierzam wałkować tego w nieskończoność. Nie jestem podejrzana. Jestem ofiarą. Dam pani jeszcze pięć minut i na tym koniec.

Dwie minuty później przybył szeryf Hayden Eckman.

## 64

WOODY LEŻAŁ W KOMNACIE NA szczycie południowo-zachodniej wieży Zamku Wiwerna w stanie głębokiej odrazy do samego siebie. Tym razem wiedział, że nigdy nie zdoła odpokutować swojej słabości, już nigdy nie wróci do domu. Błękitny ptaszek nie zaśpiewa pieśni o przebaczeniu, a kudłaty biały

szczur nigdy nie zatańczy z radości na znak, że Woody zapłacił odpowiednią cenę za to, co zrobił albo – jak to częściej bywało – czego nie zrobił.

Zły człowiek nazwał go manekinem, ale Woody wiedział, że nie jest manekinem. Nikt nie sprawi, by uwierzył, że jest głupi tylko dlatego, że nie mówi. Lecz zły człowiek nazwał go również bezużytecznym. I chociaż zarzut padł z ust złego człowieka, to wcale nie musiało oznaczać, że był bezpodstawny. Taka jest prawda. Ten człowiek obraził jego mamę, gorzej, niż obraził, kazał jej się rozebrać, miał zamiar zmusić ją do seksu. Woody był niewinny, ale nie naiwny. Wiedział, czym jest seks. Seks może być czymś pięknym, kiedy jest uprawiany z miłości, albo brzydki jak zbrodnia, gdy miłości w nim nie ma. Tyle Woody wiedział.

I przez cały ten czas nic nie zrobił. Nic. Czując lekki dotyk dłoni szaleńca – kiedy gładził go po policzku, nosie, kreślił kółka na podbródku, muskał usta koniuszkiem palca – Woody był do tego stopnia wstrząśnięty i zawstydzony swoją bezsilnością, że jego ręce i nogi przemieniły się w ołów i nie mógł nawet unieść głowy. Może nie od razu odszedł do zamku, ale leżał w pokoju równie sparaliżowany jak teraz tutaj, na prymitywnym słomianym posłaniu.

Udał się do zamku wtedy, gdy strzały ucichły, gdy nie mógł wstać z podłogi w łazience, gdzie kulił się w kącie. Mama musiała go podnieść i zanieść do łóżka, a jego bezsilność nigdy nie była bardziej upokarzająca.

Teraz leżał, wpatrując się w wysokie okna, w nabrzmiałe czarne brzuchy chmur, za którymi pulsowały błyskawice, niezmiennające się w pioruny, przypominające fale kwasu, które przeżerały się przez nadciągającą burzę. Jeszcze nigdy nie widział tylu smoków: całe stada z długimi kolczastymi ogonami i ząbkowanymi skrzydłami, przerażające zwiastuny apokalipsy. Po błyskawicy nie nastąpił grzmot i smoki nie ryczały, ponieważ w tym królestwie zawsze panowała cisza, cicha jak on, dopóki błękitny ptak nie zaśpiewał i biały szczur nie zatańczył, pozwalając mu wrócić do domu. Tym razem żadne z nich się nie pojawi.

Gdy masz tyle do powiedzenia, ale słowa nie chcą się uformować, gdy nigdy nie rozmawiałeś z nikim poza jeleniami na podwórku, uczysz się żyć z głosem zamkniętym w sobie. To, co powiedział do jelenia: „Jesteś piękny. Kocham cię”, chciał powiedzieć tacie, zanim ten odszedł na zawsze, i chciał to powiedzieć

mamie, która pewnego dnia też może odejść na zawsze, ale był takim niedojdą, że tylko jelenia mógł zapewnić o swojej miłości. Nauczył się z tym żyć.

Gdy ciepło objąć matki jest najlepszym uczuciem na świecie, wiesz, że jeśli mógłbyś ją objąć, byłoby jeszcze lepiej, ale uczysz się żyć bez możliwości przytulenia kogokolwiek. Wmawiał sobie, że mama zna jego uczucia nawet bez uścisków, i przez większość czasu naprawdę w to wierzył. Ale niekiedy, jak teraz, myślał, że może jednak mama nie wie, że ma tylko nadzieję, że ją kocha – i nauczył się żyć nawet z tymi wątpliwościami.

Nie mógł jednak żyć z tym, że mama o mało nie została zgwałcona i postrzelona, a on nic nie zrobił. Nic. Nie tylko nie był w stanie jej pomóc, ale też sparaliżowany, stał się dla niej ciężarem, prawie doprowadził do jej śmierci, ponieważ nie mógł się zmusić, by dotknąć – uderzyć – złego człowieka. Nie mógł nawet pobiec po pomoc. I całe to zło było prawdopodobnie skutkiem jego odwiedzin na stronie Tragedia w darknecie i napisania *Zemsty syna*.

Coś, co powiedział zły człowiek, było prawdą:

„Wiesz, jaka seksowna jest twoja mamusia? Zbyt seksowna, żeby marnować sobie życie z takim manekinem”.

Jeśli Woody nie wróci do domu, będzie od niego wolna. Jeśli zostanie tu, w Zamku Wiwerna, mama ułoży sobie lepsze życie z kimś, kto będzie mógł jej powiedzieć, że ją kocha. Będzie mogła odwiedzać miejsca, które lubi, i nie martwić się już o to, co może się stać z jej manekinem. Był bystry, ale mimo to był manekinem, głupim, niemym, pełnym wiedzy i uczuć pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia, ponieważ nie mógł się z nikim podzielić tym, co wie i co czuje.

W pulsującym bezgłośnym burzowym świetle, pod bezdźwięcznymi smokami, w niezemskiej ciszy komnaty, gdzie nie słyszał nawet szelestu słomy pod sobą, bicia własnego serca ani oddechu, nagle usłyszał głos:

„Idę, chłopcze, już prawie tam jestem”.

Oderwał wzrok od okien bez szyb i znowu zobaczył psa, tym razem nie zwinętego na podłodze, ale siedzącego w pasach, jakby jechał w samochodzie.

– „Nie płacz, chłopcze, nie bój się. Jestem prawie na miejscu”.

GDY SZERYF DOWIEDZIAŁ SIĘ o niesłychanym wtargnięciu i przemocy w domu Megan Bookman, założył, że za tym oraz za zabójstwami Spadera i Klineman może stać ten sam sprawca. Od razu rozkazał ustawić blokady na Greenbriar Road. Jego ludzie szukali uciekającego z miejsca zdarzenia czerwonego dodge'a demona, wysokiej klasy auta z rynku wtórnego, o mocy silnika pozwalającej prześcignąć każdy pojazd we flocie organów ścigania.

Do każdej blokady drogowej przydzielił czterech funkcjonariuszy; pierwsza znajdowała się około trzech kilometrów na południe od domu Bookman, a druga dwa i pół kilometra na północ. Ta południowa została w pełni obsadzona, ale na północy był tylko jeden radiowóz z dwoma funkcjonariuszami.

Nathan Palmer, o ile to był Nathan Palmer, został wypłoszony z domu Bookman przez dźwięk zbliżających się syren. Zakładano, że udał się pieszo na zachód – przez podwórko za domem i potem przez las – żeby ominąć autostradę z rojącymi się tam radiowozami. Z pewnością jednak przyjechał dodge'em i ukrył go gdzieś w pobliżu; możliwe, że próbuje okrężną drogą dotrzeć do pojazdu.

Ruch na Greenbriar Road był wstrzymany od pół godziny i ludzie szeryfa kontrolowali wszystkie pojazdy. Zastępcy Walter Colt i Freeman Johnson, którzy pierwsi przybyli do domu Bookman, pojechali na północ, by wzmocnić tamtą blokadę.

Freeman Johnson siedział obok kierowcy. Jako wędkarz i zapalony wędrowiec po bezdrożach był obeznany z dziczą i potrafił dostrzegać rzeczy, które zaburzały jej naturalny porządek. Leśna droga, którą mijali po prawej stronie, wydawała się ciemna jak wnętrzności lewiatana. Światło reflektorów ledwie omywało jej początek, ale wykrył wizualny dysonans wśród pionowej czerni spowitych nocą drzew.

– Stój, zawróć – powiedział. – Coś jest na tym dukcie.

Walter Colt zwolnił, zawrócił, przejechał kawałek na południe, skręcił w lewo na wąską drogę i przełączył światła na długie. Ponieważ reflektory świeciły prosto w las, ujawniły to, co było ukryte dla wszystkich prócz Johnsona. Około dwudziestu metrów od autostrady stał czerwony sedan.



Gdy wóz patrolowy powoli wjechał między drzewa i samochód okazał się dodge'em, Walter Colt chwycił mikrofon radia policyjnego i zgłosił odkrycie. Zatrzymał się trzy metry przed pojazdem sprawcy, włączył światła postojowe i zaciągnął hamulec ręczny, ale nie zgasił silnika.

Ani Johnson, ani Colt nie byli wczoraj po południu na miejscu zabójstwa Spadera i Klineman, ale słyszeli, że ciało kobiety zostało po śmierci okaleczone przez zwierzęta albo padlinożerne ptaki, być może sępy. Zdawali sobie sprawę, że jeśli zabójcą jest sprawca napaści w domu Bookman, to mają do czynienia z osobnikiem zarówno lekkomyślnym, jak i niezwykle brutalnym. Oczywiście nie mieli pojęcia, że jest kimś znacznie wykraczającym poza ich łącznie trzydziestosześcioletnie doświadczenie.

Oprócz strzelby przymocowanej do deski rozdzielczej, na lewo od fotela pasażera mieli długi na metr dwadzieścia elektryczny poganiacz bydła, służący wyłącznie do poskramiania zwierząt. W hrabstwie Pinehaven żyło więcej dzikich zwierząt niż ludzi, przy czym niektóre były groźnymi drapieżnikami, jak pumy, niedźwiedzie czy kojoty. Freeman Johnson wiedział, że kiedyś w okolicy błąkały się dwa zbiegłe z hodowli byki, tygrys trzymany nielegalnie przez idiotę, który myślał, że drapieżnik zawsze będzie łagodny jak kotek, oraz okrutnie maltretowany pitbull, który, co zrozumiałe, obrócił wściekłość przeciwko całej ludzkości. Zastępcy nie co dzień spotykali niebezpieczne stworzenia, ale co jakiś czas się to zdarzało. Ponieważ biuro szeryfa dawno temu zakazało strzelania do zwierząt, chyba że w najbardziej ekstremalnych okolicznościach, mieli do ochrony elektryczne poganiacze.

Chociaż dodge demon był ciemny, cichy i najwyraźniej pusty w przenikających przez szyby snopach światła, Colt i Johnson wysiedli z radiowozu z wyciągniętą bronią.

Las do pewnego stopnia blokował siłę wiatru, nie tworzył jednak nieprzeniknionego muru. Słabsze, ale uporczywe podmuchy stroszyły ściółkę i wstrząsały rosnącymi gdzieniegdzie krzakami, a silniejsza wichura gwałtownie targała wyższymi gałęziami drzew. Prądy powietrza szumiały w grubym baldachimie igieł niczym rwąca rzeka i z tego szumu dochodziły piskliwe wrzaski, głuche pojękiwania, krzyki udręki, jakby rzeka była Styksem przenoszącym legiony dusz ze świata żywych do krainy umarłych.

Johnson i jego partner podchodzili do dodge'a, bezustannie obserwując mroczny las poza zasięgiem świateł radiowozu. Mrok wydawał się obcy; ta noc w jakiś sposób różniła się od wszystkich innych, jak mitologiczna ciemność otaczająca Raj.

Jeśli ta noc emanowała nienaturalnym, a nawet nadprzyrodzonym zagrożeniem, to atak współgrał z jej nastrojem. Napastnik skoczył z gałęzi wysoko nad linią wzroku zastępców szeryfa niczym skrzydlaty diabeł. Runął prosto na Waltera Colta i powalił go na ziemię za dodge'em. Pistolet wyleciał z ręki Colta, odbił się od zderzaka i poszybował w drżące krzaki.

Wstrząśnięty Johnson cofnął się o krok, dwa kroki, gdy Colt dźwigał się i przetaczał, by znaleźć się nad warczącym napastnikiem albo odrzucić go od siebie. Colt był większy, ale zaciekłość tego drugiego wskazywała na to, że rozmiar i szkolenie bojowe mogą nie wystarczyć do odparcia ataku.

Mężczyźni zwarli się w szaleńczej walce. Johnson miał możliwości oddania czystego strzału. Podszedł, zamierzając uderzyć Nathana Palmera w głowę lufą pistoletu. Zatrzymał się jednak, gdy partner krzyknął. Odkąd znał Colta, ten nigdy nie okazywał strachu, nigdy nie skarżył się na ból, zawsze był ucieleśnieniem stoicyzmu. Krzykowi bólu i czystego przerażenia towarzyszyły słowa:

– Gryzie, gryzie!

Freeman Johnson w blasku reflektorów zobaczył, że lewa ręka Colta jest unurzana we krwi – nie tylko lewa, prawa też, podobnie jak twarz. Napastnik kłapał zębami przy jego szyi i uderzał kolanem w krocze, odpierany krwawymi rękami. Palmer łypnął na Johnsona; krwawa ślina ściekała mu z ust przez krzywiznę wyszczerzonych zębów, a w dzikich oczach płonął zwierzęcy blask.

Bez czystego strzału, w szponach strachu, Johnson pobiegł do radiowozu i chwycił poganiacz bydlę rażący prądem o wysokim napięciu i niskim natężeniu – wystarczającym do odstraszenia niedźwiedzia lub byka, może nawet do zabicia człowieka, bezlitośnie rażonego impulsami. Wrócił po trzech sekundach. Colt wciąż wrzeszczał. Przepisy biura szeryfa zabraniały używania poganiacza do rażenia ludzi. Jebać zasady. Johnson wbił miedziane kolce w plecy Palmera.

Wiedział, że zwarty z napastnikiem Walter Colt dozna silnego, choć mniej obezwładniającego wstrząsu. Nie można było temu zaradzić. Szaleniec zawył, a Johnson dźgnął go jeszcze raz. Palmer spadł ze swojej ofiary twarzą w dół na leśną drogę.

Dysząc i jęcząc, Colt bez większego powodzenia próbował przewyciężyć szok, uwolnić się od napastnika.

Palmer powinien być sparaliżowany przez dwadzieścia do trzydziestu sekund, a później zdezorientowany, w znacznej mierze bezradny przez minutę lub dłużej.

Freeman Johnson odpiął od pasa grube plastikowe kajdanki jednorazowe. Opadł na kolano obok leżącego na ziemi napastnika; zamierzał mocno spiąć jego nadgarstki za plecami.

Palmer machnął rękami, przekręcił się na plecy i próbował usiąść, sycząc z wściekłością węża.

Johnsonowi serce waliło tak mocno, że drżały mu ramiona. Kajdanki wyslizgnęły mu się z mokrych od potu palców. Cofnął się, chwycił poganiacz i wbił miedziane końcówki w brzuch szaleńca. Palmer orał ubitą ziemię, żłobiąc ją tak, jakby jego palce były szponami, a ziemia piaskiem. Johnson znów go poraził. Napastnik potrząsnął głową ze ścięgniami na szyi napiętymi jak stalowe kable. Zastępca szeryfa zaaplikował mu jeszcze jeden impuls, dłuższy. W końcu Palmer upadł, nieprzytomny lub martwy; Johnsona nie obchodziło, co z nim jest.

Ukląkł, obrócił szaleńca twarzą w dół i spiął mu ręce za plecami. Zaciągnął plastikowe paski mocniej, niż pozwalały na to przepisy, a potem dołożył do nich drugą parę, chociaż nigdy nie słyszał, żeby ktoś uwolnił się z takich obrączek. Założył opaski zaciskowe na kostki mężczyzny i spiął je trzecią.

Na koniec przyłożył palce do szyi Palmera. Wyczuł puls i pożałował, że go wykrył.

W tym czasie Walter Colt zdołał doczołgać się do radiowozu i usiadł oparty plecami o przedni błotnik. Krwawił z obu rąk i stracił mały palec lewej ręki – odgryziony. Palec wskazujący zwisał, połączony z dłonią strzępem ciała. Ugryziony głęboko podbródek kołysał się, jakby zaraz miał odpaść od kości. Colt płakał jak dziecko, zapewne był w szoku.

Freeman Johnson wskoczył za kierownicę i chwycił mikrofon. Wezwał karetkę – „Ranny zastępca szeryfa, rany krytyczne” – podał swoją pozycję

i poprosił o wsparcie – „Kurwa, ile tylko możecie” – ponieważ baterie w poganiaczu z pewnością były prawie wyczerpane. Plastikowe kajdanki wytrzymają; zawsze wytrzymały. Ale ktoś będzie musiał zakneblować Palmera, zanim go przetransportują, a Johnson nie zamierzał tego robić bez pomocy.

Wysiadł z samochodu, wyjął z bagażnika apteczkę, podszedł do kolegi i ukląkł obok niego. Obejrzał obrażenia. Ręce krwawiły, choć nie aż tak mocno, żeby przed przybyciem ratowników trzeba było zakładać opaskę uciskową. Wsunął w ręce partnera rolki gazy i kazał mu ścisnąć je lekko, aby zatamować krwawienie z wnętrza dłoni. Z podbródkiem nic nie można było zrobić.

– Karetka w drodze, stary. Będą za pięć minut, nawet wcześniej.

– Jezu Chryste – wymamrotał Walter Colt łamiącym się głosem.

Palmer już się poruszał. Zaklął i próbował się przekręcić. Naprężył ręce w kajdankach i wierzgnął skrępowanymi nogami. Wygiął plecy w nieprawdopodobny łuk, jakby chciał niczym wąż zablokować kręgi i wyprostować górną połowę ciała, ale nie dał rady, więc zaklął z jeszcze większą wściekłością.

– Na litość boską, kim on jest? – zapytał Colt. – Zastrzel odmieńca, zabij go, póki możesz.

Nietypowy strach partnera jeszcze bardziej zmroził Freemana Johnsona. Wstał, podniósł poganiacz i stał gotowy, gdy w oddali zabrzmiały syreny. Wsparcie.

Nad wąskim duktem nie było księżycy ani gwiazd, zimny wiatr ryczał w koronach drzew niczym zapowiedź armagedonu, las był głęboki i czarny, pełen tajemnic, jak nigdy wcześniej dla Freemana Johnsona.

## 66

CZERWONE I NIEBIESKIE BŁYSKI POMYKAŁY po przedniej szybie i desce rozdzielczej range rovera.

Kipp i Ben czekali w rzędzie samochodów przed północną blokadą na Greenbriar Road.

Kierowca czekał z większą cierpliwością niż Kipp, który posapywał z niepokoju.

– Co się stało, kolego?

Ben nie wiedział o chłopcu. Nie wiedział, że ten najpierw krzyczał, a teraz właściwie milczał na Telegrafie, wydając tylko żałosny dźwięk rozpaczy.

Dwa gatunki na tej planecie były ze sobą związane przez wiele tysięcy lat. Może nawet ponad sto tysięcy. Psy i ludzie.

Psy towarzyszyły ludziom od tysiącleci, przed końmi czy kotami.

Polowali razem, gdy polowanie było niezbędne do przetrwania.

Chronili się wzajemnie przed wszelkimi zagrożeniami w pierwotnym świecie, w którym natura była jeszcze okrutniejsza niż teraz.

Ze wszystkich stworzeń na Ziemi tylko ludzie i psy przez całe życie radośnie brali udział w zabawie.

W relacji między człowiekiem a psem istniało jakieś wspólne przeznaczenie, które jeszcze się nie wypełniło.

Dorothy w to wierzyła.

Była pewna, że Kipp i inni z Misterium reprezentują następny etap tego ludzko-psiego przeznaczenia, że zmienią świat.

A teraz pojawił się chłopiec nieświadomie używający Telegrafu. To może oznaczać, że w niedalekiej przyszłości ludzko-psia więź jeszcze ściślej połączy oba gatunki.

Kipp czuł, że zbliża się wydarzenie o historycznym znaczeniu.

Funkcjonariusze z biura szeryfa powoli przechodzili od pojazdu do pojazdu, wypytując kierowców, zaglądając do bagażników.

Zbliża się historyczne wydarzenie, a stróże prawa wstrzymali ruch na Greenbriar Road. Jeśli frustracja się pogłębi, Kipp będzie musiał wyjść, żeby się wysikać.

Z pomocą Argenta ustawił przewróconą wysoką komodę, po czym usiadł na brzegu fotela, by porozmawiać z Megan, która trwała przy łóżku syna.

Po wejściu do pokoju wyczuł wzajemną wrogość Megan i Carrickton, przeprosił za agresywny styl przesłuchania podwładnej, ale też usprawiedliwił ją, mówiąc, że jest jedną z najlepszych w jego biurze.

Megan kiedyś spotkała poprzedniego szeryfa, Lyle'a Sheldrake'a, skromnego, swojskiego człowieka o pomarszczonej twarzy i siwych włosach, które lśniły jak napromieniowane. Nie znała go, ale słyszała, że był oddanym pracy i uczciwym człowiekiem, którego Eckman pokonał w nieczystej kampanii. Teraz, gdy patrzyła, jak nowy szeryf stara się złagodzić napięcie wywołane przez Carrickton, uznała go za zbyt przymilnego, niegodnego zaufania. Miała wrażenie, że w dzisiejszych czasach Amerykanie lgną do takich polityków, utalentowanych w sławieniu własnych cnót przy jednoczesnym oczernianiu przeciwników.

Eckman nie chciał, by powtórzyła mu wszystko to, co powiedziała Carrickton, ale okazał żywe zainteresowanie tym, że znała napastnika – jako Lee Shacketa.

– Czy wiadomo pani, by kiedykolwiek używał nazwiska Palmer, Nathan Palmer?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. I raczej nie mogłabym o tym wiedzieć, naprawdę. Spotkałam go po raz ostatni osiem lat temu, na imprezie korporacyjnej, na której byłam z mężem, a wcześniej... Minęło trzynaście lat, odkąd znaleźmy się na gruncie towarzyskim.

– Wspomniała pani, że był dyrektorem generalnym spółki Refine, będącej częścią imperium Dorian Purcella?

– Owszem.

– Czy słyszała pani o tragicznym pożarze w siedzibie Refine pod Springville w stanie Utah?

– Nie. Nie oglądam wiadomości, szeryfie. Nie mam żadnego wpływu na prezentowane wydarzenia i skupiam się na tym, żeby moja sztuka była pozytywna w świecie, który nie napawa optymizmem.

– Może ten Lee Shacket ucieka przed odpowiedzialnością za śmierć dziewięćdziesięciu dwóch osób w tym obiekcie.

Skrzywiła się, ale nie mogła powiedzieć o tej tragedii niczego, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie.

– To w takim razie tym większy powód, żeby go szybko znaleźć. Coś jest z nim bardzo nie w porządku.

– Ma pani jego zdjęcie?

– Jestem pewna, że można je znaleźć w sieci.

– Bez wątpienia. Ale w tej chwili mamy tylko prawo jazdy, które miał przy sobie. Wystawione na Nathana Palmera. Jeśli ma pani zdjęcie, panno Bookman, w ciągu minuty będę mógł potwierdzić, czy to ta sama osoba.

– Pani Bookman.

– Tak, oczywiście. Skoro pani woli.

– Lee Shacklet był na naszym ślubie. Mam w albumie kilka jego zdjęć. W zasadzie się nie zmienił, poza tym że przefarbował włosy. Przez jakiś czas nosił brodę, chociaż nie wtedy, kiedy go znałam, więc w porównaniu z tamtymi zdjęciami zmieniły się tylko włosy.

– Czy mogłaby pani pokazać ten album?

– Nie zostawię syna. Niech pan zejdzie do gabinetu. Na jednej z półek stoi osiem albumów ze zdjęciami. To ten biały ze złotymi zdobieniami. Proszę mi go przynieść, to wskażę Lee Shacketa.

W czasie nieobecności szeryfa Megan cicho mówiła do Woody'ego, zapewniając go, że są już bezpieczni, że policja złapie Shacketa i zły człowiek więcej nie wróci. Zapewnienia te były jednak bardziej życzeniami i może chłopiec wyczuł różnicę, bo nie wrócił z głębokiego zakamarka, w którym się ukrył.

Wiatr wył wokół domu. Nie był to pozbawiony znaczenia głos natury, lecz wrzask najczarniejszego szaleństwa, przywołujący w jej głowie obraz osiemnastowiecznego hiszpańskiego mistrza Francisco Goi, *Saturn pożerający własne dzieci*, nihilistyczne wyobrażenie tak obłąkańczej brutalności, że potrafiło wzbudzić w widzu autentyczny strach i spowodować tygodnie koszmarów.

Shacket roztrzaskał jedną z bocznych szybek przy drzwiach frontowych. Sam Brickit może wypełnić ramę sklejką, dopóki szklarz nie przyjdzie wstawić szybki. Tymczasem alarm będzie działał. Megan postanowiła, że każe zamontować

podwójne rygle na każdych drzwiach, a w oknach zamki na klucz zamiast zasuwek. Ma zapasowy magazynek do pistoletu. Odtąd zawsze będzie spać z załadowaną bronią. Zasłony we wszystkich oknach zawsze będą zaciągnięte, niezależnie od pory dnia, żeby nikt z zewnątrz nie mógł zajrzeć do domu.

I wszystko to nie zda się na nic.

Nie będzie czuła się bezpiecznie, nie będzie bezpieczna ani przez minutę, dopóki Shacket nie zostanie zatrzymany.

Prawdę mówiąc, nie poczuje się bezpiecznie, dopóki ten człowiek nie będzie martwy.

„Wszyscy popełniamy błędy, prawda, Megan? Sam to zrobiłem, zostawiając pistolet w twojej kuchni, gdy już zjadłem cycki tamtej gorącej suki. Nie, nieprawda, to był stek. W twojej kuchni zjadłem stek, chociaż nie dorównywał smakiem cyckom Justine”.

Kusiło ją, żeby wziąć to za brednie szaleńca, ale naprawdę zostawił broń w kuchni. A zastępca Carrickton pytała o surowe steki na kuchennej podłodze.

Szeryf wrócił z biało-złotym albumem.

Megan przejrzała go i znalazła dobre zdjęcie, na którym Shacket, w garniturze i pod krawatem, wznosił toast za nowożeńców na przyjęciu po ślubie.

– Nathan Palmer – powiedział Eckman. – Wszystko się zgadza oprócz blond włosów.

Megan podniosła się z krzesła.

– Proszę za mną.

Położyła album na łóżku i wyprowadziła Eckmana na korytarz.

Odgradzając ich prawie domkniętymi drzwiami od Woody’ego, zapytała szeptem:

– Czy Lee Shacket jest poszukiwany za coś więcej niż spowodowanie pożaru w ośrodku Refine?

Oczy szeryfa wyglądały jak koraliki liczydła, gdy kalkulował. Biorąc z niej przykład, odparł równie cicho:

– Co ma pani na myśli?

– Tylko to, co powiedziałam.

– Przykro mi, ale nie jestem upoważniony...



– Kobieta o imieniu Justine – przerwała mu. – Czy zamordował kobietę o imieniu Justine?

Po chwili milczenia Eckman odparł:

– Informacje jeszcze nie zostały przekazane do mediów.

– Nawiązał do czegoś... chorego. Nie byłam pewna, czy to prawda. Zabił ją tutaj czy w Utah?

Szeryf ustąpił.

– Jutro będzie o tym w wiadomościach. Para złapała gumę na dwudziestce. O tej porze ruch był niewielki. Najwyraźniej wtedy pojawił się Palmer... Shacket. Strzelił do mężczyzny cztery razy, zabił oboje.

Wyraźnie analizował plusy i minusy podzielenia się z nią czymś więcej, niż już ujawnił.

Megan postanowiła go przycisnąć.

– Jak zabił Justine?

Zawahał się, gdy wiatr grał Saturna, krzycząc o dzieciobójstwie w coraz ciemniejszą noc.

– Pogryzł ją.

– Na śmierć?

– Tak. Ale muszę panią prosić, żeby...

– Czy... coś zjadł?

Eckman uniósł brwi.

– Najwyraźniej doszło do aktu kanibalizmu.

Megan oderwała od niego wzrok. Natura tego koszmarnego aktu była tak intymna, że nie mogła o tym rozmawiać, patrząc mu w oczy.

– Czy to były jej piersi?

– Więc pani powiedział.

– Nie wprost.

– Pierś. Kawałek drugiej. I większą część twarzy.

– O mój Boże. – Jej wcześniej rozpalony do białości strach, ostatnio przygaszony, nagle rozgorzał na nowo. Przypomniała sobie, jak Shacket nachylał się nad Woodym, jak blisko jego twarz była przy twarzy jej syna. – Nie możemy tu zostać. Wyjeżdżamy. Natychmiast.

– Mogę przydzielić wam ochronę.

Spojrzała mu w oczy.

– Ma pan za mało ludzi. Nie ma dość policji na świecie, żeby mnie tu zatrzymać.

– Byłoby dobrze, gdyby nikomu pani o tym nie wspominała. Nie chcemy wszczynać paniki. Musimy wydać komunikat prasowy, ale wstrzymamy się z tym do jutrzejszego popołudnia, może do wczesnego wieczoru. Potrzebujemy czasu na wypracowanie odpowiedzi, żeby zapewnić...

Jeden z zastępców wbiegał po schodach.

– Szeryfie! Jest pan tam?

– O co chodzi? – zapytał Eckman.

– Złapali go. Johnson i Colt złapali drania. Colt jest ciężko ranny, karetka w drodze. Z Johnsonem wszystko w porządku, a sprawca został obezwładniony.

Eckman uśmiechnął się szeroko do Megan, jakby ujawnione niedawno okropieństwa nie miały już żadnego znaczenia.

– Jest pani bezpieczna, panno Bookman. Całkowicie bezpieczna. Moi ludzie wykonali swoją pracę. Może pani zostać w domu bez obaw. A teraz, jeśli pani wybaczy...

Odszedł z wypiętą piersią, sprężystym krokiem, jakby koszmar w hrabstwie Pinehaven był właściwie wykorzystaną szansą, jakby kryzys polityczny stał się odskocznią do kariery.

– Pani Bookman – powiedziała cicho do jego pleców.

## 68

KARETKA MOGŁA PRZEWIEŹĆ DWIE ranne osoby, ale Walter Colt nie chciał jechać do szpitala w tym samym pojeździe co Nathan Palmer, mimo że ratownicy zamierzali uśpić zabójcę chloropromazyną.

Freeman Johnson doskonale rozumiał partnera. Przekonał ratowników, by wezwali dla niego drugą jednostkę. Karetka z Walterem Coltem odjechała z migającymi światłami i wyciem syreny, jakby wśród drzew pędziła leśna zjawa.

Wsparcie przybyło przed karetką, więc Johnson nie musiał czekać sam z więźniem. Miał poganiacz na bydło, zastępca Argento miał drugi, a Carrickton uzbroidła się w strzelbę i stała z taką miną, jakby jej użycie miało sprawić jej przyjemność.

Leżąc twarzą do ziemi, zabójca niestrudzenie walczył o uwolnienie się z opasek zaciskowych, które krępowały mu ręce za plecami. Był tak uparty, że zdarł skórę z nadgarstków i krwawił. Wydawało się, że ból nie ma dla niego znaczenia.

## 69

KILKA GODZIN PO ZWYKŁEJ PORZE, o jakiej kładł się spać, napędzany czarną kawą i dwoma lukrowanymi pączkami, rozważając wypicie kolejnego kubka kawy, żeby splukać tabletkę z kofeiną, Carson Conroy wciąż siedział przy komputerze w kostnicy. Zebrał więcej informacji, niż miał nadzieję.

Gdy wszedł do policyjnej krajowej bazy danych, by poszukać nakazu aresztowania Nathana Palmera, ekran zrobił się biały, z wyjątkiem idealnego zarysu ramion, szyi i głowy. Wiedział, co to oznacza: jakaś agencja bezpieczeństwa – najprawdopodobniej NSA – była zainteresowana, kto sprawdza Palmera, i zrobiła mu zdjęcie przez kamerę w komputerze. Nie był tym zaniepokojony, ponieważ zdarzyło mu się to już dwa razy, gdy zajmował się innymi przypadkami, i nie miało to później żadnych konsekwencji.

Nathan Palmer był poszukiwany za kradzież, podpalenie i zabójstwo, ale w nakazie wystawionym przez sąd w Salt Lake City brakowało szczegółowych informacji na temat tych przestępstw: co, kiedy, gdzie. Te dane zostały utajnione, co Carson uznał za zdecydowanie dziwne. Zdjęcie Palmera z prawa jazdy wydanego w Montanie przedstawiało dość atrakcyjnego mężczyznę po trzydziestce, gładko ogolonego, z brązowymi włosami i brązowymi oczami.

Coś w tym zdjęciu go zastanowiło. Nigdy nie spotkał Nathana Palmera, a jednak mężczyzna wyglądał znajomo.

Lyle Sheldrake, poprzedni szeryf, który ściągnął go do Pinehaven, przekazał mu swoje obawy, że jego następcą, Hayden Eckman, wcześniej czy później

zacznie szukać kogoś, kto będzie się nadawać na kozła ofiarnego. Carson nie należał do popleczników Eckmana, więc obaj zdawali sobie sprawę, że to on zawsze będzie głównym kandydatem do tej roli. Dlatego Sheldrake stworzył tajne tylne wejście do systemu komputerowego biura szeryfa i zostawił mu instrukcje, jak z niego korzystać. „Może Hayden nie jest takim wężem, na jakiego wygląda, ale na wszelki wypadek miej antidotum”, powiedział.

Teraz Carson Conroy potajemnie przepłynął przez płytkie jezioro danych biura szeryfa i znalazł drogę do mętnego rozlewiska prywatnych akt Haydena Eckmana. Te, które wyglądały najciekawiej, były opisane jako NIEOFICJALNE NOTATKI ZE SPRAWY. Znalazł tam wpis dotyczący swojego rzekomego upojenia alkoholowego, awanturowania się i ogólnie nieprofesjonalnej postawy w czasie, kiedy Frawley i Zellman przybyli z Sacramento, by wystąpić o przekazanie dochodzenia w sprawie zabójstw Spadera i Klineman.

Carson był zły, ale nie wściekły. Do tego, żeby złość przerodziła się w gwałtowniejsze emocje, potrzebne jest zaskoczenie, poczucie nieoczekiwanej zdrady. Wiedział, że Eckman jest zdolny i do oszustwa, i do zdrady, więc gniew był niczym więcej niż oburzeniem, pozbawionym pasji i mściwości. Tak czy inaczej, kłamstwo, że był pijany, nie było najciekawszą rzeczą w aktach związanych z ostatnimi zabójstwami.

Bardziej interesujące były notatki Eckmana z jego rozmów z Tio Barbizonem, prokuratorem stanu Kalifornia. NSA nie tylko była zainteresowana sprawą, ale też próbowała prowadzić śledztwo – i utrzymać to w tajemnicy – za pośrednictwem biura Tio Barbizona. Prawo jazdy domniemanego zabójcy, Nathana Palmera, było podrobione. Barbizon wprawdzie nie podał prawdziwego nazwiska Palmera, ale wyjawiał Eckmanowi, że poszukiwany był wysoko postawionym dyrektorem w firmie Refine i nadzorował ośrodek w Springville, gdzie w pożarze zginęły dziewięćdziesiąt dwie osoby.

Carson wyszedł z systemu komputerowego biura szeryfa. Już wiedział, dlaczego Nathan Palmer wyglądał znajomo. Wczoraj widział w wiadomościach fragment przemówienia, które dwa lata temu wygłosił dyrektor generalny Refine, mówiąc o badaniach nad rakiem w laboratoriach w Springville. Wygooglował film. W tamtym czasie facet miał starannie przystrzyżoną brodę i jasne, a nie

brązowe włosy. Nazywał się Lee Shacket, jednak podobieństwo było na tyle duże, że Carson nie miał wątpliwości, że on i Nathan Palmer to jedna osoba.

Według niektórych doniesień Refine było firmą powiązaną z korporacją Parable, założoną i nadal kontrolowaną przez multimiliardera Doriana Purcella. W rzeczywistości Refine było całkowicie odrębną firmą, raczej prywatną niż publiczną, i w znacznej części, choć może nie w całości, należąca do Purcella.

W wiadomościach powiedzieli, że Lee Shacket był w ośrodku w Springville w czasie, kiedy katastrofalny wyciek gazu zniszczył kompleks i wszystkich, którzy tam przebywali. Biorąc pod uwagę ogólnikowy charakter informacji, Carson założył, że niezależnie od tego, czym tam się zajmowano, badania nad rakiem były tylko marginalną częścią działań, o ile w ogóle; pracowali nad czymś znacznie bardziej niezwykłym i niebezpiecznym, a do eksplozji nie doszło wskutek wypadku.

Po kilku minutach rozmyślenia nad sytuacją doszedł do kolejnych wniosków. Po pierwsze, cokolwiek Refine robiło w Utah, musiało mieć kontrakty na prowadzenie badań dla NSA lub innych podległych agencji jednostek rządowych, by zatrzeć prowadzące do niej ślady. Po drugie, przypadkowa eksplozja w tak dużym obiekcie nie mogła być aż tak niszczycielska, żeby nikt nie przeżył; siła pożaru sugerowała, że zostało użyte jakieś narzędzie zagłady, zaprojektowane specjalnie po to, by zapobiec rozprzestrzenieniu się niebezpiecznych patogenów mogących wywołać śmiertelność zarazę; śmierć wszystkich w obiekcie wskazywała na to, że program blokady celowo uwięził dziewięćdziesiąt trzy osoby. Dziewięćdziesiąt dwie. Po trzecie: Lee Shacket wymknął się kilka sekund przed włączeniem blokady.

I coś z nim było poważnie nie w porządku. Skrajna brutalność i kanibalizm nie są objawami choroby. Wścieklizna? Prawdopodobnie nie; wścieklizna u ludzi objawia się wysoką gorączką, skurczami mięśni, pragnieniem, niezdolnością do przełykania płynów, drgawkami i w końcu całkowitym paraliżem. Szokująca przemoc i kanibalizm przemawiały raczej za chorobą psychiczną niż fizyczną.

Albo...

Kiedy Carson przypomniał sobie zmasakrowaną twarz Justine Klineman, doszedł do wniosku, że Shacket musiał odrzucić zwyczaje, konwencje i praktyki cywilizacji, schodząc do prymitywnego stanu moralnego. Nie zszedł – runął na

łeb na szyję. Carsonowi nie przychodził na myśl żaden stan – fizyczny czy psychiczny – który mógłby doprowadzić do tak nagłego załamania – dopóki nie wpadło mu do głowy słowo „dewolucja”. Nie wiedział, co przez nie rozumie ani dlaczego to słowo uparcie tkwi w jego umyśle. Później, w połowie kolejnego kubka kawy, zaczął dumać o inżynierii genetycznej, która doprowadziła pewnych entuzjastów ze środowiska naukowego do przekonania, że dewolucja człowieka, będąca przeciwieństwem ewolucji, może zapewnić poprawę zdrowia i długowieczność gatunku – a nawet dać mu nadludzkie moce. Ekscytowały ich pojęcia „transhumanizm” i „postczłowiek”, które zrodziły wizje ludzkości wyniesionej do stanu boskiego.

W ostatnich latach dokonał się znaczący postęp w inżynierii genetycznej. W Chinach i innych krajach stosowano metodę edycji genów, znaną jako CRISPR, w celu usunięcia chorobotwórczego genu z nasienia i komórki jajowej rodziców. Niewiele jednak wiedziano o tym, w jaki sposób wyrazi się informacja genetyczna ani jakie mogą być konsekwencje modyfikowania genomu. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że takie eksperymenty mogą doprowadzić w genomie do zmian dziedzicznych, które spowodują kaskadę błędów i w ciągu kilku pokoleń mogą doprowadzić do fizycznego i umysłowego osłabienia kondycji ludzkiej. Albo nawet do wymarcia gatunku. Ci trzeźwiej myślący uważali manipulowanie genami za najbardziej lekkomyślną praktykę naukową w dziejach, ale nigdy nie brakowało maniaków, dla których nowa naukowa sztuczka stała się czymś w rodzaju religii.

A CRISPR był tylko jedną z kilku nowych metod. Jeśli którąś z nich stosowano w laboratoriach Refine w Springville, to czy Lee Shacket mógł paść ofiarą eksperymentów i teraz zsuwa się z drabiny ewolucyjnej do przerażającego prymitywnego stanu? Albo do każdej komórki jego ciała dodano coś, co spowodowało... Co? Może utknięcie na drabinie ewolucyjnej, bez posuwania się ani do góry, ani w dół? Ale z jakimś zsuwaniem się... bocznym?

Niespełna pół godziny wcześniej Carson rozważał popicie czarną kawą tabletki kofeinowej NoDoz. Teraz nie potrzebował niczego, by przepędzić senność. Zimny strach podziałał lepiej niż kofeina.

Wyłączył komputer, podniósł się i stał, wsłuchując się w ciszę prosektorium. Przyszedł mu na myśl wers z T.S. Eliota: *Pokażę ci strach w garstce popiołu.*

Zgasił światła, pokój po pokoju. Włączył alarm, wyszedł i zamknął drzwi.

Wiatr śpiewał requiem dla świata i Carson miał wrażenie, że chłodne prądy udręczonego powietrza są czymś więcej, że sam czas pędzi w kierunku jakiejś wtyczki, która już została wyciągnięta, i odtąd świat będzie już wiecznie nieruchomy, cichy i ciemny.

W mrocznej uliczce, gdy szedł w stronę rynku, usłyszał syreny karetek. Wydawało się, że jedna się zbliża, a druga oddala.

## 70

KIEDY BEN I KIPP ZBLIŻALI SIĘ DO CZOŁA kolejki, funkcjonariusze przestali sprawdzać pojazdy. Usunęli blokadę drogową.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ciebie szukają – powiedział Ben Hawkins. – W sumie ktoś powinien spróbować znaleźć najmądrzejszego psa na świecie.

Kipp nie był najmądrzejszy. Nawet w przybliżeniu.

Pewnego dnia Ben będzie musiał poznać Solomona, by dowiedzieć się, jak naprawdę mądry może być pies.

Solomon i Brandy – oboje bardzo mądrzy – byli parą.

Pochylony Kipp dyszał i skomlał. Wiedział, że muszą działać szybciej.

Chłopiec nie krzyczał, ale cierpiał i płakał, nieszczęśliwy i samotny.

Przejechali kawałek na północ od blokady, gdy przed nimi na przeciwnym pasie pojawiła się karetka.

Kiedy przemknęła z wrzaskiem i migotaniem świateł, Kipp zacisnął zęby i stłumił wycie, chociaż boleśnie dzwoniło mu w uszach.

Po mniej więcej minucie nadjechała druga karetka, też migająca i wyjąca, ale tym razem z tyłu; kierowała się na północ.

Zjeżdżając na bok, żeby przepuścić pojazd, Ben powiedział:

– Lassie pomagała ludziom wykaraskać się z kłopotów. Dlaczego mam wrażenie, że ty prowadzisz mnie prosto w kłopoty?

Kawałek dalej uwagę Kippa przyciągnął duży biały dom po lewej stronie.

Odpiął łapą pasy, wyślizgnął się z nich i postawił przednie łapy na desce rozdzielczej.

Wyciągnął szyję, wpatrując się w dom.

Nawet o tak późnej porze w większości okien jaśniało światło.

W tym domu pełnym światła czekał chłopiec.

Wyjątkowy chłopiec.

Chłopiec, który potrafił nadawać na Telegrafie.

Kipp nie należał do szczekaczy, ale tym razem szczekał. Szczekał na dom, i robił to nagle, patrząc na twarz Bena.

– Hej, uspokój się. Chcesz mi powiedzieć, że to tu?

Kipp ucichł i jak najszybciej zamerdał ogonem.

Ben zwolnił, ale wydawał się niezdecydowany.

– Przed domem stoi radiowóz.

Kipp zaczął szczekać.

– W porządku, w porządku, nieważne. – Ben skręcił w lewo, przeciął pas prowadzący na południe i wjechał na podjazd.

Widok radiowozu i wspomnienie karetek niepokoiły Kippa. Może chłopiec został ranny.

Ben wyłączył silnik i otworzył drzwi.

– Lepiej zaczekaj tutaj, a ja się rozejrzę.

Gdy tylko wysiadł, Kipp przeniósł się na miejsce kierowcy i wyskoczył, zanim drzwi się zamknęły.

Nie był nieposłuszny. Po prostu Ben był jego panem nie bardziej niż Dorothy.

Byli towarzyszami. Tak się rzeczy miały między psami Misterium a ich ludźmi. Jeśli mieli ludzi. Jeśli nie byli sami, jak kilka z nich.

A jednak, ponieważ nadal był psem i zawsze nim pozostanie, było mu przykro, że kierowany wyższą powinnością wobec udręczonego chłopca, wywołał u Bena wrażenie, że jest nieposłuszny.

Wiatr szumiał w lesie i wiał przez podwórko, niosąc zapach wiewiórek, królików, szopów praczy i lisów, sosen, cedrów, żywicy, złotej turzycy i grzybów w spróchniałym pniu powalonego drzewa.

Stopnie werandy dudniły głucho pod jego łapami.



Policjant na werandzie. Ktoś wychodzi z domu, drzwi są otwarte.

Krzyknęli, gdy Kipp z podkulonym ogonem przemknął między ich nogami i skoczył przez próg.

Kobieta w holu odwróciła się z krzykiem: „Nie, stój!” – jakby był nie sympatycznym z wyglądu psem, a dziką bestią o złych zamiarach.

Ciągnięty jak przez materialny drut Telegrafu, Kipp tylko potulnie zaskomlał, żeby uspokoić kobietę, gdy mknął do schodów i na górę.

Rzuciła się za nim, jeden z funkcjonariuszy również, Kipp jednak był znacznie szybszy.

## 71

KOMNATA NA SZCZYCIE WIEŻY w Zamku Wiwerna była azylem umysłu, nie ciała, miejscem, które Woody Bookman odwiedzał bez konieczności korzystania ze schodów czy drzwi. Chodził tam, gdy tego potrzebował, i odchodził, kiedy był gotów wrócić do domu.

Tym razem, gdy podniósł się ze słomianego posłania i szedł do drzwi, usłyszał głośnie kroki na spiralnych schodach. Ogarnięty podekscytowaniem, którego nie potrafił wyjaśnić, wysunął wielki żelazny rygiel w ciężkich drewnianych drzwiach, a potem drugi i trzeci.

Przestąpił próg i znalazł się w łóżku w swoim pokoju w domu w Pinehaven. W tej samej chwili wpadł tam ziejący pies, wspaniała golden retriever.

„Nie bój się. Jestem tu, jestem!”

Głos przeniknął z umysłu psa do głowy chłopca, jak w akcie telepatii w jakimś opowiadaniu.

Retriever wskoczył na łóżko i rzucił się na Woody’ego, a ten ze śmiechem opadł na stos poduszek.

„Dobry chłopiec, dobry – odezwał się pies. – Jesteś teraz bezpieczny. Teraz ja tu jestem. Jesteśmy rodziną”.

## 72

MEGAN SŁYSZAŁA JUŻ ŚMIECH WOODY’EGO, ale przyczyny śmiechu syna nigdy nie były jasne. Często odnosiła wrażenie, że jego śmiech ma jakieś wewnętrzne źródło, a nie jest wynikiem czegoś zabawnego, co rzeczywiście się działo i co mogłaby z nim dzielić.

Gdy wbiegła do jego pokoju i zobaczyła, że syn leży pod psem i tuli go ze śmiechem, w jej sercu wybuchła taka burza emocji, że miała ochotę śmiać się i płakać – i uwolnić się od strachu, bo przecież Lee Shacket został aresztowany – ale nie była w stanie. Woody był uszczęśliwiony, a pies wydawał się nieszkodliwy, ale miał zęby. Myślała o tym, co Shacket zrobił tej biednej kobiecie, co robił z jej twarzą, i nadal była przerażona.

Zastępca, który wszedł do pokoju zaraz po niej, nie miał pojęcia, co robić. Zapytał, czy to jej pies, a gdy zaprzeczyła, zapytał, czy to pies sąsiada. Odpowiedziała, że nie wie. Stali niepewni, ale chichoty chłopca i oczywista radość psa wskazywały na to, że nie trzeba nic robić, że wszystko jest w porządku.

Nieznamy, który przyszedł za zastępcą do pokoju, odznaczał się osobowością, jakiej mógłby mu pozazdrościć każdy zastępca, a nawet sam szeryf. Był spokojny i wyluzowany, jakby niewiele rzeczy mogło go zaskoczyć i wytrącić z równowagi.

– Proszę pani, przepraszam za mojego psa. To dobry chłopak i ma dobre intencje, ale czasami ponosi go entuzjazm.

Zanim Megan zdążyła odpowiedzieć, mężczyzna zwrócił się do retrievera:

– Hej, Scooby. – Pies spojrzał na niego. – Wszystko w porządku?

Megan pomyślała, że tylko to sobie wyobraziła, ale wiedziała, że jest inaczej. Pies skinął łbem.

– Wszystko w porządku – powiedział przybysz do zastępcy szeryfa. Wyjął portfel z kieszeni spodni i pokazał prawo jazdy. – Jestem Brenaden Septimus Hawkins. Przyjaciele mówią mi Ben lub Hawk. Moja mama i tata są cudowni, ale mają hopla na punkcie imion. Mój brat to Willie Willard, a siostra Eulalia Ermintrude. Na szczęście jest mądra, ładna i cholernie twarda, więc wszyscy wiedzą, że lepiej nie nazywać jej inaczej niż Trudie.

MOŻE WIATR W NIEPRAWDOPODOBNY SPOSÓB zgrał się z czerwono-niebieskimi błyskami, bo zdają się huczeć jak fatalistyczny bęben. Bliższe drzewa rozbłyskują karnawałowymi kolorami, chociaż dalej głęboka ciemność lasu pochłania światło, nie chcąc ujawnić swoich tajemnic. Wszystko jest ekscytujące: wiatr, ciemność i pulsujące światła, wystraszeni mężczyźni wykrzykujący instrukcje i ostrzeżenia. Shacket czuje się bardziej radosny niż pokonany.

Mimo że miał związane nogi, a nadgarstki mocno skrępowane za plecami, dwóch ratowników musiało połączyć siły z dwoma zastępcami szeryfa, żeby go unieruchomić. Wstrzyknęli mu chloropromazyne, a po chwili kilka centymetrów sześciennych więcej, bo pierwsza dawka podziałała słabiej, niż oczekiwali.

Ratownicy i zastępcy szeryfa są przekonani, że w końcu stracił przytomność. Może jest bezradny, niezdolny do dalszej walki, ale słyszy wszystko, co mówią. Wie, dokąd go wiozą, co zamierzają zrobić z nim w areszcie. Potężny narkotyk pozbawił go sprawności fizycznej, ale on nadal szybko się staje i wbrew przekonaniu porywaczy jego umysł nie został porażony. Leży z zamkniętymi oczami, żeby się nie zorientowali.

Słucha i planuje.

W WIĘZIENIU HRABSTWA NIE BYŁO celi odpowiedniej dla podejrzanego w skrajnym stanie psychiatrycznym, a personel nie miał wystarczającej wiedzy medycznej, żeby chronić taką osobę przed nią samą i innymi. Dlatego Shacket został przetransportowany do szpitala na południowo-wschodnim krańcu miasta Pinehaven.

Szeryf Eckman czekał z Ritą Carrickton pod portykiem przy podjeździe dla karettek. Jego zastępczyni była skrupulatna we wszystkim i niezawodnie lojalna, dlatego ufał jej bardziej niż komukolwiek innemu. Poprosił ją, żeby nagrała swoim iPhone'em moment, gdy ze spokojnym autorytetem będzie nadzorować przyjęcie Lee Shacketa do szpitala. Ten człowiek stanowił poważne zagrożenie

dla bezpieczeństwa publicznego, więc mieli go ulokować w jednej z czterech sal, które służyły jako zwykle pomieszczenia do opieki nad pacjentami, a w razie potrzeby stawały się szpitalnym oddziałem psychiatrycznym.

Szeryf i Rita byli kochankami, co było naruszeniem zasad zakazujących intymnych relacji między personelem mundurowym. Ryzykowali wzbudzenie podejrzeń za każdym razem, gdy szeryf wybierał ją do zadania, które równie dobrze mógł wykonać każdy zastępca, zwłaszcza że mianował ją zastępcą specjalnym. Ich związek miał jednak charakter nie tylko romantyczny, a w zasadzie nie głównie romantyczny – związali się dlatego, że wzajemnie rozumieli swoje aspiracje. Ludzie opętani przez nieposkromione ambicje należą do rzadkości, a jeszcze rzadziej można spotkać takich, którzy rozumieją, że ściśle związana para jest potężniejsza niż setka samotników. Postanowili razem podnosić swój status, chroniąc się wzajemnie za wszelką cenę, aż w końcu będą mogli się pobrać, a później otwarcie niszczyć konkurencję, co wcześniej robili potajemnie, każde na korzyść drugiego, sięgając po oszczerstwa i inne niecne środki.

– Ona nie jest niewinną ofiarą – powiedziała Rita w szumie wiatru. – Idę o zakład.

– Kto? – zapytał.

– Ta dziwka Bookman. Zwabiła go do siebie.

– Kogo? Chodzi ci o Shacketa?

– W jakiś sposób go zwabiła. Wystarczy na nią spojrzeć.

– Cholera wie, jak on myśli. To psychopata – stwierdził szeryf.

– Powiedz, że nie chciałbyś jej przelecieć.

– Mam ciebie. To mi w zupełności wystarcza.

Rita splunęła i wiatr rzucił ślinę na jego nogawkę.

– Słyszałam to od innych facetów. A potem pojawia się ktoś taki jak ona.

– Nie jest w moim typie.

– Ma wszystko, co trzeba, i potrafi reklamować swój towar.

– Co reklamuje?

– Robię się podejrzliwa, gdy strugasz idiotę. Ta twarz, to ciało, mówi tym wszystkim: „Spójrz na mnie, jestem idealną dupą”.

– Nie ma makijażu, nosi dżinsy i wydaje się, że jest skupiona na tym popieprzonym dzieciaku, a nie na sobie.

– Nie waż się jej tknąć.

– Nie jestem nią zainteresowany.

– Miewałam już przesrane przez takie dziwki jak ona.

– Nie ze mną. Jesteśmy razem. Liczy się tylko nasz cel. Najlepszym sposobem, żeby go osiągnąć, jest działanie ręką w rękę.

Przez chór wiatru przebiło się zawrodoenie syreny.

– Jadą – powiedział Eckman. – Nagraj, jak dyryguję wyciąganiem Shacketa z karetki.

Akurat wtedy z krzaków na lewo od portyku wylazł szczur, na wpół ślepy, z zakrwawionymi ślepiami, zdeorientowany. Przemknął przez chodnik na trzech łapach, wlokąc za sobą tylną lewą. Pracownicy szpitala porozkładali w krzakach trutki, żeby zdzięsiętkować populację szczurów, zanim któryś znajdzie drogę do środka. Ten najwyraźniej naźarł się warfaryny. Pragnienie gnało go na poszukiwanie wody. Gdyby był zdrowy, unikałby światła i uciekł na widok Eckmana i Carrickton, ale w tym stanie nie zwrócił na nich uwagi. Patrzyli bez słowa, jak żałośnie kużyka przez portyk i znika w zaroślach. Karetka pojawiła się na pasie dojazdowym w kaskadach rozbłyskującego światła, z syreną cichnącą od wrzasku do jęku.

– Zaczynamy – rzucił Eckman i jego kochanka włączyła nagrywanie.

## 75

RADOSNE POWITANIA DOBIEGŁY KOŃCA. Woody leżał na boku, twarzą do golden retrievera. Pies leżał na boku, twarzą do Woody'ego. Patrzyli sobie w oczy, rzadko mrugając.

Była to odwieczna pozycja chłopca i jego psa, a jednak różniła się od tego znanego wzorca; w jakiś sposób była wyjątkowa.

Megan stała w nogach łóżka z Benem Hawkinsem, zastanawiając się. Woody w stanie oderwania, przeniesienia, jakkolwiek to nazwać, był tu fizycznie, chociaż może nie psychicznie czy emocjonalnie. Widziała go takiego wiele razy.

Dziwne, wręcz niezwykle, było to, że w takim samym stanie był pies. Leżał nieruchomo, nie domagał się głaskania, nie był niespokojny, nie reagował na grzechot, łomotanie czy świst wiatru. Chłopiec i pies oddychali w idealnej synchronizacji.

– Jest inny – powiedział Ben Hawkins.

– Jest wysoko funkcjonującym autystą o IQ geniusza.

– Miałem na myśli Scooby’ego. Nie ma autyzmu, ale sądzę, że łączy ich wysoka inteligencja.

– Naprawdę wabi się Scooby?

Pies tym razem nie reagował na imię.

– Musiałem go jakoś nazwać, a Rin Tin Tin mu się nie podobało. Jeszcze nie znalazł sposobu, żeby mi powiedzieć, jak naprawdę się wabi, ale przypuszczam, że coś wymyśli.

Megan spojrzała na Bena. Czując, że już go lubi, przykazała sobie w duchu zachowanie ostrożności.

– A... jak długo pan go ma?

– Znalazłem go wczoraj po południu. Zacząłem sobie uświadamiać, że jest wyjątkowy, gdy chciał się dowiedzieć, dlaczego na misce, którą mu dałem, jest imię Clover.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Co pan rozumie przez to, że chciał się dowiedzieć?

– To niezła historia. Ale najwyraźniej pani też ma o czym opowiadać. Zamek w tych drzwiach został przestrelony. W ścianie przy oknie jest dziura po kuli. Scooby i ja musieliśmy czekać przy blokadzie drogowej, a gdy tu dotarliśmy, zastaliśmy ludzi szeryfa.

– To była dziwna noc – przyznała.

– Szyba przy drzwiach frontowych jest wybita. Wiatr wdmuchnie do holu wszystko, od liści po szopy, jeśli nie naprawimy tymczasowo tego okna. Jeżeli ma pani grubą folię malarską albo coś w tym stylu i trochę małych gwoździ, będziemy mogli w czasie pracy wzajemnie zadziwiać się opowieściami.

Zastępcy szeryfa odjechali. Megan spojrzała na syna. Nie chciała zostawiać go samego, mimo że Lee Shacket został aresztowany.

– Niech się pani nie martwi – powiedział Ben Hawkins. – Nic mu nie będzie. Scooby się nim zaopiekuje.

– Chodzi o to... Woody jest dla mnie wszystkim.

– Proszę pani, ten pies obudził mnie zaledwie po godzinie snu, niemal zmusił do jazdy przez... cholera, nie wiem... jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów i przez całą drogę dawał mi wskazówki, jak dostać się tutaj, do pani syna. Nie wiem, czy dobrze to interpretuję, ale wydaje się, że pani syn też jest dla niego wszystkim. Mamy tu tajemnicę, coś dziwnego i wybite okno, i może kiedy nadejdzie świt, nadal będziemy mieć jedno, drugie i trzecie, ale przynajmniej w domu nie będzie polujących na myszy sów, które wiatr przygnał do środka.

– Przybijemy folię. Niech pan się nie przestraszy, wyjmę z szuflady pistolet.

– Skoro pani uważa, że go potrzebuje.

– Nie mogę zostawić broni z Woodym.

– Ma ciągoty do zabawy bronią?

– Nie. Jest na to zbyt mądry.

– Pies też. Ale proszę zabrać broń. Nie zalecam redukcji siły militarnej.

Wyjęła pistolet z szafki nocnej.

Ben z daleka rozpoznał markę i model.

– Heckler and koch USP, dziewięćmilimetrowy, magazynek na dziesięć nabożów; waga: prawie osiemset gramów; długość lufy: jednaście centymetrów. Niezła broń. Trafiła pani włamywacza?

– Odstrzeliłam mu kawałek ucha. Bałam się strzelać. Zasłaniał się Woodym.

– W co pani celowała?

– W środek twarzy.

– Niewiele brakowało.

– Zna się pan na broni – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– Przez osiem lat służyłem w Navy SEALs. Podczas treningów oczekują, że człowiek nauczy się nie tylko pływać.

WZYWA GO KREW. JEGO WŁASNA KREW śpiewa w tętnicach, szepcze do serca przez żyły i oba głosy są krzykiem o wolność. Krew innych przemawia do niego tylko w postaci zapachu, który czuje najmocniej, gdy są tuż obok niego, chociaż wyczuwa ich także w korytarzu za zamkniętymi drzwiami.

Jest w pełni przytomny. Leży na łóżku, nad którego wezglowiem pali się mała lampka. Pokój jest zasnuty cieniami, które ani trochę niczego nie przesłaniają. W jego stojącym się widzeniu wszystkie szczegóły ujawniają się w odcieniach czerwieni, ponieważ widzi nie tylko światło widzialne, ale także to, czego nie widzą inni: promieniowanie podczerwone wytwarzane przez drgania cząsteczek występujących we wszystkich ciałach stałych – podłodze, ścianach, suficie, meblach, jego ciele – i przez vibracje cząsteczek gazów w powietrzu.

Opatrzyli i zabandażowali jego zranione ucho, sądząc, że jest nieprzytomny.

Dla jego wygody wyjęli mu z ust zabezpieczenie chroniące przed pogryzieniem. Gdy uznają, że należy je włożyć, najpierw podadzą mu środek uspokajający.

Zdjęli plastikowe kajdanki.

Leży z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia, unieruchomiony pasami założonymi w poprzek klatki piersiowej i ud.

Jest podłączony do kroplówki, która go nawadnia i umożliwia szybkie podanie leków. Ma założony cewnik i oddaje mocz do plastikowego worka.

Nie przejmuje się swoją sytuacją.

Szerokie na dziesięć centymetrów pasy na piersi i udach są gumowe, nie skórzane, wystarczająco elastyczne, by zapewnić mu minimalną wygodę i nie utrudniać krążenia. Przeciętny człowiek nie byłby w stanie się z nich wyzwolić, on jednak nie jest przeciętnym człowiekiem.

Rozmyśla nad tym i opracowuje plan ucieczki.

Zastępca szeryfa siedzi na krześle przed drzwiami pokoju. Shacket słyszał rozmawiających z nim ludzi. Czuje jego zapach: szampon do włosów, zaschnięty pot pod pachami, kwaśny oddech spowodowany refluksem, skutkiem zamięłowania do potraw z dużą ilością czosnku.

Nie wiedzą, co zrobili – komu to zrobili. Shacket im tego nie daruje. Powstanie i nauczy ich pokory. Ta epoka świata dobiega końca, a on jest



ucieleśnieniem narodzin nowej ery. Jest cudem stworzonym przez naukę, jedyną na Ziemi siłą mającą prawo i obowiązek zmieniać wszystko zawsze i na zawsze.

## 77

CARSON CONROY SIEDZI W SWOIM fordzie explorerze w dalekim kącie szpitalnego parkingu. Czeka na odjazd szeryfa Haydena Eckmana. Ma termos z czarną kawą z Four Square Diner. Łyknął jedną tabletkę kofeiny, inne są w pudełeczku w kieszeni marynarki.

Carson, który poświęcił życie pracy ze zmarłymi i dokumentowaniu niewyobrażalnych cierpień, jakie mordercy zadali swoim ofiarom, przestał wierzyć w sprawiedliwość. Sprawiedliwość jest tylko koncepcją, nie faktem; jest koncepcją manipulowaną i nieustannie redefiniowaną przez wszystkich – od hollywoodzkich producentów popkultury, przez polityków, po samozwańczych myślicieli, równie podatnych na trendy intelektualne jak przeciętny nastolatek, który pragnie mieć modne w danej chwili trampki i dzinsy.

W swoim nowym życiu w Pinehaven, po niewyjaśnionym zabójstwie żony, szukał nie sprawiedliwości, lecz prawdy. Prawdy nie można przedefiniować. Prawda jest, jaka jest. Proste zadanie znalezienia prawdy komplikują stogi kłamstw, które trzeba przekopać, żeby znaleźć lśniąca igłę.

Nie łudził się, że kiedyś pozna tożsamość zabójców Lissy albo że jakaś sekcja zwłok dostarczy mu pełnej prawdy o jakimkolwiek akcie przemocy. Prawda, której szukał w tym nowym życiu, była prawdą natury. Większość wolnego czasu spędzał na wędrownkach; zapuszczał się coraz dalej w góry Sierra Nevada, obserwując – badając – świat przyrody z coraz większą uwagą i zażyłością. W naturze istnieje cudowny porządek, cholernie surowy, ale racjonalny, i nie ma w niej żadnego oszustwa poza kamuflażem sierści, piór, łusek kameleona. W dziczy kłamstwa nie są wyrażane językiem ani długopisem. Miał nadzieję, że im lepiej zrozumie naturę, tym lepiej zacznie pojmować, jak trzeba żyć, by mieć szacunek dla siebie i bliźnich bez samookłamywania się czy innych równie rażących błędów.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego wierzy, że prawda o zabójstwach Spadera i Klineman i prawda o Lee Shackecie alias Nathanie Palmerze są nierozzerwalnie powiązane z jakąś prawdą ostateczną, którą spodziewał się znaleźć w naturze. Po prostu tak czuł, mocno i głęboko.

Wcześniej, w uliczce między prosektorium a biurem szeryfa, kiedy usłyszał wycie dwóch karetek, intuicyjnie odgadł, że ma to coś wspólnego z Shacketem. Poszedł pogadać z Carlem Fredette'em, dyżurnym, i dowiedział się o wydarzeniach w domu Megan Bookman.

Teraz przez lornetkę obserwował, jak Hayden Eckman i Rita Carrickton wychodzą z izby przyjęć i rozmawiają pod portykiem. Po paru minutach ich radiowozy jeden za drugim odjechały ze strefy zakazu parkowania, bez syren i migających świateł.

Carson dopił kawę, przykręcił kubek do termosu i ruszył przez parking w stronę szpitala. Carl Fredette powiedział, że Shacket będzie przetrzymywany w szpitalu, dopóki szeryf rano nie porozmawia z prokuratorem okręgowym.

Carson wiedział, gdzie są cztery pokoje, które w razie potrzeby stawały się oddziałem opieki psychiatrycznej, więc nie musiał pytać o drogę. Udał się prosto na drugie – najwyższe – piętro i poszedł na koniec wschodniego skrzydła.

W korytarzu, na lewo od drzwi do pokoju 328, stały krzesło z prostym oparciem i składany stolik, na którym obok karafki z wodą, szklanki i puszki coca-coli leżały czasopisma o hot rodach i torebka orzeszków ziemnych.

Na krześle siedział Thad Fenton, młody i gorliwy zastępca szeryfa, który służył zaledwie od sześciu miesięcy. I dobrze, pomyślał Carson. Chłopak nie będzie wiedział, jak się zachować w tej bezprecedensowej sytuacji, i uszanuje autorytet lekarza sądowego.

Fenton odłożył czasopismo i wstał na jego widok.

– Doktorze Conroy – powiedział zbyt głośno, zreflektował się i ściszył głos przez wzgląd na pacjentów w tym skrzydle. – Co pan tu robi o tej porze?

– Skończyłem sekcję zwłok Spadera i Klineman i nie chce mi się spać. Do diabła, mogę nie zasnąć przez tydzień.

– Słyszałem o tej Klineman. Jak z *Nocy żywych trupów*. Nie mam pojęcia, jak pan daje radę.

– Ktoś musi to robić. Słuchaj, muszę zobaczyć tego obłąkanego sukinsyna.

– Shacketa? Doktorze, nikt mnie nie uprzedził, że pan przyjdzie.

– Mam do niego kilka pytań.

Młody człowiek zmarszczył brwi.

– Nie powinien mieć adwokata?

– Nie został o nic oskarżony. Przebywa w areszcie psychiatrycznym. Będzie potrzebować adwokata, gdy usłyszy zarzuty.

Fenton wahał się, chociaż najwyraźniej nie dlatego, że wątpił w prawo Carsona do przebywania na oddziale.

– Facet jest niebezpieczny, doktorze. Dostał tyle prochów, że powinien odlecieć na kilka godzin. Ocknął się, gdy przypinali go pasami, i musieli znowu go naszprycować. Chcieli to powtórzyć, ale obawiali się przedawkowania.

– Jest całkowicie unieruchomiony?

– Pewnie. – Fenton wyjął z kieszeni klucz. – Tylko proszę uważać, bo odgryzł palec Walterowi Coltowi. I kiedy pan tam wejdzie, muszę zamknąć za panem drzwi. Takie są zasady.

– Rozumiem.

– Będę patrzył przez to małe okienko, ale drzwi i tak muszę zamknąć.

Okienko w drzwiach było szerokie na jakieś czterdzieści pięć centymetrów i wysokie na trzydzieści, z szybą chronioną drucianą siatką.

Zastępca Fenton zajrzał do pokoju i włożył klucz do zamka.

Znów spojrział na Carsona.

– Wchodzą tu po dwóch, nigdy nie w pojedynkę. Zwykle pielęgniarka i jakiś rośły facet, salowy czy ktoś taki.

– Nic mi nie będzie – zapewnił go Carson.

– Aha, i oczy mu się świecą jak zwierzęce ślepia. Myślą, że nosi jakieś bajeranckie soczewki kontaktowe, jak ludzie na Halloween. Chcieli je usunąć, gdy skończyli wszystko inne, ale akurat środek uspokajający przestał działać. Facet rzucał głową i szamotał się w pasach, więc odpuścili sobie do jutra.

– Jeśli spróbuje mnie wystraszyć – powiedział Carson – włożę moje sztuczne kły i ja jemu napędzę stracha.

MEGAN I BENOWI DOBRZE SIĘ RAZEM pracowało. Przycięli podwójną warstwę folii malarskiej i przybili ją do wysokiego bocznego okienka obok drzwi, napinając ją na tyle, by nie wydymała się na wietrze jak żagiel, bo mogłaby się podrzeć albo wyrwać gwoździe. Listwa zostanie naprawiona i pomalowana po wstawieniu szyby przez szklarza. Nieotwierane boczne okno nie było podłączone do systemu bezpieczeństwa, więc Megan mogła aktywować alarm. Zmiotli potłuczone szkło i naniesione przez wiatr liście, sprzątnęli bałagan zostawiony przez Shacketa w kuchni, a w tym czasie dzielili się swoimi historiami.

Megan zrobiła kawę, poszli z kubkami na górę do pokoju Woody’ego i usiedli przy okrągłym stoliku, przy którym czasami układała z synem puzzle.

Wietrzna noc przyciskała swoją pozbawioną wyrazu twarz do okien i jęczała w szybach, szukając wejścia. Na strychu skrzypiały krokwie, jakby wiała się między nimi jakaś natrętna istota. Noc była nie mniej dziwna niż wczorajszy wieczór, kiedy zerwał się silny wiatr. Jednak teraz bezdeszczowa burza zdawała się nieść nie tylko groźby, lecz także obietnicę czegoś zdumiewającego i zapowiedź zmiany na lepsze.

Chłopiec i pies leżeli jak wcześniej. Żaden z nich nie poruszył się ani o centymetr. W przypadku Woody’ego niekoniecznie było to dziwne, ale wydawało się niezwykle u psa, który nie spał.

– Woody ma jakąś więź ze zwierzętami – powiedziała Megan. – Karmi jelenie, które przychodzą na posesję. Biorą mu jabłka z rąk. A małe zwierzęta, króliki, wiewiórki, wcale przed nim nie uciekają.

– W dzieciństwie zawsze miałem psy. Do niedawna miałem Clover. Były cudowne, ale w niczym nie przypominały tego.

– Co zachodzi między nimi?

Ben pokręcił głową. Podniósł się, stanął w nogach łóżka i powiedział cicho:

– Scooby?

Pies raz uderzył ogonem, zdecydowanie, ale nie ruszył się z miejsca.

Megan też podeszła do łóżka. Wymówiła imię syna, a gdy nie zareagował, powiedziała:

– Scooby?

Pies odpowiedział jednym mocnym uderzeniem ogona w materac.  
Nie przerywając kontaktu wzrokowego z retrieverem, Woody szepnął:  
– Nie. Ma na imię Kipp.

## 79

CARSON CONROY PRZESTAŁ PIĘĆ PRÓG. Drzwi zamknęły się za nim i Fenton przekreślił klucz.

Więzień leżał na plecach, z rękami wzdłuż tułowia, przypięty szerokimi pasami, z górną połową łóżka uniesioną pod kątem około trzydziestu stopni.

W pokoju paliła się tylko lampka na ścianie, wprost nad głową Shacketa. Nikły blask spływał na niego w dziwnej, szyderczej parodii mistycznego światła, którym niektórzy malarze świata chrześcijańskiego wzbogacali scenę ukrzyżowania. Tutaj Carson nie miał przed sobą obrazu poświęcenia i odkupienia skąpanego w świetle miłości. Ta groteskowa, demoniczna postać przywiodła mu na myśl wiersz Yeatsa i bestię, której czas wreszcie powraca, pełną w stronę Betlejem, by tam się narodzić.

Gdy zbliżył się do nóg łóżka, dostrzegł jakby zwierzęce błyski w pełnych nienawiści oczach Shacketa, to żółte, to czerwone. Przypuszczał, że rano, gdy pielęgniarki uspokoją więźnia kolejnym zastrzykiem i zdejmą soczewki kontaktowe, zobaczą pod nimi oczy, które w jakiś ohydny sposób i z przerażającą szybkością stały się inne niż ludzkie.

– Jestem Carson, okręgowy lekarz sądowy. Przeprowadziłem sekcję zwłok zastrzelonego wczoraj mężczyzny i kobiety, która została śmiertelnie pogryziona.

Carson bez trudu mógłby to sobie wyobrazić. Zdał sobie jednak sprawę, że nie może liczyć na to, że z całkowitą pewnością odgadnie myśli Shacketa albo określi prawdziwy stan jego umysłu.

– Nie mam zamiaru zeznawać przeciwko panu w sądzie. Poświadczę tylko stan ciała Justine Klineman i jej towarzysza.

Shacket nie zareagował.

W powietrzu unosił się subtelny, ale osobliwy zapach. Nie był ani odrażający, ani przyjemny. Po prostu inny. Carson nigdy nie czuł niczego podobnego i nie

potrafił tego nazwać.

– Nikt tutaj nie bierze pod uwagę najgorszego scenariusza. Uważają, że jest pan po prostu chory psychicznie i miał załamanie nerwowe. Obawiam się, że nie o to chodzi. Sądzę, że dzieje się z panem coś niezwykłego.

Ręce Shacketa leżały na kocu pod pasami. Światło było wystarczająco jasne, by Carson widział napięte mięśnie i dłonie zaciśnięte w pięści.

– Czy zna pan słowo transhumanizm, panie Shacket?

Nozdrza więźnia rozszerzyły się, może na znak podniecenia.

– Transhumanizm jest zbyt dziecinny, by być filozofią, zbyt pozbawiony fundamentalnych faktów, by nazwać go teorią. To tylko religia zaawansowanej technologii.

– Co chciałby pan wiedzieć? – odezwał się więzień. – Nie jest pan lekarzem w żadnym znaczącym sensie. Jest pan rzeźnikiem umarłych.

– Dogmat transhumanistycznej wiary mówi – kontynuował Carson – że ludzie wkrótce posiadą zdolność przekształcania się pod względem fizycznym i intelektualnym, dzięki czemu zyskają o wiele silniejsze ciała, znacznie wyższą inteligencję i moce, o jakich kiedyś marzyli tylko bohaterowie komiksów Marvela. Ma to nastąpić przez połączenie człowieka z maszyną albo dzięki przełomom w inżynierii genetycznej.

– Ma pan oczy do patrzenia, a nie widzi – powiedział Shacket.

– Czy w Springville naprawdę prowadzono badania nad rakiem?

– Nic tak nieistotnego. Po co pan tu przyszedł? Podziękować mi za załatwienie sprawy po pańskiej myśli? Bez zabójstw nie miałby pan pracy. Czy kiedykolwiek myślał pan o tym, jak bardzo jest pan współwinny zbrodni, doktorze?

Carson nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego. Gdzie się podziłał niepoohamowana bestia, która brutalnie zaatakowała Justine Klineman i odgryzła palec Walterowi Coltowi?

Nie połknął haczyka.

– Dorian Purcell powiedział, że dzięki postępowi medycyny już dziś żyją ludzie, którzy będą żyć dwieście, trzysta lat, może dłużej. Czy badania w Springville dotyczyły długowieczności?

– Dotyczyły ludzkiego genomu, horyzontalnego transferu genów, przeznaczenia ludzkości, losów Ziemi... Praca o wiele bardziej wzniosła niż ćwiartowanie zwłok, by zobaczyć, dlaczego uszło z nich życie.

Carson nie ustępował.

– Coś poszło źle?

Wiatr zaprotestował głośnym zawodzeniem. Shacket obrócił głowę i patrzył przez okno z wyrazem twarzy, pod którym mogła się kryć tęsknota za nocnym zgiełkiem.

– Coś poszło źle? – powtórzył Carson.

Zadowolenie z siebie sprawiło, że Shacket wykrzywił twarz w sardonicznym uśmiechu.

– Coś poszło źle i coś poszło dobrze.

– Został pan skażony?

Niebieskie tęczęwki Shacketa pływały jak płatki goryczki w oświetlonych przez księżyc sadzawkach.

Carson Conroy był przekonany, że przebywa w obecności czegoś obcego. Nie mógł tego udowodnić, ale to wiedział.

– Pan mówi „skażony”, ja mówię „ukoronowany” – rzucił Shacket cierpkim, pogardliwym tonem.

– Ukoronowany? Został pan królem? Czego?

– Wszystkiego, co nadchodzi.

Te trzy słowa wypowiedziane ze spokojną pewnością siebie albo potwierdzały szaleństwo Shacketa, albo mu przeczyły. Carsona ogarnął niepokój, gdy stwierdził, że nie potrafi tego rozstrzygnąć.

– Cokolwiek pana spotkało – powiedział. – Czymkolwiek został pan ukoronowany... może pan tym zarażać?

– Więc po to pan tu przyszedł. Gotów wzniecić w sercach ludzi strach przed zarazą. – Shacket pokręcił głową i znów spojrzął w okno. – Zaczyna mnie pan nudzić, doktorze.

– Żadnych bakterii, żadnych wirusów?

– Kiedy król kaszle, czy zaraża królewskością tych, którzy go otaczają?

– Dziewięćdziesiąt dwie ofiary pożaru... Byli skażeni?

– Ukoronowani. Niech pan postara się nie być tępy, doktorze. Żadnych bakterii, żadnych wirusów. Tylko... czynnik zmiany zaprogramowany w taki sposób, żeby atakować każdą komórkę.

– Jaki czynnik?

– Archeony. Jeśli nie wie pan, co to takiego, proszę sprawdzić. Chociaż wiedza niewiele panu pomoże. W moim stawaniu się archeony nie są dla mnie kryptonitem. Nie boję się ich.

– W „stawaniu się”?

– Zmieniam się na pańskich oczach. Ale nie ma pan możliwości tego widzieć.

– Spłonęli żywcem... Dlaczego? Bo podlegali... zmianom, zmianom genetycznym?

– Otóż to.

Carson zastanawiał się chwilę.

– Niekontrolowane zmiany – odezwał się w końcu. – Ujawnienie ich byłoby katastrofą wizerunkową. I źródłem strat setek milionów w procesach sądowych.

– Ach. – Shacket uśmiechnął się. – Obcowanie ze zmarłymi nie spowodowało całkowitej śmierci mózgu.

– Czy podpisując kontrakty, ci ludzie wiedzieli, że będą pracować na tykającej bombie, że wszyscy zostaną spisani na straty, jeżeli te zmienione archeony uciekną z laboratorium?

– Jeśli nie wiedzieli, to podejrzewali. Wszyscy zgodzili się na ryzyko. Naukowcy też potrafią być fanatykami. Co więcej, mogą nimi zostać łatwiej niż inni, jeśli jeszcze nie znaleźli czegoś, co mogliby nazwać prawdziwym i godnym wiary. Dorian szukał pasjonatów transludzkiej przyszłości i zatrudniał tych, którzy chcieli tam być, gdy nastąpi ostateczny przełom, którzy chcieli znaleźć się wśród pierwszych beneficjentów z zagwarantowanymi stuleciami życia bez chorób, z nowymi możliwościami. Wszyscy żyjemy z nadzieją, że spełnią się nasze takie lub inne marzenia: o miłości, bogactwie, sławie. A czy może być większe marzenie niż to o fizycznej nieśmiertelności?

Ze wszystkiego, co dotychczas powiedział Shacket, dopiero ta przemowa miała dla Carsona wyraźny posmak szaleństwa.



O ile wiedział, archeony mogą poziomo przenosić geny między gatunkami, ale nie są znane jako przenosiciele chorób.

Założył, że archeony zaprogramowane w taki sposób, by dostarczać pakiety genetyczne do komórek zwierząt laboratoryjnych, umrą po wykonaniu zadania albo wrócą do stanu naturalnego.

Niepokój związany z zarazą przeminął.

– Stawanie się czym? – zapytał.

Wiatr znów przyciągnął uwagę Shacketa do okna. Szyby brzęczały w grzechoczących metalowych ramach.

Gdy wiatr nieco przycichł, Shacket skierował promienne spojrzenie na gościa.

– Staję się królem zwierząt.

Carson zyskał bardziej oczywisty dowód szaleństwa. Właśnie tego się spodziewał, gdy wchodził do pokoju.

– Jakich zwierząt?

– Żyjemy w świecie zwierząt, doktorze. Ludzie są tylko jednym z wielu gatunków w zoo. Staję się królem ich wszystkich.

Mania wielkości, pomyślał Carson. Megalomania. Niesamowicie elokwentny i rozważny Lee Shacket, z którym rozmawiał, teraz ujawniał bardziej rozpoznawalne oznaki szaleństwa.

Zapach, który Carson poczuł po wejściu do tego pokoju, stał się bardziej wyrazisty. Przez chwilę kojarzył mu się z surową cebulą, a potem już nie, i przez chwilę myślał o oparach alkoholu, ale tylko przez chwilę, i o cierpkości moczu w plastikowym worku.

Świadectwem jego lęku było to, że zastanawiał się, jak pachnie labirynt w czystej ziemi, gdzie wąż spoczywa wśród swojego wijącego się potomstwa. Może właśnie tak?

– Biorąc pod uwagę okoliczności – zwrócił się do Shacketa – został pan usunięty z tronu, zanim zdążył go pan objąć.

Leżący na łóżku mężczyzna nie wdał się w dyskusję. Tylko się uśmiechnął.

Carson odwrócił się w stronę drzwi. Zastępca szeryfa Thad Fenton przyciskał twarz do okienka.

Lekarz opuścił pokój, a Fenton zamknął za nim drzwi.

– Więc jak bardzo jest szalony, doktorze?

– Wystarczająco. Gdyby wy dostał się z tego pokoju...

– Nie ma takiej opcji – przerwał mu Fenton. – Nie może nawet wstać z łóżka, żeby się wysikać.

– Ale gdyby się wy dostał – Carson zapisał swój numer telefonu na czasopiśmie z hot rodami – zastrzel go, trzymaj się z dala od zwłok i natychmiast do mnie zadzwoń.

– Zastrzelić go, tak po prostu? Zasady biura szeryfa...

– Twoje życie jest ważniejsze od kariery. Zastrzel go, a ja dołożę wszelkich starań, byś nie został zbyt surowo ukarany.

Fenton zastanowił się nad tym.

– Chciałbym, żeby szeryf Sheldrake nadal był moim szefem.

– Nie zaśnij, bądź czujny.

– Przełożona pielęgniarek przynosi mi kawę.

– W takim razie musisz korzystać z łazienki.

– Jestem szybki – zapewnił go Fenton. – Co nie znaczy, że nie poświęcam czasu na umycie rąk. Myję je, porządnie.

– Przed pójściem do łazienki nie zaglądam przez okienko w drzwiach. Może pomyśleć, że go sprawdzasz, bo zamierzasz opuścić posterunek.

– Trochę mnie pan przeraża, doktorze.

– I dobrze – odparł Carson.

## 80

„NIE. MA NA IMIĘ KIPP”.

Te słowa ożywiły w Megan coś, co dotąd pozostawało w uśpieniu: radosne poczucie możliwości, które być może wyłączyło się w chwili śmierci Jasona. Bezcenny dźwięk głosu jej dziecka – słodki jak miód – obudził w niej nadzieję, którą położyła do łóżka w głębokiej komnacie swojego umysłu, nie licząc na jej powrót. Jedenaście lat czekania, jedenaście długich lat godzenia się z tym, że czekanie jest daremne – a teraz tych pięć prostych słów.

Ben Hawkins stał obok niej.

– Co się stało? Drżysz. – A potem przypomniał sobie, co od niej usłyszał, gdy razem pracowali w holu. „Nigdy nie mówił”.

Jej serce biło równie mocno jak wtedy, gdy Lee Shacket kucał przy łóżku, z kciukiem i palcem wskazującym na oczach Woody’ego, lecz teraz nie z powodu strachu i gniewu, lecz z radości i zdumienia. I czegoś więcej niż zdumienia: poczucia cudowności i transcendencji, które odjęło jej mowę.

Niema jak do niedawna Woody, podeszła do łóżka i pochyliła się nad synem, który leżał odwrócony do niej plecami. Zebrała się na odwagę i położyła dłoń na jego ramieniu, tak niepewnie, jakby jej dotyk mógł obrócić go w proch.

Ani Woody, ani Kipp nie poruszyli się, wciąż połączeni dziwną duchową więzią, dzięki której chłopiec znał imię retrievera i odezwał się, żeby podzielić się tą wiedzą z nią i Benem.

Syn, pies, łóżko, pokój rozmyły się przed jej oczami. Żałowała, że nie ma z nią Jasona, by mógł po raz pierwszy usłyszeć głos syna, ale w gobelinie tej cudownej chwili nie było nici smutku.

Przez lata, kiedy zastanawiała się, jak brzmiałby głos Woody’ego, gdyby zaczął mówić, czasami myślała, że byłby bełkotliwy, zniekształcony. Całe życie słuchał, jak mówią inni, ale sam nie miał w tym doświadczenia – na ile wiedziała. Te proste słowa wstrząsnęły nią i wzruszyły w sposób nie do opisania, ale niezależnie od przekazanej treści brzmiały tak naturalnie, jakby padły z ust każdego innego dziecka w tym wieku.

Przypomniała sobie, jak wcześniej Woody mrucał przez sen, jak odniosła wrażenie, że powiedział „Dorothy”, chociaż nie znali nikogo o tym imieniu. Wtedy założyła, że się przesłyszała. Teraz była prawie pewna, że wypowiedział to imię. Z ręką na jego ramieniu, nie mogąc się doczekać, aż znów się odezwie, zapytała:

– Skarbie, kim jest Dorothy?

Pies trzy razy uderzył ogonem w materac, a z ust Woody’ego popłynęły słowa, które dla jego matki brzmiały jak najpiękniejsza muzyka.

– Dorothy była jego ludzką mamą. Wychowała go od szczenięcia. Zmarła wczoraj na raka, a Kipp kochał ją najbardziej na świecie, tak jak ja Kocham Ciebie. Nigdy nie umieraj, nigdy, to zbyt straszne dla tych, których zostawiasz.

Przez całe życie Megan była silna. Los nie mógł zadać ciosu, który by ją powalił i nie pozwolił jej się podnieść. Życie jest rwącą rzeką o wielu nurtach, a jednak pokonała wszystkie prądy i bystrza, co uczyniło ją jeszcze silniejszą. Dlatego nie powinna być zaskoczona, że jej serce pękało, nie z powodu śmiertelnego przerażenia, ale słów miłości, przed którymi po jedenastu latach czekania nie zamierzała – ani nie chciała – się bronić. Nagle kolana się pod nią ugięły i strużka łez zamieniła się w cichą powódź. Usiadła na skraju łóżka i zapewniła syna, że ona też go kocha, kocha bezwarunkowo. Choć Woody nic więcej nie powiedział, Kipp trzykrotnie uderzył puszystym ogonem w materac.

## 81

KIPP I WOODY LEŻELI OKO W OKO, UMYŚŁ w umysł, gdy rozmawiali przez Telegraf.

Połączenie było prywatne. Nadawali i odbierali, ale tylko między sobą.

Kipp przedstawił chłopcu świat w taki sposób, w jaki go doświadczał.

Tu byłem, to widziałem, tych ludzi spotkałem, takie wnioski wysnułem.

Wyjawił, co ceni, czego się obawia, wszystko, co wie.

Chłopiec wiedział mniej więcej tyle samo, o jednych rzeczach mniej, o innych więcej, i również dzielił się swoją wiedzą.

Kipp wiedział – i Woody Bookman także, ale teraz zrozumiał to umysłem, sercem i duszą – że prostota spraw ludzkich jest drogą prawdy, a złożoność drogą oszustwa.

Że zazdrość i pożądanie są truciznami, z których rodzi się żądza władzy i wszelkie zło.

Że miłość jest antidotum na zazdrość i zawiść.

Że prawda jest niezbędna do rozkwitu miłości.

Że miłość jest niezbędna do zachowania niewinności.

Że spokój umysłu i szczęście można osiągnąć tylko dzięki prawdzie niewinności i prostocie prawdy.

Nie byli zawstyżeni osobistymi wyznaniem ani żadną z wielu tysięcy rzeczy, których jeden dowiedział się o tym drugim.

To, co mogło być krępujące, przestało takie być, gdy się tym podzielili.

Przed wszystkim Kipp i Woody byli niewinni i zaszczerpieni przeciwko utracie niewinności, pierwszy z powodu psiej natury, a drugi z powodu autyzmu.

Co więcej, obaj rozumieli, że wszystkie stworzenia o wysokich zdolnościach poznawczych w takim czy innym stopniu często są głupie i powinny akceptować swoją głupotę, zamiast się jej wypierać.

Zrozumienie tego gwarantuje pokorę.

A pokora jest podstawą wszystkich trwałych osiągnięć.

Dzięki telepatii zawilść faktów związanych z dwoma istotami i ich emocjami przepływała swobodnie jak informacje z komputera na pendrive, ale ze skutkiem głębszym niż zwykły transfer danych.

Więź między ludźmi a psami kwitła od jakichś stu tysięcy lat.

W tej godzinie, przynajmniej między tą dwójką, więź stała się silniejsza i głębsza, niż mogły to zapewnić tysiąclecia.

Kipp nie miał pojęcia, co może z tego wyniknąć. Woody też nie.

Dowiedzą się.

„Co” zawsze się ujawnia.

„Dlaczego” często jest okryte wieczną tajemnicą.

## 82

DRUGA NAD RANEM. OBRZEŻA Sacramento. Opuszczone centrum handlowe. Niedługo to miejsce zostanie przekształcone w ekskluzywny apartamentowiec z licznymi udogodnieniami.

Ogromny teren był otoczony parkanem z siatki z zawieszonymi na nim znakami, na których czerwone litery ostrzegały przed niebezpieczeństwem i zakazywały wstępu. Wprawdzie w centrum handlowym nie pozostało nic wartego kradzieży, ale zwykle za jedyną bramą w ogrodzeniu siedział w samochodzie strażnik. Jego rola polegała nie tyle na odstraszeniu złodziei, ile na powstrzymaniu żądnych przygód eksploratorów – betonowych grotolazów, jak sami się nazywali – zajmujących się badaniem wszystkiego, od opuszczonych hoteli po labirynt tuneli serwisowych pod dużymi miastami. Takie eksploracje

były nielegalne, ale jeśli jakiś amator mocnych wrażeń albo miejski archeolog został ranny podczas jednej ze swoich przygód, istniały wszelkie powody do obaw, że złożona z ignorantów ława przysięgłych i sędzia z problemami przyznają mu miliony dolarów odszkodowania.

Tego dnia strażnik z nocnej zmiany otrzymał polecenie niestawiania się na służbie. Opuszczone centrum handlowe było idealnym miejscem na spotkanie dwóch stron, które nie życzyły sobie przypadkowych świadków.

Haskell Ludlow wysiadł z SUV-a Lexusa i w świetle reflektorów ostentacyjnie otworzył bramę kluczem, jakby przybył pierwszy.

Kilka godzin wcześniej bawił się w luksusowym apartamencie w Vegas z dwudziestodwuletnimi bliźniaczkami, Zoey i Chloe, którym udało się go zaskoczyć, bo wiedziały o jego perwersyjnych praktykach więcej niż on sam, chociaż nurzał się w perwersji niemal od tyłu lat, ile one przeżyły. Od ćwierćwiecza był ściśle związany z Dorianem Purcellem, swoim cichym wspólnikiem, ale dwa lata temu rzucił interesy, by poświęcić się przyjemnościom. Dorian, zajęty teraz tuszowaniem prawdy o Springville, wezwał go do wykonania pewnego zadania.

Zwolniony łańcuch zadzwonił upiornie na wietrze: struny piekielnej harfy trącane ręką demona. Pochwycone przez ogniwa foliowe torby różnorakiego pochodzenia i w różnorodnym stanie trzepotały i łopotały z odgłosem niezliczonych skrzydeł, jakby nisko nad ziemią przelatowała kolonia nietoperzy.

Brama toczyła się, kółka jęczały na spękany, dziurawym asfalcie. Ludlow wjechał na teren, zasunął bramę, ale jej nie zamknął. Wkrótce zjawi się dwóch mężczyzn, którzy przybędą razem.

Objechał wschodnią flankę ogromnego budynku, skręcił na czteropoziomowy parking i ustawił lexusa na miejscu przeznaczonym dla niepełnosprawnych. Był to jedyny pojazd w zasięgu wzroku.

Budynek parkingu łączyło z wejściem do galerii wyłożone cegłami przejście. Ludlow zapalił latarkę. Kilkadziesiąt popękanych i wystrzępionych plastikowych kubków drżało wzdłuż chodnika jak ławica ryb skazanych na pływanie po tych cegłach aż do dnia wyburzenia.

Pneumatyczne szklane drzwi zostały usunięte i zastąpione ścianą ze sklejk i wąskimi metalowymi drzwiami. Ludlow otworzył je drugim kluczem, wszedł

i nie zamknął ich za sobą. Udawał, że wszystko toczy się dokładnie tak, jak zaplanowano.

Schody ruchome zostały, chociaż oczywiście nieczynne. Ludlow wszedł po żłobionych stopniach na główny poziom. Większość szyldów zniknęła, ale tu i ówdzie widział nazwę i logo sklepu nad pustymi witrynami.

Ptaki, które jakoś dostały się do środka, nie umiały znaleźć wyjścia. Wróble i wrony leżały gdzieś w pozornie uporządkowanych konfiguracjach piór i delikatnych kości, jakby wyznawcy voodoo przygotowali je do ceremonii. Lotki i kostki drżały w iluzji ruchu, gdy omiatał je wędrujący snop światła latarki.

W połowie głównego poziomu znajdował się duży okrągły basen, w którym kiedyś pływały lilie i kolorowe karpie koi. Teraz do połowy wypełniało go origami zmiętego papieru.

Ludlow usiadł na szerokim obrzeżu basenu, osłonił latarkę dwoma palcami prawej ręki i skierował promień na podłogę między stopami, jak było ustalone.

Haskell Ludlow i Dorian Purcell przyjaźnili się od gimnazjum, od czasów, kiedy jako niezrównani hakerzy i twórcy kodów umieszczali rootkity w słabo chronionych systemach komputerowych dużych korporacji i zbierali wszelkiego rodzaju kompromitujące informacje z maili lekkomyślnych dyrektorów, którzy jeszcze nie rozumieli, że korespondencji elektronicznej nie można w sposób nieodwracalny wyrzucić do kosza. Jeśli jesteś zbyt młody i zbyt cwany, żeby zniechęciło cię słowo „wymuszenie”, masz do dyspozycji niezliczone potencjalne źródła dochodów. Balzac napisał: *Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia*, co jest stereotypem i kłamstwem. Mimo wszystko Haskell i Dorian podjęli odpowiednie kroki, by potencjalny autor historii Parable nie był w stanie prześledzić ani jednej nici prowadzącej do ich stereotypowej prawdy. Haskell Ludlow, choć nigdy się tym nie chwalił, był właścicielem drugiego co do wielkości pakietu akcji z prawem głosu w Parable i podjąłby niemal każde ryzyko – jak teraz w tym rozpadającym się centrum handlowym – żeby chronić swoją fortunę i dobre imię.

Ubrani na czarno, wyposażeni w noktowizory, cisi jak dusze, które uwolniły się od ciał i jako nieważkie nie mogą odbijać się od podłogi, dwaj mężczyźni z Tragedii zmaterializowali się przed Ludlowem kwadrans po drugiej w nocy.

Zgodnie z umową mieli wejść za nim do centrum handlowego o wpół do trzeciej. W rzeczywistości czekali na niego od wpół do pierwszej.

Ludlow, nie odrywając wzroku od ich butów, w lewej ręce pokazał im prawo jazdy. Był to doskonały falsyfikat z nazwiskiem Alexandra Gordiusa, używanym przez niego i Doriana Purcella, zagrzebanym pod większą liczbą warstw w postaci firm fasadowych i fałszywych danych niż skamieliny z epoki jurajskiej pod warstwami geologicznymi. To właśnie fantom Gordius w tym czy innym czasie zapłacił właścicielom darknetowej Tragedii za pięć starannie zaplanowanych zabójstw.

Zwracając prawo jazdy, jeden z agentów Tragedii zapytał:

– Co to za nazwisko: Gordius?

– Po moim tacie – odparł Ludlow i podniósł wzrok, zostawiając włączoną latarkę na obrzeżu basenu.

Obaj mężczyźni byli gibcy, ale mocnej budowy, jakby w zależności od wymaganej metody ataku mogli przebić się przez ścianę albo prześlizgnąć przez szczelinę. Każdy miał bluzę z kapturem, twarz przyciemnioną matowym czarnym smarem i gogle noktowizyjne, teraz wiszące na szyi.

Na potrzeby Tragedii nazywali się Keith Richards i Roger Daltrey, ale ich prawdziwe imiona i nazwiska – które uważali za niemożliwe do wykrycia – brzmiały Frank Gatz i Boris Sergetow. Cały personel Tragedii tworzyło zaledwie sześć osób, ponieważ w organizacji zajmującej się zabójstwami na zlecenie rozsądnie jest ograniczyć liczbę potencjalnych kapusiów. Ci dwaj byli założycielami.

Wcześniej poinformowali klienta o bezprawnym wejściu do ich systemu i zgłosili gotowość wyeliminowania – za darmo – hakera, który wykorzystał identyfikator Gordiusa i najwyraźniej próbował zebrać dowody dotyczące działalności Tragedii, a przede wszystkim jednego z pięciu zabójstw zakontraktowanych przez Gordiusa.

„Prawdziwy” Alexander Gordius – alias Haskell Ludlow i Dorian Purcell – nalegał na spotkanie, żeby poznać tożsamość hakera i opracować bezpieczny dla obu stron plan jego eksterminacji. Baza operacyjna Tragedii mieściła się w magazynie w Stockton, więc to centrum handlowe, oddalone o jakieś osiemdziesiąt kilometrów, założyciele organizacji uznali za dogodny miejsce



spotkania. Niewątpliwie przed przyjazdem wzięli pod lupę prawo własności, ale nie doszukali się żadnego związku między trzema zagranicznymi konglomeratami, do których należało centrum, a Dorianem i Parable.

Ludlow zaczął się przechadzać, żeby wyładować nerwową energię.

– Więc kim jest ten sukinsyn?

– *Gospodin*, ten sukinsyn to właściwie suka – odparł Sergetow z rosyjskim akcentem jak kawior z bielugi.

– Że co? Poważnie? Jakaś cipa była bliska przyłożenia nam noża do gardła?

– Bez urazy, stary – odezwał się Frank Gatz. – Ale takie podejście jest przedpotopowe.

– To znaczy?

– Przeszarzałe, starożytne, sprzed Noego i potopu, myślenie białego faceta najgorszego sortu.

– Nie jestem biały.

– Chcę tylko powiedzieć, że kobiety mogą robić wszystko to, co robi mężczyzna.

– Sikać na stojąco?

Gatz westchnął.

– Skoro tak stawiasz sprawę.

– Kobieta może być geniuszem i wciąż bladzią – rzucił filozoficznie Sergetow.

– Skoro tak mówisz... Nie ja tu spierdoliłem – powiedział Ludlow, ani na chwilę nie przestając krzątać. – Tragedia dała dupy. Wy daliście dupy. Gdzie jest ta dziwka?

– Niecałe dwie godziny drogi stąd, *gospodin* – odparł Sergetow. – Ale może nigdy nie słyszałeś o miasteczku Pinehaven.

Faktycznie, Ludlow nie znał tej miejscowości.

– Nazywa się Megan Bookman – dodał Gatz. – Może pamiętasz, jej mąż, Jason, był problemem, który rozwiązaliśmy dzięki katastrofie śmigłowca.

Nagle centrum handlowe nabrało gotyckiego charakteru. Jeśli wydawało się idealne na bardzo prywatne spotkanie bez jakichkolwiek świadków, teraz Ludlow odbierał je jako złowrogie miejsce, w którym w końcu spotkały się minione

czyny i ich konsekwencje. Czy to możliwe, że Megan Bookman – ślicznotka, malarka, pianistka – jest poczwórnym zagrożeniem jako haker, pirat danych, który przedziera się przez darknet w poszukiwaniu sprawiedliwości?

Jason dowiedział się o wykorzystywaniu archeonów w inżynierii genetycznej – i był temu zdecydowanie przeciwny. Nie rozumiał transhumanistycznej wizji Doriana ani konsekwencji grożenia rezygnacją i upublicznieniem planów szefa, już wtedy mocno zaawansowanych. Jeśli podzielił się obawami z żoną, czy Megan mogła mieć podejrzenia odnośnie do katastrofy, w której zginął?

Ludlow, który nie interesował się badaniami Refine i nie był zwolennikiem transhumanizmu, nie krytykował Doriana. Nie wiedział i nie chciał niczego wiedzieć o pracach prowadzonych w Springville.

– Pani Bookman mieszka tam sama z upośledzonym umysłowo jedenastoletnim synem – powiedział Gatz.

– Nie należy go oszczędzać tylko dlatego, że jest dzieckiem, i to głupim – oświadczył stanowczo Boris Sergetow. – *Krugowaja otwiestwiennost*, odpowiedzialność zbiorowa. Nosiła go w brzuchu, wykarmiła cyckiem. Ten gówniarz jest naszym wrogiem nie mniej niż ona. Są gównami z tego samego flaka. Spuścić w kiblu oboje.

– Twój przyjaciel ma poetyckie zacięcie – zwrócił się Ludlow do Franka Gatza. – Pisze wiersze do firmowego biuletynu? Jeśli nie, powinniście dać mu stronę, zobaczyć, może macie między sobą drugiego Roberta Frosta.

– Przepraszam, ale czy mógłbyś przestać kręcić się jak fryga? – powiedział Gatz. – Człowieku, dostaję zawrót głowy.

– Nie kręcę się. Chodzę w kółko – oznajmił Ludlow. – Jestem napięty z powodu tej kolosalnej wpadki i tonę w hormonach stresu. Dzięki stymulacji oczyszczam głowę i myślę. Nie pomaga mi to, że wy dwaj nie wyglądacie ani trochę na zestresowanych, jakbyście uważali, że z pozbyciem się tej dziwki i jej bachora nie wiąże się żadne ryzyko.

Słowo „bachor” było hasłem, które wcześniej umówił z Hisscusem, Knackerem i Verbotkim; oznaczało, że skoro już mają potrzebne informacje, powinni wyjść z za kulis.

Leroy Hisscus, Bradley Knacker i John Verbotki przybyli do centrum handlowego o 22.30, cztery godziny przed planowanym przybyciem chłopców z Tragedii i dwie godziny przed tym, jak faktycznie się pojawili. Przyczaili się w pobliskich opuszczonych sklepach tak sprytnie, że Gatz i Sergetow nie wykryli ich podczas pobieżnego przeszukania galerii. Gatz i Sergetow mieli broń, ale w kaburach. Hisscus, Knacker i Verbotki, którzy zmaterializowali się niczym duchy na seansie spirytystycznym, mieli pistolety gotowe do strzału, a Ludlow znajdował się w bezpiecznym miejscu poza liniami ognia. Nawet jeśli Gatz i Sergetow mieli kevlarowe kamizelki, ich los był przesądzony. Trzy powiększone magazynki zawierające czterdzieści osiem naboju zostały opróżnione w mniej niż minutę. Zabójcy oddali tyle celnych strzałów w głowy, że wygraliby wszystkie pluszaki na strzelnicy w wesołym miasteczku.

Pistolety były wyposażone w tłumiki, lecz te nigdy całkowicie nie wyciszą huk. Hałas było słycać poza murami centrum handlowego, nawet w nocy z porywistym wiatrem, choć zapewne nie w parterowej szkole podstawowej po drugiej stronie ulicy naprzeciwko bramy, przez którą wjechał Ludlow.

Trzeci członek Tragedii, Cory Holmes, stał na dachu szkoły i pilnował bramy, by mieć pewność, że Ludlow przybędzie sam i nikt się za nim nie zjawi. W czasie wypadków, które rozegrały się w galerii, Holmes prawdopodobnie nie żył, zabity strzałem w tył głowy. Wspólnik Hisscusa, Knackera i Verbotkiego ukrył się na dachu, zanim Holmes tam dotarł.

Echo stłumionych strzałów nie tłukło się już w opustoszałej galerii, ale huk wciąż dzwonił w uszach Ludlowa, gdy zbliżał się do Bradleya Knackera i jego partnerów. Knacker miał w uchu słuchawkę krótkofalówki, przyciskał do niej palec i uważnie słucał. Powiedział „Dziesięć cztery” do człowieka na dachu podstawówki. „Tym razem Sherlock naprawdę zginął w wodospadzie Reichenbach”, powiedział do Ludlowa z myślą, że Cory Holmes nie zmartwychwstanie w przeciwieństwie do detektywa, którego Arthur Conan Doyle wskrzesił pod naciskiem rzeszy zasmuconych czytelników.

Ludlow zastanawiał się, kiedy ludzie w tej branży doszli do wniosku, że ich robota polega również na rzucaniu niewybrednych żartów w środku akcji. Wina filmów.

Pozostali trzej członkowie Tragedii, śpiący w swoich domach w Stockton, zostali zlikwidowani w podobny sposób. Ani tu, ani tam nie znaleziono ciał. Sześciu mężczyzn po prostu zniknęło. Strona internetowa i wszelkie zapisy jej działania, jeśli w ogóle istniały, przestaną istnieć o świcie.

Gdyby Frank Gatz i Boris Sergetow zdawali sobie sprawę, że kapitał inwestycyjny, dzięki któremu kilka lat temu rozpoczęli działalność, pochodził nie ze źródeł mafijnych, jak sądzili, ale od Doriana Purcella, byłiby zdumieni ironią swojego losu. No, może Gatz byłby do tego zdolny. Sergetow niekoniecznie.

Hisscus, Knacker, Verbotki i pięciu innych dwa lata temu rozpoczęli własną operację w darknetcie z kapitałem inwestycyjnym, który, jak sądzili, został im przekazany przez międzynarodowych handlarzy bronią, prowadzących interesy z najemnikami na całym świecie. Tymczasem dobroczyńcą był Dorian, który wspierał ich darknetową sztukę z adresem mailowym złożonym z pięćdziesięciu dwóch liter i cyfr, nazwaną przez nich Atropos na cześć najbardziej złowrogiej z trzech bogiń losu w mitologii greckiej. Atropos przecinała nić życia. Nazwę wymyślił John Verbotki, być może zbyt wykształcony jak na swoją profesję.

Za wieloma dużymi fortunami kryje się nie zbrodnia, a ciężka praca, inteligencja i obsesja, chociaż Balzac nie do końca się mylił. Czternastoletni chłopcy, którzy czerpią duże zyski z wymuszeń, szybko się uczą, że dobrze przemyślana zbrodnia popłaca.

Człowiek, który zabił Holmesa stojącego na dachu szkoły, zajmie się zwłokami, a potem pomoże Leroyowi Hisscusowi w sprzątaniu w centrum handlowym. John Verbotki i Bradley Knacker wkrótce wyruszą do domu Bookman na obrzeżach Pinehaven, oddalonego o niecałe dwie godziny drogi.

Haskell Ludlow, bardziej wrażliwy niż agenci Atropos, odsunął się od podziurawionych zwłok Gatza i Sergetowa, cuchnących krwią, kałem, moczem i gazami żołądkowymi.

– Panie Gordius, robiliśmy z panem interesy w przeszłości – odezwał się Verbotki. Łuski grzechotały pod ich butami, gdy szli. – Załatwimy, że to wszystko zniknie. Załatwimy, że zniknie również to, co jest w Stockton. Ale musimy wiedzieć, co dokładnie mamy zrobić w Pinehaven. Nie działamy w taki sposób jak tych dwóch idiotów. – Z pogardą wskazał posiekane kulami ciała

Sergetowa i Gatza. – W mieście takim jak Pinehaven obcy rzucają się w oczy i są zapamiętywani. Nie napadniemy na dom na zadupiu, strzelając długimi seriami.

– Nie zrobicie tego i nie powinniście – powiedział Ludlow. – Chcę mieć Megan Bookman i jej syna żywcem, i to w ciągu najbliższych dwunastu godzin. Chcę ją złamać, rozebrać kawałek po kawałku, dowiedzieć się, co wie i komu powiedziała. Mając chłopca, złamię ją, krzywdząc jego.

Verbotski zaproponował sposób załatwienia sprawy: zrobi to z Knackerem i jeszcze dwoma mężczyznami. Ludlow wprowadził do planu drobne udoskonalenia.

Haskell Ludlow ruszył do wyjścia niszczącej galerii. Światło latarki pełznące po zakurzonych witrynach wyczarowywało wrogów na skrajach jego pola widzenia. Wiedział, że ponosi go wyobraźnia, ale nerwowo kręcił głową, wypatrując tego, czego tam nie było.

Już wcześniej płacił za zabójstwa i nie spędzało mu to snu z powiek, ale nigdy, aż do tej nocy, nie był świadkiem wypełniania kontraktu. Uznał to doświadczenie za o wiele bardziej niepokojące, niż sobie wyobrażał.

Kiedy wrócił na czteropoziomowy parking, gdzie zostawił SUV-a lexusa, usłyszał szelest. Odwrócił się i oświetlił latarką las betonowych kolumn. Z ciemności wyłoniło się kilka arkuszy gazety; ożywione przez wiatr, wirowały nad miejscami parkingowymi niczym zakapturzony stwór o bladych skrzydłach i śmiertcionośnych zamiarach. Stwór nie miał kosy ani sierpa, ale nagle przyskoczył do Ludlowa i otoczył go trzeszczącą kruchością, zasłaniając mu twarz, oślepiając go. Ludlow krzyknął i wyrwał się z jego uścisku, zaciekle machając latarką, jakby mógł zranić kawałki papieru.

Wgramolił się do SUV-a, zamknął drzwi, uruchomił silnik, włączył światła i siedział złany zimnym potem. Zawstydzony swoją paniką, patrzył, jak arkusze gazety odpywają w ciemność.

Stres. Jest zestresowany. Zabójstwo w centrum handlowym. Możliwość, że Megan Bookman powiązała jego i Dorianą z Tragedią w darknecie. Nie miał nic wspólnego z Refine i nie wiedział, co wydarzyło się w Springville, więc akurat tym zbytnio się nie przejmował, zakładając, że kłopoty Refine nie wpłyną na ceny akcji Parable.

Wyjechał z parkingu i terenu centrum handlowego na ulicę.

Gdy wróci do hotelu, będzie wpół do czwartej. Ta robota kosztowała go sen, którego tak bardzo potrzebował po wielu dniach zabawy z Zoey i Chloe w Vegas. Miał ochotę na mocne martini, a potem na wyśmienitego caberneta do wczesnego śniadania; zamówi potrawy zwykle serwowane na kolację, żeby zresetować swój rytm dobowy. Potem osiem godzin snu, by przygotować się do przesłuchania Megan Bookman. Miał apartament w czterogwiazdkowym hotelu. Sacramento było siedzibą cudownie skorumpowanego rządu stanowego, który unosił się na oceanie pieniędzy z niepewnych źródeł, co oznaczało wiele dobrych hoteli do wyboru. W jego apartamencie były trzy sypialnie; kiedy budził się w nocy, by skorzystać z łazienki, lubił wracać do innego łóżka ze świeżą czystą pościelą, gdzie pod poduszką nie zostawił jeszcze złych snów.

## 83

ZA SIEDZIBĄ BIURA SZERYFA I WIĘZIENIEM znajdował się parking dla pracowników miejskich. Za nim zaś stał ceglany garaż z małymi, wysoko osadzonymi zakratowanymi oknami, które w tej chwili wypełniało perłowszare światło lamp wiszących poniżej parapetów.

Tu trafiały pojazdy powiązane z poważnymi przestępstwami, skonfiskowane na potrzeby śledztwa, i opuszczały garaż w czasie wyznaczonym przez prawo albo wtedy, gdy sąd nakazał ich zwrot prawowitym właścicielom. W zasadniczo spokojnym hrabstwie Pinehaven organy ścigania nie miały hopla na punkcie konfiskowania pojazdów ani czerpania zysków ze sprzedaży skonfiskowanego mienia. Obecnie w garażu oprócz radiowozu Eckmana stały tylko dwa pojazdy: ford F-150 pick-up, którego pijany kierowca zbiegł z miejsca wypadku, i czerwony dodge demon, którym Lee Shacket, alias Nathan Palmer, uciekł z Utah.

Szeryf Eckman przyjechał tu prosto ze szpitala. Był zbyt podekscytowany, żeby iść spać. Pracował sam nad dodge'em i jego wyposażeniem. Z powodu niezwyklego charakteru przestępstwa i powiązania z firmą należącą do Dorigana Purcella postanowił odłożyć powiadomienie mediów o aresztowaniu Shacketa do południa. Chciał mieć czas na ustalenie, jak wykorzystać sytuację dla własnych

korzyści. Ta sprawa zapewni mu rozpoznawalność w całym stanie i przyspieszy jego karierę. Jeśli dobrze to rozegra, może również znaleźć sposób na przypodobanie się Purcellowi, co przyniosłoby mu duże korzyści finansowe.

Proście, a będzie wam dane.

Druga z dwóch walizek w kufrze dodge'a zawierała paczki banknotów stu i dwudziestodolarowych. Nigdy wcześniej nie widział tylu pieniędzy w jednym miejscu. Oszacował, że może tam być nawet sto tysięcy dolarów.

Po głębokim namyśle przełożył walizkę do bagażnika radiowozu.

Najwyraźniej pieniądze były przeznaczone na ucieczkę. To sugerowało, że Shacket zdawał sobie sprawę, że prace prowadzone w ośrodku w Springville mogą nagle pójść źle i narazić go na poważne konsekwencje natury prawnej.

Megan Bookman powiedziała, że Shacket mówił o Kostaryce, gdzie najwyraźniej przygotował sobie bezpieczne schronienie pod nazwiskiem innym niż własne i nie jako Nathan Palmer. Jeśli miał nadzieję na anonimowe życie, to zaplanował okrężną trasę do celu, na tyle skomplikowaną, by nie można go było wytropić. Z czymś takim wiązały się niemałe koszty, nie wspominając o łapówkach. Shacket z pewnością ma miliony na zagranicznych kontaktach. Szeryf uznał, że sto tysięcy to zbyt skromna suma na ucieczkę w sytuacji, gdy faceta szuka nawet wszechpotężna NSA. Biorąc pod uwagę grożące mu konsekwencje, Shacket na pewno nie oszczędzałby na ucieczce.

Eckman obszedł dodge'a, przyglądając mu się uważnie. Wiedział, że w samochodach często robi się skrytki do przewożenia narkotyków. W tym przypadku byłaby to gotówka i schowek musiał być łatwo dostępny. Shacket raczej nie chciałby odcinać zderzaka, żeby dostać się do pieniędzy. Co oznaczało, że skrytka znajduje się wewnątrz pojazdu.

Dodge demon był niezwykle spersonalizowanym dziełem sztuki, nie tylko pojazdem z linii montażowej z podrasowanym silnikiem. Wykończenia wnętrza były podobne do tych w mercedesach. Schowek musiał być sprytnie zintegrowany z całością, ale perfekcyjne szwy tapicerki i inne szczegóły utrudniały fachowcowi zamontowanie skrytki z szybkim dostępem.

Po dziesięciu minutach szeryf znalazł dwa zatrzaski zwalniające zamaskowany panel z tyłu przedniego siedzenia pasażera. Przeliczył banknoty

w jednej z zawiniętych w folię paczek i ocenił, że znalazł dodatkowe trzysta tysięcy dolarów.

Już miał przenieść całą gotówkę do radiowozu, gdy nagle coś przyszło mu na myśl. Gdy ogłosi aresztowanie Lee Shacketa, Tio Barbizon przyśle Frawleya i Zellmana z Sacramento nie tylko po Shacketa, jak wcześniej po ciała jego ofiar, ale także po dodatkowe dowody, łącznie z dodge'em demonem.

Skrupulatnie przejrzą samochód. Znajdą ukryty schowek. Gdy okaże się, że jest pusty, zaczną się zastanawiać, dlaczego Shacket zadał sobie trud tworzenia kryjówki i niczego w niej nie schował.

Hayden Eckman niechętnie przeniósł tylko dwie trzecie gotówki, zostawiając sto tysięcy dolarów dla śledczych prokuratora stanowego. Shacket może później twierdzić, że w schowku było trzy razy tyle pieniędzy, plus sto tysięcy w walizce. Ale kto uwierzy obłąkanemu degeneratowi, w dodatku kanibalowi?

Poza tym, gdy ogłosi aresztowanie, Shacketa już może nie być wśród żywych. Od chwili przyjęcia go na oddział psychiatryczny zastanawiał się, jak zrealizować wiarygodny scenariusz. Biorąc pod uwagę skrajną brutalność Shacketa, mógł sobie wyobrazić, jak ten uwalnia się z pasów i atakuje zastępcę lub kogoś z personelu szpitala – w takim wypadku użycie ostatecznych środków przeciwko niemu byłoby całkowicie zasadne.

Eckman byłby niepokieszony, zostawiając sto tysięcy dolarów śledczym Tio Barbizona, gdyby zaledwie chwilę później nie znalazł kolejnej fortuny zaszytej w podszewce skórzanej sportowej kurtki, która leżała na fotelu pasażera. W kieszeniach nie znalazł niczego ciekawego, ale wymacał coś dziwnego pod materiałem. Wydarł jedwabną podszewkę i zobaczył przyszyty do niej foliowy rękaw z trzydziestoma sześcioma przegródkami. Każda zawierała coś, co wyglądało na diament. Na oko ocenił, że wartość tej kolekcji przewyższa trzysta tysięcy dolarów, które już leżały w bagażniku jego samochodu.

Hayden Eckman postrzegał Pinehaven jedynie jako odskocznnię, a obecny urząd jako zaledwie kolejny szczebel kariery. Ale miasto okazało się skarbnicą możliwości.



MAMA WOODY'EGO SIEDZI NA BRZEGU łóżka. Trzyma syna na kolanach, obejmuje go, on mocno się do niej przytula.

Ben siedzi w fotelu, Kipp stoi obok niego; ogon śmiga z podniecenia i zachwytu.

Kipp nigdy nie poznał człowieka tak, jak teraz znał Woody'ego.

Kochał tego chłopca, którego poznał. Kochał jego mamę, którą poznał dzięki Woody'emu.

Chociaż kochał Dorothy, nie poznał jej do końca, nie aż tak dogłębnie jak Woody'ego.

Woody Bookman nigdy nie poznał człowieka tak, jak teraz znał Kippa.

Co więcej, poznając Kippa dzięki Telegrafowi, poznał siebie jak nigdy dotąd.

Kipp nadal nie mógł i nigdy nie będzie mówić – nie inaczej niż za pośrednictwem swojego szóstego zmysłu, telepatii.

Ale teraz chłopiec mówił, wyzwolony z paraliżujących zahamowań, które go uciszały.

Być może to oznaczało, że przyczyna jego ułomności miała w znacznej mierze charakter psychologiczny.

Ale prawdopodobnie nie.

Kipp wiedział, że bez szczoteczki sonicare Woody nadal będzie szorował zęby aż do zdarcia dziąseł.

Woody też to wiedział.

I wciąż będzie wyłapywać takie bezużyteczne fakty jak to, że urodził się o czwartej nad ranem 26 lipca, lipiec jest siódmym miesiącem roku, 26 pomnożone przez 7 daje 182, a jeśli dodać 4, godzinę narodzin, suma wyniesie 186, jego iloraz inteligencji.

Tam, w sypialni, w obecności mamy, Kippa i Bena, wszystkich nieposiadających się ze zdumienia, Woody mówił w wybuchowym pośpiechu. Ujawnił głębokie uczucia i myśli uwięzione w nim przez całe życie, a przede wszystkim dał wyraz miłości i uwielbienia do swojej matki.

Mówił, że ma nadzieję pewnego dnia spotkać dziewczynę, która jak on będzie miała w ustach tkankę dziąseł zmarłej osoby, żeby mieli o czym rozmawiać, i może w końcu się pocałują.

Że jelenie też mają rodziny i utrzymanie ich razem jest dla nich równie trudne jak dla ludzi.

Że jego mama była jego mostem nad wzburzoną wodą.

Że kiedy grała na fortepianie *Moon River*, nie było mu smutno, że nigdy nie przepłynie z gracją tej rzeki ani nie wyruszy na zwiedzanie świata.

Że zamiast płynąć *Moon River*, by zobaczyć, co jest za zakrętem, może czytać o świecie w książkach i wyobrażać go sobie i to mu wystarczy.

Że jego tata zmarł 164 tygodnie wcześniej.

Że przez 60 tygodni prowadził śledztwo w sprawie jego śmierci.

Że 164 minus 60 równa się 104.

Że 104 to liczba stron w dokumencie *Zemsta syna. Rzetelnie zebrane dowody potwornego zła*.

Kipp pospieszył do biurka. Staął na tylnych łapach i złapał raport w zęby.

Zaniósł kartki do łóżka i położył obok mamy Woody'ego.

Jeśli sytuacja była już trochę szalona, to teraz stała się naprawdę obłądna.

## 85

ZASTĘPCA SZERYFA THAD FENTON wrócił z krótkiej wycieczki do łazienki i usłyszał głośne stukanie w pokoju 328. Odkąd zaczął pełnić straż na korytarzu, spodziewał się, że będzie słuchać wrzasków, przekleństw, wykrzykiwanych bezsensownych słów, wszystkiego, czego można się spodziewać po zbrodniczym psychopacie. Do tej pory jednak panowała cisza. A teraz to.

Zajrzał przez okienko w drzwiach. Światło było słabe, ale zdołał zobaczyć, że stało się coś, co uważał za niemożliwe. Shacket uwolnił się z pasów, wyrwał wenflon, wyciągnął cewnik, przez który oddawał mocz do worka, i zrzucił szpitalną koszulę z rozcięciem na plecach. Nagi stał przy oknie, próbując się przez nie wydostać.

Dwuskrzydłowe okno można było otworzyć tylko za pomocą korbki, którą zwykle wyjmowano i kładziono na parapecie, by nie zahaczała o nią opuszczana roleta. Zabierano ją, gdy przygotowywano pokój na przyjęcie pacjenta psychiatrycznego.

Shacket, zaskakująco potężnie zbudowany, napierał na metalowe skrzydła, oba zbyt wąskie, by mógł wydostać się na zewnątrz. Żeby je rozchylić, musiałyby pokonać koła zębate mechanizmu, co wymagało nadludzkiej siły. Lecz nagle szyby zdrząły i połówki okna z metalicznym trzaskiem i piskiem zaczęły się rozchyłać. Rama skrzywiła się i szyba pękła. Shacket ryknął nieludzko. Zawias pękł z trzaskiem i zapiszczął jak zranione stworzenie.

Korytarzem biegła pielęgniarka. Thad Fenton dał jej znak, że ma się nie zbliżać. Wyjął pistolet i spróbował otworzyć drzwi, ale oczywiście były zamknięte. Przekręcił klucz, chwycił broń oburącz, z krzykiem wpadł do pokoju i nakazał więźniowi paść na podłogę i pozostać w pozycji leżącej.

Akurat wtedy lewa połowa okna odchyliła się na zewnątrz, a prawa odpadła od framugi. Shacket rzucił pozbawioną szyby metalową ramę i Fenton uchylił się, by uniknąć uderzenia w twarz.

Gdy wyprostował się, unosząc pistolet, Shacket tkwił już na parapecie otwartego okna jak gargulec, nie mniej przerażający niż oszalała bezwłosa mała o oczach tak czerwonych, jakby w jej czaszce płonął ogień. Jesienny wiatr świszczał wokół nagiej postaci, przynosząc zimowy chłód; trzepotały podarte gumowe pasy na łóżku i grzechotał stojak na kroplówki. Okno znajdowało się ponad dziesięć metrów nad betonowym chodnikiem, więc wydawało się, że Shacket nie ma dokąd uciec – gdy nagle skoczył w noc, jakby posiadał umiejętność latania.

Oszołomiony Fenton podszedł do okna, wychylił się w wyjący wiatr i spojrzął w dół, pewien, że zobaczy obłąkanego więźnia leżącego nieruchomo w powiększającej się kałuży krwi. Ale Shacketa nigdzie nie było, ani pod samym oknem, ani bardziej w lewo czy prawo. Nie do wiary, najwyraźniej przeżył upadek. Fenton spojrzął dalej, za rabatę z niskimi krzewami, w stronę parkingu dla odwiedzających, pustego o tej porze; wypatrywał bladej nagiej postaci zmierzającej ku ulicy. Tam też Shacketa nie było.

Thad Fenton już nigdy się nie dowie, czy najpierw pomyślał o opowiadaniu Edgara Allana Poe, które napędziło mu stracha, kiedy nauczyciel czytał je na lekcjach angielskiego w dziewiątej klasie, czy raczej wiatr przyniósł te dwa słowa, które przypomniały mu o opowieści. Słowa i wspomnienie – lub wspomnienie i słowa – napłynęły ledwie ułamek sekundy po sobie. Słowa

brzmiały: „Zobacz mnie”, wypowiedziane sykliwym głosem węża, a nowela zatytułowana *Morderstwo przy Rue Morgue* opowiadała o brutalnym orangutaniu wyszkolonym do zabijania. Thad uniósł głowę i na przekór wszelkiej logice spojrział w górę. Jak pająk, dla którego powierzchnie pionowe niczym nie różnią się od poziomych, uczepiony płytkiego wapiennego nadproża i otaczających go ozdobnych cegieł, Shacket przyciskał się do muru, z nogami rozłożonymi nad sobą; patrzył w dół, wyszczerzony, z płonącymi oczami, twarzą w twarz z zastępcą szeryfa.

Uciekinier puścił się, opadł na Fentona i wyciągnął go przez okno. Razem spadli z drugiego piętra w wichurze, która nie chciała ich ponieść. Gdy pistolet wyślizgnął się z ręki zastępcy, Shacket krzyknął triumfalnie. Thad Fenton upadł plecami na beton i całe powietrze uszło mu z płuc. Ból rozpełzł się szlakami bodźców nerwowych po całym ciele, jakby przebiły go tysiące noży. Ale cierpienie było krótkie, po tym okrutnym wybuchu udręki bolała go tylko głowa. Został sparaliżowany od szyi w dół.

Dyszący z podniecenia, bełkoczący nieartykułowanie Shacket najwyraźniej nie poniósł uszczerbku. Przykucnął na swojej ofierze.

Zastępca szeryfa czuł, jak z kącika ust spływa mu po brodzie strużka ciepłej krwi.

Mrucząc jak urzeczony kochanek, Shacket zlizzał tę czerwoną esencję. Przybliżywszy usta do gardła Fentona, wygryzł mu zdolność krzyczenia i mówienia, a następnie zdolność oddychania.

Thadowi Fentonowi został tylko lodowaty wiatr, kołyszące się drzewa i śmiertelne prerażenie – i tylko na chwilę.

## 86

POCZĄTKOWO ZE ZDZIWIENIEM I Z DUMĄ z inicjatywy Woody’ego, a zaraz potem z rosnącym niepokojem Megan przeglądała *Zemstę syna*, podczas gdy Ben Hawkins wypytywał go o darknet i stronę o nazwie Tragedia.

Siedząc na fotelu Woody’ego, Megan czuła lekkie zawroty głowy. W ciągu godziny dopuściła do siebie możliwość istnienia psów o ogromnie zwiększonej

inteligencji, była świadkiem, jak syn przechodzi od wysokofunkcjonującego autyzmu do cholernie wysokofunkcjonującego autyzmu, usłyszała, jak Woody odzywa się po raz pierwszy od jedenastu lat, i dowiedziała się, że może go szukać zabójca z darknetu. Zdumienie szybko przerodziło się w konsternację i strach.

Jason planował odejść z Parable, ponieważ niepokoiło go maniakalne zainteresowanie Doriana Purcella transhumanizmem, nie tylko z powodu podejmowanego przez niego ryzyka finansowego, ale przede wszystkim z uwagi na charakter badań. Kiedy zginął w katastrofie śmigłowca, w sercu Megan zrodziły się podejrzania, ale nie trwały długo. A gdy minął pierwszy szok po jego śmierci, uznała, że podejrzliwość wyrastała z gniewu, który ogarnął ją na wieść o stracie – gniewu na niesprawiedliwość, na los, na Boga. Kiedy jednak złość ustąpiła rozpaczy, a rozpacz przeszła w smutek, z którego otrząsnęła się przez wzgląd na Woody'ego, podejrzliwość stopniowo zanikła. Tak czy inaczej, myśl, że człowiek miary Doriana naraża bogactwo i reputację, by w nieodwracalny sposób pozbyć się podwładnego, zdecydowanie nie miała sensu – chyba że takie rozwiązanie było jego modus operandi od najwcześniejszych lat. A Megan nie miała żadnych dowodów na istnienie takiej mrocznej strony Doriana Purcella.

Tyle że dowody istniały, ukryte tak głęboko, że nikt poza kierowanym przez dotkliwy smutek autystycznym geniuszem z nerwicą natręctw nie miałby czasu i niezbędnego skupienia uwagi, by je odkryć.

Ale mimo potęgi umysłowej Woody był naiwny. Brakowało mu cwaniactwa, by zdawać sobie sprawę z ryzyka, jakie wiązało się z penetrowaniem przykrywki Doriana i buszowaniem w darknecie.

– Więc... co zobaczyłeś na ekranie tuż przed opuszczeniem strony Tragedia? – zapytał Ben.

Woody spojrzał na psa, nie na niego.

– Ukazały się dwa słowa, ZNAJDZIEMY CIĘ. Wczołgałem się pod biurko i odłączyłem komputer, odłączyłem wszystko, nawet lampkę. Byłem przerażony. Nadal się boję. Zrobiłem głupstwo. Strasznie tego żałuję.

Słuchając go, Megan uznała za niezwykle, że mówi tak, jakby posługiwał się mową od zawsze, jakby już zdążył zapomnieć, że ma za sobą jedenaście lat milczenia.

– Słuchaj, Woody, nie zrobiłeś niczego głupiego – zapewnił go Ben. – Postąpiłeś odważnie, nadzwyczajnie. Za każdym razem, gdy robisz coś śmiałego, zawsze musisz liczyć się z negatywną reakcją złych ludzi, którzy nie lubią odważnych. Teraz, gdy wiemy, z kim mamy do czynienia, możemy sobie z nimi poradzić. Pokazanie tym złym, gdzie jest ich miejsce, jest łatwiejsze, niż myślisz. Może być nawet zabawne.

Gdy chłopiec uważnie wpatrywał się w psa, Megan spoglądała na Bena – dopóki nie spostrzegła, że retriever nie spuszcza z niej wzroku i macha ogonem.

Przypomniała sobie, że ten pies nie jest zwyczajnym psem. Kipp jest także... osobą. Wiedziała, że musi poukładać to sobie wszystko w głowie. Kipp widział, jak patrzy na Bena, i był dość spostrzegawczy, by odgadnąć jej uczucia.

Nagle Kipp zostawił Woody'ego, podreptał do otwartych drzwi, stanął i zaczął się wpatrywać w głąb korytarza.

Zabrzączał dzwonek do drzwi. Była trzecia piętnaście nad ranem. Ktoś zadzwonił po raz drugi.

## 87

PO ROZMOWIE Z LEE SHACKETEM w pokoju 328 Carson Conroy był wytrącony z równowagi, zbyt wzburzony, by wrócić do domu, mimo że nadmiar kofeiny i złych wiadomości ścinały go z nóg, a oczy piekły z braku snu. Jeździł po mieście, czegoś szukając, choć nie do końca pewien czego.

Uciekł z Chicago do Pinehaven, porzucił szaleństwo metropolii dla względnego spokoju gór Sierra Nevada. Ale prawdą współczesnego życia jest to, że odległość nie chroni już nikogo przed rakiem wyrachowanego modernizmu. Członkowie gangu, jak ci, którzy zabili Lissę dla rozrywki, zaczęli pojawiać się w małych miasteczkach. Motłoch z mediów społecznościowych może zniszczyć życie nauczyciela na wiejskich terenach Stanów z równą łatwością jak życie wielkiej sławy, za prawdziwe albo wymyślone występki. Dorian Purcell we współpracy z agencją federalną sfinansował lekkomyślny projekt dotyczący inżynierii ludzkiego genomu i ulokował ośrodek badawczy na obszarach wiejskich w stanie Utah – ale teraz ludzie umierali tutaj.

Postęp jest prawdziwym postępem tylko wtedy, gdy ewoluuje w sposób naturalny, roztropnie czerpiąc z historii ludzkiego doświadczenia i nagromadzonej mądrości. Narzucony w pogardzie dla doświadczenia i mądrości, sprowadza się do radykalnej destrukcji.

Jeżdżąc malowniczymi uliczkami ukochanego Pinehaven, Carson zaczął rozumieć, że tym, czego szuka, jest ucieczka od ludzkiej pychy, od niekończącego się niezadowolenia tych, którzy wierzą w taką czy inną utopię, mimo że historia wykazała, że utopijne myślenie nieuchronnie prowadzi do katastrofy, a często do masowych zabójstw na skalę przemysłową. Ale oczywiście nie ma ucieczki od wyniosłej dumy i arogancji tego gatunku. Można się wycofać, ułożyć sobie życie na nowo w gronie przyjaciół, którzy nie chcą uciszać i karać osób o innych poglądach, którzy rozumieją poważne zagrożenie dla pokoju płynące z pogardy dla innych, z nadmiernego poczucia własnej wartości rozbuchanego w pychę. Ale nie ma wystarczająco odległego miasta ani wystarczająco wysokich murów, żeby uchronić się przed szalonymi pomysłami, które trafiają do przekonania mas.

Do mas przemawia koncepcja nieśmiertelności. Nawet jeśli wyjdzie na jaw, że Purcell finansował badania, które doprowadziły do śmierci teraz już dziewięćdziesięciu czterech osób i że liczba ofiar wciąż rośnie, być może w obecnym roszczeniowym, a przede wszystkim komercyjnym społeczeństwie nadal będzie sławiony za dobre intencje.

Gdy Carson znów przejeżdżał przez centrum Pinehaven, wyciu wiatru zawtórowały syreny. Wóz patrolowy, który stał przed Four Square Diner, odjechał z migającymi światłami. Z uliczki obok biura szeryfa wypadł drugi radiowóz i podążył w ślad za pierwszym.

Carson zatrzymał się i zadzwonił do Carla Fredette'a. Spodziewał się złych wieści. Nie sądził jednak, że będą aż takie złe. Lee Shacket uciekł z pokoju w szpitalu. Zastępca szeryfa Fenton zaginął, prawdopodobnie uprowadzony, i sądząc po krwi na miejscu zdarzenia, jest albo ciężko ranny, albo martwy.

W tym przypadku – gdy sprawca był jedyny w swoim rodzaju na świecie i szybko „stawał się” zagrożeniem o nieznannej skali – prawo nie oferowało żadnej realnej i trwałej ochrony; mogło zapewnić tylko jej iluzję.

Megan Bookman musi poznać prawdę. Szeryf jej nie uświadomi. Ani nikt, kto dla niego pracuje. Ani żadna wyższa władza nad tą w hrabstwie Pinehaven. Możliwe, że oprócz niego, Carsona Conroya, nie ma nikogo, kto mógłby przekazać prawdę tej kobiecie.

## 88

KTOŚ ZADZWONIŁ DO DRZWI, pies wybiegł na korytarz, znikając z pola widzenia, a Megan podniosła pistolet z szafki nocnej.

Ben ruszył za retrieverem.

– Nie będzie ci potrzebny – powiedział. – Kipp jest podekscytowany, ale pozytywne podekscytowanie. Wie, kto stoi przed drzwiami, i to go nie przeraża.

– Skąd może wiedzieć, kto tam jest?

– Przypuszczam, że dzięki węchowi. Gdy pies pozna twój zapach, może cię wyczuć z odległości ponad półtora kilometra. Dlatego zawsze czeka na ciebie pod drzwiami, gdy wracasz do domu.

Mimo tych zapewnień Megan kazała Woody’emu zostać w pokoju i poszła za Benem na korytarz.

– Tak czy siak, będę z bronią na półpiętrze – powiedziała.

Ben zdążył ją poznać na tyle, by mieć pewność, że nie będzie nieostrożna z bronią palną. Schodząc po dwa stopnie naraz, rzucił przez ramię:

– Zawsze jestem szczęśliwszy, gdy mam wsparcie.

Kipp celował nosem w nieuszkodzone okno na lewo od drzwi frontowych i tańczył z podniecenia, szaleńczo merdając ogonem.

Po drugiej stronie okna kucała kobieta po trzydziestce; patrzyła na psa, uśmiechając się szeroko i coś mówiąc. Ben zrozumiał tylko tyle, że nieznaną zna imię retrievera.

Otworzył drzwi, a ona uniosła wzrok.

– Och! Cześć, mój Boże, znalazł pan Kippa. Jestem Rosa. Rosa Leon, jego... opiekunka.

Ben był szczęśliwy, że pies cieszy się z tego spotkania, a jednocześnie ogarnęło go poczucie straty. W niespełna dzień między nim a tym



nadzwyczajnym retrieverem powstała więź. Nie chciał zostać wyłączony z życia Kippa, z jego historii.

W holu Rosa Leon uklęknęła, a Kipp trącił ją nosem.

– Do licha, jak go pani znalazła? – zapytał Ben.

– Dzięki obroży. Jest w niej GPS.

Ben zamykał drzwi przed upartym wiatrem, gdy za lincolnem MKX, którym najwyraźniej przyjechała Rosa Leon, zatrzymał się biały ford explorer. Kierowca zgasił światła.

– On nie jest zwyczajnym psem – powiedział Ben. Zamknął drzwi i patrzył na forda przez boczne okno.

Rosa drapała Kippa za uszami.

– Tak, jest bardzo dobrze wyszkolony. Jest dość niezwykły. Zna mnóstwo sztuczek.

– Zna o wiele więcej niż tylko sztuczki. – Ben obserwował, jak mężczyzna wysiada z explorera. – Ten kolega nie jest psem cyrkowym. Jest kimś zupełnie innym.

– Nie jestem pewna, czy wiem, o co panu chodzi – powiedziała kobieta, patrząc na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– A ja jestem prawie pewien, że pani wie. – Ben błysnął uroczym uśmiechem, żeby złagodzić te słowa. – Chroni go pani... chroni pani jego tajemnicę.

Kierowca forda zbliżał się do domu.

Ben miał pozwolenie na broń, ale jego pistolet został w range roverze.

– Megan, mamy kolejnego gościa. Możesz tu zejść?

Odwrócił głowę, by sprawdzić, czy Megan schodzi, i zauważył Woody'ego na szczycie schodów.

Widząc pistolet w dłoni Megan, Rosa Leon wstała.

– Co tu się dzieje? – zapytała.

– To nie my jesteśmy problemem – zapewnił ją Ben. – Może w przeciwieństwie do tego faceta, który idzie do drzwi. Proszę się odsunąć. Stanąć za Megan.

Mężczyzna wszedł na werandę.

– Megan, znasz go? – zapytał Ben.

Spojrzała przez boczne okno. Gość skinął głową.

– Widziałam go kilka razy – odparła. – Chyba pracuje dla miasta.

– Bądź gotowa. – Ben otworzył drzwi.

Mężczyzna pokazał wizytówkę.

– Muszę się zobaczyć z panią Bookman. To pilne.

Z wizytówki wynikało, że to doktor Carson Conroy, lekarz sądowy hrabstwa Pinehaven.

– W jakiej sprawie? – zapytał Ben.

– Lee Shacket uciekł z oddziału psychiatrycznego w szpitalu hrabstwa.

Kipp zostawił Rosę Leon i pognął po schodach do Woody'ego.

Z oddali dobiegł narastający ryk syren.

## Bella na Telegrafie

SANTA ROSA W KALIFORNII. SALON w domu Montellów.

Bella w końcu musiała odłożyć *Magicznego słonia* na półkę, z której zdjęła tę książkę.

Historia była tak dobra, że nie chciała, by zepsuły ją te wszystkie przerywniki.

A tych było bardzo dużo.

Zdecydowanie coś się działo.

Dzisiejszej nocy tworzyła się historia.

Członkowie Misterium nie mieli rąk. Nie mogli przekazywać na piśmie swojej wiedzy i opowieści młodszemu pokoleniu. Tworzyli kulturę oralną, o ile można pod to podpisać rozmowy prowadzone telepatycznie.

Przekazywali opowieści z pokolenia na pokolenie na Telegrafie, jak przy ognisku.

Ich historia – ta, którą znali – sięgała zaledwie czterech pokoleń wstecz. Czyli około pięćdziesięciu lat.

Choć byli mądrzy i uważali, że kultywowanie tradycji oralnej jest świętym obowiązkiem, wiedzieli, że nie wszystko w ich historii jest wiarygodne.

Gdy opowieść jest przekazywana z ust do ust, z umysłu do umysłu, jej szczegóły nieuchronnie się zmieniają.

Nie dlatego, że ktoś kłamie.

W każdym razie psy nie kłamią. Nie mogą.

Nie byli pewni dlaczego, ale nie mogli.

W powtarzanych opowieściach zmieniały się jednak szczegóły, ponieważ ich wspomnienia, podobnie jak te ludzkie, nie były całkowicie wiarygodne.

Ich historia miała zatem pewną cechę mitu.

W kwestii pochodzenia każda opowieść przypisywała ich genezę ludziom.

Ich pierwsi, jak głosiła legenda, pochodzili z laboratorium genetycznego. Byli rezultatem eksperymentów nad zwiększeniem inteligencji.

Powiedzieli, że badania finansował Pentagon.

Wojsko liczyło na stworzenie inteligentnych psów, które będą służyć jako szpiedzy i przeprowadzać rozpoznania podczas działań wojennych w miastach.

Legenda wskazywała kilka miejsc w Kalifornii, gdzie mogły odbywać się te eksperymenty.

Oddani Misterianie odwiedzili każdą potencjalną kolebkę swojej cywilizacji, ale nie znaleźli żadnych laboratoriów.

Znaleźli osiedla mieszkaniowe. Supermarket. Odrapane małe centrum handlowe. Siłownię. Teren bagienny.

Znaleźli dom spokojnej starości. Tandetny klub z tancerkami na rurze. Park sportowy z boiskami do gry w baseball i piłkę nożną.

Oczywiście obiekt może być tajny, znajdować się pod ziemią albo być zamaskowany w inny sposób.

Niczego jednak nie dałoby się ukryć przed psim węchem. Nosy dostarczały psom więcej wskazówek niż umysły wszystkich detektywów świata razem wzięte.

Ale nie znaleźli śladu ukrytego laboratorium.

Teraz, tej nocy nad nocami, kiedy na Telegrafie huczały wiadomości, Bella czuła, że tworzy się historia. Historia inna, niż kiedykolwiek sobie wyobrażali.

Coś się działo.

Coś wielkiego. Coś wspaniałego.

Dzisiaj Kipp znalazł w Pinehaven chłopca, który potrafi posługiwać się Telegrafem.

Vulcan, owczarek niemiecki, zgłosił istnienie wcześniej nieznaney społeczności ich rodzaju w południowej Kalifornii.

Caesar i Cleo Ishigawa z San Jose zostali rodzicami sześciorga zdrowych szczeniąt.

Zaledwie pół godziny temu nadeszła wiadomość, że Lucy i Ricky, towarzysze Nancy Peltz z Vallejo, dochowali się pięciorga potomstwa.

W ciągu jednego dnia urodziło się więcej osobników ich rodzaju niż łącznie w ciągu ostatnich kilku lat.

A teraz z Oregonu nadeszła transmisja podobna do tej nadanej przez Vulcana z odległej La Jolla.

Mieszaniec o imieniu Ginger zgłosił, że w mieście Corvallis i okolicach mieszka społeczność złożona z czterdziestu osobników.

Członkowie grupy z Oregonu od dawna mieli nadzieję na nawiązanie kontaktu z innymi społecznościami przez Telegraf, przez nich zwany Siecią. Próbowali przez lata bez powodzenia – aż do teraz.

Z wydarzenia na wydarzenie Bella stawała się coraz bardziej podekscytowana.

Podczas gdy rodzina Montellów spała, ona niespokojnie krążyła po domu.

Podeszła do miski z wodą.

Podeszła do kuchennej szuflady, w której przechowywano jej ciasteczka.

Podeszła do swojego pudełka z zabawkami w kącie salonu.

Nie chciała wody, ciastek ani zabawki.

Na początku nie rozumiała, czego chce.

A później zrozumiała. Chciała biegać.

Wszystkie dobre wieści wzbudziły w niej taką radość, że nie mogła usiedzieć na miejscu.

Przebiegła przez salon. Przez hol na parterze.

Biegała w kółko po salonie, wskakując na sofę i fotele.

Do kuchni. Przez swoją kłapę. Przez werandę. Okrążała podwórko jak tor wyścigowy.

Gdy wróciła do domu, padła na chłodne płytki w kuchni z wywieszonym językiem, zziębnięta i szczęśliwa.

Później, gdy już ochłonęła i napiła się, zaczęła się zastanawiać, czy nie pognać na górę.

Chciała obudzić Andreę i Billa. Larinę, Sama, Dennisa i Milly.

Jej ludzie. Jej ukochani.

Pragnęła podzielić się z nimi radością.

Ale nie mogła tego zrobić.

Nie wiedzieli, jak bardzo jest inteligentna, nie mogła mówić, a oni nie mieli dostępu do Telegrafu i nawet nie wiedzieli o jego istnieniu.

Kochała ich, a oni kochali ją, więc jeśli nie mogła mieć więcej, musiało wystarczyć to, co miała.

W tej chwili jednak jej wielką radość nieco przygaszał cichy smutek samotności.

Natura jest zielonym polem bitwy, gdzie silni zawsze polują na słabych. Natura nie dba o to, podobnie jak ziemia, która mimo całego swojego piękna jest twardym miejscem, obojętnym wobec swoich stworzeń.

To umysł ma znaczenie, umysł, który troszczy się, który kocha, którego najlepsze dzieła zmieniają ten twardy świat na lepszy.

Umysł i serce łączyły ludzi i psy przez dziesiątki tysięcy lat. Zawarli sojusz, by przetrwać, i przymierze miłości przeciwko mrokowi tego świata.

Jeśli umysły psów przechodzą przemianę, doznają oświecenia, to może pewnego dnia więź między nimi a ludźmi stanie się jeszcze bardziej satysfakcjonująca, niż była przez tysiąclecia.

Układając kolejny Bellagram, żeby powiadomić Misterian o istnieniu społeczności w Corvallis w stanie Oregon, Bella miała nadzieję, że pewnego dnia na Telegrafie będzie więcej ludzi niż tylko ten chłopiec – Woody.

Miała nadzieję, że gdy nadejdzie właściwy czas, Andrea, Bill, Larinda, Sam, Dennis i Milly poznają ją w pełni.

Miała nadzieję, że pożyje wystarczająco długo, by ujrzeć rozwiązanie tajemnicy Misterium.

Miała nadzieję, że dowie się, dlaczego urodziła się taka, jaka jest, co to wszystko oznacza i dokąd zmierza.

Z pudełka z zabawkami wyjęła twardą gumową kość o interesującym smaku.

Niezależnie od tego, kim była, była też psem.

Zabawkowa kość została wymyślona przez ludzki umysł, wykonana ludzkimi rękami, podarowana jej z miłości, więc nosła pociechę nawet wtedy, gdy Bella była sama, gdy jej rodzina spała.

# MISTERIUM

CZWARTEK 4.00 - NA ZAWSZE



WOODY PRZEBYWAŁ W ŚWIECIE, JAKIEGO dotąd nie znał, niezawstydzany ani przez siebie, ani przez innych. Wyznał Kippowi, że ma lęk przed bliskością, a pies zwierzył mu się ze swojej potrzeby bliskości, dotyku i dzielenia się. Woody czuł, że ukryte w nim głęboko węzły zostały rozwiązane. Nie potrafił powiedzieć, jakiego były rodzaju: psychiczne, fizyczne czy może takie i takie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zniknęły. Wiedział jedno: środek, za pomocą którego on i Kipp otworzyli się na siebie – Telegraf – służy nie tylko dwóm celom, ale także trzeciemu; jest nie tylko środkiem łączności i szybkiej nauki, ale także tajemniczym narzędziem zmiany. Intuicyjnie wyczuwał, że Kipp rozumie ten trzeci cel i sposób, w jaki działa Telegraf, by go osiągnąć. Chciał, żeby golden retriever wyjaśnił mu, jak doszło do rozwiązania węzłów gordyjskich autyzmu, ale nie był to odpowiedni moment.

W tej chwili oprócz niego w domu przebywały cztery osoby – jego mama, Ben Hawkins, Rosa Leon i Carson Conroy, przy czym trójka z nich godzinę temu była Woody’emu zupełnie obca – plus pies, który już nie był obcy; Woody znał go równie dobrze jak siebie. Poza tym wszędzie na zewnątrz byli ludzie szeryfa: dwóch w radiowozie przed domem, na Greenbriar Road; kolejni dwaj w terenówce na końcu podwórka, pod lasem; jeszcze dwóch w SUV-ie zaparkowanym przed schodami tylnej werandy.

Woody zdawał sobie sprawę, że jeszcze niedawno – po zdarzeniu z Shacketem – cały ten zamęt i wszyscy ci ludzie wypłoszyliby go do Zamku Włiwerna. Teraz nie chciał tam odchodzić. Pomyślał, że może już nigdy nie będzie chciał tego zrobić.

Wszyscy ci ludzie, oprócz zastępców szeryfa, zebrali się w salonie przy zasłoniętych oknach. Nikomu jeszcze nie zaproponowano kawy ani doskonałych muffinów pani Brickit, bo każdy miał coś pilnego do powiedzenia, przede wszystkim pan Conroy, który opowiedział im o ucieczce Shacketa i archeonach oraz o dziewięćdziesięciu dwóch ofiarach pożaru w Springville w stanie Utah. Pani Leon opowiedziała im o Dorothy, Kippie i Misterium, o ogromnym spadku



i o tym, że zgodnie z testamentem sprawuje opiekę nad Kippem. To wszystko było bardzo ekscytujące, jak w powieści przygodowej, ale też przerażające. Siedząc na kanapie z łbem Kippa na kolanach, Woody spodziewał się, że będzie zakłopotany, gdy zapytają go o darknet i stronę o nazwie Tragedia, ale bez chwili wahania opowiedział o wszystkim, co odkrył w ciągu ostatnich sześćdziesięciu tygodni, i z jaką satysfakcją szukał sprawiedliwości dla taty. Sam był tym zdumiony. Zastanawiał się: jeśli warzywa, ziemniaki i mięso będą podane na jednym talerzu, to czy widok różnych potraw stykających się ze sobą wywoła u niego mdłości jak wcześniej, czy może będzie w stanie zjeść obiad jak normalny człowiek?

Gdy już wszyscy powiedzieli to, co najpilniej należało powiedzieć, zapadło milczenie, jakby nagle stali się autystyczni, choć prawdopodobnie to zdumienie odjęło im mowę. I równie nagle wszyscy oprócz Woody'ego zaczęli mówić jednocześnie. Byli zgodni co do oceny sytuacji, w jakiej się znaleźli. Woody wsadził kij w mrowisko i wpadł po uszy w gówna, a wraz z nim jego mama. Kipp nie miał zamiaru pozwolić, by rozdzielono go z Woodym, jedyną istotą ludzką mogącą używać Telegrafu, więc i on tkwił po uszy w gównie. Ponieważ Rosa Leon była prawnie i moralnie odpowiedzialna za Kippa, to samo odnosiło się do niej. A że Lee Shacket powiedział panu Conroyowi o prawdziwej naturze eksperymentów w Springville, lekarz sądowy również wpakował się w szambo. Wszyscy stali się wrogami Dorigana Purcella, który prowadził politykę zerowej tolerancji wobec ludzi, którzy, jak wierzył, stanowią dla niego poważne zagrożenie.

Jedyną osobą w pokoju, która mogła odejść i spokojnie żyć dalej, był Ben Hawkins. Powiedział, że wiele razy wpadał w gówna, ale zawsze się z niego wygrzebywał, i z perspektywy czasu uważał to za kształcące doświadczenia. Tworzyli tutaj stowarzyszenie wzajemnej obrony, a może coś w rodzaju rodziny, i uparł się do nich należeć, bo – jak oznajmił – chce być częścią magii Kippa. Słowa o magii Kippa z pewnością były szczerze, ale Woody widział, że Ben patrzy na jego mamę takim wzrokiem, jakim on patrzył na wymyśloną dziewczynę, którą chciałby pocałować, więc Benowi nie chodziło jedynie o Kippa.

– Megan, szeryf przydzielił ci ochronę, ponieważ uważa, że właśnie tu może przyjść Shacket – powiedział lekarz sądowy. – Szeryfa nie obchodzisz ani ty, ani

twój syn, zależy mu wyłącznie na karierze. Jeśli znajdą i załatwią Shacketa, zabierze stąd swoich ludzi. A później, gdyby pojawił się tu ktoś z tej strony w darknecie...

– ...będziemy zdani na siebie – dokończyła.

Carson Conroy pokręcił głową.

– Gorzej. Hayden Eckman bez sprzeciwu przekazał dochodzenie prokuratorowi stanowemu, co oznacza, że wykonuje czyjeś rozkazy, może NSA, może Purcella. Jeśli Purcell chce, żeby ci zabójcy z darknetu mogli bez przeszkód rozprawić się z tobą, z nami, i spróbuje przekupić Eckmana, to zostanie powitany przez niego z otwartymi ramionami. Wtedy nie będziemy mogli polegać na lokalnych stróżach prawa. Co do zastępców zatrudnionych przez byłego szeryfa, Lyle'a Sheldrake'a... Cóż, im bym zaufał. Ale Eckman przeprowadził czystkę w biurze, pozbył się najlepszych ludzi Lyle'a i zwerbował tylu nowych, ilu tylko mógł. Jest wśród nich kilku takich, że gdyby mieli mnie chronić... wolałbym być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

– Mamy wyjechać? – zapytała mama Woody'ego. – Ale dokąd? Nie podoba mi się myśl o ucieczce.

– Dokądkolwiek byś się udała, nie zdołasz się ukryć – powiedział Ben. – Nie, jeśli chce cię znaleźć ktoś, kto ma takie środki do dyspozycji jak Purcell.

– Musimy opracować plan – zaproponował Woody. – To właśnie robią ludzie w opowieściach, kiedy mają naprawdę poważne kłopoty. Opracowują superplan. – Zsunął się z kanapy i Kipp zeskoczył na podłogę. – Pani Brickit upiekła absolutnie pyszne muffiny. Ktoś ma ochotę? Mam zrobić kawę?

Megan, chociaż wyraźnie zmęczona i zmartwiona, zaskoczyła samą siebie przelotnym uśmiechem.

– Woodrowie Eugenie Bookman, spójrz tylko na siebie. Gospodarz pełną gębą.

Woody zarumienił się z zakłopotania, ale zupełnie innego rodzaju niż to, przez które cierpiał tak długo.

– Umieć zrobić kawę – oznajmił i pospieszył do kuchni, a pies deptał mu po piętach.

WICHURA BYŁA GŁOSEM SZALEŃSTWA i Hayden Eckman miał wrażenie, że słyszy w niej wycie wściekłego kojota, krzyk demonicznej hieny i śmiech złego klauna Shacketa. Uciekinier wydawał się szybki i niepowstrzymany jak wiatr, nieuchwytny jak deszcz nadciągający od wczorajszego popołudnia, ciemny jak noc, w której rozpląnął się niczym Dracula ze starych filmów, powiewający peleryną, przemieniający się w nietoperza i znikający.

Ślady krwi urwały się po południowej stronie szpitala, zaledwie dwanaście metrów od miejsca upadku Fentona. Szeryf stał oparty plecami o ścianę budynku i czekał, aż trzech zastępców z latarkami sprawdzi betonowy chodnik i asfaltowy parking w poszukiwaniu charakterystycznej szkarłatnej kropli.

Uprawianie profesji prawnika nie wiąże się z żadnym ryzykiem poza potencjalnym wykluczeniem z palestry, a podczas pięciu lat pracy jako zastępca w zasadzie spokojnym hrabstwie Pinehaven Eckman nigdy nie musiał wyciągać broni. Ani razu nie patrzył w lufę pistoletu przeciwnika. Spodziewał się, że czteroletnia kadencja szeryfa będzie przyjemnym okresem z licznymi okazjami do wzbogacenia się, z odznaczeniami obywatelskimi nadawanymi przez organizacje wdzięcznych biznesmenów i instytucje charytatywne, z szacunkiem okazywanym stróżom prawa oraz szczególną uwagą kobiet, które są zauroczone mężczyznami w mundurach.

Zamiast cieszyć się tymi profitami, niespełna dziewięć miesięcy po rozpoczęciu urzędowania stał plecami do ściany, z dłonią na rękojeści pistoletu, który nosił w kaburze przy pasku, i nerwowo wodził wzrokiem, spodziewając się ataku nagiego szaleńca. Nie byle jakiego nagiego szaleńca. Nagiego szaleńca, który najpierw zerwał pasy rzekomo uniemożliwiające ucieczkę, potem obezwładnił uzbrojonego zastępcę, mierzącego ponad metr dziewięćdziesiąt i ważącego prawie sto kilogramów, a następnie przeżył upadek z drugiego piętra na beton i w jakimś celu, o którym strach pomyśleć, zabrał ze sobą martwego lub rannego stróża prawa.

Mając w bagażniku trzysta tysięcy dolarów i fortunę w diamentach, szeryf rozważał inną przyszłość niż ta, którą planował w czasie ubiegania się o urząd.

Biorąc pod uwagę wypadki ostatnich dwunastu godzin – trzy zabójstwa, pogryzienie zastępcy, sterroryzowanie Megan Bookman i jej syna, i wszystko to dokonane przez jedyne go ocalałego z katastrofy w Springville – śledztwo będzie prowadzone na szczeblu stanowym, a może nawet krajowym. Hayden Eckman wiedział, że jeśli zachowa stanowisko szeryfa, będzie miał pewną możliwość wpływu na wyniki tych dochodzeń. Jeśli straci urząd, stanie się łatwym kozłem ofiarnym dla biurokratów i polityków, którym jeszcze mniej niż jemu zależy na prawdzie.

Zastępca Freeman Johnson oszczędził mu dalszych rozważań o niechybnie ponurej przyszłości, przybывая z meldunkiem, że na wschodnim krańcu terenów szpitalnych znaleziono but mundurowy, należący najwyraźniej do Thada Fentona, zaginionego zastępcy wyznaczonego do pilnowania Lee Shacketa.

Chociaż towarzyszył mu Johnson i obaj szli z ręką na broni, a dwóch innych czekało na nich przy bucie, szeryf Eckman nie chciał brać udziału w tym śledztwie. Wolałby wezwać zwierzchnią władzę i zrzec się jurysdykcji, ale był najwyższym postawionym stróżem prawa w hrabstwie Pinehaven, co okazało się niefortunną konsekwencją wygrania wyborów.

Parking na wschód od szpitala był zarezerwowany dla personelu. Wiatr gwizdał i syczał, omiatając karoserie co najmniej dwudziestu kilku pojazdów, wśród których – albo w jednym z nich – mógł ukrywać się Shacket. Dwaj zastępcy dokonali szybkiego przeszukania samochodów i zapewnili go, że uciekiniera tu nie ma, ale byli to ludzie, których zatrudnił z powodu ich ślepej lojalności. Nie wierzył, żeby solidnie przyłożyli się do tego zadania.

Freeman Johnson, „spadek” po administracji Shel Drake’a, który wcześniej potraktował Shacketa poganiaczem bydła, wzbudzał większe zaufanie. To on znalazł but i poprowadził ich z parkingu do drogi dojazdowej, która biegła wokół kompleksu szpitala.

Tam leżał but, na boku, z rozwiązanymi sznurowadłami. W świetle latarki wyglądał żałośnie, jak bucik uprowadzonego dziecka, którego rodzice już więcej nie zobaczą, tyle że miał rozmiar dwanaście.

Po drugiej stronie ulicy stała kryta blaszanym dachem betonowa ciepłownia obsługująca system klimakonwektorów, dzięki czemu w każdym pomieszczeniu, na oddziale chirurgicznym i w biurach, mogła panować inna temperatura.

– Tam jest. Tam zabrał Thada Fentona. Postawiłbym na to swoją emeryturę – powiedział Freeman Johnson.

W ciepłowni znajdowały się kotły i agregaty chłodnicze wraz z tworzącymi labirynt innymi urządzeniami, łącznie z chłodnią wentylatorową. Jedna gruba rura w tunelu pod drogą i parkingiem doprowadzała do szpitalnego systemu wodę przechłodzoną, a druga przegrzaną; dwie rury powrotne odprowadzały zużytą wodę do budynku, gdzie po przefiltrowaniu była schładzana lub ponownie podgrzewana. O tej porze w połowie okien nie paliło się światło. Niesione wiatrem kłęby pary z kominów chłodni pomykały przez noc niczym procesja potępionych duchów.

Szeryf Eckman nie chciał tam wchodzić. Równie dobrze na dachu budynku mógł płonąć neon z napisem: CHODŹ TU, ŻEBY UMRZEĆ. Freeman Johnson podczas długich lat służby zawsze robił to, czego od niego wymagano, był więc gotów wyciągnąć pistolet i przeszukać budynek. Zastępcy Hardy i Drew byli nie tylko gotowi, ale też chętni aresztować Shacketa, ponieważ byli głupi.

Hayden Eckman zadzwonił po wsparcie. Chciał mieć dwóch ludzi więcej, ze strzelbami. Później zatelefonował do nocnej administratorki szpitala, by dowiedzieć się, kto może o tej porze pracować w ciepłowni.

– W ciągu dnia jest ich trzech, ale na cmentarnej zmianie... to znaczy nocnej... tylko jeden – powiadomiła go administratorka, Janet Fegin. – Eric Norseman.

Gdy szeryf czekał na zastępców ze strzelbami, w jego głowie tłukły się słowa „cmentarna zmiana”.

## 91

ZANIM JOHN VERBOTSKI I BRADLEY Knacker w cadillacu escalade dotarli z Sacramento do Pinehaven, ich współpracownicy z Atropos zdobyli informacje o interesującej ich posesji, włamując się do systemu łączności szeryfa hrabstwa, a także do komputerów urzędu skarbowego i stanu cywilnego.

O 4.43 Verbotski i Knacker, jadąc na północ Greenbriar Road, mijali dom Bookman. Nie byli zaskoczeni widokiem radiowozów z siedzącymi w nich

stróżami prawa, ponieważ w drodze dowiedzieli się o brutalnych poczynaniach Lee Shacketa w tym domu, o jego aresztowaniu i późniejszej ucieczce. Ich klient, Alexander Gordius, nie wspominał o tej komplikacji; najwyraźniej nie miał o niczym pojęcia.

Gdy mijali dom po raz drugi, kierując się na południe, Bradley Knacker zadzwonił pod aktualny numer Gordiusa. Nikt nie odebrał.

– Wracał do swojego hotelu, więc pewnie uderzył w kimono – mruknął Verbotski. – Może przez jakiś czas nie być z nim kontaktu.

– Wiesz, do którego hotelu?

– Nie. Nie powiedział nam tego z obawy, że mógłbym włamać się do komputera w recepcji i poznać nazwisko, prawdziwe albo fałszywe, pod jakim się zameldował.

Dla firmy Atropos działalnością bardziej dochodową niż zabójstwa było szantażowanie wybranych klientów, którzy zapłacili im za wykonanie zlecenia. Gordius, kimkolwiek był, zawsze uważał, by nie zdradzić prawdziwej tożsamości. Zawsze kontaktował się z nimi przez telefony na kartę. Próbowali pobrać jego odciski palców, ale wydawało się, że ich nie ma. Może usunięto je kwasem i laserem CO<sub>2</sub>; Verbotski sam rozważał takie rozwiązanie.

– I co teraz? – zapytał Knacker. Był młodszy od kolegi i w gorącej wodzie kąpany. – Będziemy czekać, póki ten duppek nie raczy odebrać telefonu?

– Nie. Założymy bazę operacyjną. Przygotujemy się do wykonania naszego ruchu. I nigdy nie nazywaj klienta dupkiem.

– Nawet jeśli nim jest?

– Zwłaszcza jeśli num jest.

Organizacja kryjąca się za stroną Tragedia była z gruntu bandycka. Atropos reklamowała się jako firma oferująca agresywne rozwiązywanie problemów wyrafinowanej natury. Utrzymanie tego wizerunku wymagało pewnego umiaru i poczucia przyzwoitości.

Ponieważ przybyli tutaj, by zaatakować dom Bookman, uprowadzić matkę i syna, pomóc w ich przesłuchaniu, a w końcu zabić oboje i pozbyć się szczątków tak skutecznie, żeby nigdy nie zostały odnalezione, muszą zachować dyskrecję.

W miasteczku tak małym jak Pinehaven zarejestrowanie się w motelu, nawet z fałszywym dowodem tożsamości, pozostawiłoby śledczym łatwy trop.

Dlatego ich wspólnicy weszli do systemu komputerowego ratusza i namierzili potencjalną nieruchomość przy Greenbriar Road, prawie półtora kilometra na południe od domu Bookman. Tytuł własności został wystawiony czterdzieści dziewięć lat temu na Charlesa Nortona Oxleya. Pan Oxley figurował na listach wyborców hrabstwa od pięćdziesięciu sześciu lat, co wskazywało, że ma co najmniej siedemdziesiąt siedem lat.

Parterowy dom w stylu ranczerskim stał daleko od autostrady, w cieniu cedrów. Nie było jeszcze piątej, w oknach paliły się światła.

Pojechali międzystanową osiemdziesiątką na południe od Colfax i zatrzymali się na przydrożnym parkingu, gdzie łazienki były brudne jak w najgorszej szkole publicznej w tym stanie. Po wniesieniu walizek do męskiej toalety i ocenie ryzyka złapania zagrażającej życiu infekcji wrócili na parking i przy otwartej tylnej klapie escalade'a rozebrali się do bielizny. Włożyli czarne garnitury, białe koszule i czarne krawaty, stereotypowy strój agentów FBI, który ułatwiał im oszukiwanie ludzi, czym zajmowali się przez większość czasu.

Godzinę przed świtem, prezentując się nadzwyczaj elegancko jak na tę porę dnia, podeszli do frontowych drzwi domu Oxleya. Nie przejmowali się wiatrem: Knacker miał krótkie włosy, niedające się zmierzwić, a rozwiana czupryna Verbotskiego wyglądała jeszcze lepiej niż uczesana. Ich garnitury były dobrze skrojone i uszyte z bogatej mieszanki wełnianej, dzięki czemu nie traciły fasonu nawet podczas wichury.

Oświetlony dzwonek do drzwi był pół wieku młodszy od domu i najwyraźniej zawierał kamerę.

Verbotski uśmiechnął się do niej.

Knacker był zbyt niecierpliwy, by silić się na uśmiech. Był niezawodnym partnerem, dobrze wyszkolonym w sztukach walk, ale wyglądał i zachowywał się jak zabójca. Verbotski mianował się jego mentorem, ponieważ wierzył, że młodszy mężczyzna naprawdę chce być jak najlepszy w swoim fachu. W dzisiejszych czasach wiele osób z młodszego pokolenia nie wie, co to etyka pracy, a ponieważ przez większą część życia byli uzależnieni od technologii i mediów społecznościowych, ich zdolność koncentracji odpowiadała tej, jaką ma

chihuahua z ADHD. W przeciwieństwie do nich Bradley Knacker potrafił się skupić, a ciężka praca go nie zniechęcała. Jeśli uda mu się rozchmurzyć, przywołać na twarz wiarygodny uśmiech i popracować nad cierpliwością, będzie idealnym partnerem do zabijania.

Zapaliło się światło w przedpokoju i z głośnika dzwonka dobiegł głos.

– Czego chcecie?

– Pan Oxley? Pan Charles Oxley? – zapytał Verbotski głośno, żeby stary usłyszał go w szumie wiatru.

– A kto pyta?

Verbotski przysunął fachowo podrobioną odznakę i legitymację ze zdjęciem do obiektywu w dzwonku.

– Agent specjalny Lewis Erskine, FBI. Musimy zadać panu kilka pytań.

– Przed wschodem słońca, cholera?

– Widzieliśmy, że ma pan zapalone światła.

– Jakich pytań? O co, do cholery?

– Dziś wieczorem w domu Megan Bookman doszło do poważnego incydentu.

– Człowiek nie może zmrużyć oka, bo cholerne syreny wyją przez całą noc. Nie mam pojęcia, co się tam stało. Mam od groma własnych problemów. Opieka społeczna od czternastu miesięcy nie wypłaca mi zasiłku. Idźcie stąd.

Bradley Knacker miał taką minę, jakby zamierzał przestrzelić zamek i wyłamać drzwi.

Uśmiechając się i kiwając głową, Verbotski powiedział do dzwonka:

– Ma pan problem z ubezpieczeniem? Może zdołamy pomóc.

– Czternaście miesięcy temu przestali wysyłać mi czeki. Powiedzieli, że nie żyję. Czy ja wyglądam na martwego?

– Wtedy zmarła pańska żona.

– A skąd pan, do cholery, o tym wie?

Verbotski uśmiechnął się przekonująco i pokręcił głową.

– Jesteśmy agentami FBI, proszę pana. Wiemy właściwie wszystko. Przyjechaliśmy do pana, żeby pomóc.

Charles Oxley milczał przez długą chwilę. Jako obywatel nowoczesnego państwa miał niezliczone powody, by rozumieć, że niewielki nadmiar władzy



szybko przeradza się w nadmiar zabójczy, że gdy przedstawiciel państwa twierdzi, że przybył z pomocą, istnieje co najmniej siedemdziesiąt procent szans, że przyszedł wymierzyć karę lub ograbić. W ludzkim sercu tkwi jednak przewrotne pragnienie oddania kontroli tym, którzy sprawują władzę i reklamują swoje dobre intencje, pragnienie wiary w coś, nawet jeśli tym czymś jest ul pozbawiony ludzkiego porządku albo maszyna bez twarzy. Zgodnie z przewidywaniami Verbotskiego gospodarz otworzył drzwi i zaprosił ich do domu.

Oxley miał najwyżej metr siedemdziesiąt wzrostu i był chudy jak szczapa. Jego twarz była strasznie pobrużdżona przez rozpacz albo ciężkie życie. Miał złamany nos i patrzące wyzywająco niebieskie oczy.

Pomimo niskiego wzrostu mógł być w swoim czasie niezłym kozakiem, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Był jednak o pół wieku starszy od Bradleya Knackera i co najmniej o trzydzieści kilogramów lżejszy. Jeden cios pięścią w brzuch niemal oderwał go od podłogi i rzucił do tyłu. Staruszek uderzył plecami o ścianę.

Zanim Knacker zdążył dołożyć mu w twarz, Verbotski powiedział:

– Nie chcemy krwi na całym dywanie. Ktoś może przyjść i nie jest wykluczone, że będziemy musieli otworzyć drzwi.

Knacker chwycił wymiotującego oszołomionego starca za ramiona, pociągnął do kuchni na tyłach domu i posadził na krześle przy stole.

Verbotski znalazł drzwi do piwnicy, zapalił światło i zszedł na dół, żeby się rozejrzeć. Był tam piec na olej opałowy. Spowodowanie wybuchu i pożaru nie będzie trudne.

Gdy Verbotski wrócił do kuchni, Knacker powiedział:

– Mówi, że nie ma dzieci i nie przyjaźni się z sąsiadami.

To dorosłe dzieci i sąsiedzi najczęściej wpadają bez uprzedzenia.

W przedsionku przy kuchni Verbotski znalazł długi wełniany szalik wiszący na haku, ale jeszcze lepsze były przedłużacze w szufladzie na narzędzia. Wziął jeden i udusił nim Oxleya.

Razem z Knackerem zrzucili ciało po schodach do piwnicy. Verbotski zgasił światło. Knacker zamknął drzwi.

Przeszli przez dom, żeby zasunąć żaluzje i zasłony tam, gdzie okna były odsłonięte.

W garażu na dwa samochody stał tylko ford expedition. Verbotcki wprowadził escalade'a na wolne miejsce i zamknął segmentowe drzwi pilotem, który znalazł w aucie Oxleya.

Gdy wrócił do kuchni, Knacker robił kawę.

Ponieważ to zlecenie wymagało czterech ludzi, dwóch z Atropos niedługo wyruszy z Reno w czarnym suburbanie wypakowanym niezbędnym sprzętem. Będą tu za trzy, cztery godziny.

Verbotcki zatelefonował do Reno. Wymienił rzeczy, jakich będą potrzebować do wysadzenia pieca i upozorowania nieszczęśliwego wypadku.

Atropos, do której należała darknetowa strona Tragedia, działała pod przykrywką firmy ochroniarskiej o nazwie Superbezpieczne Jutro, umożliwiającej także pranie pieniędzy. Ich siedziba znajdowała się w Reno, ponieważ w Nevadzie obowiązywały znacznie korzystniejsze przepisy podatkowe.

– Kawa pachnie super – powiedział Verbotcki.

– Stary ma dobrą jamajską mieszkankę – wyjaśnił Knacker. – I doprawiłem ją łyżeczką cynamonu.

## 92

W NIESPEŁNA DZIEŃ ROSA LEON PRZESZŁA z klasy osób o średnich dochodach do klasy tych zamożnych, od cichej akceptacji surowości świata do wiary w jego magiczną naturę, od prozaicznego życia do życia pełnego przygód, i zdumiewała się swoją elastycznością.

Muffiny pani Brickit zostały zjedzone, a kawa wypita. Z zaskakującą szybkością, głównie dzięki temu, że Ben Hawkins miał spore pojęcie o strategii i taktyce, opracowali swego rodzaju plan. Wyszli z założenia, że wkrótce zjawią się bandyci z Tragedii – ZNAJDZIEMY CIĘ – a szeryf Hayden Eckman z powodu niekompetencji i sprzedajności nie zapewni Woody'emu i jego matce sensownej ochrony.

Siedząc na łóżku w jednym z dwóch pokoi gościnnych, Rosa już wypełniała pierwszą część swojego zadania. Zadzwoiła z iPhone'a do prawnika Dorothy Hummel – teraz jej prawnika – Rogera Austina; wiedziała, że ten wstaje wcześniej, jeszcze przed świtem. Nie wspomniała słowem o Kippie, ponieważ Roger nie znał jego tajemnicy. Zwięźle przedstawiła niewiarygodną historię śledztwa Woody'ego w sprawie wypadku jego ojca. Nie powiedziała o zagrożeniu ze strony ludzi stojących za Tragedią. Poprosiła Rogera, by przechował w bezpiecznym miejscu dokument – *Zemsta syna. Rzetelnie zebrane dowody potwornego zła* – już wysłany mu mailem przez Megan. Rosa poprosiła, żeby go przeczytał, a następnie udostępnił dwóm osobom związanym z prawem, sędziom lub stróżom prawa, co do których ma pewność, że nie są skorumpowani i nie dadzą się skorumpować.

– Ale jak poznałaś panią Bookman i jej syna? – zapytał Roger głębokim, melodyjnym głosem, który wzbudziły jej zaufanie, nawet gdyby nie znała tego człowieka. – Nie słyszałam, żebyś o nich mówiła.

– Znam ich dość długo. Wydaje się, że całą wieczność. Słuchaj, Roger, nie powiedziałam, kto jest winny śmierci ojca Woody'ego. Poznasz nazwisko, czytając *Zemstę syna*, i będziesz zaskoczony. Facet jest potężny i bardzo bogaty. Może będzie cię kusić, by uznać ten tekst za wytwór chłopięcej fantazji, ale przysięgam, wszystko w nim jest prawdą. Będą dalsze dowody. – Nie mogła się oprzeć i dodała: – Tu jest pies pogrzebany, Roger. Przeczytaj dokument, przemyśl go. Bardzo potrzebujemy twojej rady, co zrobić, żeby odkrycie Woody'ego zyskało wiarygodność, a potem musimy podjąć odpowiednie działania. Dopóki ta historia nie zostanie opublikowana, Megan i jej syn nie będą bezpieczni.

Zakończyła rozmowę, ale jej rola jeszcze się nie skończyła. Po południu będzie musiała zrobić coś więcej. Teraz wyciągnęła się na łóżku w pokoju gościnnym, mając nadzieję, że trochę odpocznie przed czekającym ją zadaniem. Wątpiła, czy uda jej się stłumić podniecenie na tyle, by zasnąć, a jednak zasnęła.

W CZASIE, GDY ROSA LEON ROZMAWIAŁA przez telefon z Rogerem Austinem, Carson Conroy przebywał we wschodniej części Pinehaven u przyjaciela, Harry'ego Borsella. Zastał go w chwili, gdy Harry zbierał się do wyjścia, żeby jechać do swojej restauracji Four Square Diner w porze porannego szczytu i przy okazji zjeść śniadanie.

Carson i Harry przyjaźnili się nie tylko dlatego, że obaj lubili bekon, ale także dlatego, że należeli do tego samego klubu pokerowego, uczęszczali do tego samego kościoła, kochali przyrodę i byli wdowcami. Trzy lata wcześniej Harry stracił żonę, Melissę, nie w bezsensownej strzelaninie, a przez bezsensownego raka, i Carson pomógł mu przetrwać najgorszy okres żałoby.

Teraz szedł z przyjacielem do budynku gospodarczego za domem. Niskie chmury kłębiły się, sosny kołysały, a wszystkie stworzenia nocy kuliły w swoich norach i gniazdach, jakby zbliżający się powoli świt miał być ostatnim dniem Ziemi.

Poprzedni właściciel wykorzystywał ten budynek jako stajnię. Harry Borsello bał się koni, ale kochał konie mechaniczne i wygodne biwakowanie, więc zlikwidował boksy, żeby zrobić miejsce dla swojej kolekcji: forda mustanga mach 1 twister z 1970 roku z nadwoziem fastback coupe, chevroleta corvette stingraya z 1976, pontiaca GTO z 1968, dodge'a chargera magnum V8 z 1971, nowego czterodrzwiowego pick-upa marki Ford F150 i długiego na jedenaście metrów kampera fleetwooda southwind.

Dwa razy wyruszyli kamperem na tygodniową wyprawę, raz na południe do Yosemite, raz na północ nad jezioro Shasta na ryby. Carson kiedyś pożyczył pojazd na samotną wycieczkę po Nevadzie i Utah. Chciał go znowu pożyczyć.

Harry włączył światła w budynku i zamknął drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– W sumie jeszcze nie zdecydowałem – odparł Carson. Było mu przykro, że okłamuje przyjaciela, chociaż robił to dla jego dobra. Lepiej, żeby Harry nie wiedział, do czego posłuży jego pojazd. – Tylko na kilka dni, może do Mendocino. Ciągnie mnie na wybrzeże.

– Tam pewnie tak nie wieje. Gdy nadciąga deszcz, przesuwa się na południowy wschód, więc będziesz miał ładną pogodę.

Harry podał mu klucz i użył pilota, by odsunąć wielkie drzwi. Masywne krokwie jęknęły. Na szczycie dachu duży wiatrowskaz w kształcie galopującego rumaka wirował z wrzaskiem i rytmicznym stukotem, jakby dosiadał go jeden z dzikich jeźdźców Apokalipsy.

– Wstawię tu twojego explorera, gdy już wyjdiesz – powiedział Harry. – Jeśli rozwalisz fleetwooda, postaraj się nie zabić. Będziesz potrzebny mi żywy, żeby go odkupić.

– Prawdziwy z ciebie kumpel, Harry.

– Co więcej, pokerowe wieczory przestaną być zabawne, gdy nie będę mógł cię ogrywać.

– Dobrze wiem, że nie zarabiasz na tej swojej żalösnej garkuchni. Dlatego pozwalam ci wygrywać. To akcja charytatywna.

Carson pojechał kamperem prosto do domu i zaparkował na podjeździe. Zaopatrzył lodówkę fleetwooda w wodę butelkowaną, coca-colę i cztery pizze pepperoni ze swojej zamrażarki.

Wszedł do salonu i zdjął z gzymsu kominka jedną z mniejszych fotografii Lissy. Wyjął zdjęcie z ramki i wsunął je do kieszeni marynarki.

Chociaż nadchodzące starcie mogło być brutalne, przeczucie mu mówiło, że nie zginie, zanim czwartek stanie się piątkiem, czyli w ciągu najbliższych osiemnastu godzin. Chciał jednak mieć ze sobą zdjęcie Lissy, by móc na nie spojrzeć w chwili przed śmiercią, gdyby jednak nadeszła.

## 94

GDY ROSA LEON UKŁADAŁA SIĘ DO snu, a Carson Conroy pożyczał kampera od Harry'ego Borsella, Ben Hawkins wstawił swojego range rovera, a potem lincolna MKX Rosy Leon do garażu Megan, w którym było miejsce na cztery samochody.

Może zraził się do zastępców przez szeryfa Haydena Eckmana, ale coś w ich zachowaniu, kamiennych twarzach i spojrzeniach ostrych jak szpikulce do lodu sugerowało, że przybyli tutaj nie tylko strzec osób przebywających w domu na wypadek powrotu Shacketa, ale także mieć na nie oko.

Zabrał walizkę z rovera i zaniósł ją na górę do drugiej sypialni gościnnej. Oprócz ubrań i przyborów toaletowych miał w niej pistolet, Nighthawk Custom ACP. Szkielet, zamek, lufa, wydłużona komora magazynka, zwalniacz magazynka i ogranicznik zamka były wykute, nie odlane. Pistolet wyglądał solidnie, jak z drukarki 3D, jakby nie trzeba go było udoskonalać przez kolejne sto lat. Był to najcenniejszy i najbardziej niezawodny pistolet, jakiego kiedykolwiek używał.

Usiadł na łóżku, żeby załadować broń i zapasowy magazynek. Założył kaburę z kydexu na pasek i wsunął do niej pistolet. Na razie nie zamierzał nosić kurtki, by go ukryć. Miał pozwolenie na broń, a gdyby którymś z ludzi szeryfa kierowały niecne motywy, perspektywa oporu zniechęci go do zrobienia czegoś głupiego.

Ben spał tylko godzinę w motelu w Olympic Valley, zanim obudził go Kipp. Potrzebuje więcej snu, jeśli chce wziąć aktywny udział w grze, gdy zjawią się zabójcy z darknetu. Wiedział, że jeśli zbiry stojące za Tragedią nie przyjdą posprzątać bałaganu, zrobi to ktoś inny. Skoro Dorian Purcell zadawał się z tymi zabójcami do wynajęcia, to oznaczało, że równie dobrze mógł mieć dojsście do innych szemranych typów.

Przed położeniem się spać Ben postanowił przejść się po domu, żeby zapoznać się z rozkładem pomieszczeń i sprawdzić, czy w drzwiach i oknach są porządne zamki. Chciał także spróbować przewidzieć, którędy spróbuje dostać się wróg, jeśli zamierza dokonać niespodziewanego najścia.

Nie wszedł do pokoju, w którym spała Rosa Leon, ale sprawdzając inne pokoje, zobaczył, że okna na piętrze są podłączone do systemu alarmowego, z wyjątkiem tych nad dachem werandy. Te, dostępne z zewnątrz tylko po drabinie, nie zostały wyposażone w czujniki, zgodnie z powszechną i głupią praktyką wielu firm ochroniarskich. Potrzebowałyby pół godziny – i zgody Megan – żeby zabić te okna gwoździami, bo nie było czasu na podłączenie ich do systemu.

Wiedział, że Megan jest w gabinecie na dole, zajęta czytaniem raportu syna, i nie chciał jej przeszkadzać. Stwierdził, że drzwi i okna na parterze są dość dobrze zabezpieczone. Aby dostać się do środka, włamywacz musiałyby wybić szybę wyposażoną w czujniki, a te były zaopatrzone w baterie, które w razie odcięcia zasilania podtrzymają je przez kilka godzin.

W bocznym korytarzu zauroczyły go wiszące na ścianach prace Megan, a najbardziej urzekło go płótno powstające w jej pracowni – Woody karmiący jelenia w świetle księżyca.

Kiedy zobaczył ten obraz, ośmielił się uwierzyć, że znalazł kobietę, której szukał przez całe życie. Był romantykiem; ani temu nie przeczył, ani nie szukał usprawiedliwienia. Pomimo wielu dziwactw rodzice Brenadena Septimusa Hawkinsa kochali się i wychowali troje zrównoważonych i szczęśliwych, choć dziwnie nazwanych dzieci. Ben nie chciał kobiety takiej jak mama i różnił się od ojca, miał jednak nadzieję na równie udany związek. Uroda Megan zrobiła na nim piorunujące wrażenie, ale też nie należał do mężczyzn, dla których największe znaczenie ma wygląd. Znał zbyt wiele kobiet, których zewnętrzne piękno maskowało wewnętrzną brzydotę albo, co gorsza, pustkę, która czyni wspólne życie nie do zniesienia. Widział już dowody na to, że Megan ma niezwykły hart ducha, mądrość, dowcip, dobre serce i cechy, których wcześniej nie znalazł u jednej osoby. Ten obraz pokazywał, że Megan odbiera piękno świata w całej jego pełni, a nie tylko jego olśniewającą powierzchnię. Scena na płótnie była dostrzegalną rzeczywistością, ale wzbogaconą tym, co rozum i intuicja mówiły jej o warstwach rzeczywistości niewidzialnych dla oka. Mimo tematu obraz nie był sentymentalny; owszem, przedstawiał cudowną scenę w świetle księżyca, ale także wyrażał kruchość spokoju, którego pragniemy, i mrok, który w każdej chwili może nas spowić.

Służąc w Navy SEALs, Ben walczył za kraj i oddałby za niego życie. Jednak w ciągu ostatnich kilku godzin spędzonych z Megan, Woodym i Kippem narosło w nim poczucie więzi rodzinnych, równie silne jak to w domu rodziców. Ostatecznie to rodzina sprawia, że kraj jest wart walki i umierania, a życie warte życia.

## 95

BEN STANAŁ W OTWARTYCH DRZWIACH gabinetu Megan akurat wtedy, gdy już miała pójść go szukać. Odwróciła się od komputera.

– Wpisałam adres i weszłam na stronę Tragedia w darknecie – powiedziała. – Wyglądała zupełnie jak na zrzutach ekranu w raporcie Woody’ego. Potem nagle zniknęła. Wydaje się, że już jej nie ma. Nie mogę na nią wejść.

– Zlikwidowali ją? Zwinęli interes? – zapytał, podchodząc do biurka.

– Możliwe. – Ta myśl niosła nadzieję. – Skoro wiedzą, że zostali wykryci, chyba powinni chcieć się zmyć? Mając listę klientów, mogą otworzyć się pod nowym adresem, pod inną nazwą. Może to, co zrobił Woody, nie ma dla nich większego znaczenia. Może z ich punktu widzenia to niedogodność, nie katastrofa, więc nie muszą się nami przejmować.

Ben pokręcił głową.

– Jeśli udało im się zlokalizować komputer Woody’ego, to wiedzą, kto tu mieszka, i wiedzą też, że jednym z ich celów był twój mąż. Nie są pewni, czego się o nich dowiedziałaś. Najbardziej przejmują się tym, że możesz mieć listę ich klientów.

– Nie mam listy. Woody znalazł ich, włamując się na pocztę Purcella i ustalając związek między nim a Tragedią przez tożsamość Gordiusa. Nie ma pełnej listy klientów, ma tylko dowody przeciwko Purcellowi.

– Muszą mieć pewność. Przyjdą tutaj, żeby się dowiedzieć.

– Nie tu. Domu pilnuje sześciu ludzi szeryfa.

– Tak, teraz. Ale co będzie, jeśli znajdą Shacketa, zabiją go albo aresztują? Wtedy szeryf wycofa ochronę.

Megan była zmęczona. Przeciągnęła dłonią po twarzy, jakby mogła zetrzeć zmęczenie.

– Więc trzymamy się planu.

– Przynajmniej mamy plan – powiedział Ben. – A oni za cholere nie przewidzą, co ich czeka.

## 96

W CZASIE, GDY ROSA LEON SPAŁA, CARSON Conroy odjeżdżał fleetwoodem Harry’ego Borsella, a Ben i Megan naradzali się na dole...



Kipp i Woody leżeli na podłodze w pokoju chłopca, w centrum tworzącej się historii.

Historycy często przedstawiają punkty zwrotne cywilizacji jako głośne i jasne, pełne huku i błysku.

W rzeczywistości decyzje o rozpoczęciu wojny czy zawarciu pokoju często podejmowane są w ciszy.

Lekarstwa na choroby opracowuje się powoli w laboratoriach, w których nie ma radia ani telewizji.

Kipp i Woody byli na Telegrafii.

W następstwie ostatnich Bellagramów znaleźli się w punkcie zwrotnym historii.

Byli punktem zwrotnym w historii.

Wiedział o tym Kipp, wiedział o tym Woody i wiedzieli wszyscy użytkownicy Telegrafu, i nie było żadnego huku czy błysku.

Wprawdzie Kipp zgodnie z opracowanym planem wyjaśnił sytuację i wygłosił apel, ale gwiazdą był Woody.

Wielu Misterian, choć nie wszyscy, żyło z ludźmi znającymi ich tajemnicę.

Wymyślili sprytny sposób porozumiewania się, coś w rodzaju liter na ścianie w gabinecie Dorothy.

Po raz pierwszy rozmawiali jednak bezpośrednio z człowiekiem.

Mimo ogromnej ekscytacji nie mówili jeden przez drugiego.

Byli zdyscyplinowani i liczyli się z innymi. Byli psami.

Telepatyczny głos każdego Misterianina albo przypominał głos jednego z jego ludzkich towarzyszy, albo któregoś aktora z telewizji.

Woody na Telegramie mówił jak Woody; jak Woody zwolniony z dożywotniego milczenia.

Kipp mówił jak gospodarz pewnego teleturnieju.

Wiekopomne chwile mogą zawierać mniej więcej tyle samo nedorzeczności co te, którym historycy nie poświęcają najmniejszej uwagi.

Po apelu i wysłuchaniu odpowiedzi Kipp i Woody odłączyli się od Telegrafu.

Pies ugryzł chłopca.

To było ugryzienie dla zabawy, bez przebicia skóry.

Woody warknął i wyszczerzył zęby.

Kipp warknął i wyszczerzył większe zęby.

Mocowali się, wymachując łapami i rękami.

Woody skoczył na równe nogi i pobiegł do łazienki.

Kipp wpadł tam za nim.

Woody wyskoczył z łazienki i zamknął drzwi.

Czarny nos Kippa pojawił się w wąskiej szczelinie między drzwiami a podłogą i węszył gorączkowo.

Woody leżał na brzuchu, łaskocząc nos palcem.

Dopiero gdy Kipp szczechnął z frustracji, chłopiec otworzył drzwi.

Położył się na łóżku i naciągnął koc na głowę.

Kipp wskoczył na nie i zaczął wsuwać pysk w fałdy, szukając drogi do swojego chichoczącego towarzysza.

Tak właśnie zachowują się psy i chłopcy, nawet po tym, gdy niczym dźwignia obrócili historię w punkcie podparcia, nawet wtedy, gdy noc przemocy miała zakończyć się świtem dnia, który zapowiadał się jeszcze gorzej.

## 97

GDY SZERYF I JEGO TRZEJ ZASTĘPCY czekali na kolejnych dwóch ludzi ze strzelbami, ciepłownia za szpitalem hrabstwa wydawała się coraz bardziej złowroga. W oczach Haydena Eckmana stała się wylęgarnią wszelkiego zła, kryptą jego losu. Miał wrażenie, że za ciemnymi oknami jest coś bardziej niepokojącego niż pozbawione światła pomieszczenia, że ziele tam bezdenne pustka, z której nie ma ucieczki. Jasne okna go nie uspokajały, a płynące z nich światło wydawało mu się nieziemskie, piekielne.

Nieustanny wiatr szczypał go w oczy, wysuszał skórę i sprawiał, że pierzchły usta, a co gorsza, szarpał mu nerwy, podobnie jak wspomnienie okaleczonej twarzy Justine Klineman i krwi Thada Fentona na chodniku pod oknem na drugim piętrze. Zaczął myśleć, że popełnił błąd, kiedy zlikwidował swoją kancelarię prawną. Trzy razy podchodził do egzaminu adwokackiego i zajmował się wyłudzeniem odszkodowań powypadkowych. Jego dochody były uszczuplane

przez klientów, którzy często wszczynali postępowanie arbitrażowe i wygrywali odszkodowania za zbyt wygórowane opłaty. Ale przynajmniej żaden z nich nigdy nie ugryzł go w twarz ani nigdzie indziej.

W kaskadach czerwonych i niebieskich błysków nadjechał oczekiwany radiowóz bez włączonej syreny. Wygramoliło się z niego dwóch chudych żółtodziobów, którzy nawet ze strzelbami wyglądali równie wiarygodnie jak nieopierzeni młodzi aktorzy grający w filmie prawdziwych mężczyzn. Należeli do grupy tych, których Eckman wybrał częściowo dlatego, że wydawali się zbyt tępi, by kiedykolwiek zauważyć czy choćby zacząć podejrzewać, że szef może być skorumpowany. Wyglądali jak potencjalna pasza czekająca na przeżucie.

Szeryf zarządził, że jeden pójdzie przodem, a drugi będzie zamykać tyły, po czym cierpliwie wiele razy powtórzył, że mają zachować szczególną ostrożność i nie strzelać ze swoich półautomatów kalibru dwanaście gdzie popadnie, a zwłaszcza nie w swoich. Miał tylko nadzieję, że kiwają głowami ze zrozumieniem, a nie mechanicznie jak nakręcane zabawki.

Na niewielkim parkingu przy kotłowni nie było ani jednego pojazdu, choć wydawało się, że powinien stać tam samochód Erica Norsemana, konserwatora z nocnej zmiany.

Pierwszym znakiem, że coś tu nie gra, były otwarte drzwi, uderzające cicho na wietrze o zewnętrzną ścianę.

W oświetlonym przedsionku zobaczyli troje drzwi.

Zastępca otworzył te po prawej i przestąpił próg. Za drzwiami znajdowało się duże pomieszczenie z kotłami, agregatami chłodniczymi, zbiornikami, pompami, maszynami, których szeryf nie był w stanie zidentyfikować, i wszystko to w labiryncie pionowych i poziomych rur z PCV. W pomieszczeniu rozbrzmiewało brzęczenie, pulsowanie, tykanie doskonale skoordynowanych urządzeń i szmer pędzącej pod ciśnieniem wody. Miejsce przypominało oprawę do sceny akcji w filmie o Jamesie Bondzie, pełne zakamarków i masywnych maszyn.

Szeryf Eckman nie chciał go przeszukiwać, chyba że będzie to absolutnie konieczne. Najpierw muszą sprawdzić, co jest za pozostałymi drzwiami.

Potwornie chciało mu się sikać. Powtarzał sobie, że tylko mu się tak wydaje. Lepiej, żeby tak było, bo zsikanie się w spodnie ostatecznie przekreśliłoby jego

szanse na urząd prokuratora stanowego.

Drzwi po lewej prowadziły na balkon z widokiem na bliźniacze chłodnie wentylatorowe. Konstrukcje z blachy stalowej, węzownic kondensacyjnych i wentylatorów bębnowych miały trzy kondygnacje i na różnych poziomach były połączone pomostami. Też wyglądały jak element scenografii z filmu o Jamesie Bondzie i to pomieszczenie było nie mniej zniechęcające niż pierwsze.

Za trzecimi drzwiami, na wprost głównego wejścia, mieściło się biura kierownika. Oprócz dużego biurka znajdowały się tam dwa mniejsze stanowiska pracy. Lodówka. Mikrofalówka. Dwie szafy na akta. Drzwi do małej łazienki były otwarte i nikogo w niej nie było. Za drugimi drzwiami, zamkniętymi, mógł znajdować się schowek.

Szeryf Eckman był prawie pewien, że Lee Shacket nie czai się w schowku, że uciekł samochodem Erica Norsemana, więc wszedł za zastępcą do biura. Jego przekonanie – i mniejsze parcie na pęcherz – wzięło się stąd, że Thad Fenton leżał twarzą do ziemi na prawo od drzwi, a na biurku spoczywało ciało drugiego mężczyzny. Stan zwłok sugerował, że Shacket potraktował je jak śmieci, wyrzucone w trakcie ucieczki.

Kawałki rozbitej czaszki Thada z włosami sztywnymi od skrzepłej krwi leżały w pewnej odległości od tułowia. Wyglądało na to, że brakuje mózgu.

Ciało mężczyzny na biurku, mniej więcej wzrostu i budowy Shacketa, zostało pozbawione wszystkiego, łącznie z butami.

Najwyraźniej nagi uciekinier był już ubrany.

Drugą ofiarą zapewne był Eric Norseman, choć identyfikacji będzie można dokonać tylko na podstawie odcisków palców, ponieważ został brutalnie zdekapitowany i jego głowa zniknęła.

## 98

GDY PIERWSZE SZARE ŚWIATŁO ŚWITU starło plamę nocy z niskich chmur, Carson Conroy zaparkował fleetwooda na brukowanej drodze, która kończyła się na łące leżącej osiem kilometrów od miasta Pinehaven.

Dawne pole karawaningowe zajmowało jedną czwartą piętnastohektarowego terenu lokalnie nazywanego Wygwizdowem. Po przyczepach zostały tylko spękane asfaltowe uliczki, betonowe fundamenty i chwasty. Stan Kalifornia nabył pole i dodatkowy areał pod farmę wiatrową, ale badania wykazały, że przebiega tamtędy trasa migracji kilku gatunków ptaków, co oznaczało, że ogromne wirujące łopaty w ciągu roku uśmiercałyby około czternastu tysięcy naszych pierzastych przyjaciół. Zwolennicy projektu cytowali ekspertów, którzy utrzymywali, że ptaki w końcu nauczą się, że wiatraki stanowią zagrożenie, i za siedem lub osiem lat, po stracie niewiele ponad stu tysięcy osobników, zmienią trasę przelotu. Niestety, doświadczenia innych farm wiatrowych klóciły się z tą optymistyczną oceną ptasiej zdolności do przeprogramowania instynktu. Tereny większości takich farm były regularnie zaściewane przez tyle strąconych ptaków, że wyglądały tak, jakby wszyscy starożytni bogowie stoczyli tam bitwy na poduszki.

Czekając na pierwszego gościa, Carson poszedł do sypialni na tyle kampera, zdjął buty i wyciągnął się na materacu.

Jeszcze nigdy nie był tak zmęczony fizycznie z powodu stresu i braku snu. Jednocześnie nigdy nie był tak ożywiony jak teraz, gdy jego umysł eksplorował cudowną krainę możliwości. Był w równym stopniu przerażony i radosny, co kiedyś uważał za niemożliwe.

Bał się Shacketa – i tego, czym ten się stawał – a badania prowadzone w laboratoriach Refine w Springville napawały go przerażeniem. W naturze ludzkiej leży obsesja na punkcie tego, co negatywne, martwienie się i rozdmuchiwanie najmniejszych iskerek w piekło płomieni. A jednak, czekając na sen, rozmyślał nie o okropnościach genetycznego chaosu, lecz o zdumiewającym Kippie i innych psach z Misterium, które pozna.

Jako badacz świata przyrody wiedział, że natura jest zieloną maszyną, obojętną na los stworzeń – od myszy po ludzi – które walczą w niej o przetrwanie. Każda maszyna służy jednak do tego, by jej używać, i siła korzystająca z natury zdołała stworzyć cuda, z których jednym jest ludzkość, a drugim – Misterium.

Dorian Purcell poprzez prace w obecnie zniszczonych laboratoriach w Springville starał się znaleźć drogę do transludzkiej przyszłości, w której

obecne i przyszłe pokolenia wyzbędą się ograniczeń. Może miał rację, wierząc, że człowiek może przewyższyć swojego dzisiejszego odpowiednika. Ale ogromnie się mylił, wierząc, że taką zmianę można wprowadzić dzięki nauce, która pomimo wszystkich ostatnich osiągnięć nadal jest prymitywnym narzędziem.

Carsona oczarowała myśl, że bez względu na to, jaka siła używa maszyny natury, to może właśnie ona udoskonala ludzi i podnosi jakość ich egzystencji, chociaż w sposób bardziej elegancki i zadziwiający niż metody finansowane przez Purcella w Refine. A jeśli człowiekowi od zawsze było pisane nie to, żeby stał samotnie na szczycie natury, lecz to, że ma dzielić tę wysoką pozycję z innym gatunkiem, który z nim nie konkuruje, a go uzupełnia? A jeśli dziesiątki tysięcy lat temu, kiedy psy i ludzie po raz pierwszy sprzymierzyli się przeciwko okrucieństwu obojętnej natury, rozpoczął się proces, który nieuchronnie prowadził do stopniowego zwiększania psiej inteligencji? A jeśli więź miłości między tymi gatunkami sprawiła, że psy coraz bardziej starały się zrozumieć i poznać swoich dobroczyńców? A jeśli ta pogłębiająca się więź zaczęła przyspieszać zmiany zachodzące w naszych czworonożnych towarzyszach, aż pewnego dnia pojawiły się wśród nich osobniki obdarzone zdolnością telepatycznego porozumiewania się między sobą?

Rzeka „a jeśli” ukołysała Carsona Conroya do snu. Śnił o psach, o wspaniałym wachlarzu ras, o świecie przemienionym w najbardziej magiczny sposób. Spał, dopóki pukanie do drzwi kampera nie zbudziło go do nowego, zdumiewającego świata.

## 99

SZERYF ECKMAN MYŚLAŁ, ŻE TA NOC nigdy się nie skończy, poranek nigdy nie nadejdzie, ale gdy wreszcie nastał, żałował, że tak się stało. Przefiltrowane przez chmury poranne słońce było światłem winy, światłem odpowiedzialności i nie było przed nim ucieczki.

Tu rozbita czaszka, tam bezgłowy Norseman. Wiatr szaleje jak wściekłe wilki, dźwięki maszyn przepełniają budynek, jakby produkowano tu roboty

apokalipsy.

Szeryf Hayden Eckman czuł, że jego świat rozpada się na kawałki jak strzaskana czaszka Thada Fentona.

Nikt nie mógł znaleźć Carsona Conroya. Powinien być pod telefonem przez całą dobę, na wypadek gdyby miejsce zbrodni wymagało jego obecności. Ale nie odbierał telefonu i nie było go w domu.

Jim Harmon, asystent Conroya, robił zdjęcia, zbierał dowody, zajmował się zwłokami, ale nie był doktorem Carsonem Conroyem, był tylko Jimem Harmonem, asystentem lekarza sądowego, i miał zaledwie trzydzieści cztery lata, a hrabstwo Pinehaven nigdy nie widziało większej zbrodni i bardziej morderczego szalu, który mógł poza życiem ofiar zniszczyć także karierę Haydena Eckmana.

Eckman nie mógł wytrzymać w biurze kierownika ciepłowni z całą tą krwią i ludzkimi tkankami. Kiedy kandydował na urząd, nigdy nie przeszło mu przez myśl, że pewnego dnia znajdzie się w cholernej rzeźni i zobaczy rzeczy, które do końca życia będą go przyprawiać o koszmary. Parcie na pęcherz, które groziło, że zmoczy się na oczach zastępców, było niczym w porównaniu z odruchem wymiotnym, narastającym za każdym razem, gdy myślał, że go stłumił; gardło paliło go od kwasu żołądkowego, który płynął w górę i w dół, w górę i w dół.

Udając, że nie chce wchodzić Jimowi Harmonowi w drogę, ulokował się w dużym pomieszczeniu z bojlerami i agregatami chłodniczymi. Siedział na najwyższym szczeblu trzystopniowej drabinki. Tętnienie pomp przepychających wodę przez labirynt izolowanych rur czasami zgrywało się z rytmem odruchu wymiotnego, ale było to lepsze niż widoki i zapachy w biurze.

Freeman Johnson, który powiadomił go o zaginięciu auta Erica Norsemana – z pewnością skradzionego przez Lee Shacketa – miał więcej złych wieści. Norseman jeździł czarnym pick-upem Forda z 1948 roku, odrestaurowanym i podrasowanym. Samochód można było łatwo namierzyć, wydając list gończy, ale brak GPS-u oznaczał, że nie da się go zlokalizować szybko.

– Nawiasem mówiąc, teraz nie ma wątpliwości – powiedział Johnson na zakończenie.

– Co do czego?

– Mózg Fentona zniknął.

Eckman skrzywił się.

– Myślałem, że to już było oczywiste.

– Jim Harmon musiał przeprowadzić dokładne przeszukanie.

– Co, spodziewał się, że znajdzie mózg w szufladzie biurka?

– Z takim wariatem nigdy nic nie wiadomo.

– Skończył już szukać?

– Będzie potrzebować jeszcze godziny. Znałeś Norsemana?

– Nie. Nie rozpoznałbym głowy.

– Jim mówi, że na pewno nie ma jej w ciepłowni.

Szeryf nie chciał rozmawiać o zaginionej głowie.

– Wiesz, jak niektórzy ją nazywają? – zapytał Johnson.

Szeryf odpowiedział milczeniem i miał nadzieję, że Johnson zrozumie aluzję.

Ale ten nie zrozumiał.

– Kubelkiem na lunch Shacketa.

Hayden Eckman wzdrygnął się.

– Mam przerąbane – rzucił.

## 100

WE ŚNIE WOODY BYŁ w Zamku Wiwerna i Kipp mu towarzyszył, sny chłopca i psa były zsynchronizowane tak jak ich pochrapywanie. Razem przeszli po moście zwodzonym nad fosą i pod broną pierwszej bramy na przedzamcze. Niebo było błękitne, bez błyskawic, a smoki nie latały, gdy szli przez drugą bramę na wewnętrzny dziedziniec. Wspięli się po spiralnych kamiennych schodach w południowo-zachodniej wieży i przez okute drzwi weszli do wysokiej komnaty z drewnianym stropem i wąskimi oknami wychodzącymi na cztery strony świata.

Pies i chłopiec obracali się, patrząc w okna.

Niebo pozostało błękitne.

Wszystkie smoki zostały pokonane.

Gdy wykonali pełny obrót, zamek zniknął.



We śnie stali na łące z widokiem na morze.

Łąka rozciągała się na sto, tysięcy kilometrów od morza.

Znikąd pojawił się balon napęczniony helem.

Sunął nad łąką.

Widniały na nim czerwone słowa STO LAT.

Chociaż nie był to dzień urodzin ani Kippa, ani Woody’ego, nie mogli się oprzeć dryfującemu nad łąką balonowi. Jasny, lustrzany balon z czerwoną atlasową wstążką wydawał się ważny. Musiał coś oznaczać. Pobiegli do niego z entuzjazmem. Kipp skoczył, by chwycić w zęby długą wstążkę; nie udało mu się, Woody skoczył wyżej i też jej nie złapał, ale nie zamierzali się poddawać. Nigdy się nie poddadzą. Śmiejąc się, szczekając, pędzili przez łąkę. Biegli i biegli przez wysoką do kolan złotą trawę.

## 101

O DZIESIĄTEJ W CZWARTEK, PO TRZECH godzinach głębokiego, choć pełnego koszmarów snu, Megan zeszła na dół do kuchni, gdzie powitał ją zapach zapiekanego sera, sosu pomidorowego i bazylii. Ben Hawkins pełnił służbę jako strażnik i kucharz.

Stała w drzwiach i patrzyła, jak kończy układać warstwy lasagne w drugiej blaszce, żeby włożyć ją do piekarnika po wyjęciu pierwszej. Nie widział jej i cicho śpiewał starą piosenkę Boyz II Men, *4 Seasons of Loneliness*, która w jego ustach brzmiała optymistycznie.

– Nawet gotujesz – powiedziała.

Spojrzał na nią.

– Ja nazywam to pichcieniem. Nie każdy, kto spróbuje efektów, uważa, że „gotowanie” jest odpowiednim określeniem.

– Naprawdę wierzysz, że będziemy coś świętować.

– Wielu ludzi do mnie strzelało, nikt nigdy mnie nie trafił, więc samo to jest niezłym powodem do świętowania. – Nałożył sos na wierzchnią warstwę płatu ciasta. – Przejrzałem twoją spiżarnię, jest ogromna, i gigantyczną zamrażarkę. Gdy patrzyłem na te wszystkie paczki makaronu, hamburgery z polędwicy

wołowej i piękne steki, których wystarczyłoby na kilka przyjęć z okazji Dnia Niepodległości, spłynęło na mnie natchnienie. Najpierw powiedziałem sobie: „Ben”, bo mówię do siebie Ben, „Ben, ta kobieta poważnie się martwi, że bydlę wyginie”, a później mnie olśniło, by wykorzystać te rzeczy, bo wiem z dobrego źródła, że bydlę nie wyginie co najmniej przez kolejne tysiąclecie.

– Lubię być przygotowana na wszystko – powiedziała Megan. – Mamy generator na propan, więc możemy zasilać cały dom przez miesiąc, gdyby padła elektrownia.

Pokiwał głową.

– Na wypadek gdyby zajęli ją terroryści – dodała.

– Albo spłoszone bydlę rozniosło ją kopytami.

Nakładał mozzarellę na wierzchnią warstwę makaronu. Wiedział, co robi.

– Zakładam, że Woody lubi lasagne.

– Pod warunkiem że lasagne i sałata będą na osobnych talerzach.

– Może już ma to za sobą.

– Byłoby cudownie. Ale cokolwiek będzie, nie ma lepszego dziecka. Moja kolej na wartę. Prześpij się, póki możesz.

– Sześciu zastępców szeryfa odjechało, a sześciu nowych przyjechało. Jakies dwie godziny temu.

Spojrzała przez szybę w tylnych drzwiach na policyjnego SUV-a zaparkowanego przed werandą.

– Dopiero zacząłem pichcić – powiedział. – Jest tu jeszcze sporo do zrobienia.

– Dobrze. To oderwie moje myśli... od wszystkiego.

– Pierwsza blacha wychodzi z piekarnika za pięć minut – oznajmił Ben.

Umył ręce i wytarł je papierowym ręcznikiem.

Megan stała przy piekarniku, wpatrując się w lasagne.

– Podobają mi się twoje obrazy – odezwał się. – Są bardzo dobre.

Wzruszyła ramionami.

– Tylko to umiem robić.

– Wątpię. Chciałbym z tobą o nich porozmawiać, kiedy ta sprawa się skończy.

– Mam nadzieję, że nie będziesz musiał długo czekać.

– Na pewno nie.

Poszedł do drzwi. Już miał wyjść na korytarz, gdy Megan zapytała:

– Który podoba ci się najbardziej?

Odwrócił się i uśmiechnął.

– Wszystkie. Podoba mi się każdy, który widziałem.

## 102

HASKELL LUDLOW ZBUDZIŁ SIĘ w trzypokojowym apartamencie w hotelu w Sacramento dziesięć po jedenastej po zaledwie pięciu godzinach snu. Śniły mu się zabójstwa w opuszczonym centrum handlowym. Wstał z łóżka i poszedł do najbliższej z trzech łazienek. Gdy już się załatwi, pójdzie do innej sypialni ze świeżą pościelą i bez koszmarów tylko czekających, żeby znowu go otoczyć.

Złe sny towarzyszyły mu nieodłącznie od tylu lat, że zaczął się zastanawiać, czy jakaś nadprzyrodzona istota, może zły bliźniak piaskowego dziadka, czuje do niego niechęć i dlatego zsyła mu przerażające wizje. Z początku uważał tę myśl za niepoważną, ale z czasem zaczął traktować ją bardziej niż w połowie poważnie. Zmiana sypialni w środku nocy była działaniem wymijającym. W swoim domu w Menlo Park, gdzie mieszkał, gdy nie podróżował, miał dziewięć sypialni i korzystał z nich na zmianę.

Gdy szedł przez salon apartamentu, usłyszał dzwonek leżącego na stoliku telefonu na kartę. Tylko John Verbotki i Bradley Knacker z firmy Atropos znali ten numer i Ludlow miał zamiar zniszczyć telefon po zakończeniu sprawy z Megan Bookman w Pinehaven.

Usiadł na sofie i odebrał po trzecim sygnale jako Alexander Gordius.

– Tak?

– Próbuje cię złapać od wielu godzin – powiadomił go John Verbotki.

– Byłem wykończony, spałem.

– My też się trochę przespaliśmy, ale na zmianę.

– Cóż, ja nie mam nikogo, kto by mnie zastąpił. Co się dzieje?

– Jesteśmy na miejscu, we czwórkę, ale nie możemy złożyć wizyty tej pani, bo chroni ją sześciu ludzi szeryfa.

– Sześciu? Skąd wiedział, że będzie jej potrzebna ochrona? – zapytał z konsternacją Ludlow.

– Nie przed nami. Słuchamy policyjnego radia. Chronią ją przed jakimś Nathanem Palmerem, który na nią napadł.

– Kim, do diabła, jest Nathan Palmer?

– Wczoraj po południu zabił dwie osoby. Naprawdę nazywa się Lee Shacket.

Ludlowowi odjęło mowę. Lee Shacket? Dyrektor Refine? Znał tylko doniesienia mediów o wydarzeniach w Springville.

– Przecież Shacket nie żyje – rzucił. – Jak wszyscy inni.

– Jak wszyscy inni?

Ludlow przez chwilę zagryzał wargę.

– Shacket kiedyś znał Megan Bookman, dawno temu – odezwał się w końcu. – Dlaczego, do diabła, miałby teraz się na nią uwziąć?

– A dlaczego wariaci prześladują kobiety? To pytanie retoryczne.

– Kim były te dwie osoby zabite przez Shacketa?

– Cztery. Zabił jeszcze dwie od czasu, gdy nie udało mu się dorwać tej kobiety.

Verbotski opowiedział o zabójstwach. Ludlow nie skrywał zdumienia.

– Odciał głowę? Gryzł ludzi? Zjadał ludzi?

– Części, nie całych – wyjaśnił Verbotski. – To jakiś dewiant. Znasz go?

Ludlow zignorował pytanie.

– I nadal jest w Pinehaven?

– Nie wiedzą. Ukradł pick-upa. Ucieka. To ford z czterdziestego ósmego, hot rod. Znalazienie go nie powinno być trudne.

– Cholera jasna, to ważna wiadomość. Od kilkunastu godzin nie włączam telewizora. Na pewno o tym trąbią.

– Jeszcze nie. Szeryf nie wydał oświadczenia.

– Nie wydał oświadczenia w sprawie czterech zabójstw i podejrzanego na wolności? To obłąd. Pierwsze morderstwa popełnił wczoraj... Kiedy... po południu?

– Tak. Ale wygląda na to, że zeszłej nocy sprawę przejął prokurator stanowy w Sacramento.

Ludlow podniósł się z sofy.

– Tio Barbizon?

– Tak, chyba tak.

Shacket powinien spłonąć w Springville. Nie spłonął. Tio Barbizon przejął sprawy dwóch pierwszych zabójstw – i nie zwołał jeszcze konferencji prasowej ani nie wydał oświadczenia. Tio od zawsze siedział w kieszeni Doriana Purcella.

Ludlow stał w milczeniu z telefonem przy uchu tak długo, że Verbotski w końcu spytał:

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Nie możemy dobrać się do tej pani, nie z tymi ludźmi szeryfa.

– Czekać. Sprawa jest aktualna. Muszę zadzwonić. Później się do ciebie odezwę.

Ludlow zakończył połączenie.

Podniósł ze stolika drugi telefon. Ten służył do kontaktów z Dorianem Purcellem, do informowania go o sytuacji związanej ze stroną Tragedia i zabójstwami na zlecenie. Była do niego przyklejona karteczka z numerem jednorazówki Dorian. Gdy tylko zostanie rozwiązany problem zagrożenia bezpieczeństwa, Ludlow i Purcell zniszczą obie komórki.

Biorąc pod uwagę stale rosnącą aktywność przestępczą w kraju, Haskell Ludlow pogratulował sobie, że dawno temu zainwestował spory kapitał w rynek jednorazowych telefonów.

Wpisał numer Dorian.

## 103

SIEDZIBA FIRMY PARABLE W SUNNYVALE w Kalifornii mieściła się w apartamencie o powierzchni siedmiuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Tam Dorian Purcell był w centrum wydarzeń, gdy szykowano się do nowego przejścia albo wprowadzano na rynek nowy produkt, albo gdy jakiś polityk nalegał na bezpieczne spotkanie twarzą w twarz, aby ustalić warunki, na jakich

sprzeda swój urząd i wyborców. W ten wrześniowy czwartek Doriana tam nie było.

Nieco dalej na wybrzeżu, w Palo Alto, miał rezydencję o powierzchni ponad tysiąca metrów kwadratowych na prawie hektarowej działce z widokiem na zatokę San Francisco. Mieszkał tam z narzeczoną, Palomą Pascal, wykształconą, czarującą i oszałamiająco piękną, potrafiącą poruszać się z pewnością siebie i gracją w najbardziej wyrafinowanych kregach, wywierającą pozytywne i trwałe wrażenie na wszystkich. Paloma będzie jego narzeczoną, dopóki nie zacznie nalegać na ślub. Doriana nie było w tej chwili także w tej rezydencji.

W okazałym budynku na szczycie Nob Hill, w sercu San Francisco, miał dwupoziomowe mieszkanie o powierzchni tysiąca trzystu metrów kwadratowych ze spektakularnym widokiem na miasto, od najwspanialszych i najśłynniejszych budynków po obozowiska bezdomnych i obsrane chodniki. Mieszkał w tym przepięknie urządzonej apartamencie z dwudziestotrzyletnią Saffron „Sunny” Ketterling, jeszcze bardziej oszałamiająco piękną niż Paloma Pascal. Sunny była również niezwykle gibka, ponieważ od szóstego roku ćwiczyła gimnastykę artystyczną. W tym momencie – dwadzieścia minut przed południem – spała. Oboje poszli do łóżka kwadrans po pierwszej, ale zasnęli dopiero po szóstej, gdy nie mieli już żadnych innych pozycji do wypróbowania.

Dorian obudził się o wpół do jedenastej, po czterech godzinach snu. Od późnego dzieciństwa, kiedy w pełni zrozumiał pojęcie śmierci, spał nie więcej niż pięć godzin na dobę, a gdy zdarzyło mu się wydłużyć ten czas, czuł się skarcony przez kostuchę. Teraz siedział w swoim gabinecie na dolnym poziomie, przy ogromnym biurku ze stali nierdzewnej i niebieskiego kwarcytu, jedząc śniadanie, które podał mu lokaj, Franz. Spożył również pierwsze czterdzieści ze stu dwudziestu czterech suplementów witaminowo-mineralnych, jak co dzień, i układał tekst, który miał wygłosić podczas nabożeństwa żałobnego za pracowników firmy Refine, ofiary tragicznego pożaru ośrodka w Springville.

Kiedy zadzwonił jednorazowy telefon, wiedział, że to Haskell Ludlow, bo tylko on znał ten numer.

Odebrał.

– Życie jest dobre.

– Życie jest skomplikowane – powiedział Haskell.

– Mów.

– Nasi starzy przyjaciele zajmujący się zwalczaniem szkodników zlokalizowali tego nieznosnego karalucha. I wypadli z interesu.

A więc ludzie z Tragedii nie żyją. Ale namierzyli karalucha, hakera.

– Nasi nowi przyjaciele zajmujący się zwalczaniem szkodników – kontynuował Haskell – są gotowi do wykonania roboty.

To Verbotski i chłopcy z Atropos.

– Ale nasz problem – ciągnął Haskell – i twój problem stały się tym samym problemem.

– Jak to?

– Nie powiedziałeś mi, że jeden z dziewięćdziesięciu trzech przetrwał wielki wybuch i wyruszył w drogę.

Shacket.

– Nie musiałeś wiedzieć – rzucił Dorian. – A jak się dowiedziałeś?

– Wczoraj Pan Dziewięćdziesiąty Trzeci był niegrzeczny. Wiesz, ile razy?

– Dwa – odparł Dorian, który wiedział o zabójstwie Spadera i Klineman.

– Dwa razy wczoraj po południu. Najwyraźniej nie wiesz, że potem poszedł do jej domu, urządził scenę, trzeba go było obezwładnić, ale nie zadziałało, i znów dwa razy był niegrzeczny.

Dorian odsunął resztki śniadania.

– Do jej domu? Jakiej jej? Czy nie możemy nazywać rzeczy po imieniu?

– Właściwie niechętnie.

– Nikt nas nie słyszy, a jeśli nawet, to nie wie, kim my, kurwa, jesteśmy.

Wciąż owijając w bawełnę, Haskell powiedział:

– Pamiętasz faceta, który chciał nasrać do twojego ogródka z archeonami?

Jason Bookman.

– Pamiętam.

– Wdowa po nim jest w tym mieście. Dziewięćdziesiąty Trzeci ma coś do niej. W drodze do jej domu był niegrzeczny dwa razy. Potem narozrabiał u niej, skończył w bransoletkach, znowu był dwa razy niegrzeczny i teraz hula wolny.

– Dlaczego wiem tylko o dwóch pierwszych? Dzięki naszemu przyjacielskiemu prokuratorowi jesteśmy właścicielami tego zadupia.

Powinniśmy być informowani na bieżąco. Panuje taka cisza, jakby nic się nie stało.

– To zadupie to nie sielskie *Mayberry R.F.D.*, a tutejszy szeryf najwyraźniej kreuje się na gwiazdorskiego stróża prawa.

Witaminowa breja podeszła Dorianowi do gardła. Z trudem przełknął ślinę i napił się koktajlu z jarmużu.

– Zrobię z niego hycła. Ale nadal nie rozumiem, jak nasze dwa problemy stały się jednym.

– Nasi przyjaciele od zwalczania szkodników, ci, którzy już wypadli z interesu, wytropili hakera aż do źródła. Wdowa.

– Żartujesz?

– Jakimś cudem dowiedziała się o Gordiusie, zdobyła twoje hasło do Tragedii i teraz gromadzi dowody.

– Niewdzięczna suka – warknął Dorian.

– Może powinieneś był zostawić jej ten pakiet akcji.

– Według moich obliczeń jeszcze się jej nie należał. Nie jestem, kurwa, Świętym Mikołajem. Co cię powstrzymuje przed ukończeniem pracy?

– Przyszły hycel zapewnił jej ochronę na wypadek powrotu twojego niegrzecznego chłopca. Sześciu ludzi. Musisz załatwić, żeby pojechali na pączki.

– Zaraz się tym zajmę. A co z panem Dziewięćdziesiątym Trzecim?

– Odciął głowę jakiemuś nieszczęsnemu sukinsynowi i ukradł jego pick-upa, hot roda, łatwego do namierzenia. Uznali, że już dawno się zmył, chociaż wolą nie ryzykować i dlatego ochraniają wdowę. Z tym facetem dzieje się coś rodem z *Archiwum X*. Masz może pojęcie co?

Wpatrując się w stygnące jajka z awokado i mięsem kraba na talerzu, Dorian odparł:

– Nie. Nie mam pojęcia.



Dom był wystarczająco duży dla jednej osoby, ładnie umeblowany, wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt, ale szeryf nie był z niego dumny, a nawet się go wstydził. Wiedział, że gdy pewnego dnia osiągnie status, na jaki zasługuje, i zamieszka w znacznie większym, znacznie wspanialszym domu, nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że zawsze żył na wysokim poziomie i należał do elity. Do pewnego stopnia można zafalszować pochodzenie i przeszłość, niektórzy jednak będą pamiętać, że to tu kiedyś mieszkał ten wielki człowiek, kiedy nosił mundur i ocierał się o pospolitość.

Teraz musiał pogodzić się z myślą, że być może nigdy nie zamieszka we wspanialszej rezydencji. To takie niesprawiedliwe. Zrobił wszystko dobrze. Wykorzystał wykształcenie prawnicze, by wypromować się na szeryfa, i obsadził biuro lojalnymi ludźmi, którzy pilnowali, by wszystkie osiągnięcia sił porządkowych hrabstwa Pinehaven szły na jego konto, a nawet przynosiły mu chwałę. Wytrwale pielęgnował kontakty z władzami w sąsiednich hrabstwach i w Sacramento. Wydał na siebie mniej pieniędzy z funduszy na kampanię, niżby sobie tego życzył. Miał trzysta tysięcy dolarów w gotówce, zabrane z dodge'a Shacketa, chociaż mógł być zachłanny i zabrać także pozostałe sto tysięcy. I mimo że wszystko robił dobrze, znalazł się na krawędzi ruiny.

Jego umowa z Tio Barbizonem wymagała, by informował prokuratora stanowego o postępach w sprawie. Ale przystał na ten warunek i przekazał śledztwo dotyczące zabójstwa Spadera i Klineman do Sacramento tylko dlatego, że sądził, że sprawca już dawno wyjechał z hrabstwa Pinehaven i nic więcej się tutaj nie wydarzy.

Potem wybuchł chaos i jedno brutalne zdarzenie goniło drugie. Aż do katastrofy w szpitalu szeryf wierzył, że uda mu się opanować sytuację i obrócić ją na swoją korzyść. Zamierzał przygotować błyskotliwe oświadczenie dla prasy, z przypisaniem sobie wyłącznej zasługi za pojmanie obłąkanego uciekiniera – będącego nie tylko zbrodniczym psychopata, ale także byłym dyrektorem generalnym Refine, odpowiedzialnym za katastrofę w Springville! Planował przekazać łajdaka prokuratorowi stanowemu zaraz po tym, jak złoży oświadczenie dla prasy, żeby Tio nie zagarnął zasługi dla siebie.

Ale teraz nie żyły dwie kolejne osoby, Shacket był na wolności, a on nie informował prokuratora stanowego na bieżąco. Powiedzieć, że ma przesrane, to

mało, w rzeczywistości siedział w gównie po szyję. A za chwilę wybuchnie kanonada gówna, której on będzie jedynym celem.

Wrócił do domu rzekomo po to, by napisać oświadczenie dla prasy. Nie mógł tego zrobić, ponieważ byłoby to równoznaczne z listem samobójczym.

Wrócił do domu, wiedząc, że Lee Shacket jest na wolności, a nigdzie indziej w Pinehaven nie czuł się bezpiecznie. Miał pierwszorzędny system bezpieczeństwa i pistolety ukryte w każdym pokoju. Wciąż był w mundurze z bronią na biodrze. Opuścił wszystkie rolety i pozaciągał zasłony.

Kiedy był prawnikiem reprezentującym szarlatanów chętnych wymyślać obrażenia albo fantastycznie wyolbrzymiać te rzeczywiste, jego najbardziej niebezpiecznymi klientami byli ci, którzy dochodzili prawnego zadośćuczynienia w sądzie lub w drodze arbitrażu, gdy odkryli, że w taki czy inny sposób ich oszukał – jakby wszyscy nie oszukiwali. Ale żaden z nich nigdy nie próbował go zabić.

Szeryf czuł, że po ostentacyjnym i nagrywanym przez Ritę Carrickton przyjęciu Shacketa do szpitala na oddział psychiatryczny być może nieświadomie stał się celem wściekłości szaleńca. Był tylko stróżem prawa, wykonującym swoją pracę. Ale kto wie, jaka irracjonalna niechęć może wykluczyć się w umyśle maniakałnego zabójcy?

Zniknął mózg Thada Fentona.

Podobnie jak głowa Erica Norsemana. Kubełek na lunch Shacketa.

Szeryf niespokojnie krążył po domu, na górze i na dole, niemal przekonany, że nie jest sam. Pozapalał wszystkie lampy, a mimo to pokoje roily się od cieni; chwilami zdawało mu się, że kątem oka widzi ruch, i wtedy obracał się z drgnieniem, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

Każdy dźwięk powodowany przez wiatr, każde skrzypnięcie, trzask i grzechotanie przypisywał nie protestom domu, a skradającemu się w sąsiednim pokoju prześladowcy.

Bał się, że gdy się odwróci, zobaczy Shacketa szczerzącego w uśmiechu zakrwawione zęby. Powtarzał sobie, że to irracjonalny lęk, że musi się uspokoić. Ale czy spodziewanie się, że ten facet dokona rzeczy niemożliwych, było naprawdę irracjonalne? Skoro Shacket zdołał uwolnić się z pasów na oddziale psychiatrycznym i uciec przez okno z drugiego piętra, jakby umiał latać, to kto

powie, że nie wejdzie do zamkniętego, w pełni zabezpieczonego domu łatwo jak mrówka przez dziurkę od klucza?

Szeryf nie pił zbyt często, ale gdy niepokój narastał, zaczął się kurować szkocką Macallan, najpierw z lodem, a później czystą, bo denerwowało go grzechotanie kostek lodu. Liczył się z tym, że alkohol przytępi mu zmysły i uczyni go bezbronnym w razie ataku, ale strach przyspieszył mu metabolizm do tego stopnia, że whisky wcale na niego nie działała.

Gdy bezsensownie krążył wokół wyspy w kuchni, zadzwonił jego prywatny smartfon, wsunięty w kieszonkę pasa wraz z telefonem służbowym. Eckman wyposażył w prywatne telefony pięciu najbardziej zaufanych zastępców i poinstruował ich, że w pewnych okolicznościach mają dzwonić do niego na prywatny numer, by w oficjalnych rejestrach nie było śladu kontaktów. Na ekranie widniał napis NUMER NIEZNANY.

Korciło go, żeby nie odbierać, ale domyślał się, kto chce się z nim skontaktować. Wiedział, że jeśli nie odbierze, spadnie na niego więcej gówna, gdy zacznie strzelać gówniana armata.

Odstawił drinka, oparł się plecami o lodówkę i zsunął na podłogę. Nie sądził, że da radę przeprowadzić tę rozmowę na stojąco.

Intuicja go nie zawiodła: dzwonił Tio Barbizon, chociaż się nie przedstawił. Wiedział o pojmaniu i ucieczce Shacketa. Wiedział o dwóch kolejnych zabójstwach. Nie był tym samym Tio, co wcześniej. Traktował szeryfa nie jak równego sobie, ale jak podwładnego, i był wściekły.

– Rozumiesz, jak spierdoliłeś? – warknął.

– Tak.

– Myślisz, że masz jakieś wyjście?

– Nie.

– Bo w tej chwili nie ma dla ciebie wyjścia.

– Rozumiem.

– Mieliśmy umowę. Olałeś ją. Postanowiłeś się popisywać, zbierać oklaski. I pozwoliłeś mu zwiać. Wyruchałeś nie tylko mnie. Jest ktoś, o kim nie wiesz, a kto może z przyjemnością rozgnieść cię jak mrówkę i mieć z tego ubaw. I tego kogoś też wyruchałeś. Jeśli pewnego ranka obudzisz się i stwierdzisz, że obcięto

ci jaja, to powinieneś do końca życia dziękować Bogu, że nic gorszego nie spotkało twojej żalostnej dupy. Ale ponieważ jesteś potrzebny, istnieje jedno wyjście. Trudne i tylko jedno.

Szeryfowi oczy zaszczyły łzami.

– Mów.

– O szóstej wieczorem zjawi się u ciebie kilku ludzi z mojego biura. Przekażesz im wszystkie dowody, łącznie z ciałami ofiar.

– Oczywiście.

– Dadzą ci do podpisania długie oświadczenie z wyjaśnieniem tego, co się wydarzyło. Nie będzie w nim nazwiska Nathana Palmera ani Lee Shacketa. Sprawca zostanie zidentyfikowany jako uzależniony od narkotyków członek gangu MS-trzynaście.

– Czyli kto?

– Później przedstawimy prawdopodobnego kandydata. Nie twoja sprawa.

– Ale Shacket wciąż jest na wolności.

– Znajdziemy go. Tak czy inaczej, ulegnie samozniszczeniu.

– Nie sądzę, żeby się zabił – rzucił szeryf.

– Nie powiedziałem, że to zrobi. Powiedziałem, że ulegnie samozniszczeniu. Nie zdoła temu zapobiec. A więc chcesz skorzystać z tej jedynej szansy? Czy może już postanowiłeś spisać swoje życie na straty?

Po twarzy Haydena Eckmana spłynęły duże, ciepłe łzy.

– Czy wolno mi nadal być szeryfem?

– Dopóki będziesz rozumieć, że należysz do mnie, do wspomnianej przeze mnie osoby, do każdego.

– Tak, rozumiem – powiedział Eckman bez wahania. Już nie siedział na podłodze. Leżał na boku, w pozycji embrionalnej. – Czy byłoby możliwe... Czy będę mógł ubiegać się o wyższy urząd?

– Czy będziesz mógł? Do diabła, będziesz musiał! Tak się dzieje, gdy jesteś własnością odpowiednich ludzi i uznajesz, że jesteś ich własnością, i bierzesz udział w grze, robiąc tylko to, co ci każą. Jest jeszcze coś, co musisz zrobić, żeby na to wszystko zasłużyć.

– Mów.

– Odwołaj tych sześciu zastępców, którzy zapewniają ochronę. Zwolnij ich z obowiązku. Wyślij ich do domu. Nie są już potrzebni.

– A jeśli...

– Nie są już potrzebni.

– A jeśli Shacket... A jeśli ten gangster z MS-trzyńaście tam wróci?

– Nic złego się nie stanie. Nic, za co wina spadłaby na ciebie. Są eleganckie sposoby radzenia sobie z takimi sprawami. Jesteś moją własnością czy nie? Wygodnie jest do kogoś należeć, Hayden. Wtedy wszystko jest o wiele prostsze. Staniesz się cennym nabytkiem i będziesz pod dobrą opieką. Twój wzlot będzie pewny.

– Brzmi miło.

– Bo jest miłe.

– W takim razie, skoro już nie są potrzebni...

– Nie są.

– Zwolnię ich z tego obowiązku.

– Witaj w klubie, Hayden.

– To też brzmi miło.

– Bo jest miłe – powiedział z naciskiem Tio i zakończył połączenie.

Szeryf Hayden Eckman leżał skulony na podłodze w kuchni może jeszcze przez kwadrans. Czuł się tak, jakby skurcze macicy wypierały go kanałem rodnym ku nowemu życiu. To nie były skurcze sumienia, ponieważ jego sumienie nie było dość muskularne. Były to skurcze pragnienia, żądzy pozycji społecznej i władzy, kierujące nim, odkąd pamiętał. Jeśli pozycja, którą pewnego dnia osiągnie, będzie niezasłużona, nadana mu za ślepe posłuszeństwo tym wyżej postawionym... cóż, mimo wszystko będzie napawać się prestiżem. Nie będzie sam; prawdopodobnie trzy czwarte tych, którzy cieszą się uznaniem i wysoką renomą, nie miało żadnych osiągnięć poza tym, że niewolniczo służyli ideologii wskazanej przez pomazańców. A jeśli władza nie będzie prawdziwą władzą, jeśli on będzie robić tylko to, co mu każą, o wiele lepiej jest być batem w potężnych rękach niż jednym z tych, którzy są biczowani.

Wolę być młotkiem niż gwoździem, pomyślał.

Co więcej, nadawał się do zaproponowanego mu przez Tio Barbizona nowego życia, ponieważ był znakomitym kłamcą. Był tak przekonującym oszustem, że często wierzył, że jego kłamstwa są prawdą, i niekiedy ze zdziwieniem odkrywał, że zdołał oszukać nawet samego siebie. Gdy jego nowi panowie wepchną go na wyższe szczeble drabiny, będzie mógł uwierzyć, że sam doszedł do władzy. Jeśli ktoś wierzy w coś całym sercem, to coś staje się prawdą wystarczającą, by oprzeć na niej życie, przynajmniej chwilowo.

Wreszcie podniósł się z podłogi, urodzony w ubraniu, bez niechlujnego popłodu.

Dopił szkocką ze szklanki, którą zostawił na kuchennej wyspie.

Z prywatnego telefonu zadzwonił na prywatny telefon jednego z zastępców pod domem Bookman i nakazał zakończenie ochrony, którą zapewnił wdowie i jej dziecku.

## 105

O 12.46, GDY ROSA LEON POMAGAŁA MEGAN w kuchni, zastępcy szeryfa w SUV-ie na zachodnim krańcu podwórka pod lasem i ci w drugim, w pobliżu tylnej werandy, odjechali.

Megan wątpiła, by Shacket został zatrzymany. Doświadczenie, a także słowa Carsona Conroya o Haydenie Eckmanie przekonały ją, że biuro szeryfa hrabstwa Pinehaven jest skorumpowane. Nikt jej nie poinformował o zdjęciu ochrony, co sugerowało, że do Eckmana dotarł ktoś, kto pracuje dla Doriana Purcella. Zostawili ją, bezbronną w wypadku ataku Lee Shacketa, a także tych z darknetowej Tragedii.

– Powinnam zbudzić Bena Hawkinsa – odezwała się Rosa.

– Daj mu jeszcze trochę pospać – poprosiła Megan. – Powiedział, że jeśli ochrona zostanie odwołana, ci z Tragedii nie zjawią się od razu. Takie posunięcie byłoby zbyt oczywiste. Mamy kilka godzin. Ale zajrzyj do Woody’ego i Kippa. Jeśli śpią, obudź ich i sprowadź tutaj. Trzymajmy się razem.

Jej pistolet Heckler & Koch leżał na desce do krojenia jak jeden z przyborów kuchennych.

Gdy Rosa pospieszyła na górę, Megan podniosła telefon i wybrała numer Carsona Conroya, który czekał we fleetwoodzie Harry’ego Borsella na dawnym polu dla kamperów, któremu nie było dane przemienić się w farmę wiatrową.

Carson odebrał po drugim sygnale.

– Wszyscy ludzie szeryfa zniknęli – powiadomiła go. – Nikt cię nie zobaczy. Jesteś gotowy?

– Będę u was za piętnaście minut – obiecał.

## 106

DORIAN PURCELL STOI NA DACHU apartamentowca na Nob Hill i niecierpliwie spogląda na lądowisko dla helikoptera. Czeka na powietrzną taksówkę.

Ochroniarze, jeden przy windzie, a drugi obok niego, nie będą mu towarzyszyć. Tam, dokąd się udaje, będzie bezpieczny.

Poza dużym apartamentem w siedzibie Parable w Sunnyvale, większą rezydencją w Palo Alto i jeszcze większym dwupoziomowym penthouse’em w centrum San Francisco, Dorian posiadał jeszcze jedną rezydencję. Dom w Tiburon, na północnym brzegu zatoki San Francisco, miał blisko cztery tysiące metrów kwadratowych i stał na ponaddwuhektarowej posesji w jednym z najlepszych miejsc wybrzeża Kalifornii. Roztaczał się z niego widok na most Golden Gate i legendarne miasto, leżące w przyjemnej odległości za prawie ośmioma kilometrami wody, olśniewające nocą i niedrażniące zmysłu powonienia.

Naręczona Purcella, Paloma Pascal, która mieszkała z nim w Palo Alto i czasami dołączała do niego w apartamencie na Nob Hill, gdy uczestniczyli w jakiejś imprezie kulturalnej, nie miała w Tiburon ani jednej sztuki odzieży, nawet szczoteczki do zębów. Saffron „Sunny” Ketterling, nadzwyczajna gimnastyczka i akrobatka, która mieszkała z Dorianem w penthousie (gdy nie było tam Palomy), również nie spędzała czasu w Tiburon.

Dorian nabył trzy sąsiadujące ze sobą nieruchomości, zburzył stojące tam domy i wznosił ultranowoczesną rezydencję, która została ukończona szesnaście

miesiący temu. Był to cud ze stali, granitu, kwarcytu i szkła, z sekretnymi schodami, ukrytymi pokojami i wszelkimi innymi dziwactwami, którymi każdy trzynastolatek zaabsorbowany fantazy i SF nafaszerowałby dom, oczywiście gdyby trzynastoletni chłopcy mieli do dyspozycji osiemdziesiąt milionów dolarów.

Czternastoosobowy personel opiekował się nową rezydencją i terenami cztery dni w tygodniu; od godziny siedemnastej w czwartek do ósmej rano w poniedziałek nikogo nie było na terenie posiadłości. Dorian spędzał tam tylko jeden lub dwa weekendy w miesiącu, ale cenił sobie to miejsce jako azyl. Był tam sam, nic go nie rozpraszało i mógł bez przeszkód dumać nad tym, dokąd zmierzają kultura i zaawansowana technologia, a także wykorzystywać swój wyjątkowy geniusz futurysty do wymyślania nowych przedsięwzięć i innowacji, które umożliwią dalszy rozwój Parable.

Uważał się za Thomasa Edisona swoich czasów, choć bez jego prymitywnego moralizmu i z drygiem do maksymalizacji zysków, o jakim wychwalany Czarodziej z Menlo Park mógł tylko pomarzyć.

Dorian nie miał nic przeciwko samotności w Tiburon, ale zbudował dom z myślą, że kiedyś zamieszka z nim żona, na pewno nie Paloma ani nie Sunny. Miał duże potrzeby seksualne i uważał się za ludzki odpowiednik buhaja, choć tylko w tym sensie, że zawsze był gotowy; myśl o splodzeniu dziecka mroziła go do szpiku kości i nie tolerował knucia Palomy, Sunny czy jakiegokolwiek innej kobiety, która próbowała go do tego namówić.

W ciągu miesięcy, które minęły od ukończenia rezydencji, nie zdecydował się umieścić żadnej kobiety wśród tych luksusów. W trakcie projektowania i budowy nigdy świadomie tego nie rozważał, ale gdy wykonawca wręczył mu klucze, Dorian zdał sobie sprawę, że podświadomie marzył o miejscu, gdzie będzie mógł uciec nie tylko od codziennych zajęć, lecz także od dławiących zasad i małostkowych norm społecznych świata; wprawdzie świat szybko się zmieniał, ale dla niego nie dość szybko. Podczas wizyt w Tiburon wymyślił kilka sposobów, jak zapuścić się na nowe, ekscytujące terytorium seksualne. Nie ustalił jeszcze kierunku działania; będąc człowiekiem ogromnie ambitnym, ale rozsądnym, wciąż rozważał możliwości, debatując sam ze sobą, jak daleko może się posunąć i czy ujdzie mu to na sucho.



Z nieba spłynął dwusilnikowy, ośmioosobowy śmigłowiec z logo Parable, z wysoko osadzonym wirnikiem głównym i ogonowym oraz przeszklonym kokpitem. Za piętnaście minut Dorian będzie w Tiburon.

## 107

KIPP WIEDZIAŁ, ŻE ROBI SIĘ NIEBEZPIECZNIE.

Życie osób przebywających w tym domu było zagrożone.

Ale nie tylko życie.

Wyczuł zapach Shacketa na rzeczach, których ten dotykał w pokoju Woody’ego i gdzie indziej.

Był to zapach człowieka, ale też czegoś innego.

Wyczuł odór czegoś nowego i strasznego, przyprawiający go o mdłości.

I Shacket gdzieś tam jest.

Eksperymenty, które go stworzyły, nie zostaną zarzucone.

W nadchodzących latach doprowadzą z pewnością do mnóstwa zgonów.

Zabójcy z darknetu też gdzieś tam są.

Mimo tych trosk Kipp w kuchni Megan przeżywał ekstazę węchową.

Trwało gotowanie i jedzenie pachniało obłędnie.

Chociaż jego nos był błogosławieństwem, komplikował mu życie.

Nos psa ma czterdzieści cztery mięśnie.

Ludzki tylko cztery.

Liczba receptorów węchowych w psim nosie może nie przewyższa liczby gwiazd na niebie, chociaż czasami Kipp miał inne wrażenie.

Ludzie mają mniej niż jeden procent psich receptorów węchowych.

Słaby zmysł węchu wynagrodziły im kciuki.

Doprawdy zdumiewające, że Kipp w tej orgii zapachów – wołowego chili w garnku na kuchence, zapiekanki ziemniaczanej w jednym piekarniku, ciasta w drugim – mógł:

– wciąż być czujnym na świeżą woń Shacketa;

– i na zapach zabójców z darknetu, jeśli wysiądą z samochodu na Greenbriar Road;

– i wiedzieć, że Ben wciąż śpi na górze, poznawać to po rytmie jego charakterystycznie pachnących wydechów;

– i wykryć feromony szczęścia w powietrzu wokół Woody’ego;

– jednocześnie odebrać psychiczny podmuch Bellagramu o nawiązaniu kontaktu z liczącą sześćdziesięciu czterech członków społecznością w Coeur d’Alene w stanie Idaho.

Coś się tam działo.

I działo się coś tutaj.

Kipp poczuł zapach spalin skręcającego na podjazd kampera.

Wbiegł – i Woody także – do salonu akurat na czas, by zobaczyć, jak duży pojazd powoli jedzie w kierunku tylnej części domu. Pobiegli do kuchni, do tylnych drzwi.

– Czekajcie – powiedziała Megan. – Zróbmy to w uporządkowany sposób.

Fleetwood southwind wjechał na podwórko i zaparkował, niewidoczny z drogi.

Tak wiele wisało teraz na włosku.

## 108

W CZWARTEK O TRZYNASTEJ, CZTERY GODZINY wcześniej niż zwykle, Amory Cromwell, zarządca rezydencji Doriana Purcella w Tiburon, zwolnił do ósmej w poniedziałek czternastoosobowy personel zajmujący się domem i ogrodem.

Wielki Człowiek w ostatniej chwili powiadomił go o planie przyjazdu tu na weekend. Każdy musiał spełniać jego życzenia i to bez narzekania, nawet jeśli wywracały do góry nogami pracę zaplanowaną na pół dnia. Cromwell przepędził pracowników jak stado nieproszonych dzikich kotów, bo Wielki Człowiek nie lubił witać się z nikim, kto tu pracował.

Cromwell używał określenia Wielki Człowiek tylko w myślach, nigdy nie w rozmowie z członkami personelu, bo przecież nie wolno nikogo zachęcać do

wyśmiewania się z pracodawcy. Urodzony w Londynie, wykształcony w Wielkiej Brytanii, pracował w najwspanialszych rezydencjach Bostonu, Nowego Jorku i Filadelfii, gdzie śniadania, obiady i kolacje serwowano na rodowych srebrach, a pracodawcy byli dziedzicami starych fortun, płynnie mówili po francusku i mieli we krwi niezliczone zasady etykiety. Dlatego uważał, że ma nie tylko prawo, ale też wręcz obowiązek kpić z pozera takiego jak Dorian Purcell. Co z tego, że Wielki Człowiek ma więcej pieniędzy niż razem wszystkie rodziny, dla których Cromwell dotychczas pracował?

Dwa lata wcześniej złożył wypowiedzenie w Bostonie i przyjął tę posadę za trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie plus świadczenia, czyli dwa razy więcej, niż zarabiał wcześniej. Niestety, nie przewidział, że człowiek wart tyle miliardów i okrzyknięty technologicznym czarodziejem może być zahamowanym w rozwoju prostakiem. W Tiburon Wielki Człowiek nigdy nie urządził przyjęć, nie przyjmował gości. Żywił się wyłącznie mrożoną pizzą, mrożonymi goframi i lodami, delikatesowymi wędlinami, serami i dodatkami do kanapek z zamrażarki. W domu było tyle wielkich telewizorów, że wewnątrz przywodziło na myśl niezwykle elegancki sklep Best Buy. W dwudziestu z trzydziestu czterech pokoi były konsole do gier wideo. W salonie stało czterdzieści sześć automatów do gier. Sejf zawierał prawie tysiąc płyt DVD z twardą pornografią; Cromwell dowiedział się o tym, bo Dorian Purcell zapomniał zamknąć sejf, gdy pewnej niedzieli w pośpiechu opuszczał dom.

Cromwell miał zamiar przepracować tutaj trzy lata, a potem znaleźć sobie inne zajęcie. Miał dopiero czterdzieści osiem lat i wiedział, że nie byłby w stanie wytrzymać z Purcellem do emerytury.

Szedł spieszenie przez parter rozległej rezydencji i sprawdzał, czy drzwi są zamknięte. Mógłby zamknąć je wszystkie z domowego komputera, tylko że niektórzy z personelu łamali zasady i klinowali drzwi podczas pracy, ponieważ zdarzało się, że zostali zamknięci w jakimś pomieszczeniu, a system rozpoznawania twarzy uparcie odmawiał ich rozpoznania. Niekiedy w całym domu włączał się system muzyczny, zawsze z piosenką Taylor Swift. Karuzele w garażu z autami kolekcjonerskimi – którymi Purcell nigdy nie jeździł – co jakiś czas zaczynały obracać się same, jakby pojazdy były znużone stanem tam dzień w dzień. Niekiedy czarujący kobiecy głos z programu zarządzania domem

reagował na dźwięk odkurzacza i pytał w kółko: „Czy potrzebujesz pomocy medycznej?”. Żaden z tych systemów nie był produktem firmy Parable ani jej spółek zależnych i Cromwell zastanawiał się, czy producenci, wiedząc, dokąd trafi sprzęt, nie majstrowali przy nich, żeby kpić z Wielkiego Człowieka. Myśl, że to całkiem możliwe, sprawiała mu sporą przyjemność.

Ponieważ personel został szybko i bezceremonialnie wypędzony, Cromwell znalazł czworo zaklinowanych drzwi. Gdy zamknął ostatnie, brzęczenie helikoptera zapowiedziało przybycie Wielkiego Człowieka.

Cromwell wyszedł na tylny taras, żeby popatrzeć na lądującą maszynę i przywitać pracodawcę z większą godnością, niż ten na to zasługiwał. Potem rozpocznie długi weekend z golfem, relaksem w spa i wyśmienitą kuchnią w Pebble Beach. Zarezerwował pobyt w pięciogwiazdkowym ośrodku wypoczynkowym i miał nadzieję, że będą tam mieli dość wybornego wina, by wyleczył się z traumy spowodowanej przez spędzenie pięciu minut w towarzystwie Doriana Purcella.

## 109

PÓŁTORA KILOMETRA NA POŁUDNIE od domu Megan Bookman – Verbotski, Knacker i dwaj ich partnerzy z Atropos – Speer i Rodczenko – zebrali się w garażu martwego Charlesa Oxleya. Oprócz pojazdu starszuszka stał tam czarny suburban, którym Speer i Rodczenko przyjechali z Reno.

Przywieźli ze sobą samoprzylepne litery z białego winylu w dwóch różnych rozmiarach, duże i bardzo duże. Nie mieli całego alfabetu, tylko wiele liter F, B i I. Potrzebowali czasu i cierpliwości, by nakleić je na dachu, przednich drzwiach i tylnej klapie pojazdu. Po zakończeniu pracy auto wyglądało przekonująco oficjalnie.

Alexander Gordius zadzwonił z informacją, że zastępcy szeryfa już nie zapewniają ochrony Megan Bookman i jej synowi.

Verbotski, Knacker, Speer i Rodczenko zgodzili się, że należy odłożyć wyjazd do Bookman do szesnastej. Przybycie zaraz po odwołaniu zastępców mogłoby skłonić wdowę do zastanowienia się, czy rzeczywiście są agentami FBI.

Po zamontowaniu prostego urządzenia do wysadzenia pieca w piwnicy postanowili spędzić czas na grze w pokera przy kuchennym stole. Wpisowe wynosiło tysiąc dolarów. Każdy z nich lubił wypić, ale nie przed robotą, więc Verbotzki zaparzył dzbanek kawy, a Knacker postawił na stole znalezione w torbie pudełko z pączkami w czekoladzie.

Speer nigdy nie widział osoby uduszonej przedłużaczem i był ciekawy, jak wyglądają ślady. Zszedł do piwnicy, by obejrzeć szyję Charlesa Oxleya, i po powrocie oznajmił, że jest pod wrażeniem.

Grali w pokera dopiero od pół godziny, gdy znów zadzwonił Alexander Gordius. Powiadomił ich, że według zaprzyjaźnionego zastępcy, który ochraniał dom, Megan Bookman i jej syn Woodrow nie są jedynymi przebywającymi tam osobami. Jest tam również trzydziestokilkuletnia Latynoska i trzydziestokilkuletni mężczyzna, który przyjechał range roverem z psem rasy golden retriever. W pewnym momencie mężczyzna wstawił należącego do Latynoski lincolna i swój samochód do garażu pani Bookman. Nikt nie kazał zastępcom zainteresować się jej gośćmi, a żaden nie wykazał się inicjatywą, by spisać numery rejestracyjne rovera i lincolna. Nie było więc możliwości dowiedzieć się, kim są ci ludzie i czy nadal będą w domu, gdy zjawią się tam chłopcy z Atropos.

Po trzech minutach dyskusji zabójcy doszli do wniosku, że nie muszą się niczym przejmować. Kiedyś wspólnymi siłami sterroryzowali jedenastu cywilów, przesłuchali ich, a następnie zastrzelili. Byli profesjonalistami.

Wrócili więc do pokera.

– Cholernie dobre pączki – rzucił Rodczenko.

– Dwanaście na czterech – powiedział Speer. – Po trzy na głowę.

– A co, zastrzelisz mnie, jak zjem cztery?

– Trzech wystarczy do tej roboty – oznajmił Speer.

– Z łatwością – zgodził się z nim Knacker.

– Jak będzie trzeba – mruknął Verbotzki.

Ponieważ żaden z nich nie sływał z poczucia humoru, Rodczenko nie wziął czwartego pączka.

Z EKRANU CRESTRON W ŚCIANIE KUCHNI – podobne rozmieszczono w całym domu – Dorian Purcell uruchomił system bezpieczeństwa obejmujący nie tylko wszystkie drzwi i okna, ale także ponad dwa hektary terenu. Jeśli ktoś spróbuje pokonać frontową bramę albo najeżony szpikulcami mur posiadłości, zostanie wykryty przez detektory ciepła i ruchu. Rozlegnie się alarm, we wszystkich oknach opuszczą się stalowe żaluzje i zostanie wezwana policja. Za pośrednictwem swojej fundacji charytatywnej Dorian co miesiąc przekazywał trzydzieści tysięcy dolarów na Fundusz Dobroczynny Policji, dzięki czemu władze reagowały na alarm z jego domu sześć razy szybciej niż z jakiegokolwiek innego. Sprawdził to.

Przybył tutaj, do Tiburon, nie tylko dlatego, by snuć głębokie rozważania o technologii i kulturze, a w przerwach dumać o ekscesach seksualnych, które mogłyby mu ujść na sucho w tym miejscu, ale także odpocząć i dobrze się bawić bez irytujących go ludzi. Wlał wódkę o smaku czekoladowym na kostki lodu. Ze szklanką w dłoni zwiedzał swój elegancki, ultranowoczesny pałac, niepewny, czy chce zagrać na flipperze, włączyć grę wideo, pilotować myśliwiec F-18 w wirtualnym symulatorze czy też zabrać wiatrówkę na taras na dachu i postrzelać do wron i gołębi.

Wszedł do biblioteki. Olbrzymi stary dywan z Kaszanu ze skomplikowanym deseniem w odcieniach koralu, szafiru i bursztynu zdawał się unosić nad podłogą z jasnego wapienia, jakby czekał na dżina, który zna zaklęcie i poderwie go do lotu. Wokół stały regały z anegre, złocistego drewna, niemal jarzące się w świetle. Dorian zawarł umowę z człowiekiem, który wyszukał i zakupił dla niego sześć tysięcy pierwszych wydań ważnych książek za łącznie ośmiocyfrową sumę.

Zamierzał spacerować wśród regałów, podziwiając swoje nabytki, lecz gdy skręcił w najbliższą alejkę, poczuł słaby, ale niepokojący zapach. Nie mogąc zlokalizować źródła, zastanawiał się, czy to pleśń, czy coś innego zaatakowało papier. Jego człowiek od książek będzie musiał wytropić przyczynę. Stracił ochotę na wycieczkę.

Nie miał czasu, żeby przeczytać choćby jeden tom ze swojej światowej klasy kolekcji, ale nie miało to znaczenia. Biblioteka służyła dwóm podstawowym celom. Po pierwsze, dodawała rezydencji klasy. Po drugie, i ważniejsze, jeden regał był zamaskowanymi drzwiami, jak te ze starych strasznych filmów – z Karloffem czy Lugosim! – które uwielbiał od dziecka.

Gdy wyrzekł słowa „Ochus Bochus”, imię mitycznego nordyckiego maga i demona, program rozpoznawania głosu odblokował i otworzył drzwi. Dorian wszedł do sekretnego korytarza, jednego z wielu za ścianami domu, i powiedział: *Hoc est corpus meum*, żeby regał wrócił na swoje miejsce.

Na końcu sekretnego korytarza znajdowały się kolejne drzwi zamaskowane przez lustro sięgające od podłogi do sufitu. Nikt z personelu nie wiedział o ukrytych przejściach, więc Dorian musiał sam od czasu do czasu polerować lustro. Przez chwilę podziwiał swoje odbicie. Pomyślał, że wygląda cudownie tajemniczo. Znalazł ukryty zatrzask w ramie zwierciadła i otworzył drzwi.

Za nimi znajdowały się sekretne schody prowadzące w górę i drugie prowadzące w dół. Zszedł do niewielkiego pomieszczenia, gdzie pod ścianami stały regały z najdroższymi książkami. Powiedział „Abrakadabra” i otworzyły się kolejne ukryte drzwi. Zrobił krok i znalazł się w kolejnym pomieszczeniu, równie odizolowanym od świata zewnętrznego jak zapieczętowane przed tysiącem lat zapomniane katakumby.

Odkąd pamiętał, zawsze ekscytowały go słowa „sekretny”, „ukryty”, „tajny”, „tajemniczy”, „potajemny”.

Naprzeciwko tajnego wejścia znajdowały się ważące prawie czterysta kilogramów izolowane stalowe drzwi. Można je było otworzyć, albo wpisując szyfr na klawiaturze, albo wypowiadając słowa „Hola Nola Massa”, zaklęcie, którego używali mroczni magowie średniowiecza, żeby zapewnić powodzenie swoim wysiłkom.

Wypowiedział te słowa i drzwi się otworzyły. Wszedł do małego mieszkania, jeszcze nieumeblowanego. Frontowy pokój miał sześć na dziewięć metrów. Za nim znajdowała się łazienka, wyposażona także w lodówkę i kuchenkę mikrofalową.

Ściany i sufit były grube prawie na metr, wylewane na miejscu, żelbetowe, wyłożone grubą na trzy centymetry pianką akustyczną i płytami gipsowo-

kartonowymi. Gdyby przyniósł tutaj iPoda i puścił rozdzierającą uszy heavymetalową piosenkę z najwyższą możliwą głośnością, po drugiej stronie masywnych metalowych drzwi słyhać byłoby niezupełnie rozpoznawalny cichy hałas. Za drugimi drzwiami jazgot byłby już niesłyszalny.

Był to jeden z trzech schronów ukrytych w różnych miejscach rezydencji, przewidzianych na wypadek, gdyby do domu wtargnęli terroryści albo zwykli włamywacze. Pozostałe dwa nie były tak głęboko ulokowane ani tak gruntownie ufortyfikowane jak ten. Żadne z tych pomieszczeń nie figurowało w aktach wydziału budowlanego miasta.

Dopiero kilka tygodni po ukończeniu domu Dorianowi zaczęło świtać, że ten konkretny schron może pełnić inną funkcję niż pozostałe. Potrzebował dodatkowego miesiąca, by przyznać, że podświadomie wiedział, do jakiego alternatywnego celu może wykorzystać tę przestrzeń. Nie wymyśliło tego ani jego wewnętrzne dziecko, które kochało straszne stare filmy, ani wyczulony na punkcie bezpieczeństwa miliarder. Pomysł zrodził się w wyniku dojścia do głosu tej części „ja”, do której istnienia jeszcze nie w pełni się przyznawał, całkowicie wolnej i wszechpotężnej wersji Dorigana Purcella, Ostatecznego I.

Wypowiedział dwie linijki wiersza, który kiedyś słyhał i który przemówił do niego z nie do końca wyjaśnionych powodów. Nie znał poety ani reszty wiersza; to go nie interesowało.

– „Byłbym parą drapieźnych pazurów, umykających po cichym dnie morza”.

Z powodu akustyki słowa, chociaż mówił głośno, umierały w powietrzu, zanim dotarły do ściany.

Aby przejść z tej znękaney epoki do przyszłości transczłowieka i wznieść się ponad ograniczenia gatunku ludzkiego, aby stać się bogiem, trzeba myśleć jak bóg. A bogowie nie uznają żadnych ograniczeń.

Stał, pijąc wódkę czekoladową z lodem, rozglądając się po pokoju, zastanawiając się nad wystrojem i wyobrażając sobie, jak ogromną władzę może osiągnąć.

Wyzwanie wydawało się zachęcające: jak nurzać się w zakazanych rozkoszach, nie dając się im zdominować i nie pozwalając, by w jakikolwiek sposób zmieniły wizerunek, który prezentował światu na górze.



Uśmiech powoli rozlał się po jego twarzy, gdy pomyślał, jaką frajdę może mu sprawić podjęcie tego wyzwania, kolejnego, które zakończy się sukcesem.

## 111

SZERYF HAYDEN ECKMAN PIĘĆ po drugiej w czwartek po południu był w dobrym nastroju. Tio Barbizon miał rację: świadomość, że jest czyjąś własnością, że nie ma innych obowiązków poza robieniem tego, co mu każą, przyniosła ulgę. Gdy o osiemnastej ludzie Barbizona przybędą po zwłoki i dowody, gdy już podpisze wymyśloną wersję ostatnich wydarzeń, która zadowoli prokuratora stanowego, wtedy zacznie się jego nowe życie.

Siedział w fotelu w salonie, popijając drugą szkocką, gdy zabrzączał telefon. Dzwonił zastępca Reed Hannafin, jeden z tych lojalnych.

– Szeryfie, właśnie dowiedziałem się od jednego z naszych, że doktor Conroy był wczoraj wieczorem w domu Bookman.

Hayden wyprostował się.

– Nie mogliśmy go znaleźć – rzucił. – Jim Harmon musiał się zająć zabójstwami w ciepłowni. Do diabła, co Carson robił u Bookman?

– Nikt nie wie. Jego explorer stał przed jej domem. Doktor Conroy odjechał nim przed świtem. Mam go znaleźć? Może zajrzeć do jego domu?

Hayden wahał się przez chwilę.

– Będę musiał spytać.

– Kogo? – zapytał ze zdziwieniem Hannafin.

– To znaczy... muszę się zastanowić, jak do tego podejść. Nie powinno go tam być, ani oficjalnie, ani nieoficjalnie. Ale to dziwak. Zajmę się tym.

– Uznałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

– Teraz już wiem – burknął Hayden i zakończył połączenie.

Pół minuty później zadzwoniła Rita Carrickton.

– Trochę się przespałam – powiedziała. – A ty?

– Nie. Może już nigdy nie zasnę. Jestem podminowany.

– Wpadnę i cię rozminuję. Jestem napalona jak cholera. Cała ta akcja, ta brutalność... sama nie wiem, kręci mnie to.

Hayden spojrział na zegarek. Ludzie Barbizona zjawiają się za prawie cztery godziny. Seks z Ritą może być jedynym sposobem, by mógł się odprężyć i przespać może dwie godziny, zanim przybędą chłopcy z Sacramento. Musi trochę wypocząć, żeby sobie z nimi poradzić.

– Zapraszam.

– Będę za dwadzieścia minut.

Szeryf pospieszył do łazienki, wrzucił do ust tabletkę viagry i popił szkocką.

Wyłączył alarm i wszedł do garażu. Z bagażnika radiowozu wyjął gotówkę i kurtkę z diamentami wszytymi w podszewkę.

Wrócił do domu, rzucił kurtkę na stołek, a pieniądze na wyspę kuchenną.

Nie zamierzał mówić Ricie o tym, że jest całkowicie uzależniony od Tio Barbizona i najprawdopodobniej również od Purcella. Całkowite uzależnienie od kogoś było dobre. Wiedział, że jest dobre. Ale Ritę niełatwo będzie o tym przekonać. Będzie chciała wałkować temat do śmierci. W tej chwili Hayden nie chciał rozmawiać; chciał, żeby go odmóżdżyła. Była już w odpowiednim nastroju, a widok pieniędzy podziiała na nią tak, jakby nakarmił ją kilogramem potężnego afrodyzjaku.

Czekając na nią, pomyślał o włączeniu alarmu, ale Rita zacznie dopytywać, dlaczego to zrobił. Nie chciał, by pomyślała, że boi się Lee Shacketa.

Zjawiała się już po piętnastu minutach. Zaparkowała w garażu i weszła stamtąd do kuchni. Była po służbie, bez munduru, i gdy zobaczyła stos pieniędzy, błyskawicznie nabrzmiały jej sutki, napierając na białą koszulkę.

– Co to jest, jakiś dowód w sprawie? – zapytała.

– Nie, kochanie, to prawowite łupy.

Nie kryła zdumienia.

– Twoje?

– Nasze. Były ukryte w samochodzie Shacketa.

Przyniosła butelkę porządnego czerwonego wina. Postawiła ją na blacie, wtuliła twarz w pieniądze i głęboko odetchnęła. Uniosła wzrok.

– Przeleć cię na wszystkie sposoby – rzuciła.

– Muszę wskoczyć pod prysznic.

– Pospiesz się. Będę czekać w łóżku z kieliszkami wina, szefie.

Uwielbiał, gdy tak go nazywała. Jakie to zdumiewające: jeszcze godzinę temu kulił się na podłodze, przekonany, że jego życie się kończy albo będzie beznadziejne. Teraz miał zapewnioną świetlaną przyszłość, a Rita, fantastyczna dupa, wycisnie go jak cytrynę. Będzie jeszcze bardziej fantastyczna, gdy w jego wyobraźni zastąpi ją Megan Bookman.

## 112

CENTRUM AKCJI ZNAJDOWAŁO SIĘ teraz na górze. Megan nie musiała się martwić, że syn i Kipp są tu sami, jak zaraz po odjeździe zastępców szeryfa.

W swoim pokoju, z Kippem u boku, Woody przez pół godziny rozmawiał na Telegrafie z Bellą, golden retrieverką mieszkającą w Santa Rosa z Montellami. Ze wszystkich członków Misterium miała największe doświadczenie w korzystaniu z Telegrafu, ponieważ od lat na ochotnika odbierała przekazy przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, podczas gdy inni się wyłączali. Gdy miała do przekazania ważną wiadomość, wymuszała łączność ze wszystkimi i wszczepiała informacje w ich umysły. Woody nie miał pojęcia o istnieniu Telegrafu; skorzystał z niego w sposób niezamierzony i przyciągnął do siebie Kippa. Teraz musiał wiedzieć, jak używać tego łącza. Bella nie tylko udzieliła mu rad, ale także przesłała Telegrafem pakiet danych, dzięki którym w ciągu kilku minut stał się równie dobry w nadawaniu jak każdy członek Misterium.

W rezultacie w jego umyśle otwierały się kolejne drzwi. Poczucie wolności i pełni unosiło się w nim jak napęczniony helem balon z napisem STO LAT. Jego metamorfoza zaczęła się od łączności z Kippem, kiedy ubiegłej nocy patrzyli sobie w oczy na łóżku, a teraz dzięki Belli dobiegła końca.

Woody ukląkł na podłodze i przez długą przyjemną chwilę przytulał twarz do pyska Kippa, czując na skórze jego sierść. Chłopiec nie mówił, a pies nie mógł mówić, ale obaj świętowali tysiące lat wzajemnej zależności i miłości między ich gatunkami. Świętowali także dojrzewanie tej więzi, która stawała się czymś wspaniałym; żaden z nich nie mógłby sobie wyobrazić tego dwa dni wcześniej.

Znajdowali się u progu radykalnej przemiany świata, rozpoczętej na długo przed wynalezieniem pisma, kiedy na jakiejś nieprzyjaznej równinie albo

w pełnym niebezpieczeństwie lesie pies i człowiek pierwotny po raz pierwszy zawarli przymierze. Do tego czasu jedynym schronieniem przed złą pogodą i śmiertelnym zagrożeniem ze strony licznych zwierząt była jaskinia z pieczołowicie podsycanym ogniskiem. Po zawarciu przymierza dwa drapieżniki – pies i człowiek, współpracujący przez tysiąclecia – stały się czymś więcej niż tylko drapieżnikami, dzięki miłości, która była instynktownym uczuciem do osobników innego gatunku i skierowała psy i ludzi na długą drogę ku jednemu przeznaczeniu. Psy powoli stawały się coraz inteligentniejsze, aż zrobiły nagły wielki skok naprzód – który jedni mogliby nazwać ewolucją, a inni inteligentnym projektem. Niezależnie jednak od przyczyny żaden gatunek nie osiągnąłby tak wiele bez tego drugiego. Psy potrzebowały rąk i głosów ludzi, a ludzie potrzebowali – rozpaczliwie pragnęli – ich niewinności, lojalności i braku tolerancji dla oszustw.

To, że to niemy autystyczny chłopiec został tłumaczem między dwoma gatunkami, było ironią, którą Woody dostrzegał nawet w swoim poprzednim stanie. Odpowiedzialność nauczyła go pokory.

– Chodź, Kipp – powiedział. – Muszę porozmawiać z mamą.

## 113

W DOMU OXLEYA AGENCI ATROPOS skończyli grać w pokera i przygotowywali się do wizyty u Megan Bookman.

Mieli pistolety, ale nie zamierzali wdrzeć się do domu siłą. Wystarczy grzecznie zapukać do drzwi. Bookman może spodziewa się kłopotów, ale nie takich, jakie przybywają w znanych z filmów pojazdach FBI, nie w postaci mężczyzn w ciemnych garniturach, mówiących z szacunkiem i prezentujących idealnie podrobione legitymacje z pieczęcią Biura.

Ich ulubioną bronią były paralizatory i rozpylacze z chloroformem. Po ogłuszeniu prądem o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów i uspianiu chloroformem, unieruchamiali ofiary za pomocą opasek zaciskowych.

Później rozpoczęli przesłuchanie. Muszą się dowiedzieć, co Megan Bookman wie o zabójcach do wynajęcia w darknecie i o klientach, którzy płacili

za inscenizowane wypadki, zawały serca, zatory mózgowe, samobójstwa czy pozorowane incydenty terrorystyczne.

Wdowie Bookman i może też pozostałym wstrzykną tiopental, często nazywany „serum prawdy”, chociaż substancja ta nie gwarantowała, że kobieta powie im wszystko, a jedynie to, że ogarnie ją nieodparty przymus udzielania odpowiedzi na ich pytania. Kiedy jednak tiopentalowi towarzyszył koktajl narkotyków opracowany na zlecenie rosyjskiego wywiadu, kłamanie stawało się prawie niemożliwe, a poza tym zastrzyki były potwornie bolesne.

– Jeśli mamy szczęście – powiedział Verbotski – nie podzieliła się tym, czego się dowiedziała, z nikim spoza tego domu. W takim wypadku musimy tylko zniszczyć jej dowody, sprowadzić tu całą czwórkę, zabić ich bez robienia bałaganu, przewieźć do Reno i pozbyć się ciał.

Firma Atropos szczyciła się pozbywaniem zabitych w taki sposób, że znikali bez śladu. Laboratorium likwidacyjne w ich obiekcie w Reno dokonywało cudów.

– A co z psem? – zapytał Rodczenko. – Ten facet, kimkolwiek jest, przyjechał z psem.

– No i co z tego? – rzucił Bradley Knacker.

– Zabijemy psa?

– Jeśli sprawi nam kłopoty.

– Chcę go zabić, niezależnie od kłopotów.

– Co masz przeciwko psom?

– Nie podoba mi się to, jak na mnie patrzą.

– A jak na ciebie patrzą? – zaciekawiał się Knacker.

– Jak glina, gdy coś zwęszy. Psy przyprawiają mnie o ciarki. Od zawsze. Trzy razy mnie pogryzły.

– No to zabij psa – powiedział Speer.

– Wszyscy się zgadzają? – zapytał Rodczenko.

Wszyscy się zgodzili.

WOODY ZAPROWADZIŁ MAMĘ Z KUCHNI do jej pracowni. Megan usiadła na stołku obok niedokończonego obrazu przedstawiającego jej syna i jelenia.

Drzewa za wysokimi oknami kołysały się mniej gwałtownie. Wiatr wreszcie słabł, chociaż chmury stawały się coraz ciemniejsze.

Chłopiec stanął przed mamą i ujął jej rękę. Wiedział, że wciąż jest zaskoczona i wzruszona jego chęcią dotykania jej, a nie tylko przyzwalaniem na dotyk.

– Dzieje się coś naprawdę wielkiego – powiedział.

– Coś ogromnego już się wydarzyło, skarbie.

– Większego niż ja.

Megan już wiedziała o Misterium i o Telegrafii. Wiedziała, że psy nie potrafią czytać sobie nawzajem w myślach, że Telegraf jest czymś w rodzaju telepatycznego telefonu. Woody opowiedział jej o Belli w Santa Rosa i o tym, co dla niego zrobiła.

– Nadal uczę się, jak robić to, co robi Bella, jak z nimi rozmawia. Bella dociera do nich wszystkich, niezależnie od tego, czy są na Telegrafii, czy nie. Jest naprawdę super. Jak coś z książek Heinleina. Ale będę potrzebował więcej godzin ćwiczeń, zanim może zrobię... następny krok.

Zacisnęła smukłe palce wokół jego dłoni.

– Jaki następny krok, Woody?

– Nic strasznego – zapewnił ją. – Potrzebuję tylko trochę czasu do ćwiczenia, żebym miał pewność, że zrobię to dobrze. Zamierzam naprawdę ciężko trenować. Ale najpierw chciałem ci coś powiedzieć.

– Co, skarbie?

Znał słowa, ponieważ je wypowiedział, gdy odzyskał głos po długim milczeniu, ale słowa były tylko częścią, mniejszą częścią. Woody zamknął oczy i zebrał wszystkie swoje uczucia: wdzięczność za miłość do niego, za jej smutek po stracie ojca, jej wdzięk i głęboką czułość, oddanie i poświęcenie, wyrzeczenia, za jej talent malarki i pianistki, wielkie serce i czystość intencji. Wziął wszystkie jasne prawdy o niej i wszystkie emocje, jakie w nim wywoływały, utkał je w promienną tkaninę, po czym otulił nią dziewięć słów – „Jesteś aniołem na ziemi i kocham cię całym sercem” – i przesłał jej to wszystko z tą samą łagodną, ale nieodpartą siłą, jakiej używała Bella, wysyłając Bellagramy.

Telegraf istniał od tysięcy lat. Nikt nie wiedział, jak długo. Psy używały go na długo przed ich gwałtownym rozwojem inteligencji, nawet o tym nie wiedząc, używały go w prymitywny sposób: do ustalania swoich terytoriów, do wzajemnego ostrzegania się przed zagrożeniami, do informowania o możliwej do upolowania zwierzynie. Telegraf można by po prostu nazwać „telepatią”, elementem zasobu wiedzy zwanego „instynktem”. Są cztery rodzaje wiedzy: wyuczona, zdobyta dzięki doświadczeniu, intuicyjna i instynktowna, zakodowana w genach.

Psy, które ufały instynktowi znacznie bardziej niż ludzie, były przygotowane do używania Telegrafu w wyrafinowany sposób, gdy ich inteligencja osiągnęła poziom, na którym mogły zrozumieć, jak jeszcze lepiej wykorzystać ten dar. Woody nie miał pojęcia o istnieniu Telegrafu i nadawał nieświadomie, gdy niemożność posługiwania się mową nie pozostawiła mu innego wyjścia w chwilach rozpacz, strachu i ślepej paniki. Ale skoro Telegraf był częścią jego genetycznego dziedzictwa instynktownej wiedzy, to z pewnością każdy człowiek na planecie miał taki sam potencjał telepatyczny.

Woody użył Telegrafu, by wysłać mamie walentynkę, teraz, we wrześniu. Patrzył, jak mama szeroko otwiera oczy, szerzej niż kiedykolwiek, usłyszał, jak oddech więźnie jej w gardle, i poczuł, jak ściska jego ręce, zobaczył jej łzy. Wcześniej też płakała, gdy po raz pierwszy usłyszała jego głos, kiedy powiedział, że ją kocha. Lecz głębiej wzruszyła ją siła Telegrafu i wszystko, co mógł przekazać poza słowami. Sam też płakał, wzruszony przekazem matczynej miłości, wysłanym do niego Telegrafem przez łącze, które dla niej otworzył.

W ciągu stu sześćdziesięciu czterech tygodni, które minęły od śmierci ojca, mama czasami przyłapywała go na płaczu. Zawsze się wtedy uśmiechał, pokazywał jej uniesione kciuki i zwodził ją innymi sposobami, żeby myślała, że to łzy szczęścia. Ale w komunikacji telepatycznej nie można kłamać, bo prawda o motywach nadawcy jest nierozzerwalnie związana z przekazywanymi słownie emocjami. Dzięki temu mama odkryła, że kiedyś płakał ze smutku, i teraz wiedziała, że zalewa się łzami radości.

Nagle Megan zrozumiała wszystko, co się wydarzyło, i wiedziała, co to oznacza, co w końcu musi się stać. Wysłała więc Woody’emu wiadomość: Boże, synku, piekielnie mnie wystraszyłeś.

Doskonale wiedział, co mama ma na myśli. Nie była przestraszona w zły sposób. Chodziło jej o strach, jaki może odczuwać biedak, gdy wygra na loterii miliard dolarów i zrozumie, że już nic nie będzie takie samo.

## 115

SZERYF WYSZEDŁ Z ŁAZIENKI NAGI i gotowy. Rita, ubrana, popijała caberneta. Podała kochankowi kieliszek, posadziła go na brzegu łóżka, a potem powoli się przed nim rozebrała.

Dla Haydena Eckmana oglądanie rozbierającej się Rity było równie podniecające jak to, co miało nastąpić później. Zdejmowała kolejne elementy garderoby bez teatralności striptizerki, wolno, ale sprawnie i z wyzywającym spojrzeniem, które mówiło: „Jestem stróżem prawa, proszę pana, i zrobi pan dokładnie to, czego chcę”. Jako nastolatek, dla którego dziewczyny były równie tajemnicze, jak on dla nich nieznosny, mieszkał z matką obok państwa Dowlingów, którzy byli policjantami. Jego młodzieńcza żądza tak mocno skupiała się na Joyce Dowling, którą podglądał przez lornetkę, gdy opalała się na podwórku, że nigdy do końca się od niej nie uwolnił. Striptiz Rity mógłby stać się jeszcze bardziej podniecający tylko wtedy, gdyby była w mundurze i miała na imię Joyce.

Szeryf odstawił kieliszek z resztą wina i przyjął Ritę w łóżku. Była gibka, wyuzdana, bardziej drapieżna niż kiedykolwiek, nie mogła się nim nasycić, była seksmaszyną; ostra jazda była lepsza niż wszystko inne w jego życiu. W końcu zasnął pod kochanką.

Obudził się nieco zdezorientowany, bo chociaż był nagi, nie leżał już w łóżku. Leżał w wannie. W zimnej wodzie. Drżał.

Rita, ubrana, siedziała na klapie sedesu i patrzyła na niego.

Stojący w drzwiach łazienki zastępca szeryfa, Andy Argento, powiedział:

– Hej, ocknął się. A nie powinien.

– Nie szkodzi – rzuciła Rita. – Niewiele z niego zostało.

– Skoro tak mówisz, szeryfie.

Hayden był jeszcze bardziej zdezorientowany.



– Nie, jesteś zastępcą szeryfa – wybełkotał.

– I dzięki za mianowanie – powiedziała. – Będę tymczasowym szeryfem do czasu wyborów specjalnych.

Hayden uważał, że wypił za mało szkockiej i zdecydowanie za mało wina, żeby się upić, ale mówił jak pijany.

– Jakich specjalnych wyborów?

– Tio Barbizon mnie poprze. Stworzyłam klub, Hayden. Pnę się w górę.

Poczuł zapach krwi. Spostrzegł, że woda jest zabarwiona krwią.

Mnóstwem krwi.

Przez chwilę myślał, że Shacket wdarł się do domu i prawie go zagryzł na śmierć. Potem zobaczył, że jego prawa ręka leży na brzegu wanny, a nadgarstek jest głęboko rozcięty żyłką.

Powieki miał bardzo ciężkie. Jak z ołowiu. Nie mógł ich unieść.

– Ale ja jestem własnością Tio Barbizona. Sprzedałem siebie. Jestem cennym nabytkiem.

– To miłe, że tak myślałeś. – Jej głos zdawał się dobiegać z daleka, jakby wyszła z łazienki i mówiła z sypialni.

Hayden z wysiłkiem otworzył oczy. Rita wciąż siedziała na klapie sedesu.

W łazience gromadziły się cienie. Nie widział rysów twarzy obserwującej go kobiety.

– Joyce?

– Cholera, słyszysz, Andy? Wiesz, czego najbardziej nienawidziłam w tym dupku?

– Czego? – zapytał mężczyzna, który był tylko sylwetką.

– Gdy się pieprzyliśmy, chrząkał jak świnia i wykrzykiwał imię, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Czyje imię?

– Joyce. Jakiejś gliniary z sąsiedztwa, do której się brandzlował, kiedy był nastolatkiem.

– Co za dziwoląg – skomentował mężczyzna.

– Dziwaczny dziwoląg – dorzuciła kobieta.

Hayden Eckman próbował zaprotestować przeciwko tej zniewadze. Stracił głos. A potem nie mógł sobie przypomnieć, co go uraziło. A potem...

## 116

PO KILKU GODZINACH SNU BEN HAWKINS spotkał się z Megan Bookman, by omówić przygotowania do przyjęcia niechcianych, ale nieuniknionych gości. Megan bała się tego, co może się wydarzyć, mimo to była gotowa walczyć. Ben spodziewał się, że będzie nalegać, by Woody ukrył się przed potencjalną konfrontacją, ale rozumiała, że obecność syna jest niezbędna do przekonania zabójców, że nie zdają sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa. Jeśli nie zobaczą chłopca, będą podejrzewać, że zostali rozpracowani, zaczną strzelać i poleje się krew.

Kilka minut później Ben był w kuchni, gdy Carson Conroy wrócił z trzeciej wyprawy do opuszczonego parku przyczep i położył dwie ostatnie torby obok stosu innych.

– Za mało czasu, by ryzykować kolejną jazdę – powiedział Ben.

Carson pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby. Wystarczy.

– Jeśli zajmiesz się tym wszystkim – Ben wskazał torby – schowam fleetwooda, tak jak planowaliśmy.

– Naprawdę wierzysz, że zjawią się dzisiaj? Dopiero wczoraj namierzili Woody’ego. Pewnie myślą, że to była Megan.

– Będą chcieli działać jak najszybciej. Są coraz bliżej. Nie będą czekać do nocy, bo spodziewają się, że wtedy staniemy się bardziej podejrzliwi. Przy tak dużym zachmurzeniu mają tylko kilka godzin dobrego światła. Wkrótce tu będą. Może za godzinę.

Carson zerknął w okno. Dzień ciemniał pod ponurym niskim niebem.

– I przyjdą tu, udając kogoś, kim nie są?

– Uznają to za najlepszą szansę, by wejść do domu i przejąć kontrolę. Tacy jak oni uważają wszystkich innych za frajerów.

– Często jesteśmy frajerami.

– Tak, ale nie tym razem.

Wiatr trochę stracił wściekłość. Huczał zamiast wrzeszczeć i wydawało się, że krztusi się gniewem, którego nie może już odpowiednio wyrazić.

KLUCZYK DO KAMPERA LEŻAŁ w uchwycie na kubek obok fotela kierowcy. Ben dotarł do autostrady i pojechał na północ.

Kilometr dalej skręcił na parking ze stołami piknikowymi. Nikt z niego nie korzystał w taką pogodę. Zaparkował, wysiadł, zamknął kampera i szybkim krokiem ruszył do domu Megan Bookman.

Zbliżając się do celu, przyglądał się oknom. Wszystkie były zasłonięte, z wyjątkiem szyb w drzwiach frontowych i dwóch bocznych okienkach, jednym z półprzezroczystą folią.

Zastał wszystkich w salonie, jak było ustalone. Carson i Rosa siedzieli w fotelach, Megan na kanapie z Woodym i pistoletem schowanym pod poduszką.

Ben stanął przy kominku, plecami do ceramicznych kłód lizanych przez gazowe płomienie. Jego pistolet był ukryty za zegarem na kominku.

Jeśli dojdzie do strzelaniny, zginą, ale czuli się lepiej, mając broń w zasięgu ręki.

Na stole stała kawa, a na komodzie półmiski z domowymi ciastkami, jakby Megan Bookman i jej syn zasiedli z gośćmi do podwieczorku, niezniechęceni przez wspomnienia niedawnego napadu na dom.

Po tym, co się tu wydarzyło, ta scena naprawdę wyglądała nedorzecznie. Ich plan zależał jednak od wyczucia czasu. Ważna część wymagała, by ktoś, kto przyjdzie tu w złych zamiarach, nie podjął gwałtownych działań zaraz po przekroczeniu progu. Chodziło o to, by wszedł do salonu i przez minutę czy dwie nie był pewien, jak postąpić. Najlepszym sposobem na zapewnienie pożądanej reakcji był brak podejrzliwości i postawienie napastników w sytuacji, która ich zaskoczy i zdezorientuje.

– Wygląda dobrze – ocenił Ben. – Jesteście jednak tacy spięci, jakbyście czekali na leczenie kanałowe bez znieczulenia. Wyluzujcie się. Weźcie przykład z Rosy. Ma właściwe nastawienie.

– Przyprawiłam swoją kawę – przyznała się Rosa.

Ben się uśmiechnął.

– Nie jest to rozwiązanie dla nas wszystkich.

– Jesteś pewien, że nie możemy zadzwonić na policję? – zapytała Rosa.

– Ktoś już dzwonił do Eckmana – wtrąciła Megan. – Ktoś, komu szeryf naprawdę służy. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

Carson przyznał jej rację.

– To tyle, jeśli chodzi o bezpieczne i spokojne Pinehaven.

Woody odchylił głowę i tępo wpatrywał się w sufit, oddychając przez otwarte usta.

– Woody, coś się stało? – zapytał Ben.

– Nie mogę mówić. Jestem autystyczny.

Megan położyła rękę na jego ramieniu.

– Nie przeszarżuj, skarbie.

Chłopiec spojrzał na Bena; szukał u niego wskazówek.

– Myślisz, że przesadzam? – spytał. – Znam tę rolę.

– Chyba przesadzasz. Może po prostu uśmiechaj się do wszystkich.

– Tak? – Woody zaprezentował słodki uśmiech młodego Danny’ego DeVito z *Lotu nad kukułczym gniazdem*.

– Doskonale – skwitował Ben.

– Nie bój się – powiedziała Rosa do chłopca. – Myślałam, że ja będę się bać, ale się nie boje. No... może trochę. Może trochę więcej niż trochę, ale nie bardzo.

– Nie boję się – oznajmił Woody, kręcąc głową. – Już nie. Od czasu Kippa.

Ben Hawkins miał nadzieję, że to nieprawda. Brak strachu zabija.

Sam się bał, czuł ciężar strachu w sercu i żołądku. Napotkał spojrzenie Megan i zobaczył, że dręczą ją wątpliwości. Każde z nich w tym pokoju miało wiele do stracenia: nie tylko siebie nawzajem, nie tylko swoje życie, ale też cały świat w drodze do cudu.

Usłyszał samochód wjeżdżający na podjazd i spojrzał ku zasłoniętym oknom.

Wyszedł do przedpokoju i wyjrzał przez boczne okno.

Czterech mężczyzn w ciemnych garniturach wysiadało z czarnego suburbana oznaczonego literami FBI.

– Już są – powiedział.

KIPP SIEDZI W KORYTARZU NA GÓRZE, czujny.

Chciał być z Woodym – był gotów umrzeć za chłopca, gdyby do tego doszło.

Sądził jednak, że do tego dojdzie.

Nawet na krawędzi katastrofy ludzie oszukują samych siebie. Chcą wierzyć, że nigdy nie umrą.

Psy wiedzą lepiej.

Kipp kochał ludzi za ich optymizm. Podobnie jak psy, ludzie rodzili się, by mieć nadzieję.

Ale gdy rozumiesz zimną obojętność natury – jak rozumieją ją psy – nie masz nadziei na życie wieczne w tym pełnym przemocy świecie.

Próbujesz więc uczynić świat lepszym, póki tu jesteś, i pokładasz nadzieję w innym, piękniejszym, świecie.

Och, jak gorąco, żarliwie, rozpaczliwie pragnął być u boku Woody'ego w chwili zagrożenia!

Ale na razie jego miejsce było tutaj, w korytarzu na piętrze.

Znał swoją powinność.

Wrogiem Dorothy był rak i Kipp nie mógł nic dla niej zrobić.

Wrogiem Woody'ego nie był rak.

W domu panowała niezwykła cisza.

Kipp słuchał i nic nie słyszał, i to było dobre.

W końcu wiatr przestał dręczyć budynek.

Dom nie jęczał ani od tego, co zawierał, ani od ciężaru historii.

Powietrze było nasycone zapachami, a wiele z nich miało ogromne znaczenie.

Był psem wybranym przez przeznaczenie do związania się z chłopcem, który może zmienić świat.

Czuł się tym zaszczycony. Był pokorny i zdeterminowany, by nie zawieść.

Usłyszał, jak samochód wjeżdża na podjazd.

Silnik zgasł.

Drzwi się otworzyły.

Kipp wyczuł jednego, dwóch, trzech, czterech Nienawistników.

Sierść zjeżyła mu się na karku.

Cztery subtelnie różne odmiany zła.

Wstał, trzymając ogon nisko i nieruchomo.

Zadzwonili do drzwi.

Gdy echo dzwonka niosło się po domu, rozległ się grzmot, rozdzierający huk, jakby skorupa ziemską pękła aż do płynnego jądra.

## 118

JOHN VERBOTSKI ZADZWONIŁ DO DRZWI. Za nim na werandzie stali Knacker, Speer i Rodczenko, dwaj ostatni z teczkami w stylu agentów FBI, zawierającymi niezbędne narkotyki i narzędzia do prowadzenia przesłuchań.

Verbotski drgnął, gdy niebo przecięła błyskawica, jakby Słońce przemieniło się w nową i w jednej chwili wypaliło chmury. Potężny huk grzmotu wstrząsnął jego zębami i kośćmi.

Gdy deszcz lunął na dach werandy z lodowym grzechotem gradu, drzwi się otworzyły i na progu pojawił się mężczyzna z chłopcem u boku.

To musiał być ten, który przyjechał range roverem. Wysoki i wysportowany, miał w sobie coś, czego Verbotski nie lubił. Kompetencja? Niezłomność? Cokolwiek to było, nie było dobre.

Intuicja podpowiadała mu, by zastrzelić tego skurwiela. Ale Verbotski zdobył – lub dostał – dyplom z psychologii. Jego ulubieni niemieccy mistrzowie w tej dziedzinie twierdzili, że intuicja jest mitem, że jej koncepcja wyrasta z *Völkskunde* zabobonnych chłopów, którzy wierzyli w takie bzdury jak prawo naturalne.

Człowiek oświecony musi kierować się chłodnym rozumem, opartym na obserwacjach i twardych faktach. Kiedy zaufa intuicji, będzie skazany na zgubę jak wszyscy głupcy zapatrzeni w mity.

Chłopiec u boku mężczyzny musiał być tym umyślowo opóźnionym odmieńcem, synem Megan Bookman. Był mały jak na swój wiek. Jego niebieskie oczy pływały w oczodołach, jakby nie mógł ich na niczym skupić. Jego uśmiech

był dziwny, jak u lalki czy marionetki, niesamowity, bo wydawał się wieczny i niepowiązany z żadnymi emocjami.

– Czym mogę służyć, panowie? – odezwał się mężczyzna.

Verbotski wyjął fałszywą legitymację i pokazał ją z uśmiechem, który z pewnością wyglądał na bardziej szczerzy niż ten chłopca.

– Agencja specjalny Lewis Erskine. – Przedstawił swoich towarzyszy, a ci okazali podrobione dokumenty: – Agenci specjalni Jim Rhodes, Tom Colby i Chris Daniels. Chcemy porozmawiać z panią Bookman w sprawie niefortunnego spotkania z Lee Shacketem, który trafił na listę osób poszukiwanych przez Biuro.

Verbotski nie był zadowolony ze swojej wypowiedzi i żałował, że nie poświęcił więcej czasu na ćwiczenie kwestii. Ale chłopiec nadal uśmiechał się idiotycznie, a mężczyzna wyglądał na zadowolonego.

– Jestem Ben Hawkins, przyjaciel pani Bookman. Z tego, co wiemy, Shacket zabił ludzi w co najmniej dwóch stanach. Zastanawialiśmy się, dlaczego, do cholery, nie zainteresował się tym ktoś na szczeblu federalnym. Wejście, panowie. Wszyscy jesteśmy w salonie.

Zostawiając przybyszów, by zamknęli za sobą drzwi, Ben Hawkins odwrócił się plecami, bez cienia podejrzeń, i ruszył do salonu. Gdy zdał sobie sprawę, że uśmiechnięty chłopiec wciąż stoi w drzwiach, świdrując wzrokiem Verbotskiego i pozostałych, zatrzymał się i powiedział:

– Chodź, Woody. Poczęstujemy się ciasteczkami, synu. – Gdy chłopiec ani drgnął, wrócił i wziął go za rękę. – Przepraszam – zwrócił się do Verbotskiego. – Woody jest bardzo grzecznym chłopcem, zwykle słucha, ale jest... wie pan, specjalny. – Delikatnie pociągnął chłopca w stronę wejścia do salonu.

Verbotski wszedł do domu, a za nim jego ekipa. Speer zamknął drzwi.

Deszcz był taki, że nawet ten solidnie zbudowany dom zdawał się rozbrzmiewać miękkim, dziwnie krzepiącym dźwiękiem bębnow. Może nienarodzone dziecko w worku owodniowym słyszy szmer podobny do tego, szmer życiodajnej krwi matki w ciele, które je otacza i karmi.

Ilekróć Verbotskiemu przychodziły do głowy takie myśli, zastanawiał się, czy może coś z nim jest nie tak. Gdyby chciał zrobić doktorat z psychologii, pewnie musiałby się poddać psychoanalizie, by nauczyć się prowadzenia takich sesji, co mogłoby okazać się interesujące. Ale w krótkim czasie przeszedł od wysoko

opłacanego najemnika w punktach zapalnych na świecie do kolosalnie opłacanego specjalisty od zabójstw i ścieżka kariery w psychiatrii stała się mało satysfakcjonująca.

Idąc za Benem Hawkinsem i chłopcem do salonu, usłyszał, jak mężczyzna mówi:

– Megan, nasze modlitwy zostały wysłuchane. Ci panowie są z FBI i przybyli w sprawie Lee Shacketa.

Osoby w salonie piły kawę, na komodzie stały ciastka i kanapki. Ben Hawkins podszedł do kominka, gdzie zostawił kubek ze spodkiem, a Megan Bookman odstawiła kubek na stolik i wstała, by powitać gości. John Verbotski był pod wrażeniem, że po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszła, jest tak świeża, urocza i psychicznie stabilna.

Miała w sobie coś królewskiego, aurę niezłomności. Pomyślała, że mogą potrzebować sporo tiopentalu, żeby ją złamać, ale fajnie będzie ją przesłuchać. A po przesłuchaniu zgwałcić, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, ile upokorzeń zdoła znieść bez rozsypania się na kawałki.

W jednym fotelu siedziała Latynoska, w drugim czarny mężczyzna, oboje z kubkami kawy. Żadne z nich nie wstało, co ułatwiło Verbotskiemu zadanie. Schował legitymację FBI i powiedział:

– Pani Bookman, agent specjalny Lewis Erskine.

Jego ludzie przeszli w głąb salonu i ustawili się blisko dorosłych. Dzieciakiem zajmą się później, gdy już wszyscy zostaną potraktowani paralizatorem, poddani działaniu chloroformu i skrępowani. Rodczenko i Speer odłożyli teczki.

– A to agenci specjalni...

Zamierzał przedstawić ich w kolejności: Rhodes, Colby i Daniels. Rodczenko był Danielsiem i to nazwisko będzie sygnałem do wyciągnięcia paralizatorów.

Nagle Verbotski zawahał się, bo zobaczył, że z twarzy chłopca znika idiotyczny uśmiech, dostrzegł inteligencję w jego niebieskich oczach, wyczytał pogardę. Zobaczył, że Ben Hawkins kładzie rękę na zegarze kominkowym, jakby chciał za niego sięgnąć. Nagle zrozumiał, że powinien był zastrzelić tego człowieka na progu, że musi teraz zastrzelić sukinsyna, zastrzelić czarnego



kolesia, zastrzelić latynoską sukę i zastrzelić dzieciaka, rozwalić ich wszystkich, zanim wykonają swój ruch, i pojąć Megan. Tylko jej naprawdę potrzebowali.

## 119

ZASTĘPCA SZERYFA FOSTER BENDIX jechał krętą wiejską drogą, na której nigdy nic się nie działo, nie licząc takich błahostek jak jazda pod wpływem alkoholu, wyścigi samochodowe nastolatków, strzelanie do znaków drogowych dla zabawy, jeśli można to nazwać zabawą, i awarie pojazdów. Czasami myślał, że jest bardziej sprzątającym bałagan woźnym niż gliną.

Gdy w ponurym świetle burzy mijał dawny parking dla przyczep kempingowych, który nie został zmieniony w ubojnię ptaków, odniósł wrażenie, że przez gęste zasłony deszczu widzi miraż, fatamorganę, chociaż nie iluzje klifów i budynków, a szeregi samochodów.

Nikt tam nie mieszkał od lat. Domy na kółkach zniknęły. Przyłącza do prądu, gazu i szamba zostały zlikwidowane na długo przed podjęciem decyzji o rezygnacji z budowy wiatraków. Obiekt nie nadawał się na żadne zgromadzenia.

Ponieważ teren należał do hrabstwa, hrabstwo ponosiło odpowiedzialność za wszelkie obrażenia, jakich ktokolwiek mógł tam doznać. Nie wysupełano środków na ogrodzenie, ale przy wejściu ustawiono tablice z zakazem wstępu.

Do Fostera Bendixa należało ściganie złoczyńców ignorujących zakazy, zjechał więc z drogi hrabstwa na spękaną asfaltówkę prowadzącą na dawny parking. Zdarzało się, że widywał tam samochody, ale pojedyncze i zawsze w nocy. Przyjeżdżały w nich pary nastolatków, które nie miały gdzie się podziać, i zajmowały się robieniem czegoś, o czym Meat Loaf śpiewa w piosence *Paradise by the Dashboard Light*.

Pojazdy stojące w strugach deszczu wydawały się puste, chyba że wszyscy kierowcy i pasażerowie leżeli, w co raczej wątpił. Były tam hondy i bmw, SUV-y i pick-upy, kilka furgonetek z przesuwanymi bocznymi drzwiami. Większość tablic rejestracyjnych pochodziła z Kalifornii, ale trzy były z Oregonu. Naliczył czterdzieści jeden pojazdów.

Nie wiedząc, co zrobić, zadzwonił do dyżurnego, Cecila Kalstroma.

– Przyjrzałeś im się z bliska? – zapytał Cecil. – Sprawdziłeś, czy nie leżą w nich martwi ludzie?

– Dlaczego miałyby być tylu martwych?

– Może to jakaś sekta, jak ta Jima Jonesa przed laty. Może spotkali się, by się zabić.

– Masz bujną wyobraźnię, sierzancie.

– Cała moja wyobraźnia pomnożona przez dziesięć nie nadąza za tym, co tam jest. Zajrzyj do kilku samochodów.

– Tak leje, że pewnie jakiś Noe gdzieś buduje sobie arkę.

– Ciężkie jest życie umundurowanego bohatera.

– Już idę – rzucił Foster.

## 120

GRZMOT, DESZCZ, GŁOSY LUDZI NA DOLE.

Kipp stoi w korytarzu na górze, u szczytu schodów, gotowy, z uniesionym łbem. Ma napięty każdy mięsień.

Drży w oczekiwaniu na działanie.

Woody na Telegrafie: Teraz, teraz, teraz!

Kipp zawył, nie tylko w Telegrafie, ale naprawdę.

Za nim w korytarzu i w pokojach zawyły inne psy.

Psy, które wezwał przez Telegraf przed świtem tego dnia. Zgodnie z planem opracowanym z Benem i Megan.

Wezwani Misterianie milczeli, czekając. Trwali w bezruchu i ciszy.

Teraz dali upust oburzeniu i rzucili się do walki.

Kipp zbiegł po schodach.

Grzmot poniósł się po domu, ale nie był to grzmot burzy, a dudnienie łap uderzających o stopnie.

## 121

VERBOTSKI SIĘGNAŁ POD MARYNARKĘ i wszystkie demony w piekle zawyły jednocześnie. Gdy wyciągał pistolet z kabury u pasa, gromada psów – owczarki niemieckie, golden retrievery, labradory, dobermany, mastify, rottweilery – szczekając, warcząc, błyskając zębami, zbiegła po schodach i wpadła do salonu. Były ich dziesiątki, więcej niż czterdzieści. Mastif skoczył, ponad pięćdziesiąt kilogramów sprężystej siły, i John Verbotski zatoczył się do tyłu. Gdy golden retriever chwycił go zębami za nadgarstek, pistolet wypadł mu z ręki. Verbotski potknął się, wpadł na stolik, stracił równowagę i osunął się na kolana. Psy otoczyły go, skubiąc zębami ręce, kiedy próbował sięgnąć po paralizator, po puszkę z chloroformem. Gdy próbował wstać, pociągnęły go za marynarkę, przewróciły twarzą do podłogi, przycisnęły swoim ciężarem. Rottweiler liźnął jego kark i dyszał – każdy gorący wydech był śmiertelną groźbą, którą Verbotski, choć bezgranicznie zdumiony, potraktował poważnie.

BRADLEY KNACKER NIE STUDIOWAŁ psychologii, niczego nie studiował, a szkołę tolerował tylko dlatego, że było tam mnóstwo mniejszych dzieciaków, które mógł terroryzować, bić do utraty przytomności i okradać. Był geniuszem przemocy, od zwykłych ulicznych rozbojów, przez planowanie i realizację zabójstw upozorowanych na wypadki i samobójstwa, po wrabianie w nie niewinnych ludzi. Mimo wysokiej zbrodniczej inteligencji ciężko kojarzył w innych sprawach. Gdy usłyszał wycie, spojrzał na zasłonięte okna, bo nie mieściło mu się w głowie, że w domu może przebywać tak wiele zwierząt. Kiedy psy wpadły do salonu, był zdumiony, ale zdał sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego, dopiero wtedy, gdy zaatakowały i powaliły Verbotskiego. Unieszkodliwiły jego kolegę z taką łatwością, jakby naprawdę był cipowatym agentem FBI, a nie zatwardziałym zabójcą, który morduje ludzi dla pieniędzy i zabawy. W naturze Knackera leżało myślenie o zwierzętach nie jako o obrońcach domu i rodziny, ale jako o wyszkolonych do zabijania psach bojowych. W tym momencie zaskoczyła jego zabójcza błyskotliwość. Bradley Knacker z matematyczną precyzją biegłego księgowego w pół sekundy obliczył, że warczące stado ma przytłaczającą przewagę, więc jego dziesięcionabojowy pistolet i taser nie zdadzą się na wiele. Następnie zrobił to, co robił w szkole, gdy wszedł w drogę łobuzowi większemu od niego: odwrócił się i uciekł, w tym wypadku ku drzwiom do jadalni. Nie wyszło mu to na dobre.

SPEER PODZIWIĄŁ WĘŻE. JEGO jedynymi zwierzątkami domowymi były węże ogrodowce trzymane w dużym terrarium i pełzający swobodnie po domu boa dusiciel, którego karmił kupowanymi hurtowo myszami, myszosczkami i królikami. Miał wytatuowanego grzechotnika wokół lewej ręki i kobrę na prawej. Zazdrościł węzom szybkości i okrucieństwa i próbował się na nich wzorować. W chwili, gdy pojawiły się psy, intuicyjnie wiedział, że w jakiś sposób nie są to zwykłe psy. Nie był skomplikowanym człowiekiem. Wierzył tylko w pięć rzeczy – przemoc, seks, pieniądze, węże i intuicję – i wierzył w nie głęboko, z pasją. Gdy tylko zobaczył, że psy działają w sposób skoordynowany, syknął, obrócił się i zrobił dwa kroki; znowu syknął i chwycił chłopca, intuicyjnie przekonany, że psy nie zrobią mu krzywdy, jeśli przyłoży mu nóż do gardła. Ale gdy wyjął nóż sprężynowy z kieszeni, zanim zdążył nacisnąć przycisk wysuwający ostrze z rękojeści, zrozumiał, że jego szybka reakcja na warczące psy nie dorównała szybkiej reakcji Bena Hawkinsa na niego: do prawej skroni Speera przywarła zimna lufa pistoletu.

KIEDY VERBOTSKI WSUNĄŁ PRAWĄ RĘKĘ pod marynarkę, sięgając po pistolet na lewym biodrze, a nie lewą ręką po paralizator, Rodczenko wiedział, że partner wyłapał jakiś sygnał, jakiś szczegół, który przekonał go, że operacja się nie powiedzie. Sięgnął więc po własny pistolet z zamiarem zabicia wszystkich, wszystkich oprócz Megan Bookman. Zająłoby to około czterech sekund – dwoje siedziało, łatwe strzały w głowę, łatwiejsze w klatkę piersiową. Wyjął broń z kabury, gdy wszystkie psy świata zbiegły kaskadą po schodach i wpadły z przedpokoju do salonu: wielkie suki i wielkie sukinsyny, z zębami wystarczającymi na dziesięć koszmarnych snów. Miał być pies, jeden pies, którego zamierzał zabić, i nie mógł się doczekać tej przyjemności. Teraz wyglądało na to, że ten jeden o tym wiedział i wezwał wsparcie, więcej psów, niż Rodczenko zdoła zabić, zanim go dopadną. Trzy razy został pogryziony i każdy pies, który stanął na jego drodze, patrzył na niego tak, jakby chciał go nie tylko ugryźć, ale też rozerwać mu gardło. Wszystkie patrzyły na niego tak, jak mądrzy gliniarze, jak kute na cztery nogi atrakcyjne kobiety, jak matki młodych córek: z podejrliwością, obrzydzeniem i pogardą.

Rodczenko wyciągnął broń i wycelował w głowę Latynoski w fotelu, ale Megan Bookman mierzyła mu w twarz trzymanym profesjonalnie pistoletem

Heckler & Koch. Z bliska, z trzech metrów. Może mimo postawy i chwytu Bookman jest kiepskim strzelcem, rozważał. Jeśli on rozwali głowę Latynosce, a ona naciśnie spust i chybi, on zdąży obrócić się i ją zastrzelić; przynajmniej będzie miał satysfakcję, że wykończył dwie osoby, zanim psy go przewrócą i rozedrą zębami. Lepszy taki wynik, niż umrzeć ze świadomością, że ta cipa i jej przyjaciele się wywinęli. Strategia wydawała się sensowna – tyle że te gapiące się na niego wredne psy z ociekającymi śliną zębami tak go denerwowały, że serce waliło mu w piersi, a ręce dygotały, więc pistolet skakał w górę, w dół, w górę i w dół. W takim stanie Rodczenko mógłby nie trafić w słońca z dwóch metrów.

– Rzuć broń, gnoju – warknęła Megan.

W holu pojawili się ludzie, którzy zeszli po schodach w ślad za psami. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku i o różnych kolorach skóry. Dwadzieścia, trzydzieści osób, może więcej. Niektórzy mieli broń.

Gdy psy kłębiły się wokół niego, warcząc i skubiąc zębami jego buty i spodnie, Rodczenko zrozumiał, że dzieje się tu coś niezwykłego, coś znacznie dziwniejszego niż zaskakująca liczba zwierząt. Opuścił broń.

– Nie pozwól im mnie zabić.

– Chciałabym zobaczyć, jak to robią – powiedziała Megan. – Daj mi pretekst, a każę im rozedrzeć cię na strzępy.

– Mam paralizator i chloroform w aerozolu – wyznał Rodczenko, odkładając pistolet na podłogę; chciał się przypodobać tej królowej kłów. – Jak każdy z nas.

## 122

DOM W TIBURON. DORIAN SIEDZIAŁ w kącie na podłodze trzeciego i najgłębszego schronu, który stworzył w podświadomym pragnieniu zażywania wolności seksualnej na takim poziomie, jakiego społeczeństwo jeszcze nie było gotowe akceptować. Popijał czekoladową wódkę i fantazjował, jakie pragnienia mógłby tutaj spełniać, aż lód w szklance się stopił.

Nie przejmował się wydarzeniami w Springville ani w Pinehaven. Każdy kryzys wcześniej czy później przemija. Aby odnieść sukces, trzeba tylko zrozumieć, jak działa świat: natura ustanowiła jedyne prawa, które mają

znaczenie. Są drapieżcy i ofiary, a przegrywają słabi, zarówno ofiary, które nie mogły albo nie chciały się obronić, jak i te drapieżniki, które nie zdołały pogodzić się z tym, że jedyną cnotą jest wygrywanie, a jedyną wadą – przegrywanie.

Niektórzy twierdzą, że bieg historii prowadzi do sprawiedliwości, ale to głupota. Nie ma sprawiedliwości, a jeśli już, to jest jej bardzo mało. To słowo jest zbyt polityczne, żeby mogło mieć trwałe znaczenie; definicja sprawiedliwości ciągle się zmieniała. Ci, którzy uważali się za orędowników sprawiedliwości, zawsze mieli swoją cenę – pieniądze, prestiż, uwielbienie tłumów czy poczucie własnej wartości – i gdy on dawał im to, czego chcieli, każdy zdradzał swoją sprawę.

Prawda jest czymś zupełnie innym. Jeśli kiedyś wielu ludzi postanowiłoby poznać prawdę za wszelką cenę – nie tylko kilku zatwardziałyh krzyżowców, ale większa część ludzkości – wtedy miałyby kłopot. Ale to nigdy nie nastąpi.

Dom w Tiburon służył mu do tego, by sobie folgować, zdecydował się więc na kolejnego drinka. Tym razem zmiesza wódki o smaku waniliowym i pomarańczowym, koktajl owocowy dla dorosłych.

Wyszedł z ukrytego pokoju, zamknął ważące czterysta kilogramów drzwi, potem te zamaskowane regałem i wszedł po schodach na parter.

Zamaskowane lustrami drzwi do ukrytego korytarza za biblioteką były otwarte. To go zdziwiło, bo zawsze zamykał za sobą wszystkie drzwi, nawet te w tajemnych pomieszczeniach.

Zamknął je i podszedł do regału z książkami po drugiej stronie.

Powiedział „*Ochus Bochus*” i drzwi się otworzyły. Gdy wszedł do biblioteki, słowa *Hoc est corpus meum* sprawiły, że regał na zawiasach wrócił na swoje miejsce i zlał się ze ścianą książek.

Świetnie. Ten dom nigdy mu się nie znudzi.

W kuchni, gdy stał przy białej wyspie z kwarcytowym blatem z dwiema butelkami wódki i w równych proporcjach wlewał waniliową i pomarańczową do szklanki z lodem, poczuł jakiś inny zapach. Nieprzyjemny, bardziej dziwny niż odrażający; nie był to zapach zgnilizny ani chemiczny. Przypomniał mu o specyficznym woni w bibliotece, chociaż ta tutaj była silniejsza.

Obchodził wielką kuchnię, otwierając szafki, próbując zlokalizować źródło, ale zapach okazał się nieuchwytny, pojawiał się i znikał. Stał przed drzwiami

spiżarni, zastanawiając się, czy może znaleźć w niej zdechłego szczura.

Nie. Niemożliwe. Dom był zbyt solidnie zbudowany, by dostały się do niego gryzonie.

Otworzył drzwi i światło w spiżarni zapaliło się automatycznie. Nieprzyjemny zapach był silniejszy w tej zamkniętej przestrzeni, ale szybko się rozproszył, jakby przyczyna już nie istniała. Dorian przejrzał półki z artykułami spożywczymi i stwierdził, że wszystko jest w porządku.

Zapach zelżał i Dorian już nie wyczuwał niczego niezwykłego.

Wzruszył ramionami, wrócił do kuchni i dokończył robienie koktajlu dla dorosłych.

## 123

WOKÓŁ KRAWĘDZI ZASŁON ROZBŁYSŁA błyskawica. Przetoczył się grzmot, bębnił deszcz.

To był niezły dzień. Nadchodził wieczór.

Kipp nie był zazdrosny o inne psy.

Woody został w salonie, gdzie trzech z czterech zabójców skrupowano opaskami zaciskowymi.

Chłopiec nie był nimi zainteresowany.

Bawił się ze wszystkimi psami.

Bawił się i rozmawiał z nimi telepatycznie.

Wszystkie psy pokochały Woody'ego i były nim zafascynowane.

Pierwszy człowiek na Telegrafie.

Podeksytowani Misterianie i ich ludzcy towarzysze kręcili się po całym parterze.

Ale nie tu, nie w gabinecie.

W gabinecie Rodczenko sypał na potęgę.

Ben, Megan, Carson i Rosa słuchali.

Kipp siedział blisko zbira, przeszywając go twardym wzrokiem, od czasu do czasu warcząc i szczerząc zęby.

Spocony jak w saunie, Rodczenko bał się, że Kipp odgryzie mu przyrodzenie. Najwyraźniej jakiś pies kiedyś próbował to zrobić.

Bez wątpienia z dobrego powodu.

Rodczenko śpiewał bez narkotyków.

Ben mu jednak nie ufał.

Wstrzyknął mu odpowiednie dawki tiopentalu i rosyjskiego koktajlu narkotykowego.

Rodczenko stał się Wezuwuszem słów.

Na każde pytanie odpowiadał obszerniej, niż chciał.

Odpowiadał na pytania, które nawet nie zostały zadane.

Obciążył siebie i partnerów, a także wielu innych ludzi, łącznie z niejakim Alexandrem Gordiusem.

Dzięki badaniom Woody'ego już wiedzieli, że Gordius to Dorian Purcell.

Megan wszystko nagrała.

Wysłała nagranie mailem do prawnika Rosy Leon, przyjaciela Dorothy, Rogera Austina.

Ben wszedł na stronę Atropos w darknie. Postępując zgodnie z instrukcjami Rodczenki, włamał się do ich komputera i skopiował wszystko na pendrive'a.

Kopia także została wysłana do Rogera Austina.

Prawnik wykombinuje, jak z tych materiałów, a także z raportu Woody'ego złożyć dokument będący kompleksowym dowodem przestępstw, wielu przestępstw.

To będzie trudna praca. Ale niezbędna.

Gdy dowody zostaną przekazane jakiejś zaufanej instytucji, nikt nie może powiązać ich z Woodym i Megan.

Z powodu Misterium.

Czterej zabójcy nie byli już zagrożeniem, ale stanowili problem.

Z powodu Misterium, które jeszcze nie śmiało się ujawnić.

– Jesteśmy w kropce – powiedział Ben. – Ale widzę wyjście, mniej ryzykowne, niż się wydaje.



W SALONIE GIER W DOMU W TIBURON stało czterdzieści sześć automatów do gry z różnych okresów ewolucji. Dorian lubił grać, gdy wszystkie automaty były włączone, bo pulsujące światła i muzyka ożywiały to miejsce, upodobniały je do prawdziwego salonu gier w wesołym miasteczku albo gdzieś na deptaku. Uruchomił je jednym włącznikiem znajdującym się tuż za drzwiami.

Postanowił zacząć od fantastycznego gottlieba o nazwie Haunted House; on i Haskell Ludlow byli w nim asami jako chłopcy. Stół miał trzy poziomy, piętro, parter i piwnicę, osiem łapek oraz różne rampy i tajne przejścia dla kulki, więc czasami nie można było odgadnąć, gdzie się pojawi. Maszyna została ustawiona do darmowej gry, więc nie potrzebował monet; po jakichś dziesięciu minutach wpadł w rytm, jakby ostatni raz grał wczoraj.

Jedna z jego recept na dobre życie mówiła, że bez względu na to, co robisz – czy budujesz gigantyczną firmę technologiczną, czy bzykasz kochankę, czy doprowadzasz konkurencję do ruiny, czy grasz na flipperach – musisz przykładać się tak, jakby od tego zależało twoje przetrwanie. Pochylał się nad automatem, zdeterminowany pobić swój poprzedni rekord: 1 340 000 punktów. Poruszał łapkami z finezją czarodzieja flippera, nie mniej imponującą niż gra wielkiego pianisty koncertowego. Grał całym ciałem, krzycząc radośnie przy każdym triumfie i przeklinając każdą straconą szansę z takim zapałem, że ślina tryskała na szybę automatu.

Skupiony na wygranej, z powodu muzyki, stukotu łapek, brzęczenia dzwonek, innych efektów dźwiękowych oraz własnych okrzyków, nie zareagował na słowa „Ochus Bochus”. Jego koncentracja zaczęła słabnąć dopiero wtedy, gdy powoli zdał sobie sprawę, że znów czuje nieprzyjemny zapach, który wykrył w bibliotece, a później w kuchni. Kulka wymknęła mu się spod kontroli, sturlała się rynną z napisem DO WIDZENIA i prawie w tym samym momencie stracił drugą. Zrozumiał, że tego dnia nie pobije rekordu. Wraz z tą myślą napłynęła ostrzejsza świadomość smrodu, który stał się znacznie silniejszy niż wcześniej. Zrozumiał, że nie jest sam.

Odrzucił się. Metr od niego stał Shacket. Lee Shacket był w tym domu trzy razy podczas budowy i Dorian Purcell z dumą go oprowadzał. Ale teraz wyglądał

potwornie, pokryty pęcherzami i ropiejącymi ranami, z łuszczącą się skórą, czerwonymi i opuchniętymi powiekami, wytrzeszczonymi oczami, jakby wysadzonymi przez straszne ciśnienie w czaszce. Miał blade usta. Nie, nie blade. Białe. Spierzchnięte i białe jak mąka, jak wypalone przez kwas.

– Dorian – powiedział grubym, chropawym głosem.

Dorian miał za plecami automat do gry Haunted House. Będzie musiał przemknąć w prawo, wyslizgnąć się poza zasięg Shacketa i pobiec do wyjścia. Nie wierzył, że przybysz – to coś, co kiedyś było Shacketem – może poruszać się szybko, nie w takim stanie. Dorian ucieknie, jak zawsze przed negatywnymi konsekwencjami swoich czynów. Ucieknie, zamknie się w jednym ze schronów, wezwie pomoc. Wystarczy zamarkować ruch w lewo, skoczyć w prawo i pobiec.

Ale nie mógł się ruszyć. Jego mięśnie były zablokowane. Ciało zamieniło się w kamień.

– Dorianie, staję się. Widzisz, jak się staję?

Doriana Purcella paraliżował nie tylko strach przed tym stworzeniem, ale też coś więcej. W zakamarku jego umysłu kołatała się jakaś bardziej przerażająca możliwość, coś, czego nie potrafił nazwać. A może nie odważył się tego zrobić z obawy, że nazwa urzeczywistni to, co w tej chwili było tylko możliwe.

– Staję się królem drapieżników – powiedział Shacket. Uśmiechnął się i liznął zęby. Język miał biały jak usta, zęby poplamione, a przestrzenie między nimi zatkałe jakąś szarą substancją.

Dorian czuł jego cuchnący, zjełczały oddech. Drżąca myśl, której starał się uniknąć, nie dała się stłumić. Może nie jest mu pisane wydłużenie życia do setek lat; może nie będzie jednym z pierwszych transludzi z ogromnie rozwiniętym intelektem i nadzwyczajnymi mocami. Może umrze tak jak miliardy przed nim. Dotychczas żył w przekonaniu, że świat nie może go eksmitować, a teraz był sparaliżowany możliwością śmierci.

Gdy Shacket chwycił go oburącz za ramiona, Dorian w końcu wyrwał się z paraliżu. Walczył, ale odkrył, że to stworzenie, nawet jeśli śmiertelne, nie jest słabe, jak myślał. Shacket był nieludzko silny. Z ran na jego dłoniach sączyła się odrażająca surowica, potencjalnie zakaźna i tak kleista, że gdy przesiąkła przez koszulę Dorigana, przywarła do jego skóry. Czuł, jak wsącza się w jego bicepsy. Im gwałtowniej się wyrывał, tym ręce Shacketa zaciskały się mocniej. W końcu

podjął najbardziej desperacki wysiłek i poczuł, że rwą mu się włókna mięśniowe. Na jego krzyk bólu, strachu i zgrozy stworzenie się uśmiechnęło. Shacket ponownie się ukoronował.

– Stałem się.

Były dyrektor generalny Refine posmakował białym językiem powietrza, a potem wgrzył się w krzyk, wgrzył się w delikatne usta.

## 125

RODCZENKĘ ZABRANO NA GÓRĘ i tymczasowo zamknięto w szafie.

Skromny gabinet w białym domu na obrzeżach Pinehaven nie wyglądał na epicentrum trzęsienia ziemi, które zmieni przyszłość. Burzę, która paliła noc piorunami, wstrząsała grzmotami i okładała dom biczami deszczu, można jednak było wziąć za metaforę furii, jaką często wywołuje wielka zmiana.

Ben Hawkins wiedział o tym: zdumiewająca więź między Misterium a ludzkością zmieni świat na zawsze, ale radykalnym i gwałtownym zmianom zawsze towarzyszą strach i jego przerażające następstwa.

Ujawnienie cudu Misterium spowodowałoby głębokie dyslokacje kulturowe i gospodarcze. Wpłynęłoby poważnie na wszystkie religie i na naukę, ponieważ większość naukowców była i jest oddana teoriom tak żarliwie, jak politycy ideologii. Chociaż nauka nigdy nie stanęła w miejscu i polegała na nieustannym dokonywaniu odkryć obalających wcześniejsze koncepcje, nigdy nie brakowało takich, którzy konsekwentnie odrzucali wszelkie dowody niepotwierdzające teorii, na których zbudowali swoje kariery. Ludzie potrafili nienawidzić do tego stopnia, że zabijają znieprawdzonych z powodu klasy, koloru skóry, polityki, religii i zwykłej zazdrości. Kiedy psy z Misterium za pośrednictwem Woodrowa Bookmana podzielił się Telegrafem z innymi ludźmi, żaden człowiek obdarzony zdolnościami telepatycznymi nie będzie mógł ani nikogo oszukać, ani paść ofiarą oszustwa na Telegrafie. Ludzie będą zmuszeni zmierzyć się z przykrym faktem, że prawda, do której dążyli i którą cenili, jest w rzeczywistości ciężarem, jakiego najczęściej decydują się nie dźwigać; że kłamstwa, którymi gardzą, często przedkładali nad twarde fakty i zimną rzeczywistość. Nawet te cudowne,

wspaniałe psy wkrótce staną się celem, podobnie jak Woody i wszyscy chętni powitać głęboką zmianę wynikającą z ostatecznego udoskonalenia więzi między człowiekiem a psem. Nie można wykluczyć wybuchu przemocy na skalę holokaustu.

Ben dowodził – a Megan, Rosa, Carson i Kipp zgadzali się z tym – że psy z Misterium muszą być wprowadzane do świata powoli, przez lata, jeśli nie dziesiątki lat. Ludzie, którzy kochali te psy, którzy przyjmą dar i ciężar Telegrafu, muszą chronić tajemnicę Misterium, dopóki społeczności złożone z psów i ich ludzkich towarzyszy nie staną się tak liczne, że świat po cichu zmieni się z tego pogrążonego w kłamstwie w taki, gdzie prawda stanie się powszechniejsza niż kiedykolwiek. Gdy równowaga się zmieni, a przemoc, kradzież i zdrada osłabną, będą wiedzieli, że nadszedł moment, by powiedzieć ludzkości: „Oto przedstawiciele ewoluującego świata, nasi bracia i siostry na czterech łapach, towarzyszący nam od niepamiętnych czasów, nigdy niczego od nas nieoczekujący poza miłością i wzajemną obroną przed okrutną naturą. Nie są samolubni, zazdrośni ani aroganccy. Dołączą do nas i razem stworzymy świat jutra, który nie będzie zdeformowany przez żądzę władzy, w którym każde życie będzie miało znaczenie i w naszym zasięgu znajdzie się to, co kiedyś wydawało się poza zasięgiem – nawet gwiazdy”.

Pilniejszym problemem było czterech mężczyzn z firmy Atropos.

Po pierwsze, nie było godnego zaufania organu, któremu można by ich przekazać. Szeryf Eckman wycofał ludzi, którzy chronili Megan i Woody’ego, chociaż wiedział, że są zagrożeni. Według Carsona, prokurator stanu Kalifornia, Tio Barbizon, został przez kogoś kupiony, prawdopodobnie przez Doriana Purcella, który zapłacił za „wypadek” Jasona Bookmana i wysłał zabójców z Atropos do Pinehaven. W ostatnich latach kiedyś nieskazitelna reputacja FBI została nadszarpnięta. W dzisiejszych czasach nikt nie mógł z całą pewnością stwierdzić, komu można zaufać.

Był jednak szczególny powód, dla którego Ben nie chciał przekazać tej czwórki w ręce prawa. Verbotski, Knacker, Rodchenko i Speer niewiele wiedzieli o psach, które ich dzisiaj pokonały, ale zdawali sobie sprawę, że te stworzenia są niezwykle, że są więcej niż zwykłymi psami i że ich ludzcy towarzysze znają prawdę. Ben nie chciał, by dowiedziały się o tym jakiegokolwiek władze.

Siedząc w fotelu z Kippem na kolanach, Rosa Leon zapytała:

– Ale co z nimi zrobimy?

– Przecież ich nie pozabijamy – powiedziała Megan.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Ben. – Zrobimy jedyne, co możemy: pozwolimy im odejść.

Carson Conroy odwrócił się od okna, za którym obserwował deszcz i błyskawice, być może z przecuciem, że czeka ich inna długotrwała burza.

– Pozwolimy im odejść? – zdziwił się. – Czterem zawodowym zabójcom? Co mnie ominęło?

– Puścimy ich wolno i będziemy mieć nadzieję, że nadal będą robić to, co wcześniej.

– Wtedy będziemy odpowiedzialni za wszystko, co zrobią – wtrąciła Megan.

– Zgadza się – przyznał Carson. – Jedyne sposób, żeby tego uniknąć, to zabić ich i zakopać.

Zapadła cisza.

– Sądzę, że Ben ich rozgryzł – odezwała się Rosa. – Nie ma łatwych odpowiedzi. Nie możemy rozpocząć lepszej przyszłości od czterech morderstw.

Carson poszedł przeszukać czarnego suburbana, którym przyjechali zabójcy, by sprawdzić, czy nie ma w nim broni.

Ben ruszył do salonu, żeby porozmawiać z Verbotskim, który siedział tam związany z Knackerem i Speerem. A potem poszedł na górę pogadać z Rodczenką.

## 126

W DRUGIM POKOJU GOŚCINNYM BEN wyjął krzesło z prostym oparciem spod kłamki i otworzył drzwi szafy. Rodczenko czekał ze związanymi z tyłu rękami.

Ben polecił mu usiąść na skraju łóżka. Rodczenko usiadł.

– Wypuszczamy cię.

Zabójca wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego mnie?

– Nie tylko ciebie. Całą waszą czwórkę.

To zaalarmowało zbira.

– To nie ma sensu. Dlaczego?

– Nie musisz rozumieć. Macie po prostu iść i nie wracać. Omówiłem to z Verbotskim.

Rodczenko pokręcił głową.

– Nie. Nie możesz tego zrobić. Wiedzą, że sypałem. Zabiją mnie.

– Użyliśmy tiopentalu i innego gówna. Nie miałeś innego wyjścia.

– Wiedzą, że psy mnie wystraszyły. Wiedzą, że sypałbym bez prochów, a nie będą wiedzieć, czy mi je podałeś.

Ben usiadł obok niego i poklepał go po kolanie.

– Rozumiem, *amigo*. Miałem w życiu do czynienia z wieloma zbrodniczymi sukinsynami. Bez urazy. Nie ma wśród was zbytnej lojalności. A ponieważ współpracowałeś, dam ci coś do samoobrony.

Rodczenko spojrział na niego z nadzieją.

– Pistolet?

– Nie ma mowy. Verbotski i inni są już pakowani do suburbana. Gdy przetnę tę trytykę, sprowadzę cię na dół. Tuż przed wyjściem dam ci nóż sprężynowy Speera i jedną z tych puszek chloroformu, którym zamierzaliście nas potraktować.

– Ale ich jest trzech.

– Wybacz, to najlepsze, co mogę zrobić.

– Co im dałeś?

– Nic. Nie współpracowali.

– Mam nadzieję, że to prawda.

– Nie zarzucaj mi kłamstwa, *amigo*.

– Psy będą na dole?

– Przeprowadzę cię między nimi.

– W tych psach jest coś dziwnego.

– I kto to mówi!

– A kim są ci ludzie na dole?

– Przyjaciele. Wszyscy należymy do tego samego klubu kynologicznego.

## 127

MEGAN, ROSA I BEN GOTOWALI PRZEZ większość dnia, więc jedzenia wystarczyłoby dla całej armii.

Kipp uważał, że ci ludzie są swego rodzaju armią. Armią sprawiedliwych.

Rozmawiali, śmiali się, jedli.

Zawierali znajomości.

Wszyscy ładnie pachnieli. Żaden nie cuchnął Nienawistnikiem.

Nie teraz, gdy czwórka z Atropos odeszła.

Oczywiście Shacket wciąż gdzieś tam jest.

Może wróci, a może nie.

Kipp wyczuje go z daleka.

Psy rozmawiały i śmiały się telepatycznie, jedząc to, co zostało przygotowane specjalnie dla nich.

Hamburgery. Filety z kurczaka. Ryż i marchew gotowane w bulionie. Ziemniaki.

Zgromadzenie było bardzo miłe.

Byłoby o wiele miłsze, gdyby znalazła się tu Dorothy.

I Jason Bookman.

W pewnym sensie byli tu. W sercach tych, którzy ich kochali.

Cóż to były za zdumiewające dwa dni. Od łoża śmierci do narodzin nowego świata.

Jak w powieści.

Ale prawdziwy świat był bardziej fantastyczny niż fikcja.

Wszyscy obecni tutaj wiedzieli, jak fantastyczny jest świat.

W domu panowało narastające oczekiwanie. Każdy zdawał sobie sprawę, jak skończy się ten wieczór.

Niektórzy trochę się bali. Ale tylko trochę.

Kipp czuł, jak niewielki jest ich strach.

W miarę upływu godzin ludzie coraz częściej spoglądali na chłopca, który kiedyś nie mówił.

Był mały, ale na jego barkach spoczywała przyszłość.

Zdoła ją udźwignąć. Nawet jeśli nadal będzie jadał każdą potrawę z osobnego talerza, da radę ponieść przyszłość.

W końcu zapadła cisza, poczucie, że nadszedł ten moment.

Megan wzięła syna za rękę.

– Skarbie, jesteś gotowy?

– Jestem, jeśli wszyscy inni też.

– Są gotowi – powiedziała. – Jesteśmy gotowi.

Ben Hawkins podszedł do Megan i ujął jej dłoń.

Rosa Leon podeszła do Bena i złapała go za rękę.

Carson Conroy chwycił dłoń Rosy.

Chociaż nie było takiej potrzeby, chociaż mogli to zrobić, stojąc osobno, i tak trzymali się za ręce.

Żywy łańcuch ciągnął się z salonu do przedpokoju.

Stamtąd do jadalni.

I do kuchni.

Do pracowni Megan, gdzie czekał na ukończenie obraz przedstawiający Woody’ego i jelenia, jelenią rodzinę.

Wszyscy w całym domu trzymali się za ręce.

Psy tuliły się do nóg swoich ludzi.

Teraz Woody zrobił to, co Bella zrobiła dla niego.

Zrobił to, co tylko on jeden na całym świecie mógł zrobić dla innych ludzi.

Wszystkim zgromadzonym przekazał dar i brzemię Telegrafu.

Jeśli byli wśród nich tacy, którzy nie zostali obdarzeni, to poza hałasem burzy słyszeli tylko niesamowitą ciszę domu.

Dla tych obdarowanych wybuchł radosny gwar.

Nawet ktoś, kto był głuchy na wszystkie te głosy, wyczułby zdumienie i emocje przepływające z serca do serca.

Później, gdy przestanie padać, wszyscy goście wrócą do swoich domów daleko stąd.



Coś się działo.

W dającej się przewidzieć przyszłości najlepszym, co mogli zrobić Misterianie i ich ukochani towarzysze, będzie czekanie i pozwolenie, by to się stało.

## 128

Z WYCIERACZKAMI TRZASKAJĄCYMI JAK WERBLE na pogrzebie, w ciemności przypominającej grób, Verbotcki jechał do domu, w którym zostawili bagaż i zwłoki Charlesa Oxleya.

Chciał, żeby Rodczenko usiadł na fotelu pasażera, by mieć go na oku, ale łądak odmówił. Najwyraźniej bał się, że zostanie uduszony od tyłu albo załatwiony w jakiś inny sposób.

Speer siedział z przodu, a Rodczenko i Knacker z tyłu.

– Jeśli opróżnili nasze komputery i wysłali kogoś to całe gównu, nie możemy wrócić do Reno – powiedział Knacker, najgłupszy z nich. – Jesteśmy skończeni.

– Nie jesteśmy skończeni – zaprzeczył Verbotcki. – Każdy z nas ma forszę na ucieczkę, zagraniczne konta i nowe tożsamości. Wylecimy z Sacramento do czterech miast. Zmienimy wygląd. Spotkamy się w Miami za miesiąc od dzisiaj. Zaczniemy od nowa i zbudujemy coś większego i lepszego niż to, co straciliśmy.

– Cholerna racja – burknął Speer. – A za rok, kiedy nikt nie będzie się nas spodziewać, wrócimy do Pinehaven i zabijemy tę dziwkę i jej wrednego bachora.

– Działo się tam coś dziwnego... te wszystkie psy... coś dziwnego – powiedział Verbotcki. – Lepiej trzymać się daleko od tego domu.

Speer nie odezwał się. Rodczenko też nie.

– Lubię Miami. Słońce, piasek, bzykanie – odezwał się Knacker.

Rodczenko postanowił włączyć się do rozmowy, jakby nadal był partnerem o dobrej reputacji.

– Lepiej ostrzeżmy chłopaków w Reno, niech też się rozproszą – powiedział z myślą o czterech innych osobach z Atropos.

– Pieprzyć ich – warknął Verbotcki. – Potrzebujemy tylko czterech, by zacząć od nowa. Tamci nie byli z nami od początku.

– Nie można rozpocząć nowej operacji od dzielenia się zyskami – dodał Speer.

– Właśnie – zgodził się Verbotzki. – Na początku będą nas zżerać koszty rozruchu i koszty stałe. Zanim pomyślimy o zatrudnieniu piątego wspólnika, musimy osiągnąć wiarygodne przepływy gotówki na pokrycie wydatków i zarobić tyle forsy, żeby wystarczyło dla sześciu.

Speer westchnął.

– Nie ma zmiłuj. Zdajesz sobie sprawę, o ile byłoby trudniej, gdybyśmy płacili podatek dochodowy?

– Do końca życia będziemy pracować dla tego człowieka – mruknął Verbotzki.

Zaparkowali na podjeździe przed domem Oxleya i weszli frontowymi drzwiami. Idąc przez dom, Verbotzki sprawdzał, czy regulacja temperatury na każdym termostacie – w salonie, sypialni, kuchni – jest ustawiona na pięć stopni, by zapobiec przedwczesnemu wybuchowi. Obecnie temperatura w domu wynosiła dwadzieścia stopni.

– Rodczenko, ty i ja zabierzemy stąd nasz sprzęt – powiedział, gdy znaleźli się w kuchni. – Knacker, Speer, idźcie do piwnicy i dokończcie ustawianie pieca, żeby wybuchł zgodnie z planem.

Knacker skrzywił się.

– Dlaczego? Stary pierdziel jest martwy, nie możemy go zabić dwa razy. Po tym, co się stało, im szybciej się rozstaniemy, tym lepiej.

– Speer, możesz mu to wytłumaczyć?

Verbotzki trochę się martwił, że Speer zgodzi się z Knackerem, ale miłośnik węży go poparł.

– Może uciekamy, ale nie z powodu zabicia tego starego. Więc niech tak zostanie, nie dodawajmy go do listy tego, za co jesteśmy poszukiwani. Wyjedziemy stąd, piec wybuchnie, dom spłonie doszczętnie, po starym zostaną tylko kości, a po nas ani śladu.

– No dobra – mruknął Knacker. – Niech będzie po waszemu. Ale dokopię temu staremu sukinsynowi.

– Już nie żyje – przypomniał mu Speer, otwierając drzwi do piwnicy. – Po co go kopać?

– Bo to poprawi mi samopoczucie.

Knacker zszedł za Speerem do piwnicy.

Verbotski wskazał stertę sprzętu – walizki, torby podróżne – i zwrócił się do Rodczenki:

– Zapakuj wszystko do suburbana. Przyjechałeś nim ze Speerem i możecie nim odjechać. Wezmę rzeczy Knackera i moje do escalade’a.

Gdy Rodczenko chwycił dwie torby i walizkę i wyszedł na korytarz, Verbotski szybko przeszukał kuchenne szuflady. Wybrał tasak do mięsa.

Miał zamiar przycziąć się z boku frontowych drzwi i posiekać tego ruskiego szczura, gdy ten wróci z suburbana.

Tyle że Rodczenko nie wyszedł na zewnątrz i rzucił się na niego, wymachując nożem sprężynowym jak sztyletem. Dźgnął go w bok, zatapiając piętnaście centymetrów ostrej jak brzytwa stali w okężnicy i jelicie cienkim.

Wstrząs i ból nie przeszkodziły Verbotskiemu zamachnąć się tasakiem. Stał spotkała się z szją i zwyciężyła. Rodczenko trysnął krwią jak wąż strażacki w piekle, ale struga wyschła, zanim upadł, bo zatrzymało się serce.

Verbotski rzucił tasak na zwłoki i ostrożnie wyciągnął nóż sprężynowy z boku. W oczach mu się zaćmiło, nie stracił jednak przytomności. Rana była niewielka, ale głęboka. Ostry, chociaż znośny ból sprawiał, że się pocił. Rana krwawiła mniej, niż się spodziewał. Przycisnął do niej rękę. Potrzebował pomocy medycznej. Za kilka godzin dojdzie do ostrego zapalenia otrzewnej. Był pewien, że da radę dojechać do Sacramento, a tam trafi do najlepszego szpitala i pod opiekę Tio Barbizona.

Wrócił do kuchni. Przy otwartych drzwiach do piwnicy wziął głęboki oddech, żeby panować nad głosem.

– Skończyliście?! – zawołał do Knackera i Speera.

– Skończone! – odkrzyknął Speer i z dołu dobiegł głuchy łomot.

– Jeszcze tylko jeden kopniak – obiecał Knacker, gdy Speer pojawił się u stóp schodów.

Verbotzki zamknął drzwi do piwnicy i zasunął rygiel. Podeszedł do termostatu i przesunął suwak na dwadzieścia siedem stopni.

Termostat był zasadniczo spustem urządzenia, które zainstalowali w piecu. Standardowy system ogrzewania, wentylacji i klimatyzacji jak ten tutaj reagował może z pięcio- czy sześćosekundowym opóźnieniem. Płomień wybuchnie wokół knota pierścieniowego zasilanego olejem i zdetonuje materiał wybuchowy.

Speer krzyczał z wściekłości, gdy wbiegał po ostatnich stopniach. Verbotzki ruszył przez kuchnię w stronę tylnych drzwi – miał cztery, pięć sekund, mnóstwo czasu.

Knacker też krzyczał, a Speer łomotał w drzwi. Nie byli partnerami, jakich Verbotzki potrzebował, by wspiąć się na szczyt w swojej profesji. Knacker był po prostu za gruby, a Speer przyprawiał go o ciarki tymi węzowymi tatuażami, które podobno miał nie tylko na rękach. Znajdzie sobie lepszych współpracowników.

Był o sekundę od drzwi, a miał w zapasie co najmniej dwie lub trzy, gdy coś w nim pękło. Potworny ból zbił go z nóg. Upadł na podłogę przy progu.

Kwas i coś jeszcze gorszego podeszło mu do gardła, aż się zakrztusił. Piec wybuchł, podłoga podskoczyła pod nim, cały dom zadygotał i runęła część stropu. Wydawało się, że los – Atropos we własnej osobie – zdecydował, że Verbotzkiego należy zasypać belkami stropowymi i gruzem, bo sam paraliż może nie zagwarantować, że spłonie wraz ze współnikami.

Gdy tak leżał i czekał na płomienie, myślał o ulewie, ale nie robił sobie nadziei. Wiedział, jaką temperaturę szybko osiągnie ogień; nie da się go łatwo ugasić. Słyszał płomienie pędzące w górę i czuł, jak nagrzewa się pod nim podłoga.

Na jednym z wykładów z psychologii usłyszał, że gdy człowiek umiera, mózg wytwarza hormony wywołujące dobre samopoczucie. Podobno dlatego niektórzy na łożu śmierci widzą usługujące im anioły, a ci, którzy prawie umarli i powrócili do życia, często mówią o tunelu prowadzącym do witającego ich światła i cudownego świata poza nim.

Nie widział aniołów ani tunelu prowadzącego do światła. Gdy smugi dymu wpełzły do kuchni, wróciło do niego dawno stłumione wspomnienie. Jego serce zabiło szybciej z nieoczekiwanej rozkoszy, gdy obrazy z przeszłości zalały jego umysł. Miał sześć lat, kiedy jego ojciec przywiózł do domu Daisy, dwuletnią

golden retrieverkę, specjalnie dla niego wziętą ze schroniska. Daisy i mały John przeżyli razem wiele przygód i przez jakiś czas w domu, który zwykle był pełen podejrzeń, sporów i głośnych kłótni, gościło niezawodne źródło radości. Małżeństwo się rozpadło i Daisy rok po przybyciu do domu Verbotskich zmarła w ramionach małego Johna. Dla matki alkoholiczki Daisy była awatarem znienawidzonego męża i to wystarczyło, by ją otruć. Po śmierci Daisy tamten rok cudów stał się zbyt bolesny, żeby go wspominać. Teraz, gdy ogień sięgał po Verbotskiego, wraz z nim pojawiły się wspomnienia jaśniejsze od płomieni, wspomnienia już nietłumione, wspomnienia czułości, śmiechu i miłości, jakiej nigdy nie doświadczył przed tamtym dawno minionym rokiem i nigdy nie zaznał w późniejszych dniach.

## 129

AMORY CROMWELL, ZARZĄDCA PONADDWUHEKTAROWEJ posiadłości w Tiburon, nie był ani głupi, ani tchórzliwy.

Po czterech dniach spędzonych w kurorcie w Pebble Beach wrócił do rezydencji w poniedziałek o siódmej rano, godzinę przed personelem, jak miał w zwyczaju. Zatrzymał się przed dużą rolowaną bramą garażową, wysiadł z bmw i wyłączył system alarmowy na wbudowanym w ścianę panelu Crestron. Gdy drzwi się otworzyły, zaparkował w części zarezerwowanej dla pracowników, oddzielonej od karuzel z kolekcjonerskimi autami. Wysiadł z samochodu i usłyszał cichą, skrzekliwą muzykę czterdziestu sześciu automatów do gry w salonie znajdującym się na tym samym poziomie co podziemny garaż, kino i dwa tory do gry w kręgle.

Dorian Purcell, kiedy spędzał tu weekend, zwykle wyjeżdżał w niedzielę wieczorem. W czasie jego nieobecności światła, telewizory i sprzęt muzyczny na poziomach naziemnych włączały się i wyłączały w sposób, który miał sugerować włamywaczowi, że w domu mieszkają trzy albo cztery osoby. Maszyny w salonie gier nie były częścią tego systemu.

Amory Cromwell pomyślał, że Wielki Człowiek nadal jest w domu.

A to odstępstwo od zwyczajów sugerowało, że coś może być nie w porządku.

Cromwell, który w ramach przygotowań do zawodu przeszedł szkolenie ze sztuk walki i strzelania, a poza tym wiedział, że klienci płacą mu nie tylko za wiedzę, lecz także za dyskrecję, nie pomyślał o wezwaniu policji. Superbogacze płacą takim jak on również za to, by ich szaleństwa nie stały się publicznie znane, przynajmniej dopóki nie przerodzą się w przestępstwa. Dlatego Cromwell poszedł do sejfu na broń ukrytego w szafce z narzędziami i wyjął strzelbę dużego kalibru. Załadował jeden nabój do komory, trzy do magazynka i wrzucił dwa zapasowe do kieszeni płaszcza.

W salonie gier znalazł ciało Doriana Purcella w stanie mniej niż idealnym. Poza dowodami skrajnej brutalności i kanibalizmu zobaczył, że zniknęła głowa miliardera.

W tym momencie mógłby wezwać policję, gdyby nie był człowiekiem, który rozpoznaje złotą okazję na pierwszy rzut oka.

Ze strzelbą w pogotowiu, podążył tropem krwawych odcisków stóp i strzępków ciała. Trop zaprowadził go na górę do biblioteki na parterze.

Człowiek, który nie wyglądał jak człowiek, ale jak coś z filmu Tima Burtona nakręconego na podstawie opowiadania H.P. Lovecrafta, siedział w przejściu między dwoma rzędami regałów. Na jego kolanach leżała głowa Purcella.

Ten dziwaczny stwór gdzieś po drodze pozbył się ubrania. Jego blade ciało było pokryte okropnymi grudkami i przebarwieniami. Od ropiejących wrzodów rozchodziły się szare włókna, tworzące sieci na różnych częściach ciała i łączące go z regałami. Nie były to geometryczne pajęczyny; były pozbawione wzoru i równie brzydkie jak groteskowy osobnik, którego częściowo spowijały.

Postać trwała w idealnym bezruchu. Amory Cromwell założył, że ma przed sobą trupa, mimo to zachował dystans.

– Proszę pana?

Mężczyzna powoli obrócił głowę.

Pomimo zniekształconych rysów twarzy i blasku oczu, jak u kota nocą, Cromwell go rozpoznał.

– Pan Shacket?

Były dyrektor generalny firmy Refine, o którym sądzono, że nie żyje, ułożył usta w coś, co najwyraźniej uważał za uśmiech. Przemówił, lecz jego głos był

cichym mamrotaniem, a słowa nie miały sensu. Wyskakiwały z niego jak ponumerowane kulki z automatu do gry w bingo. Co więcej, z jego gardła wylewał się pisk, kwilenie, gulgotanie, warczenie, syk, jakby zagnieżdżyły się w nim różne zwierzęta, poczynając od owadów. Słyszac to, Cromwell stracił nadzieję na inteligentną komunikację.

Najwyraźniej mężczyzna nie miał już sił ani przytomności umysłu. Umierał.

Przez lata swojej pracy Cromwell gorliwie chronił klientów nie tylko przed złym rozgłosem, ale także przed brutalnym naruszeniem ich prywatności przez media i motłoch. Godność i szacunek, na jaki zasługiwali, były dla niego najważniejsze.

Ale nie w przypadku Doriana Purcella, zwłaszcza teraz, gdy ten już nie żył.

Cromwell odłożył strzelbę i przez dwie minuty filmował Shacketa smartfonem, podczas gdy żalosne stworzenie mamrotało, chrząkało, piszczało i skomlało nie jak człowiek, lecz jak osaczone zwierzę. Zrobił też kilka zdjęć odciętej głowy Purcella.

Zabrał strzelbę, wrócił do salonu gier i sfotografował bezgłowe zwłoki leżące w kałuży krwi i wnętrzności. Następnie przeszedł przez rezydencję, fotografując jej najwspanialsze, najbardziej luksusowe elementy, wszystko, co mogłoby zachwycić czytelników najgorszych szmatławców i widzów najbardziej tandetnych programów w kablówce.

Pracując dla pewnej rodziny w Bostonie, Cromwell zawarł znajomość z Vaughnem Larkinem, prawnikiem i zarazem licencjonowanym prywatnym detektywem. Larkin pomagał pracodawcom Cromwella w sprawach związanych z synem, który przepadał za kokainą i gwiazdkami porno, a także uwielbiał drobne kradzieże i anarchizm.

Cromwell zadzwonił do Larkina, opisał, co znalazł, i poprosił o rzetelną wycenę posiadanego filmu i zdjęć. Gdy usłyszał liczbę, był pod tak wielkim wrażeniem, że zatrudnił Larkina jako swojego agenta i wysłał mu wszystko przed zadzwonieniem pod 911.

Gdy przyjechała policja, to, co kiedyś było Lee Shacketem, było równie martwe jak Dorian Purcell.

KIPP MIAŁ SWOJEGO CHŁOPCA, A CHŁOPIEC miał swojego psa.

Ze światem było wszystko w porządku.

A przynajmniej tak dobrze, jak to możliwe w obecnym stanie świata.

Dni po tamtym koszmarnym wrześnieowym czwartku były wyjątkowo słoneczne w każdym tego słowa znaczeniu.

Ben Hawkins sprzedał dom na południu Kalifornii.

Wynajął mieszkanie w Pinehaven.

Zaczął się spotykać z Megan.

Megan skończyła obraz z Woodym i jeleniami.

Przedstawiciel galerii powiedział, że za tę pracę może dostać rekordową sumę.

Powiesiła obraz w salonie. Za fortepianem.

Rosa Leon sprzedała dom w Lake Tahoe.

Przeprowadziła się do Pinehaven, by uczestniczyć w tym, co nadchodziło.

Na początku października Rita Carrickton i zastępca Andy Argento zostali oskarżeni o zabójstwo szeryfa Eckmana i aresztowani bez możliwości wyjścia za kaucją.

Eckman miał w sypialni i łazience ukryte maleńkie kamery.

Nagrywał wszystkie seksualne przygody z Ritą i kiedy stała naga pod prysznicem.

Łącznie z ich ostatnim – niedokończonym – spółkowaniem.

I własnym zabójstwem.

Były szeryf, Lyle Sheldrake, wrócił na urząd po listopadowych wyborach specjalnych.

Na przyjęciu w wieczór wyborczy Kipp miał okazję go obwąchać.

Sheldrake nie był Nienawistnikiem.

Ani wariatem.

W grudniu Rosa Leon zaczęła randkować z Carsonem Conroyem.

W styczniu Tio Barbizon został oskarżony o tuszowanie wydarzeń związanych z katastrofą w Utah oraz zbrodni popełnionych przez Lee Shacketa.



Dwa dni później oświadczył, że jest niewinny.

I ogłosił, że kandyduje na urząd gubernatora.

Megan i Ben, Woody i Kipp od czasu do czasu jeździli na wycieczki.

Odwiedzali Misterian, którzy wraz ze swoimi ludzkimi towarzyszami przybyli do Pinehaven tamtego straszego dnia.

Zwanego przez nich „Dniem” przez wielkie D.

Do Belli zgłaszały się nowe społeczności.

Niektóre aż z Kansas i Alabamy.

Potem z Kanady. I Meksyku.

W marcu Megan wyszła za Bena.

Rosa była druhną.

Kipp – družbą.

Sąd orzekł, że z majątku Doriana Purcella zostaną wypłacone odszkodowania dla rodzin ludzi zamordowanych w Utah i innych miejscach.

Haskell Ludlow został aresztowany na południu Francji. Jako Mary Seldon. Po zmianie płci.

Kablówki i brukowce miały używanie, roztrząsając historię genetycznego potwora z Utah.

Media nie znały historii Misterium i nie wiedziały, że pewnego dnia wszystkie wiadomości będą prawdziwe.

Potem zaczął się maj.

Osiem miesięcy po Dniu.

Kipp i jego rodzina odwiedzili tajną społeczność Misterian w Idaho.

Siedemdziesiąt pięć psów z dwudziestoma sześcioma ludzkimi towarzyszami.

Trzydzieści siedem par psów.

Jedna golden retrieverka nie miała czworonożnego towarzysza.

Kipp wiedział, że jest mu przeznaczona.

Martwił się, że nie poczuje tego samego co on.

Ale poczuła.

Wabiła się Velvet.

Przybyła do Pinehaven.

Minął rok.

Stało się jasne, że psy Misterium są zdrowsze niż inne.

Niektórzy zastanawiali się, czy mogą żyć dłużej niż inne psy.

Woody powiedział, że jest tego pewien.

Kipp i Velvet doczekali się ośmiorga potomstwa.

Wszystkie szczenięta były zdrowe.

Wszystkie zostały z Megan, Benem i Woodym.

Woody uczył się grać na fortepianie. Wymiatał na klawiaturze.

Rosa i Carson adoptowali dwa psy.

Stworzyli rodzinę składającą się z pięciu osób i dwunastu psów, żyjącą w wiecznej prawdzie; bez jednego oszustwa kontaktowali się przez Telegraf z innymi sobie podobnymi, przygotowując się na nadejście nowego świata, nadejście świeżej rzeczywistości, która ewoluowała przez dziesiątki tysięcy lat, odkąd ludzie i psy po raz pierwszy stanęli razem przeciwko tygrysom szablozębnym i wściekłym mastodontom. Przygotowywali się na nastanie świata, który kształtował się może od tysiąca stuleci, a w którym ludzie i psy żyli razem i bawili się razem, razem podziwiali gwiazdy, umierali, oplakiwali się nawzajem i trwali mimo okrucieństwa natury i ludzi nieubłaganie dążących do władzy. Ten nowy świat będzie taki, jaki zawsze powinien być; będzie światem, gdzie wzburzone wody będą powszechne jak zawsze, ale gdzie każdy człowiek i każdy pies będą sobie wierni, zawsze będą dla siebie mostem wiodącym od bezpiecznego do bezpiecznego brzegu.

## DEAN KOONTZ

Jeden z najpopularniejszych współczesnych amerykańskich autorów, mogący się pochwalić imponującą liczbą ponad 500 milionów sprzedanych egzemplarzy książek i tłumaczeniami na 38 języków. Karierę literacką rozpoczął w wieku dwudziestu lat, startując w konkursie na opowiadanie zorganizowanym przez „Atlantic Monthly”. Po ukończeniu studiów pracował jako nauczyciel, jednocześnie sporo publikował, głównie science fiction, a następnie horrory i thrillery.

Należy do pisarzy niezwykle płodnych: jego dorobek to kilkadziesiąt powieści oraz liczne opowiadania wydane pod własnym nazwiskiem i kilkoma pseudonimami. Wiele z nich zostało przeniesionych na ekran telewizyjny lub kinowy.

Dean Koontz mieszka na południu Kalifornii z żoną Gerdą, ich golden retrieverką Elszą i nieprzemijającymi duchami goldenek Trixie i Anny.

## *Tego autora*

TRZYNASTU APOSTOŁÓW  
APOKALIPSA  
PRZEPOWIEDNIA  
PRĘDKOŚĆ  
INWAZJA  
INTENSYWNOŚĆ  
NIEZNAJOMI  
MAŻ  
OCALONA  
NIEZNISZCZALNY  
DOBRY ZABÓJCA  
PÓŁNOC  
OSZUKAĆ STRACH  
OCZY CIEMNOŚCI  
ANIOŁ STRÓŻ  
TWOJE SERCE NALEŻY DO MNIE  
MASKA  
MROczne POPOŁUDNIE  
ZŁE MIEJSCE  
SMOCZE ŁZY  
RECENZJA  
OPIEKUNOWIE  
BEZ TCHU  
DOM ŚMIERCI  
CO WIE NOC  
W MROKU NOCY  
KĄTEM OKA  
W ŚWIEtle KSIĘŻYCA  
KLUCZ DO PÓŁNOCY  
PIECZARA GROMÓW  
NIEWINNOŚĆ  
MIASTO  
MISTERIUM

# Odd Thomas

ODD THOMAS

DAR WIDZENIA

BRACISZEK ODD

KILKA GODZIN PRZED ŚWITEM

APOKALIPSA ODDA

INTERLUDIUM ODDA